

Zaginiona Rasa

Timothy Zahn



calibre 0.9.27

Zaginiona Rasa

Zaginiona Rasa

Zaginiona rasa

Timothy Zahn

Tytuł oryginału „Spinneret”

Wyd. amer. 1985, pol. 2000

Tłumaczył: Radosław Botev

PROLOG

Kapitan Carl Stewart stał na mostku pierwszego amerykańskiego statku gwiazdowego i żałował tylko, że nie było butelki szampana, którą można by rozbić o burtę USS „Aurory”.

Ceremonia byłaby, oczywiście, niepraktyczna, nawet jeśli Departament Stanu wydałby na nią zezwolenie. W pozbawionej powietrza, zimnej przestrzeni kosmosu butelka wymagałaby specjalnego zabezpieczenia, żeby nie zamarzała na kamień ani nie pękła za wcześnie. Takie wzmocnienie mogłoby jednak uniemożliwić jej prawidłowe stłuczenie we właściwym momencie. Start przekazywano na żywo dla całej planety, a do wyborów w roku dwa tysiące szesnastym pozostało zaledwie dziesięć miesięcy, nikt więc nie chciał ryzykować takiego niepowodzenia. Morze i wszystko, co się z nim wiązało, miał Stewart we krwi od czterech pokoleń i wydawało mu się, że rozpoczęcie podróży statku bez chrztu jest w jakiś sposób niewłaściwe.

Monotonny głos z monitora telewizyjnego ucichł. Stewart ponownie skupił uwagę na ekranie. Zrobił to w samą porę, żeby zobaczyć, jak prezydent Allerton kładzie rękę na przycisku przy swoim podium.

Przygotować się - rozkazał, obserwując obraz.

Zbędna komenda; załoga „Aurory” była gotowa już od kilku godzin.

-...i kierując ku tobie wszystkie nasze nadzieje, modlitwy i marzenia, posyłamy cię w poszukiwaniu nowej granicy, nowych światów, nowych perspektyw, nowych rozwiązań; żeby wzmocnić i ponownie wynieść ludzkość do wielkości. Szczęśliwej drogi, „Auroro”!

Przy wtórze ostatniego aplauzu Allerton wcisnął przycisk...

Pięć tysięcy kilometrów nad nim przytwierdzone do podstawy rusztowania wokół statku reflektory rozblęły światłem i po raz pierwszy ukazały kamerom telewizyjnym „Aurorę” w całej okazałości.

Stewart pozwolił trwać tej podniosłej chwili przez czas potrzebny na doliczenie do pięciu i skinął na sternika.

- Proszę nas wyprowadzić, panie Bailey - polecił. - Niech pan uważa, żeby nie zahaczyć po drodze „Pathfindera”.

Bailey uśmiechnął się.

- Tak jest, sir.

Napędzana przez zasilane ciekłym azotem silniki dokujące „Aurora” powoli opuściła bezpieczną przestrzeń wewnątrz rusztowania. Bezbłędnie ominęła rusztowanie wokół „Pathfindera” - Stewart dostrzegł kątem oka prawie ukończony bliźniaczy statek pozdrawiający ich feerią migających światła - i podryfowała w kierunku ledwo widocznego pod nimi horyzontu ciemnego świata.

- Ale tam dużo światła! - stwierdził Reger, nawigator.

- Ale tam dużo ludzi, którzy z nich korzystają - mruknął Stewart. - I oby mieli rację ci wszyscy naukowcy ze swoimi dziwacznymi teleskopami i teoriami, pomyślał, oby były tam planety, które

„Aurora” może odkryć.

- Gotów do przeskoku - zameldował Bailey i spojrzał na Stewarta. - Odchylenie wektora kursu poniżej pięciu sekund.

- Przyjąłem. - Stewart skinął głową i chwilowo porzucił wszelkie obawy o przetrwanie Ziemi - Niech to dobrze wygląda w telewizji, panie Bailey: przeskok!

Przy błysku wyładowania płaskiego pioruna gwiazdy zniknęły ze wszystkich stanowisk obserwacyjnych i sensorów wizyjnych i utonęły w głębokiej czerni hiperprzestrzeni.

- Następny przystanek - Alpha Centauri.

Ludzkość rozpoczęła swoją podróż.

- Z całą pewnością wszystko wskazuje na to, że warunki są podobne do ziemskich.

Pulchne palce astrofizyka Hashimoto zwinnie zatańczyły na ekranie konsoli. Na planecie powinna panować odpowiednia temperatura, rozmiary w granicach kilku procent wielkości Ziemi, odbieramy też silny sygnał obecności tlenu, nawet z tej odległości.

Stewart przytaknął. Nie chciał rozbudzać w sobie zbyt wielkich nadziei. „Aurora” odwiedziła do tej pory sześć systemów i zdarzył się już jeden fałszywy alarm.

- Trzymamy kurs. To powinno dostatecznie przybliżyć nas do planety i umożliwić otrzymanie lepszych odczytów. Jeżeli będą podstawy do lądowania...

- Kapitanie! - powiedział Bailey zdławionym głosem o oktawę wyższym niż zwykle.

- Mam coś poruszającego się szybko na ekranie!

Stewart błyskawicznie odwrócił się w fotelu... i zamarł. Zza częściowo oświetlonej tarczy planety wyłoniła się wolno poruszająca się gwiazda. Kilka sekund później dołączyła do niej druga... i trzecia.

Statek gwiazdny!

- A niech mnie! - wyksztusił Hashimoto.

Stewart odzyskał mowę.

- Przeskok, Bailey. Do diabła z parametrami lotu. Później wrócimy na kurs.

- Proszę zaczekać - powiedział Hashimoto, ale planeta i ruchome gwiazdy już zniknęły z błyskiem. - Kapitanie!

- Ja tu wydaję polecenia, panie Hashimoto - powiedział sucho Stewart, żeby przypomnieć naukowcowi o jego tymczasowym wojskowym statusie. - Rozkazy, które otrzymałem w tej sprawie, są jednoznaczne. W przypadku kontaktu z kosmitami, mam za wszelką cenę uciekać.

- Ale obca rasa. - Hashimoto nie zamierzał dać za wygraną. - Niech pan pomyśli o szansach, jakie „Aurora”...

- „Aurora” nie jest odpowiednio wyposażona ani do walki, ani do negocjacji - przerwał mu Stewart. - Dyplomaci mogą przybyć tu po nas, jak tylko sporządzimy raport.

Nie wydaje mi się, żeby Obcy zniknęli w ciągu najbliższych dwóch miesięcy. Może rozpocząć pan analizę danych, które zebraliśmy. Proszę też sprawdzić, czy uda się panu ustalić, na ile ta planeta była w rzeczywistości podobna do Ziemi. Musimy się dowiedzieć, jak bardzo zainteresowani naszym celem mogą być ci kosmici, zanim ponownie nawiążemy kontakt.

Gniewne spojrzenie Hashimoto ustąpiło miejsca malującemu się na jego twarzy głębokiemu skupieniu. Naukowiec skinął głową i zszedł z mostka.

Stewart znowu odwrócił się w stronę blado błyszczących wyświetlaczy. Zmiał w ustach

przekleństwo, które usłyszał kiedyś od pewnego sierżanta piechoty morskiej podczas musztry.

A więc w kosmosie rzeczywiście istniało życie... a skoro występowało tak blisko Słońca, musiało być bardzo powszechne. Może cała międzygwiazdowa federacja siedziała na progu znanego ludzkości świata - kosmiczny klub, którego członkowie mogli wreszcie udzielić rodzajowi ludzkiemu tak bardzo potrzebnych odpowiedzi.

Chwilę później przyszła mu do głowy druga możliwa konsekwencja istnienia „kosmicznego klubu”.

Gwizd silników lądownika zamienił się w uszach kapitana Radforda w dzwoniącą ciszę. Dowódca z trzaskiem zwolnił pasy bezpieczeństwa i ostrożnie stanął na nogach. Nie czuł się najlepiej po trzech tygodniach spędzonych na pokładzie „Pathfindera” w stanie zerowej grawitacji.

- Uruchomić kontrolę gotowości do startu - polecił pilotowi wahadłowca. - I proszę włączyć próbnik atmosferyczny.

- Tak jest, sir.

Radford podszedł do drzwi komory powietrznej, gdzie zbierała się już pozostała część grupy zwiadowczej.

- Wygląda pięknie, kapitanie - porucznik Sherman uśmiechnął się i wyciągnął rękę, żeby przymocować hełm kapitana Radforda do jego skafandra. - Biorąc pod uwagę tę zielen na zewnątrz, musi tu być chlorofil.

- Wkrótce się o tym przekonamy.

Nie spiesząc się, Radford zakończył sprawdzanie skafandra. Dał sygnał załodze i wszedł do komory powietrznej. Po dziewięćdziesięciu sekundach, które wydawały się wiecznością, zewnętrzne drzwi rozchyliły się... a kapitan Radford ze statku USS „Pathfinder” wkroczył w świat, który miał się stać pierwszą pozaziemską kolonią ludzkości.

Wcześniej dużo rozmyślał o tej chwili i był do niej przygotowany. - W imieniu...

Urwał nagle, a głos uwiązł mu w gardle.

- Kapitanie? - dobiegł go niepewny głos Shermana.

- Uruchomić wszystkie zewnętrzne kamery - rozkazał cicho Radford.

Zastanawiał się, czy jego słów nie zagłuszy odgłos mocno bijącego serca. Obcy, który w odległości piętnastu metrów wyłonił się z sięgającej do pasa trawy, trzymał metalowe urządzenie dziwnego kształtu... Jeśli nawet nie było skierowane wprost na Radforda, to na pewno cel nie był zbyt daleko od niego.

- O, o! - mruknął ktoś z załogi. - Kapitanie, jesteśmy otoczeni.

- Przyjąłem - odparł Radford. - Kyle, odbiera pan to wszystko?

- Dokładnie - powiedział urywanym głosem pierwszy oficer na „Pathfinderze”. - Jesteśmy w pełnej gotowości. Ani śladu obcego statku kosmicznego.

- Jak na razie - zareagował nerwowo Radford.

Kapitan dostrzegł jeszcze czterech Obcych. Ubezpieczali tyły pierwszego. Nosili na sobie coś podobnego do ubrań, a w rękach trzymali identyczne urządzenia, najwidoczniej pochodzące z masowej produkcji. Obcy nie reprezentowali więc żadnej prymitywnej rasy.

„Pathfinder” nie wykrył zaś z orbity śladów cywilizacji. Kosmici też przybyli tu jako goście.

- W porządku. Postaram się dostać z powrotem do śluzy powietrznej. Wzniesiemy się, gdy tylko

dotrę na pokład. Kyle, proszę przygotować statek do przeskoku.

- Będziemy gotowi do pańskiego powrotu.

- Bądźcie gotowi przed moim powrotem - rozkazał Radford. - Jeżeli pojawi się jakiś obcy statek, musicie natychmiast odlecieć. Nas można poświęcić, lecz nie wolno narażać zdobytych informacji.

- Tak jest, sir. - Kyle nie wydawał się zbytnio zadowolony.

Radford też nie był tym specjalnie zachwycony, ale jak się okazało, nie musiał się wcale bohatercko poświęcać. Obcy przyglądali się obojętnie, jak Radford wycofywał się przez drzwi. Kiedy wahadłowiec wszedł na orbitę, nie pojawiło się nic, co choć trochę przypominałoby samoloty bojowe. Wszystkie ekrany nadal pozostały puste, gdy „Pathfinder” przedostał się do hiperprzestrzeni.

- Szlag by to trafił! - mruknął Kyle, kiedy oglądali nagranie ze spotkania z kosmitami.

- To miejsce było wprost idealne.

- Nie wiemy tego na pewno - przypomniał mu Radford. - Dowiedzieliśmy się, że człowiek nie jest sam we wszechświecie, a to jest co najmniej tak samo ważne, jak odkrycie nowych planet do zasiedlenia.

- Naturalnie, o ile oni są przyjaźnie nastawieni.

- Jeżeli nawet nie są, to przynajmniej nie wiedzą, skąd przylecieliśmy. - Radford dotknął przycisku przewijania. - Głowa do góry, Kyle. Mamy dość duże szansę na znalezienie czegoś innego, zanim wrócimy do domu. A nawet jeśli nam się nie uda, prawie na pewno zrobią to „Aurora” albo „Celeritas”.

- Może.

- Piękna. - Mario Civardi uśmiechnął się do planety widocznej na wyświetlaczu teleskopu. - Po prostu piękna.

Kapitan Curt Korczak stłumił uśmiech wywołany entuzjazmem Włocha. Entuzjazm ten doskonale odzwierciedlał jego własne, bardziej osobiste odczucia. Ostatnio Europejską Agencję Kosmiczną bardzo krytykowano za opóźnienia, które umożliwiły Amerykanom jako pierwszym wystrzelenie dwóch statków. Ale „Celeritas” właśnie odpłacił sceptykom z nawiązką. Zupełnie nowy świat, gdzie ludzkość mogłaby zacząć wszystko na nowo.

Żadnych zanieczyszczeń, kwaśnych deszczów, przeludnienia ani żadnych nacjonalistycznych postaw.

To było prawie jak powrót do edenu.

- Kapitanie! - krzyknął nagle mężczyzna przy radarze. - Coś się zbliża od rufy...

Główny ekran zamrugał światłami. Jakiś kształt z ognistym ogonem przemknął nad „Celeritas” i zniknął daleko z przodu.

- Co do diabła?! - wykrztusił pierwszy oficer Blake. - Cholera, to był pocisk.

- Analiza kursu - rzucił Korczak. - Chcę wiedzieć, skąd pochodzi.

- Mam, sir. Wystrzelono w nas z...

Korczak poczuł silne uderzenie fotela w plecy. Wstrząsnął nim głuchy huk eksplozji.

- Przeskok, Civardi! wycedził przez zęby. - Zabieramy się stąd!

Sprzęt cudem zadziałał. Bezpieczny w mroku hiperprzestrzeni „Celeritas” z trudem ruszył w kierunku domu.

- Nie wierzę. - Prezydent John Kennedy Allerton potrząsnął głową i odłożył raport. - Piętnaście

planet podobnych do Ziemi i wszystkie już zajęte?

Generał James Klein wzruszył ramionami.

- Rozumiem, że trudno się z tym pogodzić, ale nie możemy zaprzeczać przekazom z „Pathfindera”.

- Zawahał się na chwilę. - Słyszałem też, że „Celeritas” Europejskiej Agencji

Kosmicznej wrócił dziś rano uszkodzony. Sądzę, że też natknął się na Obcych.

Allerton mocno zacisnął usta.

- Jeśli to prawda, musimy natychmiast zorganizować spotkanie, żeby porównać dane.

Chyba lepiej będzie wtajemniczyć w to również Rosję i Chiny. Ze wszystkich stron otacza nas obca rasa i nie możemy sobie pozwolić na żadne gry polityczne. Uważam, że powinniśmy powiadomić też ONZ.

Admirał Davis Hamill parsknął śmiechem.

- Rosjanie nie uwierzą w ani jedno nasze słowo, przynajmniej dopóki nie otrzymają własnych danych, a chiński system bezpieczeństwa jest tak słaby, że z równym skutkiem moglibyśmy poinformować o wszystkim Konfederację Islamską i Afrykanów. Już słyszę, co by na to powiedzieli.

Allerton uśmiechnął się lekko.

- Bierzesz oenzetowskie tyrady zbyt poważnie, Dave. Trzeci Świat może myśleć, że jesteśmy powodem wszelkiego nieszczęścia, jakie ich spotyka. Ale nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy zostać obwinieni o fiasko projektu „Nowa Osada”.

- Ale mogą nas winić za powiadomienie Obcych, że tu jesteśmy - zauważył Klein.

- Oni z pewnością już wiedzą, że tu jesteśmy. Na Boga, otaczają nas! Gdyby chcieli z nami walczyć, wkroczyliby już dawno.

- A „Celeritas”? - zaoponował Klein.

- A „Pathfinder”? Im Obcy pozwolili odlecieć.

Odpowiedź Kleina utonęła w równoczesnym brzęczeniu telefonów trzech mężczyzn.

Allerton przysunął do twarzy mikrofon kierunkowy i nacisnął przycisk.

- Allerton.

- Pokój taktyczny - zameldował zdenerwowany głos. - Sir, wykryliśmy błysk światła w pobliżu orbity Marsa. Sądzymy, że to statek kosmiczny... ale błysk był czerwony, a nie jasnoniebieski.

Allerton spojrział na skupione twarze Kleina i Hamilla. Błysk przeskoku reprezentował straty energii, a niskoenergetyczny czerwony błysk oznaczał, że przybysz dysponował daleko bardziej zaawansowaną technologią niż ludzkość.

- Pełna gotowość bojowa - rozkazał cicho prezydent. - Na całym świecie.

Przygotować się na możliwą inwazję. Wkrótce obejmę dowodzenie.

Przerwał połączenie. Obydwaj wojskowi, ciągle rozmawiając przez swoje telefony, szli już w stronę drzwi. Allerton nacisnął kciukiem przycisk centrali telefonicznej Białego Domu i wstał.

- Proszę się połączyć z Kremlem, chińskim premierem Singiem i Sekretarzem Generalnym ONZ, Salehem. Proszę im natychmiast wysłać zakodowaną wiadomość, że zwołujemy konferencję.

Niedługo potem podłużny statek kosmiczny łagodnie wszedł na wysoką orbitę okołoziemską, pozbawiając Rosjan sceptycyzmu i wprawiając świat w stan paniki.

Jednak koniec świata nie nadszedł. Obcy tylko na krótko zakłócili częstotliwości radiowe linii lotniczych i dość dobrą angielszczyzną poprosili o rozmowę z dowództwem planety.

Odpowiedź nadeszła bardzo szybko.

- Witamy was w imieniu Rady Bezpieczeństwa, Narodów Zjednoczonych i całej Ziemi. Cieszymy się na wzajemną wymianę wiedzy, dóbr kulturalnych i rozwój prawdziwej przyjaźni pomiędzy naszymi narodami.

Sekretarz Generalny Hammad Ali Saleh siedział w fotelu u szczytu półokrągłego stołu. Z ulgą sięgnął po stojącą obok szklankę wody. W ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat nie był tak zdenerwowany, przynajmniej od czasu iracko-irańskich wojen w latach osiemdziesiątych. Służył wtedy jako jemeński ochotnik i bardzo silnie przeżywał fakt, że mogłyby go zabić spadające pociski. Teraz był w podobnej sytuacji. Nikt nic wiedział, dlaczego Obcy nalegali na rozmowę z przywódcami ludzkości, lecz sądząc po doświadczeniach „Celeritas”, powód mógł się okazać niezbyt przyjemny. Na pewno myśleli tak przywódcy supermocarstw: wszyscy trzej głosowali za objęciem przez ONZ przewodnictwa w negocjacjach. Przewodniczącym można się przecież zasłonić... i poświęcić go. Saleh ostrożnie sączył lodowatą wodę, żeby uspokoić drżenie mięśni szczęk, i czekał.

- Ctencri pozdrawiają was - zabrzmiał niespodziewanie głos przybysza. - To dla nas zaszczyt powitać nowy lud w kosmosie. Wasza rasa zrobiła ogromne postępy od czasu, kiedy badano was po raz ostatni osiemset lat temu. Mamy nadzieję na znalezienie solidnych podstaw do handlu i wzajemnego zysku.

Ucisk w piersi Saleha zelżał. Handel i zysk to pojęcia z dziedziny biznesu, a nie polityki. Czyżby to była tylko ekspedycja handlowa? Saleh nie był pewien, czy powinien odczuwać ulgę, czy też rozczarowanie, jeżeli rząd Ctencri istotnie wysłał na pierwsze spotkanie z Ziemianami kosmiczną wersję AT&T.

Z kimkolwiek miał do czynienia, musiał wyjaśnić pewną bardzo ważną sprawę.

- Oczywiście jesteśmy zainteresowani przedyskutowaniem perspektyw handlowych - powiedział - ale mamy kilka pytań, które chcielibyśmy przedtem zadać. Przede wszystkim, dlaczego wasze statki otworzyły ogień do członków jednej z naszych pokojowych ekspedycji?

Nastąpiła chwila ciszy.

- To pytanie nie ma sensu. Obrona Hreshtracten nie użyła siły. Wasz lądownik spokojnie opuścił planetę.

- Mówicie o incydencie z „Pathfinderem” - zabrał głos amerykański delegat, siedzący pośrodku zaokrągłego stołu. - „Celeritas” znajdował się w innym układzie planetarnym, kiedy został zaatakowany.

- Tylko jeden wasz statek naruszył granice terytorium Ctencri - powiedział Obcy. - Ten drugi najprawdopodobniej wkroczył na obszar należący do innego ludu.

Saleh zamrugał oczami. Dwie obce rasy... i obydwie w promieniu dziesięciu lat świetlnych? Z wypowiedzi amerykańskiego prezydenta wynikało, że w najbliższym otoczeniu Ziemi znajdowała się tylko jedna rasa, a nie dwie lub więcej. Pomyłka, czy rozmyślnie kłamstwo?

- Może moglibyście nam pomóc w nawiązaniu kontaktu z innymi... ludami - powiedział, starając się zapanować nad zdenerwowaniem. - Albo przynajmniej zapewnić ich, że nie chcieliśmy atakować ich terytorium. Staramy się tylko znaleźć nowe, nie zajęte planety, które moglibyśmy pokojowo skolonizować.

- To nie będzie możliwe.

- Dlaczego? Nie macie z nimi łączności?

- Nie rozumiecie. Pomożemy wam w nawiązaniu kontaktu z innymi rasami. Niemożliwe natomiast

będzie znalezienie planet do kolonizacji.

Saleh ściągnął brwi. Znowu poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku.

- Nie rozumiem.

- Wszystkie nadające się do tej planety już są zajęte.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Zajęte przez kogo? - zapytał brytyjski delegat.

- Wiele z nich przez ludność tubylczą - odparł Ctencri. - Takie planety są odcięte od świata zewnętrznego, podobnie jak do tej pory wasz świat. Pozostałe albo są już skolonizowane przez inne rasy, zdolne do podróży kosmicznych, albo są przedmiotem sporów terytorialnych.

- Ile ras jest zdolnych do takich podróży?

- Lud Ctencri ma bezpośredni kontakt z dziewięcioma. O istnieniu siedemnastu innych wiemy z drugiej ręki. Uważamy, że jest ich znacznie więcej.

Nie uwierzyli w to, oczywiście, Rosjanie. Nie zrobili tego również Amerykanie i Europejczycy. Jeszcze raz wysłano statki kosmiczne we wszystkich kierunkach. I jeszcze raz. I jeszcze. Aż w końcu wszyscy musieli uwierzyć.

- A więc tak to wygląda - powiedział Saleh.

Odchylił się w fotelu i spojrzał przez okno na światła Nowego Jorku. Jak zwykle świeciły jasno, a Jemeńczyk poczuł znane już mu ukłucie gniewu. Odkrycia w Oak Ridge i Princeton z poprzedniego stulecia zagwarantowały Stanom Zjednoczonym energię wystarczającą na długi czas... podczas gdy reszta świata nadal oczekiwała na udostępnienie tej technologii.

Ktoś chrząknął. Saleh ponownie skupił uwagę na przedstawicielach rządów pięciu państw, których zaprosił na spotkanie.

- To nie ma sensu - powiedział japoński premier Nagata, odkładając kopię raportu. - Planeta podobna do Ziemi z wodą i nadającą się do oddychania atmosferą i żadnymi metalami? To absurd.

- Wiem tylko to, co powiedzieli nam Ctencri - wzruszył ramionami Saleh. - Właśnie dlatego, że na planecie nie ma żadnych metali, mamy szansę ją skolonizować.

Gdyby nie to, Rooshrike już dawno zrobiliby z niej użytek.

- A może to jakaś sprytnie zakamuflowana pułapka? - zasugerował Sing, premier Chińskiej Republiki Ludowej. - Jak rozumiem, Rooshrike to ci, którzy strzelali do „Celeritas”?

- Według Ctencri, przedstawiciele rasy Rooshrike czasami reagują zbyt impulsywnie - odpowiedział Saleh. - Prawdopodobnie wyciągnęli błędne wnioski, kiedy „Celeritas” nie nadał sygnałów identyfikacyjnych. Zapewniono mnie jednak, że już wszystko wyjaśniono.

- Wygląda mi to raczej na jakieś oszustwo niż pułapkę - powiedział ostro przedstawiciel Rosji Liadow. - Ile żądają Rooshrike i Ctencri za tę bezwartościową górę błota?

- Żadne miejsce, gdzie mogą żyć istoty ludzkie, nie jest zupełnie bezwartościowe - powiedział łagodnie prezydent Allerton.

Rosjanin roześmiał się.

- Cena nie jest właściwie aż tak wygórowana - wyjaśnił Saleh. - Rooshrike żądają pewnych dość rzadkich minerałów o łącznej wartości osiemdziesięciu milionów dolarów; lista dopuszczalnych klas czystości znajduje się na ostatniej stronie. W zamian otrzymamy prawo do stuletniej dzierżawy z możliwością jej przedłużenia. Zrobił efektowną pauzę. - Właśnie dlatego dziś tu panów wezwałem.

Opłata za dzierżawę to w rzeczywistości tylko wierzchołek góry lodowej w porównaniu z kosztami, jakie musimy ponieść, jeżeli mamy zamiar cokolwiek zrobić z tą planetą. Trzeba będzie zbudować domy, posadzić rośliny uprawne, rozwinąć przemysł, założyć ośrodki opieki zdrowotnej i przeprowadzić szkolenia przyszłych kolonistów. To olbrzymia inwestycja.

- I dlatego zwraca się pan do nas o pieniądze - zauważył sucho brytyjski premier.

- Właśnie - potwierdził Saleh bez cienia zmieszania. - Budżet ONZ nie pozwala nam na sfinansowanie wszystkiego samodzielnie. Po prostu nie mamy na to ani funduszy, ani siły roboczej. Część operacji musielibyśmy zlecić innym organizacjom, a to tylko dodatkowo zwiększyłoby koszty, zanim przedstawię sprawę Radzie Bezpieczeństwa i Zgromadzeniu Ogólnemu, muszę wiedzieć, czy wesprą nas ci, którzy mogą sobie na to pozwolić.

- A po co? wzruszył ramionami Liadow. - Prosi nas pan o tak dużą kwotę pieniędzy, żeby sfinansować przywilej zatknięcia flagi ONZ na planecie o mniejszej wartości ekonomicznej niż Wenus. Zrobilibyśmy lepiej, finansując ekspedycję do księżyców Jowisza.

- Przesadza pan trochę - powiedział Sing. - Chociaż w gruncie rzeczy ma pan rację. Ta planeta nie jest chyba warta tej ceny.

- Przede wszystkim nie będzie plonów bez metali w glebie - wtrącił Nagata. - Całą żywność trzeba by importować z Ziemi. A co otrzymalibyśmy w zamian?

- Minerale - odparł Allerton, nadal wertując raport. - Wokół jednego z kontynentów najwyraźniej znajdują się ich podwodne złoża.

- Co? Jakieś krzemiany? - Smythe-Walker pokręcił głową. - Przykro mi, John, ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby opłacało się nam wydobywać skały z dna oceanu i przewozić je na odległość czterdziestu lat świetlnych. Nadal pozostaje kwestia żywności, chyba że przed posadzeniem roślin dodamy do gleby kilka ton żelaza i krzemianu magnezu.

- Czemu nie? - odparł Allerton. - To nie jest aż tak niepraktyczne, jak pan sugeruje.

- Nie, ale jest dosyć kosztowne - Smyth-Walker spojrzał na Saleha. - Przykro mi, lecz rząd Jego Wysokości raczej nie zobowiąże się do wspierania tego projektu.

- Nie przyszło panom do głowy, któremukolwiek z panów - ciągnął Allerton, wodząc wzrokiem po zebranych - że cała ta sprawa może być rodzajem testu? Że na podstawie tego, czy jesteśmy gotowi podjąć się na pozór beznadziejnego zadania, Obcy chcą ocenić nasz hart ducha i pomysłowość?

- A raczej naszą inteligencję - mruknął Nagata.

- Mam pomysł - zabrał głos Liadow. - Skoro pan Allerton jako jedyny pragnie zademonstrować naszym nowym sąsiadom ludzką wytrwałość i z taką lubością przedstawia jankeską pomysłowość jako receptę na wszelkie problemy, proponuję, żeby Stany Zjednoczone otrzymały mandat na wykorzystywanie i administrację tej planety.

Oczywiście, z pewnym wsparciem ze strony Narodów Zjednoczonych.

Przez dłuższy czas Allerton wpatrywał się w kamienną twarz Rosjanina. Saleh wstrzymał oddech. Kiedyś często brał udział w atakach Konfederacji Islamskiej na amerykański projekt „Nowa Osada”, ale wymogi polityczne nigdy nie stłumiły jego skrytej nadziei na sukces w poszukiwaniu nowych światów. Nowe światy - niezależnie od tego, czy miały służyć jako schronienie dla bogaczy, czy też nie - przyniosłyby nadzieję tym wszystkim, którzy czuli, że nie potrafią uciec od przestarzałych norm ideologicznych. Przed czterema laty Saleh marzył o własnym statku kosmicznym ONZ, który latałby z nowoodkrytym przez Kanadyjczyków napędem gwiazdowym. Dwa lata później w końcu przyznał się

do porażki. Krasomówstwo i Trzeci Świat nie były w stanie zastąpić pieniędzy, a Zachód dzielił się swoim bogactwem coraz niechętniej. Ale gdyby wniosek Liadowa spotkał się z aprobatą...

- W porządku - powiedział niespodziewanie Allerton. - Jeżeli uda mi się namówić do tego Kongres, zrobimy to. - Wymierzył palcem w Liadowa. - I zrobimy to dobrze.

Następnego dnia sprawa została poddana pod obrady Zgromadzenia Ogólnego, które przyjęło mandat USA stosunkiem stu czterdziestu ośmiu głosów do trzynastu.

Miesiąc później amerykański senat ratyfikował ustawę. Planeta nazwana Astra stała się centrum zainteresowania największego projektu, jakiego kiedykolwiek podjął się Wojskowy Korpus Inżynieryjny.

Jedenaście miesięcy później na Astrę przybyli pierwsi koloniści.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 1

Z orbity Astra przypominała gigantyczną kulę błota, na którą ktoś przez nieuwagę wylał kilka wiader błękitnej farby. Łądy obydwu kontynentów wyglądały tak monotennie i nieciekawie, że nie dało się tego porównać z niczym, co pułkownik Lloyd Meredith kiedykolwiek widział. Żadnej czerwieni ani zieleni, gdzieś tylko błękit jeziora lub biel ośnieżonych szczytów jakiegoś górskiego łańcucha. Nawet złoża minerałów na szelfie kontynentalnym widoczne były jako białe obszary ze słabym odcieniem błękitu.

- Szkoda, że nie przywieźliśmy trochę farby - stwierdził pułkownik, zwracając się do stojącego obok mężczyzny.

Kapitan Radford uśmiechnął się lekko.

- Przyzwyczaj się pan - powiedział. - Moim zdaniem będzie pan miał większe problemy, niż brak interesującego krajobrazu.

- Nie wątpię - zgodził się Meredith.

Radford już od dłuższego czasu przewoził ludzi i sprzęt tam i z powrotem. Na pewno wiedział więcej o tym miejscu niż Meredith, który tyle samo czasu spędził zagłębiony w organizacyjne szczegóły funkcjonowania stałej kolonii.

- Jak daleko jeszcze do osady? Na kursach czytania mapy nigdy nas nie uczono orientacji w terenie z tej wysokości.

- Właśnie się zbliżamy. - Radford wskazał zachodni kraniec kontynentu pod nimi.

- Widzi pan tę czteropalczystą zatokę, z dużą wyspą pośrodku? To tam. Tuż przy złożach minerałów, obok czterech rzek zaopatrujących nas w świeżą wodę i odgradzonego obszaru zatoki z hodowlą ryb. Główna baza wojskowa i miejsce lądowania są na wyspie, a miasta nad samą zatoką albo w promieniu dwunastu kilometrów od niej.

- Aha.

Meredith powiódł oczami wzdłuż linii łańcucha górskiego, skręcającego w stronę zatoki z południowego wschodu. Zatrzymał wzrok na samotnym ciemnym obiekcie około pięćdziesięciu kilometrów na wschód od osady.

- A ten wulkan?

- To Mt. Olympus. Nie ma problemu: jest uśpiony od setek lat.

- Wiem, wykazały to wstępne badania. Ale czy ktoś się tym zajął dokładniej od tamtej pory?

- Nie wiem. Ma pan jednak własnych geologów, prawda? Jestem pewien, że rozwieją pańskie wątpliwości.

Słyszając protekcyjny ton w głosie swojego rozmówcy, Meredith momentalnie ściągnął usta. Wielu kolegów pułkownika uważało, że jest nieco przewrażliwiony na punkcie wulkanów... ale żaden z nich nie widział na własne oczy zniszczeń, jakich dokonała erupcja wulkanu Izalco w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku w El Salvador.

Zginęło wtedy czterysta osób.

- Jestem tego pewien - odpowiedział. - Kiedy możemy wysłać wahadłowce i zacząć transportować cały ten tłum na powierzchnię?

- Kiedy tylko pan i ten tłum będziecie gotowi - powiedział Radford. - Jeżeli o mnie chodzi, im szybciej, tym lepiej.

Meredith kiwnął głową na znak, że rozumie. Przez ostatnie trzy tygodnie na statku panowała

dosyć napięta atmosfera.

- Załoga się uspokoi, gdy tylko znowu będzie dość miejsca do poruszania się.

- Mam nadzieję. Ze względu na pana.

Radford uruchomił komunikator i zaczął wydawać polecenia.

Pod względem doboru barw, widziany z lądu krajobraz Astry nie wyglądał dużo lepiej. Doktor Peter Hafner specjalnie się tym nie przejmował. Przystudiował wcześniej wszystkie fotografie i zapoznał się z analizami gleby, ale nic nie mogło się równać z oglądaniem skał z bliska i badaniem ich osobiście. Wychylił się przez poręcz poduszkowca i spojrzał na niskie urwiska skalne po obu stronach wąskiego przesmyku u wejścia do Zatoki Płaskiej Stopy. Wyłapywał wzrokiem subtelne różnice w odcieniach barw i dziwił się ich kompozycji. Jak na razie, mógł na ten temat wysuwać tylko pewne hipotezy.

Skrajna rzadkość występowania metali w skorupie planety umożliwiła wytworzenie się nieoczekiwanych związków chemicznych. Hafner nie mógł się już doczekać rozpoczęcia pracy nad nimi.

Poduszkowiec pokonał wąski przesmyk i skierował się w stronę najdalej na wschód wysuniętego ramienia zatoki. Kamerowi mignęła na chwilę przed oczami osada w górze pomocnej odnogi, ale był za daleko, żeby dostrzec jakiegokolwiek szczegóły. Po kilku minutach pojazd dotarł do zachodniej części zatoki. Hafner zauważył na jego krańcu inną grupę budynków. Chociaż większość stanowiły domy o zabudowie szeregowej, było też tam kilka wyróżniających się rozmiarami gmachów. Służyły zapewne jako budynki ogólnej użyteczności publicznej lub magazyny. Łatwo odgadnąć, z czego zostały wzniesione: użyto pewnego rodzaju cegły, prawdopodobnie wypalanej w postaci całych płyt, żeby skrócić czas budowy. Niewątpliwie wydajna technologia, jeśli się weźmie pod uwagę brak drewna. Tylko ciemnobrązowa barwa cegieł sprawiała dość ponure wrażenie.

Oprócz Hafnera miasto obserwowali dwaj mężczyźni o latynoskich rysach. Z tonu, jakim mówili coś po hiszpańsku, naukowiec wywnioskował, że też nie zachwycił ich wygląd osady. Zastanawiał się, czy ktokolwiek pomyślał o przywiezieniu farby do pomalowania ścian. Z zalem stwierdził jednak, że taki pomysł zająłby raczej niską pozycję na liście wojskowych priorytetów.

Na moment ubiory zgromadzonych wokół ludzi dodały nieco kolorów tej scenierii.

Grupka osób zebrała się w pobliżu portu, gdzie rozładowywano inny poduszkowiec.

Statek Hafnera wśliznął się na miejsce po przeciwnej stronie pomostu z zespawanych ze sobą metalowych części. Naukowiec dołączył do reszty kolonistów na wybrzeżu.

Tłum ustawił się w kolejce przed wojskowym punktem odprawy na wolnym powietrzu. Hafner stanął na końcu kolejki, wdzięczny, że wojskowi wykazali na tyle rozsądku, żeby dać kolonistom trochę czasu na rozprostowanie kości po podróży w ciasnych pomieszczeniach na statku.

Słońce znalazło się w zenicie - południe dwudziestosiedmiogodzinnego dnia. Powietrze, odcięte w tym miejscu od ostrej oceanicznej bryzy przez górskie zbocza, zaczynało się już ogrzewać. Hafner ściągnął kurtkę, zastanawiając się nad prawdziwością prognoz meteorologicznych na tę porę roku. Mniejsze nachylenie astriańskiej osi powinno zapewnić łagodniejsze skoki temperatur, niż w jego rodzinnej Pensylwanii. Dane na temat pogody obejmowały zaledwie jeden rok. Daleko było więc jeszcze do ustalenia klimatu planety. Z pewnością jednak wczesna wiosna w tej części Astry wydawała się w tej chwili cieplejsza, niż przewidywano. O ile nie była to tylko przejściowa fala upałów, zagrożone mogły być nawet odporne odmiany roślin uprawnych. Hafner miał nadzieję, że

eksperci wzięli pod uwagę taką ewentualność.

Wreszcie nadeszła jego kolej przy punkcie odprawy.

- Nazwisko? - zapytał spocony porucznik, który nie zadał sobie nawet trudu spojrzenia na Hafnera znad przenośnego terminalu.

- Peter Hafner. Jestem geologiem w grupie doktora Pattersona.

Terminal wypluł małą kartę: „Hafner, Peter Andrew; 1897-22-6618; naukowiec”.

Żołnierz wręczył kartę Hafnerowi.

- Kwatera numer sto dwadzieścia siedem, tu w Unie. Mapy rozwieszono są tam, na dziedzińcu.

Godziny posiłków i spotkań informacyjnych podane są na tablicy ogłoszeń obok map. Pytania można zadać na zebraniu dziś wieczorem, a sprawy nie cierpiące zwłoki załatwić w budynkach administracji. Następny!

- Cóż, przynajmniej są dobrze zorganizowani, - pomyślał Hafner.

Skierował się w stronę grupki osób przed tablicą ogłoszeń. Przez moment zastanawiał się, czy nie powinien poszukać budynku administracji i zapytać, gdzie mieszka Patterson. Ale mieli tam pewnie mnóstwo pracy i nie było sensu naprzykrzać się wcześniej niż trzeba. Na zebraniu wieczorem będzie miał wystarczająco dużo czasu, żeby znaleźć Pattersona i przedyskutować program prac. Do tego czasu zrobiłby lepiej, gdyby się odprężył i trochę przytłumił swój zapał do pracy. Na razie wystarczy, że rzuci okiem na swoje nowe mieszkanie i pójdzie na długi spacer po Unie. O ile dostarczono już jego bagaż, będzie mógł zabrać ze sobą pojemniki na próbki i zestaw odczynników chemicznych.

Z uśmiechem na ustach przyspieszył kroku. Mimo wszystko, popołudnie nie zapowiadało kompletnej straty czasu.

Miejskie zebranie w Ceres dobiegło końca. Gwiazdy świeciły niczym zamrożone iskry, a nieliczne światła wytyczające ulice, w najmniejszym nawet stopniu nie przyćmiewały ich blasku. Cristobal Perez szedł wolno w kierunku domu, który dzielił z dwoma innymi mężczyznami, gniotąc listę poleceń służbowych, jakie wydano mu na zebraniu.

Usłyszał za sobą odgłos skrzypiących na żwirze kroków; ktoś go wyprzedzał.

Odwrócił się i przelotnie dostrzegł twarz mężczyzny.

- Matro - pozdrowił przybysza. - Jak ci się podoba nasz nowy dom? Prawdziwy świat nowych możliwości, si?

Matro Rodriguez zmiętosił w ustach stare nahuatlańskie przekleństwo, które Perez słyszał u niego już wiele razy.

- Rolnictwo, rolnictwo! Nie przyjechaliśmy tu z tak daleka, żeby nas zagoniono do pracy w polu, jak jakichś włóczęgów.

- Mówiłem, żebyś nie oczekiwał zbyt wiele. - Perez wzruszył ramionami.- Gdybyś kiedykolwiek był w wojsku, wiedziałbyś, że wszyscy rekruci kłamią.

- Równie dobrze mogliśmy być w wojsku. A może nie przejrzałeś jeszcze listy panujących tu zasad?

- Przejrzałem. Czego się spodziewałeś, że zostaniemy tu nowymi pielgrzymami i będziemy mogli robić wszystko, co się nam podoba?

Rodriguez najwyraźniej nie słuchał.

- Zauważyłeś, że niemal wszyscy w Ceres to Latynosi? I że umieścili nas po trzech w jednym

budynku? Stałem dziś po południu w kolejce za jednym z tych naukowców z klasy średniej - on dostał dla siebie cały dom w Unie.

- My mamy przynajmniej własne jezioro.

- Nie posiadam się z radości - powiedział kwaśno Rodriguez. - Na pewno będą siedzieć nad nim Amerykańcy, a my będziemy kopać kanały irygacyjne do pól uprawnych.

- Wściekasz się z byle powodu. Dobrze, więc traktują nas jak parobków - na razie. Ale jest tu o wiele więcej kolonistów niż żołnierzy, a nie wydaje mi się, żeby Amerykańców zachwycały wojskowe zasady przez długi czas. Dopóki trzymamy się razem, możemy z tego miejsca zrobić to, co nam obiecano.

Rodriguez spojrział na niego ostro.

- Gadanie zawsze dobrze ci wychodziło. Zauważyłem jednak, że nie byłeś aż tak rozmowny na zebraniu, gdy przydzielono nas do pracy w polu.

- Oczywiście, że nie: wszyscy musimy przecież coś jeść. Ale nadejdzie czas, kiedy to my będziemy dyktować warunki. Zaufaj mi.

Rodriguez roześmiał się.

- Jasne. Ale nie uwierzę w to, dopóki sam nie zobaczę. Buenas noches.

Przyspieszył kroku i zniknął w ciemnościach.

Perez spoglądał za nim, lekko wykrzywając usta. Przyjaźnił się z Rodriguezem od czasów szkoły średniej w Teksasie, a nigdy jeszcze nie widział, żeby posłużył się rozumem, kiedy mógł coś załatwić gadaniem lub pięściami. Prawdopodobnie i tym razem coś mu odbije i narobi sobie dużych kłopotów. Gdyby tak się stało... cóż, Perez musiałby zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby mu pomóc. Było to kłopotliwe, ale Rodriguez był człowiekiem, a Perez nie mógł wyobrazić sobie ratowania świata bez ratowania ludzi.

Zajęty rozmową z przyjacielem i zatopiony we własnych myślach, przegapił właściwą ścieżkę. Wrócił po własnych śladach i skierował się w stronę słabo oświetlonej uliczki, która prowadziła do jego nowego domu. Miał nadzieję, że współlokatorzy nie planowali rozmów do późna w nocy. Jak we wszystkich rolniczych społecznościach, tak i w Ceres dzień miał się zacząć wcześniej.

Carmen Olivero naciągnęła prześcieradło pod sam podbródek i zgasiła światło z westchnieniem znużenia. Tylko jeden dzień na Astrze, pomyślała z drwiną, a zmęczyłam się jak po tygodniu pracy. Nowy rekord. Na dobrą sprawę powinna nadal być w budynku administracji w Unie. Część zespołu organizacyjnego ciągle pozostawała tam na dyżurze i zajmowała się dostawami sprzętu. Większą część pracy wykonano już podczas załadunku statków, a teraz należało wszystko sprawdzić jeszcze raz, żeby wykryć na przykład uszkodzenia, które mogły powstać w czasie podróży. Członkom jej grupy pułkownik Meredith wydał jednak specjalne polecenie. Mieli stawić się o siódmej rano.

Postanowiła więc położyć się spać, jeśli miała być jutro w pracy choć w połowie kompetentna.

Właśnie doświadczała nowego, charakterystycznego dla ery kosmicznej odpowiednika zmęczenia różnicą czasu po podróży.

Zamknęła oczy, ale jej umysł w dalszym ciągu pracował na wysokich obrotach.

Przed oczami krążyły jej spisy inwentarzowe i lista przydziałów do poszczególnych magazynów, grożąc zasypaniem lawiną papieru. Wykonywała tę pracę od piętnastu lat, ale mimo całego doświadczenia zawodowego nie była przygotowana na tak skomplikowane zadanie.

Dziesięć tysięcy kolonistów i wojskowych wymagało mnóstwa dostaw, a lokalne środowisko nie

dostarczało nic oprócz wody. Wszystko, czego potrzebowali, musiało przebyć bardzo daleką drogę z Ziemi.

Zmagała się z myślami przez dobre dziesięć minut, zanim odrzuciła prześcieradło i poszła boso do kuchni. Do niektórych domów nie dotarły jeszcze osobiste dostawy żywności.

Działały jednak sieć wodno-kanalizacyjna i mikrofalówka, a w jej podręcznym bagażu zawsze znajdowało się kilka torebek rozpuszczalnej gorącej czekolady. Po kilku minutach siedziała już przy kuchennym oknie z parującym kubkiem w ręce, zasłuchana w dobiegające od strony portu ciche głosy i dźwięki pracującej maszynarii. Ciekawe, kiedy zaczną tęsknić za Fort Dix, zastanawiała się. Ani baza, ani nawet całe Jersey nie pociągały jej aż tak bardzo, ale po częstych zmianach miejsca zamieszkania doskonale wiedziała, że w końcu i tak zacznie tęsknić za domem. W pierwszych dniach kariery wojskowej wydawało się jej, że nie poradzi sobie z dręczącą ją wówczas nostalgią. Zwłaszcza tuż po rozstaniu się ze szkolnymi kolegami i przyjaciółmi. Teraz, dożywszy sędziwego wieku trzydziestu sześciu lat, wiedziała, że przez następne kilka dni grozi jej co najwyżej przygnębienie. Przyjemne to też nie było. Pewnego dnia - przyrzekła sobie, ostrożnie sącząc napój - skończę z tym nonsensem i osiadę gdzieś na dobre. Może kiedy wszystko ułoży się na Astrze... albo kiedy damy za wygraną i wrócimy do domu. Zależy, co będzie pierwsze.

Jakoś żadna z tych opcji specjalnie jej nie zachwycała. Nigdy nie filozofuj o drugiej w nocy, pomyślała, przytaczając dwunastą pozycję z listy osobistych zasad, i porzuciła ten temat. Opróżniła kubek, wypłukała go i włożyła do zlewu. Miała nadzieję, że jej nowa współlokatorka nie okaże się fanatyczką czystości. Wróciła do łóżka. Uspokoiła umysł na tyle, że mogła zasnąć. Wtuliła się w poduszkę i zamknęła oczy. W danym dniu powinny ci wystarczyć problemy tego właśnie dnia, przytoczyła kolejną regułę i pozostawiła przyszłe sprawy ich własnemu biegowi.

Dwie minuty później głęboko spała.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 2

-...a tu ma pan spisy inwentarzowe z Crosse - powiedział major Thomas Brown, kładąc ostatni stos wydruków komputerowych na biurku pułkownika Meredith. - Rozładowano właśnie „Aurorę”, a ostami ładunek z „Pathfindera” jest już w drodze. Większość towarów oczekujących na posortowanie to żywność, ubrania i nawozy.

Meredith kiwnął głową, zerkając na pierwszą stronę wydruku. Ból oczu nieustannie przypominał mu, że trzy godziny snu to zbyt mało dla człowieka w jego wieku.

- W jakim stanie jest lądowisko?

- Właściwie dosyć dobrym. Te repulsery, które sprzedają nam Ctencri, dają wysoką temperaturę, ale wahadłowce do lądowania i startu wykorzystują mniejszy odcinek pasa startowego. Ogólnie więc nawierzchnia zużywa się w mniejszym stopniu. Trzeba będzie, oczywiście, załatać kilka dziur, lecz mamy jeszcze trzy tygodnie czasu, zanim „Celeritas” przybędzie z następną dostawą.

- Dobrze. Czy jest wystarczająco dużo miejsca, żeby pionoloty mogły wystartować?

- Jasne. Potrzebują tylko tyle pasa startowego, ile wynosi ich długość, jeżeli podkręci się repulsery na pełną moc.

- Wiem, ale nie chciałbym dawać więcej mocy, niż to konieczne. Nigdy nie wiadomo, jak długo jakieś urządzenie pozostanie w pełni sprawne.

- Ctencriańskie statystyki...

- Zostały nam przedstawione przez ctencriański odpowiednik przedstawicielstwa handlowego. To chyba wszystko wyjaśnia.

Brown zastanowił się.

- Nie powinno być problemu. Zniszczona jest głównie środkowa część pasa startowego. Pionoloty z łatwością mieszczą się po jednej ze stron.

- Dobrze.

Meredith uniósł rękę i wybrał numer na telefonie umieszczonym na nadgarstku.

- Hangar „Martello”; Greenburg - dobiegł głos z urządzenia.

- Pułkownik Meredith. Czy przygotowano już pionoloty?

- Dwa są gotowe do startu, sir. Trzeci będzie gotowy za godzinę.

- W porządku. Wysłać dwa pierwsze zespoły. Śledzić i nagrywać wszystkie dane napływające do wieży kontrolnej.

- Tak jest, sir.

Meredith rozłączył się i ponownie zwrócił się do Browna.

- Czy sadzenie roślin rozpoczęło się planowo?

- Przeważnie. Gleba na polach w Crosse zawierała dziś rano zbyt mało cynku i magnezu, więc doktor Haversham polecił położyć jeszcze jedną warstwę nawozu.

Przypuszcza, że rzeki na obrzeżach pól przyczyniają się do szybszej niż zwykle wymiany wód gruntowych. Powoduje to dodatkowe wymywanie minerałów, czy jakoś tak.

- Świetnie. Jeżeli to największa pomyłka, jaką popełnili inżynierowie przy kreśleniu planu tego miejsca, to chyba damy sobie radę.

- Przynajmniej mieliśmy jeszcze trochę nawozu. - Brown wyglądał na zaciekawionego. - Spodziewa się pan znaleźć w okolicy skarb kapitana Kidda, czy jak?

- Co? A, pionoloty? Nie, po prostu pomyślałem, że powinniśmy zbadać teren wokół osady z

niewielkiej wysokości nad ziemią.

Brown wzruszył ramionami.

- Mamy zdjęcia kartograficzne obejmujące teren w promieniu stu kilometrów. Czego jeszcze potrzebujemy?

Rozległ się cichy świst, a Meredith wyjrzał przez okno akurat w chwili, gdy dwa lśniące pionoloty przemknęły nad nimi, kierując się na wschód, w stronę majaczącego w oddali stożka Mt Olympus. Wcześniej Meredith usilnie starał się o przydzielenie mu sześciu samolotów ctencriańskiej produkcji do wykorzystania na Astrze. Był szczęśliwy, że dostał chociaż trzy. Mimo że samoloty te były początkowo przeznaczone tylko do lotów w niższych warstwach atmosfery - ich silniki plazmowe wykorzystywały tlen z powietrza do rozgrzania paliwa do temperatury plazmy pierwotnej - wyposażono je też w samowystarczalne zbiorniki tlenowe. Pionoloty mogły więc wejść na niską orbitę i w razie potrzeby służyć jako dodatkowe statki ratunkowe.

- Możliwe - powiedział do Browna - że na planecie znajdują się kolonie zarodników czy czegoś takiego, teraz uspione, ale zdolne do wegetacji, jeśli tylko podniosłaby się zawartość metali w glebie. Powiedzmy, gdyby spadła jedna z tych planetoid krążących w odległości miliona kilometrów stąd. Wiatr na pewno zdmuchnie z pól część naszych nawozów, ale jeżeli cokolwiek urośnie, chcę natychmiast mieć fotografie.

Brown zagwizdał z podziwem.

- Ja bym na to nie wpadł - przyznał. - Chyba właśnie dlatego zajmuję się pasami startowymi i portami kosmicznymi. Niezbyt ambitne zajęcie.

- Właściwie ja też nie mogę uznać tego pomysłu za swój własny. Wpadli na to biolodzy. Jeżeli się nad tym zastanowić, dostrzega się pewną analogię z sytuacją w pustynnych ekosystemach. Tylko że tutaj brakuje metali, a nie wody. - Meredith urwał, kiedy usłyszał za oknem słaby odgłos dalekiego ryku silników. - Wygląda na to, że właśnie ląduje ostatni wahadłowiec.

Brown podniósł się z fotela.

- Tak, rzucę okiem na rozładunek i wyślę wszystkie poduszki z powrotem do bazy. Jeżeli pański terminal będzie włączony, kiedy dostaniemy spisy inwentarza, prześlę je panu. W innym przypadku przyniosę wydruk później.

- W porządku, i niech pan dokładnie sprawdzi, czy mamy już wszystko, zanim „Aurora” odleci.

- Tak jest.

Brown zasalutował i wyszedł.

Meredith sięgnął po wydruk i przejrzał na ostatniej stronie listę zniszczeń i uszkodzeń. Nie było tak źle: trochę stłuczonych naczyń laboratoryjnych i kilka rozerwanych worków wzbogaconego w metale nawozu. Tylko jedna rzecz wywołała na jego twarzy grymas niezadowolenia. Niektóre naczynia były niezbędnymi częściami aparatu do zapładniania rybich komórek jajowych, które sprowadzono na Astrę. Przywieziono oczywiście zapasowe naczynia, jednak w liczbie nie zadowalającej ani Meredith, ani naukowców.

Idioci, pomyślał surowo, zlecają mi jakieś zadanie, a potem robią wszystko, żebym miał jak najmniejsze możliwości jego wykonania.

Nie była to całkowicie sprawiedliwa ocena. Prezydent Allerton wszelkimi siłami wspierał kolonię, ale garstka kongresmanów sprzeciwiała się projektowi.

Okrzyknęli całą tę sprawę spiskiem ONZ, mającym na celu zmniejszenie siły roboczej i zasobów finansowych Ameryki i odpowiednio zmniejszyli budżet kolonii.

Meredith odłożył wydruk i sięgnął po następny ze stosu leżącego na biurku. Miał już za sobą miesiące logicznego rozumowania, perswazji i załamywania rąk. Teraz pozostawało tylko zorganizowanie życia na Astrze możliwie szybko i dobrze. Chodziło o honor Wuja Sama - nie wspominając o szansie, jaką miał Meredith na zdobycie stanowiska generała brygady. Trzeba było udowodnić kpiarzom, że są w błędzie.

Mając to na uwadze, zabrał się do pracy.

Nie minęła godzina, kiedy zabrzączał telefon. Zła wiadomość.

- Rozbił się pionolot Dwa, pułkownik - zameldował zdenerwowany porucznik. - Gdzieś na południowy zachód od Mt Olympus, jak sądzimy.

Meredithowi przeszły ciarki po plecach. W pobliżu wulkanu? Przechodząc przez pokój, rzucił przelotne spojrzenie przez okno na widoczny w oddali stożek. Nie dostrzegł jednak najmniejszego śladu unoszącego się nad nim dymu.

- Co się stało? - zapytał, otwierając gwałtownie drzwi. Dał znak ręką adiutantowi, żeby przyprowadził samochód.

- Nie mamy pewności, sir. Odebraliśmy tylko meldunek o wariujących repulserach, a potem łączność się urwała.

Nie można ufać tej cholernej technologii kosmitów.

- Mamy jeszcze jakieś zwykłe samoloty do dyspozycji?

- Jeden, sir.

- Niech zabierze personel medyczny i startuje. Będę czekać na wschód od Unie.

Mogą

wylądować na drodze z Unie do Crosse. Gdzie jest pionolot Jeden?

- Kieruje się w stronę Mt Olympus, sir. Był nad górami Kaf na południe stąd, kiedy rozbił się pionolot Dwa.

- Odwołać go. Niech Jeden natychmiast wraca do bazy.

- Tak jest, sir.

Telefon zamilkł na kilka sekund, porucznik przełączył się na inną linię.

- Cessna opuszcza właśnie hangar. Start za pięć minut. Samochód przyprowadzony przez porucznika Andrews'a już czekał z włączonym silnikiem. Meredith wśliznął się do środka.

- Dobrze. Będziemy czekać kilkaset metrów za miastem. Proszę mnie natychmiast powiadomić, jeżeli Dwa się odezwie.

Personel medyczny okazał się niepotrzebny. Obydwaj piloci byli już martwi.

Meredith ostrożnie badał miejsce katastrofy. Napięte do bólu mięśnie przyprawiały go o skurcze żołądka. Pionolot wyrył w ziemi rów o długości stu metrów, rozrzucając na całej długości kawałki kadłuba, zanim zatrzymał się jako zdeformowana kupa metalu i plastyku.

Piloci w stanie nie lepszym od pionolotu, nadal znajdowali się w kokpicie.

Było już dobrze po południu, kiedy specjaliści od katastrof lotniczych zakończyli ekspertyzę i wrócili do bazy „Martello”.

- Jesteśmy prawie pewni, że wszystkie repulsery zepsuły się jednocześnie - powiedział Meredithowi kapitan dowodzący zespołem. - Będziemy wiedzieli więcej, kiedy elektronycy skończą badać części, które przywieźliśmy ze sobą.

Meredith kiwnął głową i nad ramieniem swojego rozmówcy popatrzył na wracającą do hangaru

Cessnę. Przyleciał do bazy wcześniej z zespołem medycznym i ciałami. Na miejscu katastrofy tylko by zawadzał. Miał też nadzieję wykonać jakąś pracę, zanim eksperci uporządkują rumowisko. Plan ten powiódł się tylko częściowo. Ze zrozumiałych względów nie potrafił skoncentrować się na spisach inwentarzowych.

- Czy wiadomo, dlaczego zawiodły repulsery?

- Nie, sir. Ośmieliłbym się nawet stwierdzić, że to nie powinno mieć miejsca. Są zasilane przez trzy całkowicie niezależne systemy.

- Radar wskazywał niewielką prędkość, kiedy to się stało. Czy gdyby wysiadły tylko repulsery na spodzie statku, piloci mieliby dosyć czasu na wyprowadzenie maszyny?

- Powinni mieć. Byli wystarczająco wysoko, a ten manewr jest zaprogramowany w komputerze pokładowym. Gdyby rzeczywiście spróbowali i po prostu nie zdążyli przyspieszyć, uderzenie byłoby dużo silniejsze.

Kapitan potrząsnął głową.

- W porządku - powiedział po chwili Meredith. - Proszę się zająć tą analizą. Odwołuję pozostałe dwa pionoloty do czasu wyjaśnienia tego, co się stało.

- Tak jest, sir. Przykro mi, pułkowniku.

Kapitan zasalutował i poszedł w stronę hangaru.

- Mnie też jest przykro... - pomyślał Meredith.

Odwrócił się i ruszył wolno w stronę portu. Ich pierwszy dzień na Astrze, a on już stracił dwóch ludzi. To dopiero będzie ubaw dla kpiarzy, pułkowniku Meredith, pomyślał. Może jeszcze powinienem się postrzelić w stopę dla lepszego efektu.

Na wodzie lekko huśtały się trzy z pięciu poduszkowców. Meredith zrezygnował z nich, wybierając małą motorówkę. Odcumował ją i dając połowę maksymalnej mocy popłynął w kierunku wąskiego przesmyku u wejścia do Zatoki Płaskiej Stopy. Do tej pory przesłano już zapewne akty zgonu do jego terminalu w Unie. Żołądek skurczył mu się na samą myśl o ich wypełnianiu. Nigdy nie potrafił zaakceptować śmierci żołnierzy pozostających pod jego komendą. Nawet jako oficer na froncie w konflikcie honduraskim, kiedy spotykało go to niemal co drugi dzień. Teraz odkrywał, że lata spędzone za biurkiem ani trochę nie nauczyły go traktowania ludzi jak bezimiennych numerów. Ci cholerni Ctencri, pomyślał, mocno przekręcając rumpel przy wymijaniu zanurzonej do połowy skały.

Jeżeli okaże się, że była to wada techniczna, ukręcę im te ich durne łby.

Skrecał właśnie do wąskiej, pięciokilometrowej zatoczki, prowadzącej do Unie, kiedy zabręczał telefon.

- Meredith - zgłosił się.

- Pułkowniku, tu major Dunlop - usłyszał słaby głos zagłuszany hałasem silnika.

- Sądzę, że zanosi się na zamieszki w Ceres.

Wyłączył silnik.

- Proszę o wyjaśnienie.

- Około stu Latynosów przydzielonych do pracy w polu zebrało się przed budynkiem administracji i wykrzykuje coś o lepszych warunkach mieszkaniowych i budynkach rekreacyjnych. Moi ludzie na razie kontrolują sytuację, ale będzie ich za mało, jeżeli sprawy się pogorszą. Mógłby mi pan przysłać dodatkowych trzydziestu żołnierzy?

- Próbował pan z nimi rozmawiać? - zapytał Meredith.

- Sir, jeśli otworzę drzwi, mogą się wdrzeć do środka, zanim zdołamy ich zatrzymać.

Meredith skrzywił się, chociaż spodziewał się takiej odpowiedzi. Dunlop był dobrym administratorem, ale niuanse dyplomacji i kompromisów przekraczały jego możliwości. Bardziej pasowałoby do niego zasypanie tłumu gradem kul, ale to ostatnia rzecz, jakiej potrzebował teraz Meredith.

- Dobrze, proszę na mnie spokojnie czekać - polecił majorowi. - Za kilka minut będę w Unie. Trzymam tam oddział w gotowości. Wyruszymy, gdy tylko dotrę na miejsce.

Proszę nie próbować tłumić zamieszek, z wyjątkiem sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia lub zdrowia. Jasne?

- Jasne, sir. Sugeruję, żeby pospieszył się pan z tymi posiłkami.

- Przyjąłem. Koniec.

Niemal brutalnie szarpnął przepustnicę. Posiłki, o rany, pomyślał, gdy łódź skoczyła do przodu. Dunlop potrzebował raczej zespołu negocjacyjnego - i dostanie go.

Najlepiej taki, którego członkowie mówią dość dobrze po hiszpańsku. Najpierw katastrofa lotnicza, a teraz to. Prawo Murphy'ego rzeczywiście się dzisiaj sprawdza.

Podniósł rękę z telefonem, wybrał numer do porucznika Andrewsa i zaczął wydawać polecenia.

- Przydzielono nas po trzech do jednego mieszkania. Czasem nawet po czterech - zagrzmiął donośny głos Matro Rodrigueza, wybijający się ponad inne krzyki i hałaśliwe mamrotanie tłumu.

Cristobal Perez z uwagą obserwował z boku na przemian tłum ludzi i przysadzisty, ceglany budynek, przed którym stali. W oknach budynku nie widział twarzy urzędników, ale wiedział, że patrzyli. Wcześniej czy później dość już będą mieli tego oblegania i coś z tym zrobią. Idioci, pomyślał, ponownie kierując wzrok na tłum. Niektórzy zaczęli już wymachiwać nad głowami zaciśniętymi pięściami. Wszystko, co chcą zrobić, to zyskać poparcie majora i zmusić go do podjęcia jakichś działań.

Nie dysponowali jeszcze prawdziwą władzą ekonomiczną, a już na pewno nie władzą polityczną. Wszystko, co mieli, to numery i możliwość grożenia użyciem siły.

Działało to tylko wtedy, gdy ci w dowództwie wahali się z otwarciem ognia. Perez wiedział, że żołnierze się przed tym nie cofną.

Wzrok Pereza przykuł błysk w jednym z ciemnych okien: ktoś ustawił się w miejscu, które było bardzo dobrą pozycją do strzału. Perez stłamsił w ustach przekleństwo i wysunął się na czoło tłumu. Do tej pory miał nadzieję, że Dunlop wstrzyma się jeszcze przez chwilę z otwarciem ognia i da zebrany czas na rozładowanie emocji, a może nawet na spokojne rozejście się. Ale zamiast tego rozstawił przy oknach żołnierzy. Widocznie zdecydował się rozwiązać sprawę natychmiast.

Prawie nikt nie zwrócił uwagi na Pereza, gdy stanął obok Rodrigueza, naprzeciw drzwi wejściowych do budynku administracji. Tylko kilka osób popatrzyło z zaciekawieniem, kiedy uniósł rękę, żeby uciszyć tłum.

- Przyjaciele! - zawołał.

Nie miał głosu tak silnego jak Rodriguez. Nabierał właśnie powietrza w płuca, żeby spróbować ponownie, kiedy, jak gdyby reagując z opóźnieniem, tumult ustąpił miejsca wyczekującej ciszy.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z majorem Dunlopem.

Major zamierzał coś powiedzieć - ale Perez zawsze miał nadzwyczajny refleks, więc zdołał go uprzedzić.

- Dzień dobry, majorze - powiedział tonem umiejętnie łączącym wyraz szacunku i uzasadnionego

niezadowolenia. - Chcielibyśmy zamienić z panem kilka słów na temat warunków...

- Dobra, wy leniwi awanturnicy - wrzasnął Dunlop, nie patrząc nawet na Pereza - daję wam dokładnie trzydzieści sekund na rozejście się i powrót do pracy. Potem będziecie żałować, że tego nie zrobiliście. A teraz jazda!

Odpowiedzią były wzburzone okrzyki i nagły atak tłumu.

- Zaczekajcie! krzyknął Perez, lecz jego słowa utonęły wśród ogólnej wrzawy... a chwili; później poczuł silny ból i ogarniające go odrętwienie. Świat zawirował wściekle i skrył się w ciemnościach.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 3

- Czy tak - zapytał chłodno Meredith - rozumie pan spokojne czekanie?

Na piachu przed drzwiami budynku administracji wciąż było widać ślady ciągniętych ciał. Dunlop stał na baczność, sztywny jak wartownik. Mimo to nie dawał za wygraną.

- Wyszedłem, żeby porozmawiać, tak jak pan sugerował, pułkownik. Tłum ruszył na mnie, a żołnierze otworzyli ogień w mojej obronie. Szczerze mówiąc, sir, nie widzę problemu. Musieliśmy ogłuszyć tylko kilku, a reszta się rozeszła. Teraz pomyślą dwa razy, zanim znowu narobią kłopotów.

- „Problem”, jak pan to określił, omówimy później - powiedział Meredith.

Z trudem powstrzymywał wściekłość. Nie chciał zbyt gwałtownie atakować Dunlopa na oczach niższych stopniem oficerów, ale to postanowienie szybko słabło.

- Co to za robotnik, którego pan aresztował i dlaczego sądzi pan, że był jednym z przywódców zamieszek?

- Nazywa się Cristobal Perez. Jest przydzielony do pracy w polu. Stał na czele tłumu i dał znak do ataku.

- Porozmawiam z nim.

- Jak pan chce, ale nie jest zbyt rozmowny. Trzymamy go w jednym z pokoi biurowych z tyłu.

- Dobra.

Meredith jeszcze raz zerknął na ślady na ziemi i gestem przywołał Andrewsa.

- Razem z innymi ustali pan nazwiska zamieszanych w to żołnierzy i zbierze pan ich zeznania. Powinni wiedzieć, że nie chcemy nikogo ukarać, tylko zdobyć informacje. Kiedy pan z tym skończy, proszę sprawdzić, czy byli jacyś cywilni świadkowie. Ich też proszę przesłuchać.

- Tak jest, sir - przytaknął adiutant. - Czy chce pan, żeby został z panem ktoś mówiący po hiszpańsku?

- To chyba dobry pomysł. Kto jest najlepszy?

- Carmen Olivero.

Andrews wskazał na atrakcyjną kobietę stojącą wśród wojskowych w mundurach.

Jedyną w cywilnym ubraniu... Wiedziony przecuciem Meredith zgodził się.

- Pani Olivero, proszę ze mną. Idziemy, majorze.

Dunlop wprowadził ich do budynku. Przeszli kilka korytarzy i zatrzymali się przed drzwiami pilnowanymi przez dwóch żołnierzy z bronią ogłuszającą. Strażnicy stanęli na baczność. Dunlop otworzył drzwi bez pukania i wszedł do środka.

Cristobal Perez leżał na plecach na podłodze przed biurkiem. Za prowizoryczną poduszkę służyła mu zwinięta kurtka. Jak odruchowo ocenił Meredith, miał około dwudziestu pięciu lub dwudziestu sześciu lat. Na twarzy widoczne już były pierwsze oznaki długiego przebywania na słońcu. Na krótko otworzył oczy, przyjrzał się przybyłym, a potem zaraz je zamknął.

- Nie wydaje mi się, żebyście przyprowadzili lekarza - powiedział zmęczonym głosem.

- Wystarczy, że odpoczniesz - odparł mu Dunlop. - Objawy ustąpią za jakąś godzinę.

Wstawaj, pułkownik Meredith ma do ciebie kilka pytań.

- Pułkownik Meredith, co? - Perez nie ruszył się z miejsca, otworzył tylko oczy i spoglądał to na Mereditha, to na Carmen. - Zawsze pan każe swoim żołnierzom strzelać do nieuzbrojonych cywilów, pułkowniku?

- Ciesz się, że użyli tylko broni ogłuszającej - odparł Meredith, patrząc Perezowi prosto w oczy.

- Potrafimy sobie radzić z hołotą innymi metodami. Wtedy skutki są jeszcze bardziej nieprzyjemne i trwają znacznie dłużej.

Na dźwięk słowa „hołota” na twarzy Pereza pojawił się grymas gniewu. Jednak zamiast ostrej reakcji słownej, jakiej się spodziewał, Meredith dostrzegł tylko kamienną twarz Latynosa.

- Najwyraźniej nigdy nie strzelano do pana tymi cholernymi pociskami ogłuszającymi - powiedział i znowu zsunął oczy.

- Nie, ale trafiono mnie kiedyś prawdziwym pociskiem. Może opowiedziałbyś mi swoją wersję wydarzeń?

- Moje słowo przeciwko słowu Dunlopa? Nie, dziękuję. Muszę oszczędzać siły.

Meredith ściągnął usta.

- Jeśli powiesz prawdę...

- Pułkowniku, spędziłem w wojsku kilka lat - przerwał mu Perez - i wiem, jak bardzo żołnierze trzymają ze sobą. Najlepiej będzie, jeśli wymyśli pan moje zeznania i skończy udawać bezstronnego.

- Perez... - zaczął Dunlop.

- W porządku, majorze. - Meredith uciszył podwładnego, karcąc się w duchu za własną niedbałość.

Umyślnie dobierał słowa w tak nietaktowny sposób, żeby zmusić Pereza do zareagowania. Nie liczył jednak na ucieszenie majora. Teraz powinien nastąpić odwrót taktyczny.

- Perez, daj mi znać, jak będziesz chciał złożyć zeznania. Otworzył drzwi i wyszedł w towarzystwie Dunlopa i Olivero.

- Mówiłem panu, że nie jest zbyt rozmowny - powiedział Dunlop, kiedy zatrzymali się kilka kroków dalej w głębi korytarza.

- Mhm. Jakie zarzuty wysunął pan przeciwko niemu?

- Podżeganie do buntu, gromadzenie się z zamiarem popełnienia przestępstwa i kilka mniejszych.

- Oddalić zarzuty. Pani Olivero...

- Wszystkie? - Dunlop wyglądał na zakłopotanego.

- Wszystkie. W czym problem? Jeśli moje dochodzenie wykaże, że jest winny, możemy go znowu oskarżyć. Nie ucieknie przecież z miasta. Pani Olivero, chcę, żeby wróciła pani do biura i porozmawiała z Perezem.

- Ja, poruczniku? Ale ja się nie znam na prowadzeniu przesłuchań.

- Nie chcę, żeby go pani przesłuchiwała, tylko porozmawiała z nim przez chwilę - wyjaśniał cierpliwie Meredith. - Proszę się dowiedzieć, na co głównie skarżyli się robotnicy i wytłumaczyć mu, że nie szukamy kozła ofiarnego. Jest pani cywilem. Może z panią będzie chciał rozmawiać.

Carmen wyglądała na zdenerwowaną, ale zgodziła się.

- Dobrze... spróbuję.

Zawróciła, wzięła głęboki oddech, zapukała do drzwi i weszła.

- Proszę uważać na to, co się; tam dzieje - poinstruował cicho strażników Dunlop.

- Nie będzie problemów powiedział Meredith. - Idziemy, majorze. Mamy dużo do omówienia.

Pereza zaskoczyło, że ktoś tak szybko przyszedł po wyjściu porucznika, a do tego zadał sobie trud zapukania do drzwi. Pomimo zmęczenia otworzył oczy i przyglądał się, jak kobieta zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Jak się czujesz? - zapytała w końcu.

- Jestem przede wszystkim zmęczony - odpowiedział.

Zastanawiał się nad pochodzeniem kobiety. Wyglądała, jakby właśnie przyjechała z Gaudalajary, a mówiła jak Amerykanka z klasy średniej. Chyba drugie pokolenie.

Najwyraźniej jej rodzice zostali szanowanymi obywatelami, zanim fala uchodźców po upadku meksykańskiego rządu w dwa tysiące jedenastym roku doprowadziła do tego, że wyraz „Latynos” znów stał się obraźliwym określeniem.

- Największy ból już minął.

Kiwnęła głową.

- To dobrze. Nazywam się Carmen Olivero.

- Jestem zaszczycony. Przysłał cię Meredith, żebyś wyciągnęła ze mnie zeznania?

Wydawała się już mniej zdenerwowana, prawie spokojna.

- Nie. Pułkownik polecił majorowi Dunlopowi odwołać wszystkie zarzuty przeciwko tobie. Poprosił mnie, żebym się dowiedziała, jakie macie problemy, zakładając oczywiście, że chcecie złożyć formalne zażalenie, a nie używacie ich jako pretekstu do zamieszek.

- Nie było żadnych zamieszek! - Nie wytrzymał, a wybuch złości wzmógł ból, jaki odczuwał. - Skarżyliśmy się tylko na nędzne warunki mieszkaniowe w Ceres, a ci cholerni żołnierze zaczęli do nas strzelać. - Urwał nagle, kiedy cofnęła się o krok i chwyciła za kłamekę. - Dobra robota, Perez, skarcił się w duchu. Chciałeś współczującego ucha, a teraz próbujesz je odgryźć. - Mówisz, że oddalił zarzuty? - zapytał bardziej uprzejmym tonem.

Spojrzała na niego niepewnie, nadal z ręką na kłamece.

- Tak powiedział.

- Miło z jego strony. - Wiedziony niejasnym uczuciem, z wysiłkiem usiadł, uznając tę pozycję za bardziej dostojną. Cofnął się i oparł o ścianę. - Przepraszam za mój wybuch. To przez ten ból. - Wskazał na krzesło przy biurku. - Może usiądziesz?

Wahała się tylko przez chwilę. Podeszła do krzesła i usiadła niepewnie.

- Więc... co ci się tu nie podoba?

Roześmiał się.

- Lista jest dosyć długa - powiedział - Osobiście uważam, że sensowniej byłoby skolonizować Południową Saharę. Nie rozumiem, dlaczego ONZ wyłożyła tyle pieniędzy w pierwszej kolejności na zasiedlanie Astry.

- Jeżeli tak uważasz, to dlaczego się zapisałeś?

- Zgłosiłem się, bo na Astrę leciało też wielu moich rodaków, chociaż nie wszyscy byli ochotnikami.

Żrenice kobiety rozszerzyły się na moment. Po chwili w jej oczach pojawił się wyraz chłodnego niedowierzania.

- Masz na to dowody?

Potrząsnął głową.

- Nie mam niczego, co można by tak określić. I nie zrozum mnie źle. Nie mówię, że zostali porwani, załadowani na ciężarówkę i zawiezieni do centrum szkolenia.

Naciski były bardziej subtelne. Przedstawiono Astrę jako kraj nowych możliwości i wolności, której nie dała nam Ameryka. Mamiono wizją różowej przyszłości. Dano też do zrozumienia, że będzie nam ciężiej, jeżeli nie zgłosi się nas wystarczająco wielu. Bierzesz nam za złe, że nie jesteśmy zadowoleni z warunków pracy i budynków, w których nas umieszczono?

- To jest zupełnie nowy świat. Spodziewałaś się zastać tu czekające na was luksusowe hotele i teatry?

- Spodziewałem się dokładnie tego, co tu znalazłem - dalszego ciągu społecznej niesprawiedliwości, której miałem już dosyć.

- Każdy musi się jakoś poświęcić...

- Ale niektórzy poświęcają się mniej niż inni - odpowiedział natychmiast. - Czy naukowcy mieszkają po trzech, czterech w jednym domu? Albo żołnierze? Ilu Amerykańców pracuje w polu i sadi rośliny uprawne własnymi rękami tylko dlatego, że maszyny są nadal popakowane w skrzynie?

- No, dobra - powiedziała po chwili. - Przypuśćmy, że masz rację. To co, według ciebie, trzeba zrobić?

- Na razie wystarczyłoby szczerze zobowiązanie się do poprawienia warunków w Ceres. Nie jesteśmy głupi. Wiemy, że nie możecie wybudować nowych domów w ciągu jednej nocy. Okazałoby się dobrą wolę, gdybyście dali nam jeszcze trochę gier holograficznych w centrum rekreacyjnym.

Urwał na chwilę, widząc zaskoczenie na twarzy Carmen. - Spodziewałaś się pewnie jakiegoś nierealnego planu zamiany Ceres w Mały Meksyk, pomyślał. Cóż, ciesz się, dopóki możesz, bo teraz dowiesz się, gdzie tkwi haczyk.

- Poza tym uważam, że major Dunlop nie rozumie pracujących tu ludzi. Powinien zostać przeniesiony i zastąpiony kimś innym.

Z twarzy Carmen zniknął wyraz zadowolenia i zaskoczenia.

- Tak uważasz? - zapytała chłodno. - Skoro już o tym mowa, to może chciałbyś jeszcze zaproponować kogoś na jego miejsce?

- Niekoniecznie. Ale dlaczego jesteś tak wrogo nastawiona do mojego pomysłu?

Myślałem, że obywatele Stanów Zjednoczonych mają prawo wybierać sobie przywódców.

- Nie baw się w gry słowne. Dobrze wiesz, że zrezygnowałaś z niektórych praw obywatelskich, kiedy zgłosiłaś się na tę wyprawę.

- Możliwe. - Wzruszył ramionami i spojrzał jej w oczy. - Byłem w wojsku i wiem, że ludziom szybko przestają odpowiadać wojskowe reguły. Pułkownik Meredith powinien się zastanowić, co robi, kiedy to się stanie.

Na jej twarzy malował się coraz większy niepokój, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, drzwi otworzyły się i do środka zajrzał jeden ze strażników.

- Olivero? Pułkownik Meredith czeka na panią.

- W porządku.

Carmen wstała z wyraźną ulgą, jak zauważył Perez, i podeszła do drzwi.

Zatrzymała się i spojrzała za siebie.

- Przekażę pułkownikowi, co powiedziałeś. Ale niczego nie obiecuję.

Kiedy wyszła, Perez, krzywiąc się z wysiłku, znowu położył się na podłodze.

Zamknął oczy i w myślach starał się odtworzyć rozmowę i wyraz twarzy Carmen. Należy do konserwatywnej klasy średniej, ale nie jest tak ograniczona jak inni. Na pewno może trochę wpłynąć na pułkownika...

Nadal zastanawiał się nad różnymi rozwiązaniami, kiedy wszedł żołnierz, żeby go uwolnić.

Powrotna podróż do Unie była długa i uciążliwa od kurzu. Przebiegła spokojnie.

Meredith wpatrywał się w jasno oświetloną drogę. Zajęty rozmyślaniami, nie odzywał się, co innych też powstrzymywało od rozmowy. Odpowiadało mu to: z większością raportów zespołu zapozna się po oficjalnym wprowadzeniu ich do komputera, a pojedynczy przypadek mógł zaczekać, aż znajdą się w zaciszu jego biura.

Andrews zatrzymał samochód przed oświetlonym kompleksem budynków administracyjnych. Nie zgaszone światła przypominały pułkownikowi, że na uregulowanie nadal czeka mnóstwo spraw.

- Raporty należy przedstawić jutro do dziewiątej rano - zapowiedział żołnierzom.

Otworzył drzwi i wysiadł. - Pani Olivero, proszę ze mną. Reszta odmaszerować.

Poszedł przodem przez opustoszałe korytarze do swojego biura. Nie spodziewał się nikogo, więc dopiero po chwili zauważył, że ktoś czeka na niego przed drzwiami.

Zatrzymał się gwałtownie. Zaskoczenie postawiło w stan gotowości wyćwiczone w walce zmysły. Jednak przybysz nie okazywał wrogości.

- Pułkownik Meredith? - zapytał, podnosząc się z fotela.

Ze swobodnej postawy i tonu, jakim mówił, pułkownik natychmiast wywnioskował, że ma do czynienia z cywilem.

- Tak - potwierdził. - A pan?

- Doktor Peter Hafner, jestem geologiem w grupie doktora Pattersona.

Przepraszam, że tak późno, ale pańska sekretarka pozwoliła mi poczekać, aż pan wróci.

- W porządku - zapewnił Meredith, postanawiając pouczyć personel w tej sprawie. - W czym mogę pomóc?

- No wiać, sir, próbowałem załatwić sobie pionolot i pilota, żeby polecieć na Mt Olympus, ale podobno odmówił pan zgody na start.

- Nie słyszał pan o katastrofie? - zapytał cierpko Meredith.

- Słyszałem, sir. Przykro mi z powodu śmierci załogi. Ale wszystko wskazuje na to, że wypadek nastąpił z powodu zachwiania równowagi plazmy, a nie niesprawności sprzętu...

- Chwileczkę! Co spowodowało zachwianie równowagi?

- Może nieoczekiwany rozbłysk słoneczny, tego nie wiem. Chodzi o to, że jest mało prawdopodobne, żeby to samo przytrafiło się innym pionolotom.

- „Mało prawdopodobne” mi nie wystarcza - potrząsnął głową Meredith. - Dopóki nie zbadamy dokładnie, co się stało, muszą panu wystarczyć samochody i zwykłe samoloty.

- Które nie na wiele się przydadzą - westchnął Hafner. - Rozumiem pana troskę, pułkowniku, ale proszę zwrócić uwagę, że nie mówię tu o jakichś abstrakcyjnych badaniach.

Gdzieś na Astrze muszą być metale, jeśli nie w wierzchnich warstwach gleby, to na pewno głębiej. Jeżeli skały wulkaniczne, takie jak w pobliżu Mt Olympus, zawierają choć trochę metali, będziemy mieli rozsądną alternatywę dla kopalni na planetoidach.

Meredith uniósł rękę.

- Doktorze, jest późno, a ja miałem dziś bardzo ciężki dzień. Proszę złożyć oficjalną prośbę w bazie „Martello”. Udostępnimy panu pionolot, jak tylko będzie można z nich znowu korzystać. Do tego czasu, powtarzam, mamy tylko samochody i zwykłe samoloty. - Odwrócił się na odgłos kroków. To wracał Andrews po odprowadzeniu samochodu. - Teraz, proszę nam wybaczyć - dodał. - Porucznik Andrews odprowadzi pana na zewnątrz. Dobranoc, doktorze.

Hafner skrzywił się lekko, lecz wykazał dość rozsądku, żeby nie nalegać.

- Dobranoc, pułkowniku. Dziękuję za poświęcenie mi czasu. Geolog wyszedł w towarzystwie

Andrewsa. Meredith otworzył drzwi swojego pokoju i zaprosił Carmen do środka.

- A teraz - powiedział, siadając przy biurku - proszę mi opowiedzieć o Perezie.

Przez kilka minut słuchał w skupieniu sprawozdania z rozmowy z rzekomym przywódcą zamieszek.

- Wydaje mi się, że mówił szczerze, pułkowniku - zakończyła Carmen.

- Wiem. - Meredith kiwnął głową. - Ale czy rzeczywiście tak było, to już inna sprawa.

Trochę trudno wyobrazić sobie ogólny spiszek przeciwko Latynosom.

- To prawda - odpowiedziała. - Jednak wydaje mi się, że jest tu wielu Latynosów.

Meredith wzruszył ramionami.

- Tutejszy klimat przypomina ten z południowego zachodu. Do uprawiania piaszczystej gleby potrzebujemy doświadczonych ludzi. Wybierano więc z terenów, gdzie było dużo Latynosów. Więc w czym rzecz?

Carmen była wyraźnie spięta.

- Tak, sir, ale nawet jeśli nie wydarzyło się nic... niesprawiedliwego... może mógłby pan zorganizować coś w rodzaju rady miejskiej w każdej miejscowości. Z ograniczoną władzą - dodała szybko, poprawnie odgadując wyraz twarzy pułkownika. - Raczej jakiś organ doradczy, gdzie można by składać skargi i sugestie.

- Mamy już takie oddziały - przypomniał.

- Tak, ale... - zacisnęła usta - to są wszystko organy wojskowe. Cywilom to nie odpowiada. Przyzwyczajenie się do panujących tu reguł zajęło mi trochę czasu, chociaż wychowałam się w rodzinie wojskowej.

- Sugeruje pani, żebym zapewnił im wrażenie demokracji bez jej właściwej istoty. - Meredith potrząsnął głową. - To sprawi więcej kłopotów, niż jest tego warte.

Obciążylibyśmy sektor administracyjny, musielibyśmy stworzyć niepotrzebne struktury polityczne, marnować czas pracowników bez jakiegokolwiek zysku.

- Zyskiem byłaby lepsza współpraca między cywilami a wojskiem.

- Technicznie rzecz ujmując, pani Olivero, na Astrze nie ma żadnych cywilów.

Wszyscy podlegają prawu wojskowemu. A jeśli komuś to nie odpowiada, bardzo mi przykro, ale musi się do tego przyzwyczaić. - Spojrzał na zegarek. - Chyba będzie lepiej, jak już pani pójdzie. Robi się późno. Chciałbym, żeby napisała pani oficjalny raport, ale nie musi się pani z tym szczególnie spieszyć.

- Tak jest, sir. - Zrozumiała, że ją odprawia. Wstała, lecz zawahała się.

- Pułkowniku? Co pan robi w sprawie majora Dunlopa?

- Cokolwiek to będzie, nic zrobię tego z powodu gróźb Pereza - odpowiedział krótko Meredith.

Przyjęła to ze spokojem.

- Tak, sir. Dobranoc, pułkowniku.

- Dobranoc.

Po jej wyjściu chwilę patrzył na drzwi. Zastanawiał się, czym zasłużył sobie na taki dzień. Westchnął i odwrócił się w stronę komputera. Po włączeniu ekran zaświecił się, lecz pozostał pusty. Najwyraźniej podziemna sieć światłowodowa nadal przysparzała kłopotów.

Zaklął cicho, wyłączył komputer i zadzwonił na Andrewsa.

- Tak, sir? - zapytał adiutant zaraz po wejściu.

- Przykro mi, poruczniku, ale mam kilka pilnych spraw, a nie mam już siły szukać czynnego

terminalu.

- Nie ma sprawy, pułkowniku - powiedział Andrews. Wyciągnął notes i usiadł. - Nic mi się nie stanie.

Na to wyglądało, chociaż Meredith wiedział, że porucznik nie sypiał ostatnio dłużej niż on sam.

- Dobra. Po pierwsze, chcę dostać wszystko, co mamy na temat Cristobala Pereza. Nie tylko akta kolonisty. Proszę sprawdzić, czy przywieziono na Astrę jakieś dokumenty na temat jego służby wojskowej, edukacji i zatrudnienia. Po drugie, proszę umieścić montaż sprzętu trochę wyżej na liście priorytetów, a na razie proszę przetransportować kilka maszyn z Crosse do Ceres. Farmerzy w Crosse i tak nic nie robią.

Przerwał. Andrews skończył pisać i skinął głową.

- Coś jeszcze?

- Tak. - Meredith zawahał się na chwilę. - Proszę też sporządzić listę osób, które nadają się na stanowisko dowódcy w Ceres.

Adiutant spojrział na niego z zaskoczeniem.

- Przenosi pan majora Dunlopa?

- Nie wiem. Jeszcze nie podjąłem decyzji.

Andrews bawił się długopisem.

- Żołnierze bardzo lubią majora - powiedział nieśmiało. - Ma reputację dowódcy stojącego w obronie zwykłych szeregowców i dbającego o respektowanie praw i przywilejów, które im przysługują.

- Wiem - zgodził się Meredith - ale właśnie z tego powodu stracił poparcie i zaufanie cywili w Ceres. Nie możemy pozwolić sobie na niepotrzebny konflikt.

- Rozumiem, pułkowniku, ale... wie pan, to zaczyna wyglądać tak, jak gdyby uległ pan ich presji.

- Wiem o tym. I nie podoba mi się to. Gdyby Dunlop nie strzelał do tłumu, na pewno nie straciłby mojego poparcia. Teraz albo wyjdę na tchórza, albo na kogoś, czyje rozkazy można bezkarnie ignorować. Tak czy owak, ktoś odniesie mylne wrażenie. - Wzruszył ramionami. - Gdyby miał pan lepszy pomysł, chętnie wysłucham.

- Dobrze, sir. - Andrews wstał, schował notes i uśmiechnął się przelotnie. - Pomyślę nad tym. W tym czasie załatwię resztę spraw.

- Będę wdzięczny, Andrews. Dobranoc.

Do kwatery Meredith miał tylko kilkaset metrów, lecz wątpił, czy starczy mu siły na przejście nawet tak niewielkiej odległości. Na szczęście ktoś pomyślał o umieszczeniu łóżka polowego w biurze. Zgasił światło, rozebrał się i wyciągnął pod cienkim kocem.

Przez kilka minut przyglądał się grze światła i cieni na okiennej zasłonie. Starał się rozwiązać problem Dunlopa i Ceres. Nic nie przychodziło mu do głowy, więc szybko dał temu spokój.

Może rano - pomyślał - wszystko się wyjaśni.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 4

Carmen miała do czynienia z wojskiem od piętnastu lat. Po opuszczeniu biura Mereditha była pewna, że miną dni, zanim pułkownik zajmie się problemami, o których z nim mówiła, a na jakiegokolwiek efekty będzie musiała czekać tygodniami. Więc następnego dnia w pracy z przyjemnym zaskoczeniem odkryła, że dostawa dodatkowych maszyn do Ceres była już w drodze. Zerknęła na listę priorytetów. Stwierdziła, że nikt z jej współpracowników nie zajął się jeszcze organizacją montażu zapasowego sprzętu. Wpisała to zadanie do swojego terminalu i zabrała się do pracy.

To było rutynowe przetwarzanie danych. Należało odnaleźć odpowiedni sprzęt i narzędzia w komputerowym spisie i ułożyć plan pracy dla określonej liczby mechaników.

Stukając w klawiaturę, powróciła myślami do rozmowy z Perezem i Meredithem.

Pracowała dla Mereditha od niedawna i nie wiedziała o nim zbyt wiele. Ich kontakty ograniczały się dotąd tylko do krótkiej rozmowy, kwalifikującej ją do podróży na Astrę i wyjazdu do Ceres. W bazach wojskowych plotki rozchodziły się szybko, a z tego, co słyszała o pułkowniku, wynikało, że był człowiekiem uczciwym i sprawiedliwym. Szybkie oddalenie zarzutów przeciwko Perezowi wydawało się więc zgodne z jego charakterem. Co prawda pułkownik Znajdował się pod silną presją - a trzeba przyznać, że Carmen też nie była przekonana, czy Perez miał rację - ale wyglądało na to, że dochodzenie przeprowadzono prawidłowo. W sprawie Dunlopa nie mogła się zdecydować, jakie postanowienie pułkownika usatysfakcjonowałoby ją najbardziej.

W rogu monitora zamrugało żółte światełko. Zaskoczona spojrzała na ekran. Trochę rozdrażniona, stwierdziła, że przez nieuwagę próbowała właśnie umieścić na swojej liście pracownika, któremu już przydzielono ważniejsze zadanie. Usunęła polecenie i żółte światełko zniknęło. Przerzuciła stronę i znowu zajęła się przeglądaniem przydziałów.

Jednego była pewna. Uznała za swój obowiązek przyczynić się do zmniejszenia napięcia i załagodzenia konfliktów na Astrze. Dlatego postanowiła zrobić wszystko, co możliwe. Rady miejskie już zostały utworzone. Pomimo pogardy, z jaką do jej pomysłu odniósł się Meredith, uważała to za jedyny sposób, żeby cywile nie czuli się tutaj tak obco.

Poza tym, jeśli kolonia przetrwa, i tak powstanie tu cywilny rząd. Przy istniejących już strukturach władzy obywatelskiej, takie przejście będzie łatwiejsze.

Nagle na środku ekranu pojawił się czerwony prostokąt i migający napis: wiadomość najwyższej wagi. Carmen ściągnęła brwi i patrzyła, jak monitor wypełnia się tekstem...a w miarę czytania przekazu coraz szerzej otwierała oczy:

Uwaga. Do całego personelu. Satelity wykryły statek Rooshrike zbliżający się do Astry. Nie oczekujemy ataku - powtarzam, nie oczekujemy ataku, ale cały personel wojskowy musi pozostać w gotowości. Personel prawno-organizacyjny powinien niezwłocznie przygotować listę znanych zwyczajów i rytuałów Rooshrike i przesłać ją do biura pułkownika Mereditha.

Carmen przeczytała wiadomość dwa razy, zanim usunęła ją z ekranu.

- O, do diabła! - mruknął ktoś z tyłu.

Zaskoczeni pracownicy zaczęli już szemrać między sobą, kiedy przełożona Carmen przerwała te rozmowy.

- Dobra, dobra, proszę się uciszyć - krzyknęła znad swojego terminalu. - Smith, Hanson, proszę przeszukać akta cywilne. Barratino, pan zajmie się danymi wojskowymi.

Eldridge, pan poszuka pozostałych danych. Olivero, pani wszystko posegreguje.

Zapadła cisza, przerywana tylko ciągłym szmerem pracujących komputerów. Co za pech, pomyślała Carmen, czekając na napływ danych. Tkwiąc w małym pokoju dwadzieścia kilometrów od lądowiska, zamiast być na miejscu i pierwszy raz w życiu zobaczyć prawdziwego żywego kosmitę.

Może jednak nie miała aż takiego pecha. Rooshrike już mieli kontakt z ludźmi... i wtedy zaczęli strzelać.

Meredith obserwował lśniącą kropkę przemieszczającą się nad oceanem w kierunku bazy „Martello” i też pomyślał o ataku na „Celeritas”. Siedział sztywno w pierwszym z pięciu samochodów tworzących komitet powitalny. Prawdopodobieństwo podstępного ataku było niewielkie - ostatecznie Obcy nie dostali jeszcze nawet połowy zapłaty za dzierżawę Astry. Jednak argumenty natury ekonomicznej miały tylko minimalny wpływ na wojskowy sposób myślenia Mereditha. Starał się udawać, że pot na czole pojawił mu się tylko z powodu upału.

Zmrużył oczy, odwrócił twarz w stronę jasnoblękitnego nieba i czekał.

Według wskazań radaru, statek był znacznie większy niż wahadłowce, dla których zostały zaprojektowane pasy startowe bazy „Martello”, Mimo to piku zapewnił Meredith, że nie będzie z tego powodu kłopotów. Kiedy siatek w kształcie grotu strząsł podszedł do lądowania, Meredith zrozumiał, co pilot miał na myśli. W odróżnieniu od amerykańskich wahadłowców, Rooshrike schodzili do lądowania prawie pionowo. Meredithowi natychmiast przypomniały się używane kiedyś kapsuły kosmiczne jednorazowego użytku. Skrzywił się na wspomnienie bezradności tamtych maszyn. Niemal w tym samym momencie obraz się zmienił. Ze spodu statku buchnął płomień silników hamujących. Nawet z pozornie bezpiecznej odległości, w jakiej się znajdowali, wyraźnie poczuł falę gorąca.

Modląc się, żeby nawierzchnia wytrzymała, patrzył, jak Obcy lądują. Po chwili rozkazał podjechać bliżej.

Kiedy dotarli na miejsce, statek Rooshrike wysunął rampę podjazdową. Odpowiednio zaprojektowana, omijała rozgrzane miejsca nawierzchni. Była też znacznie krótsza niż te, których używali na Ziemi przedstawiciele Ctencri. Meredith doszedł do wniosku, że opis Rooshrike jako Obcych z gorącej planety nie był przesadzony.

Wygląd samych Rooshrike, jak się okazało, nie robił dużego wrażenia. Jednak, jak powiedział później porucznik Andrews, nawet kosmici nie potrafili upiększyć standardowego kombinezonu kosmicznego. Z wyjątkiem dziwnych rysów twarzy, ledwo widocznych zza ciemnej osłony hełmu, postać schodząca z rampy mogła uchodzić za człowieka o nieco zmienionych proporcjach ciała.

Obcy był sam. Meredith wysiadł z samochodu i ruszył w kierunku przybysza.

Zatrzymał się tak blisko rampy, jak tylko mógł podejść.

Odchrząknął.

- Pozdrawiam - powiedział do przybysza - i witam pana na Astrze. Jestem pułkownik Lloyd Meredith. Mówię w imieniu mojego ludu.

Nastąpiła chwila ciszy, zanim translator zakończył przekład. Obcy zszedł z rampy i ruszył naprzód. Meredith odetchnął. Najwyraźniej Rooshrike dobrze zrozumiał powitanie albo był tolerancyjny w stosunku do nowej rasy.

Zatrzymał się kilka kroków przed Meredithem.

- I ja pana pozdrawiam - powiedział z drobnymi błędami w wymowie, takimi samymi, jakie robiły używane na Ziemi ctencriańskie translatory. - Nazywam się Beaeeki.

Mówię w imieniu mojego ludu.

- To dla nas zaszczyt gościć tu pana - odpowiedział Meredith i cofnął się o kilka kroków.

Kombinezon przybysza był bardzo gorący. Meredith zastanawiał się, jaka temperatura panowała wewnątrz.

- Żałuję, że nie możemy zapewnić odpowiedniego zakwaterowania na czas pańskiego pobytu. Nie dysponujemy kompletnymi danymi na temat waszych potrzeb.

- Nie potrzebuję zakwaterowania. Moja wizyta będzie krótka. Nie macie dokładnych danych, ponieważ prosiliśmy Ctencri, żeby ich wam nie podawali.

Przynajmniej nie sili się na uprzejme kłamstwo, pomyślał Meredith. To mile widziana zmiana.

- Rozumiem. Czy mógłby pan wyjaśnić, dlaczego? Przecież jesteśmy teraz sąsiadami.

Może się zdarzyć, że wasz statek rozbije się kiedyś na naszym terytorium lub odwrotnie.

- Ten argument jest jednokierunkowy. Gdyby statek Rooshrike znalazł się w niebezpieczeństwie na tym obszarze, wysłalibyśmy zespół ratunkowy z wewnętrznej planety.

- Macie kolonię w tym systemie? - ostrożnie zapytał Meredith. Ctencri nic o tym nie wspominali.

- Tylko bazę z kopalnią. Powierzchnia jest zbyt sucha, żeby można było skolonizować planetę. Baza jest odpowiednio chroniona przed atakiem.

Meredith nie skomentował tego. Zaprzeczenie, jakoby Astra miała jakiegokolwiek zapędy militarystyczne, mogłoby zostać błędnie zinterpretowane.

- Rozumiem. Mogę zapytać, jak długo zamierza się pan tu zatrzymać? Chciałbym oprowadzić pana po naszej kolonii i pokazać urządzenia, które instalujemy, żeby eksploatować pobliskie złoża minerałów. - Nagle przyszło mu coś do głowy. - Sądzę, że miał pan na myśli płynną siarkę, mówiąc o zbyt suchej bazie. Nasze analizy wykazały, że siarka jest trzecim pod względem ilości pierwiastkiem na tej planecie. Może kiedy już uruchomimy sprzęt wydobywczy i sortowniczy, będziecie zainteresowani handlem z nami.

Nastąpiła długa cisza. Tak długa, że Meredith posądzal translator o kłopoty z przekładem. Zastanawiał się już nad wyrażeniem swojej propozycji w inny sposób, kiedy Beaki wreszcie się odezwał.

- Proszę wybaczyć nieporozumienie - powiedział, splatając ręce z tyłu. - Nazywam się Beaki nul Dies na. Nie wiedzieliśmy, że reprezentujecie wolną kolonię.

Myśleliśmy, że podlegacie rodzinnej planecie albo jesteście zesłańcami. Przepraszamy,- W porządku - zapewnił go Meredith.

Co go przekonało, że tak nie jest? pomyślał. - To, że zaproponowaliśmy mu handel siarką?

Żałował, że nie otrzymali od Ctencri więcej danych na temat psychologii Rooshrike.

- Ludzkie systemy polityczne i organizacyjne są trudne do zrozumienia nawet dla nas, a co dopiero dla Obcych. Wydaje mi się, że Ctencri niewiele wam o nas powiedzieli?

- Ctencri nie dają informacji za darmo. Ustaliliśmy tylko, że nie jesteście dla nas zagrożeniem, nawet gdybyście byli zesłańcami, ale nie udało nam się dowiedzieć niczego więcej.

- Hmm. Ctencri żądają za dużo?

- Ctencri to oszuści - stwierdził stanowczo Rooshrike. - Może są wspaniałomyślni w stosunku do was, bo jeszcze was nie znają i nie wiedzą, czego mogą żądać. Jednak już wkrótce przekonacie się, tak jak i my, że są zainteresowani tylko budowaniem własnej potęgi i rozszerzaniem wpływów.

- Sami też kiedyś tacy byliśmy. Jak tylko się tu urządzimy, Ctencri zobaczą, że nie tak łatwo nas oskubać. - Nagle Meredith przypomniał sobie o obowiązkach gospodarza i wskazał na samochody. -

Mogę panu zaproponować przejażdżkę po naszej bazie? Jestem pewien, że Ctencri nie powiedzieli wam nic o naszych planach co do Astry. I nie pobierzemy opłaty za zwiedzanie.

- Zgadzą się. Może Beaki zrozumiał żart, ale nie dał tego po sobie poznać. - Wolałbym jednak użyć mojego pojazdu, jeżeli nie macie nic przeciwko temu.

Meredith wzruszył ramionami, starając się nie dopatrywać w tej propozycji jakiegoś podstęp.

- Nie mamy nic przeciwko temu. Możemy jechać, jak tylko będzie pan gotowy.

Wyprawienie pojazdu ze statku zajęło tylko kilka minut. Z zewnątrz wehikuł przypominał skrzyżowanie poduszkowca z łodzią motorową o grubych wysięgnikach.

Dopiero kiedy weszli do środka, Meredith zrozumiał niechęć Obcego do prymitywnych samochodów używanych na Astrze. Kabina pasażerska była wygodna, przestronna i zaciszna, wyposażona w doskonałą klimatyzację, utrzymującą w pojeździe temperaturę panującą na zewnątrz. Wehikuł miał potężne urządzenia amortyzujące i nie kurzył tak bardzo, jak pojazdy wojskowe, do których przywykł Meredith. Z łatwością pokonywał nawet większe przeszkody.

Eskorta Mereditha ledwo nadążała za nimi samochodami i poduszkowcem. Pułkownik nie przejmował się tym zbyt. Beaki nie martwił się możliwością naruszenia protokołu, a inni żołnierze kontrolowali ich rozmowę przez komunikator Mereditha. Pułkownik nie był więc zdenerwowany, nawet kiedy tracił swoich ludzi z oczu.

Zaskoczyło go tylko, że Beaki prawie wcale nie był zaintrygowany tym, co budowano na Astrze. Meredith planował początkowo tylko półgodzinny wypad do Unie i z powrotem, lecz Rooshrike, bez cienia wcześniejszej oficjalnej sztywności, zadawał pytanie za pytaniem i zanim pułkownik się zorientował, wycieczka zmieniła się w długą wyprawę.

Zwiedzanie zaczęli od szelfu kontynentalnego na wschód od wyspy Martello, gdzie doskonale widać było złoża minerałów kilka metrów pod wodą. Przecięli wąski skrawek lądu, który oddzielał północne ramię Zatoki Płaskiej Stopy od oceanu. Dotarli do osady Wright, gdzie zamierzano sortować i oczyszczać wydobywane minerały. Droga do Unie graniczyła z zatoką i polami uprawnymi. Meredith wygłosił kilkuminutowy wykład na temat specjalnych nawozów, jakich używali. Zakończył monolog, kiedy Beaki wyjaśnił, że jego rasa mało interesuje się uprawą roślin. Na planetach Rooshrike, trzydzieści razy obfitszych w energię słoneczną niż Ziemia, większym problemem było ograniczanie ekspansji roślin, niż ich uprawa. Bardziej zaintrygowała go hodowla ryb w pobliżu Unie. Zatrzymał nawet pojazd i wysiadł. Przykucnął obok przybrzeżnej zagrody z sieci, której szczyt ledwo wystawał z wody i patrzył w głąb zatoki. Meredith wyjaśnił, że bogata w metale woda będzie spływać z pól do zatoki i prawdopodobnie umożliwi tam wzrost alg i bardziej złożonych roślin, którymi będą się żywić ryby.

- Zadajecie sobie wiele trudu, żeby skolonizować tak bezużyteczną planetę - stwierdził Beaki, kiedy jechali w stronę Ceres.

- Jeśli wierzyć Ctencri, może to być jedyna planeta, jaką oprócz Ziemi będziemy mogli zasiedlić - odpowiedział kwaśno Meredith. - Poza tym my, ludzie, bardzo lubimy wyzwania.

Szybko zwiedzili Ceres, gdzie, na szczęście, robotnicy spokojnie pracowali w polu, obeszlili Jezioro Kropli Łzy i skierowali się na południe w kierunku Crosse, do założonej u zbiegu rzek drugiej hodowli ryb.

Podczas podróży Meredith sporo dowiedział się o Rooshrike.

Byli względnie młodą rasą, technologicznie o osiemdziesiąt do trzysta lat za innymi rasami zdolnymi do podróży kosmicznych w tym regionie. Często traktowano ich protekcyjnie jako

najmłodszych członków sześciorodowego stowarzyszenia handlowego. Mimo że bardzo szybko zbudowali imperium dwudziestu kolonii i baz, zawsze mieli poczucie, że żadna rasa nie uważała ich za poważnego partnera. Beaki nie powiedział tego wprost, ale Meredith wyczuł zadowolenie Rooshrike z tego, że istoty przybyłe z Ziemi Zajmowały miejsce na samym dole hierarchii.

- Dobrze, że żadna rasa zbyt nie wyprzedza innych - zauważył Meredith w trakcie rozmowy. - Jednak wydaje się to dziwne, skoro życie miało tyle czasu na rozwinięcie się we wszechświecie.

- Zrządzenie losu - powiedział Beaki, spoglądając przez boczne okno. - Sto czterdzieści milionów lat temu wybuch supernowej znacznie zwiększył promieniowanie kosmiczne w tym rejonie. Spowodowało to gwałtowną mutację wirusów i drobnoustrojów, zniszczenie ochronnych warstw atmosfery i masowe wymieranie dużych organizmów wskutek uszkodzenia tkanek. Inteligentne istoty, które przetrwały, straciły całą technologię i teraz są jeszcze bardziej prymitywne niż wasza rasa.

- Wydaje mi się, że mogli zachować część swojej wiedzy.

- Ale nie mogli użyć tych samych materiałów. Metale zostały przetworzone do takiej postaci, że nie potrafiono ich już wykorzystać za pomocą prymitywnej technologii.

Meredith westchnął. Znowu metal i jego brak. Podniosło go to na duchu.

- Podobno istnieją bardziej zaawansowane rasy - ciągnął Beaki - ale są daleko i niewielu się na nie natknęło. Mało się nimi interesują, podobnie jak my rasami niezdolnymi do podróży kosmicznych.

- Mhm.

Może to i dobrze, - pomyślał Meredith.

Próbował dowiedzieć się czegoś o innych rasach, lecz z tym nie poszło mu już tak łatwo. Nie wiedział, czy Beaki nie był zainteresowany rozmową na temat ich partnerów handlowych, czy też już wcześniej doświadczył nieprzyjemnych skutków udzielania informacji za darmo. Pułkownik ustalił tylko nazwy innych ras, ich rozmieszczenie i w kilku przypadkach krótki opis wyglądu. Najbardziej zaintrygowali go Pomowie, istoty żyjące w morzu, podobne do delfinów o chwytnych mackach. Mereditha przekonywano, że zaawansowana kultura nie mogła istnieć bez ognia, ale Beaki nie chciał powiedzieć, czego Pomowie używali w zamian.

- Jedna rzecz mnie zastanawia - stwierdził Meredith, gdy wrócili na lądowisko, a Beaki wprawdzie zatrzymał pojazd pod dźwignicą swojego statku. Mówiłeś, że granice terytorium Pomów leżą zaledwie o kilka lat świetlnych stąd. Skoro interesują was tylko gorące planety typu merkuriańskiego, a Pomowie żyją w wodzie, dlaczego tereny waszych imperiów nie nakładają się na siebie? Na pewno w waszym regionie są planety, które Pomowie mogliby zasiedlić i na odwrót. Obie strony zrobiłyby na tym doskonały interes.

- Kiedyś zrozumiecie, że w międzygwiazdnej społeczności liczą się tylko dwie rzeczy: informacja i surowce - powiedział Beaki, kiedy wysiedli z pojazdu i skierowali się w stronę wejściowej rampy. - Wszystkie planety na terytorium danego ludu, niezależnie od tego, czy nadają się do kolonizacji, czy nie, posiadają złoża minerałów. Dlatego są tak dobrze strzeżone.

- Chyba taniej byłoby założyć kopalnie na planetoidach, niż wyciągać surowce z pola grawitacyjnego planety - zauważył Meredith.

- Na pewno, ale pasy planetoid występują rzadko.

- Aha. - Nagle wpadła Meredithowi do głowy pewna myśl: delegacja Ctencri w Układzie Słonecznym przypadkowo poruszyła kwestię praw do wydobywania surowców w tym rejonie. Pułkownik postanowił wysłać na Ziemię ostrzeżenie przed możliwą próbą oszustwa. - O ile sobie

przypominam, umowa gwarantuje nam prawo do planetoid w tym systemie.

- To prawda. Ale możecie się rozczarować. Bogate w metale planetoidy o dużej gęstości, których eksploatacja jest najbardziej korzystna, są bardzo rzadkie w tym rejonie.

Meredith skrzywił się. Zastanawiał się, jaka część osiemdziesięciu milionów dolarów poszła na prawa wydobywania surowców.

- Wy najwyraźniej nie mieliście kłopotów z opanowaniem zasad ryzykownych interesów.

- Ctencri są dobrymi nauczycielami, ale ich lekcje dużo nas kosztowały.

- Dziękuję za ostrzeżenie. My, ludzie, uważamy się za równie dobrych biznesmenów.

- Być może nimi jesteście. Beaki zatrzymał się na brzegu rampy i wykonał zamaszysty ruch ręką w poprzek torsu kombinezonu. - Gdybyście byli zainteresowani kupowaniem od nas metali, nasza rafineria może wam ich trochę dostarczyć.

- Na pewno jesteśmy zainteresowani przedyskutowaniem tej sprawy - powiedział Meredith. - A wy zastanówcie się nad naszą propozycją sprzedaży siarki i innych minerałów, które będziemy wkrótce wydobywać.

- Przekażę waszą ofertę odpowiednim konsultantom. Żegnam.

Rooshrike odwrócił się, wszedł na rampę i zniknął we wnętrzu statku. Żołnierze Mereditha, oczekujący w odległości pięćdziesięciu metrów, podjechali bliżej, żeby pułkownik mógł wsiąść do samochodu. Po kilku minutach pędzili już w stronę wieży kontrolnej, aby znaleźć się w bezpiecznym oddaleniu. Niepotrzebnie się martwili; Beaki zaczął z wsunięciem rampy i rozpoczęciem cyklu kompresji plazmy, aż byli bezpieczni. Na początku statek wznosił się spokojnie. W trosce o nawierzchnię lądowiska Rooshrike nie uruchomił repulserów. Jednak już na wysokości stu metrów z silników buchnął nagle słup ognia, a statek gwałtownie skoczył w górę. Pięć sekund później repulsery popchnęły maszynę naprzód. Po chwili statek zniknął na wschodzie za zamglonym stożkiem wulkanu Mt Olympus.

Porucznik Andrews, który siedział w samochodzie obok Mereditha, zagwizdał z podziwem.

- Albo Rooshrike dysponują bardzo zaawansowaną technologią - stwierdził - albo Ctencri sprzedają nam repulsery sprzed pięciu pokoleń.

- Pewnie jedno i drugie. - Meredith był tak wyczerpany, jakby spędził ranek przed wrogim komitetem w Kongresie. - Chyba starczy nam tej dyplomacji na cały tydzień.

Wracajmy do pracy.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 5

Odlot Beaeckiego zbiegł się z początkiem ponadtygodniowego spokoju na Astrze.

Pozwoliło to Meredithowi ułożyć życie kolonii według pewnego harmonogramu. Nie wiedział, czy działa się tak za sprawą ustępstw na jakie poszedł wobec rebeliantów w Ceres, czy też z powodu wyczerpania koniecznością przystosowania się do dwudziestosiedmiogodzinnego dnia. Jakikolwiek był powód tej chwili spokoju, Meredithowi

Inne wiadomości nie podnosiły go jednak na duchu. Nareszcie odpowiednio wzbogacono glebę w Crosse i można było zacząć uprawę, lecz metale nadal zbyt szybko znikwały z pól. Na biurku Mereditha leżały już stosy propozycji środków zaradczych.

Pułkownik musiał przydzielić dwóch inżynierów majora Browna, dotychczas pracujących na budowie, żeby przeprowadzili analizą tych rozwiązań. Rozpoczęto wydobywanie minerałów z szelfu, ale szybko stało się jasne, że całe przedsięwzięcie będzie gigantyczną stratą pieniędzy, jeżeli Rooshrike nie zaczną kupować produktów końcowych. Zważywszy na niewielkie wsparcie ze strony ONZ, niepowodzenie jedyne projektu, który mógł przynieść zysk, zakończyłoby się bankructwem kolonii. Dla Mereditha byłoby to porównywalne z przegraniem wojny. Oznaczałoby hańbą narodową, za którą nie chciał być odpowiedzialny. Ale jeśli nawet istniał jeszcze inny sposób utrzymania kolonii, ani Meredith, ani pracujący nad tym problemem naukowcy nie potrafili go znaleźć.

Naprawdę cieszą się tylko z cofnięcia zakazu używania pionolotów. Technicy w bazie „Martello” w końcu doszli do wniosku, że wcześniejsze domysły Hafnera były zgodne z rzeczywistością. Najprawdopodobniej jakieś zewnętrzne pole elektryczne spowodowało rezonans pola ochronnego repulserów i wyciek plazmy. Nikt nie wiedział, jak powstało takie pole, ale kiedy pionoloty zaczęły przecinać niebo wzdłuż i w szerz bez najmniejszych kłopotów, nawet Meredith przestał się krzywić na dźwięk ich charakterystycznego gwizdu.

Okres spokoju skończył się dziesiątego dnia.

- A teraz niech pan posłucha, majorze: będzie pan spokojnie czekał. Czy to jasne?

Żadnego strzelania ani pocisków ogłuszających, nic.

Carmen czekała w biurze Mereditha, aż pułkownik skończy rozmowę. Kipiała ze złości na Cristobala Pereza. To prawda, że numer telefonu pułkownika był zastrzeżony, a jej biuro znajdowało się blisko jego biura - lecz mimo wszystko Perez powinien zadzwonić do oficera służbowego, zamiast wciągać ją w coś, co jej nawet nie dotyczyło.

- Chyba że zaczną tłuc coś więcej niż szyby w oknach - krzyknął Meredith do słuchawki. - Proszę ich tylko obserwować i informować mnie o wszystkim, jasne?... dobra, koniec. - Pułkownik zmiał w ustach przekleństwo i wyłączył telefon. - Kretyn - rzucił, potrząsając głową. - Ta planeta składa się głównie z krzemu, a on się martwi o kilka okien.

Spojrzał na Carmen i natychmiast zmienił ton.

- Mówiła pani, że ma wiadomość od Pereza.

- Tak, pułkowniku. Zacisnęła zęby i ciągnęła dalej. - Pan Perez zadzwonił do mnie kilka minut temu i przedstawił kilka sugestii...

- Chciała pani powiedzieć „żądań” - przerwał Meredith

- Nie wiem, sir. Dla mnie brzmiały raczej jak sugestie.

Meredith mruknął tylko i zostawił ten temat.

- Dobra, proszę mi o nich powiedzieć i skończmy z tym wreszcie.

- Przede wszystkim ponowił propozycję odebrania majorowi Dunlopowi dowództwa w Ceres.

Lista nie była długa, a Carmen starała się przekazać wszystko jak najkrócej i najdokładniej.

Kiedy skończyła, Meredith znowu mruknął.

- Tak się składa, że ciągle się jeszcze zastanawiam, co zrobić z majorem Dunlopem - powiedział.

- Odebranie mu dowództwa to jedna z możliwości, ale nie dam się popędzać jakiemuś zawodowemu awanturnikowi.

Carmen zmarszczyła brwi.

- Sir?

- Co, nie wie pani? Pani przyjaciel Perez należy do nowego pokolenia wszędobylskich wykształconych obrońców praw mniejszości latynoskiej. Nie ma dużego doświadczenia, ale jest cholernie dobry. Potrafi świetnie przemawiać, zwraca uwagę tłumy i liberalnych środków masowego przekazu. Nie wiem, co za zakuty łeb pozwolił mu przyjechać na Astrę, ale ja zamierzam jak najszybciej odesłać go z powrotem do Arizony.

- Rozumiem. - Obecność Pereza mogła się okazać użyteczna; może nawet z kilku powodów. - Pułkownik... zastanawiał się pan nad pomysłem utworzenia cywilnej rady miejskiej? Myślą, że rozładowałyby to trochę napięcie, gdyby ogłosił pan...

- Pani Olivero głos Mereditha był miękki i irytująco cierpliwy. - Prace rolne w Crosse są opóźnione o trzy dni względem planu, prace na lądowisku „Martello” są wstrzymane do czasu, aż major Brown ustali, czy powinniśmy się zabezpieczyć na wypadek ataku Rooshrike, a około trzydziestu procent moich żołnierzy zajmuje się utrzymywaniem porządku.

Mówię ostatni raz: nie możemy marnować czasu pracowników na tego typu farsę. Czy to jasne?

- Tak, sir - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

- To dobrze. Proszę poinformować Pereza, że przekazała pani jego wiadomość.

Następnym razem, gdy zechce coś powiedzieć, niech złoży pisemny wniosek. To wszystko.

Carmen bez słowa opuściła pokój, opierając się chęci trzaśnięcia drzwiami.

Oczywiście rada miejska zajmowałaby czas, ale niepokoje społeczne też to robiły.

Na dłuższą metę korzyści z takich instytucji przewyższyłyby ich koszty; znała wyniki badań, które to potwierdzały. Dlaczego pułkownik nie chciał chociaż spokojnie przemyśleć jej propozycji?

Czy czuł wstręt do cywilnej polityki, podobnie jak wielu innych zawodowych żołnierzy, których znała? Albo...

A może działa się tak, bo była Latynoską?

- Przepraszam bardzo!

Zatrzymała się gwałtownie i skupiła uwagę na mężczyźnie, który stanął między nią a drzwiami wyjściowymi biura.

- Tak...? - zapytała, zastanawiając się, gdzie go już widziała.

- Jestem doktor Peter Hafner - przedstawił się. - Geolog. Widziałem panią z pułkownikiem Meredithem, kiedy nazajutrz po moim przyjeździe przyszedłem zapytać o pionoloty.

Teraz sobie przypomniała.

- Tak, pamiętam. Chciał pan zbadać Mt Olympus.

- Właśnie. Chciałem porozmawiać z pułkownikiem na ten temat. Pionoloty znowu latają, ale ja jestem na dalekim miejscu na liście.

Carmen spojrzała przelotnie na sekretarkę Mereditha i dostrzegła na jej twarzy wyraz

wymuszonego opanowania. Sama kiedyś pracowała jako sekretarka...

- Coś panu powiem - zwróciła się do Hafnera. - Pójdziemy do głównej sali i wytłumaczy mi pan, dlaczego nie wystarczy zwykły samolot albo samochód. Może coś razem wymyślimy.

- No... - spoglądał przez chwilę to na nią, to na drzwi biura Mereditha. - Dobrze. - Zanim dotarli na miejsce, naukowiec zaczął wyjaśniać całą sprawę. - Przede wszystkim musi pani wiedzieć, dlaczego zbadanie Mt Olympus jest tak ważne. Z jakichś tajemniczych powodów do głębokości pięciuset metrów w austriańskiej glebie nie ma prawie żadnych metali, jeżeli wierzyć danym Rooshrike. Wulkan, taki jak Mt Olympus, może nam dać próbki magmy z głębszych warstw planety. I jeżeli znajdziemy tam dużo metalu, będziemy wiedzieli, gdzie najlepiej robić odwierty.

Urwał, żeby nabrać powietrza, co pozwoliło Carmen zadać pytanie.

- Tak, pamiętam. Mówił pan to wszystko ostatnim razem. Ale dlaczego potrzebuje pan właśnie pionolotu?

- W samochodzie nie ma miejsca na rurę wiertniczą i napęd, którą muszę zabrać.

Mogę rozłożyć rurę na kawałki, ale każdy z nich i tak będzie miał prawie pięć metrów. Nie wiem, czy zmieszczą się do Cessny, a gdyby nawet tak było, samolot nie wylądowałby wystarczająco wysoko na stożku. Muszę wylądować pionowo, a to oznacza pionolot.

Weszli do głównej sali, która nie była niczym więcej, jak tylko rozszerzeniem korytarza z kilkoma krzesłami i niskimi stołami. Przy jednym z nich siedziało trzech młodszych oficerów zajętych rozmową. Carmen wybrała stolik jak najdalej od nich i usiadła.

Geolog zajął miejsce naprzeciwko i patrzył na nią wyczekująco.

- Przede wszystkim - powiedziała - nie mogę zbyt dużo zrobić w tej sprawie. Z technicznego punktu widzenia jestem tu cywilem i nie mieszczę się w hierarchii wojskowej.

Machnął ręką.

- Najwyraźniej jednak pułkownik chętnie słucha pani propozycji. To dla mnie ważniejsze, niż jakaś tam hierarchia.

Najpierw Perez, pomyślała Carmen, a teraz on. Co ja takiego, u diabła, robię, że wyglądam na taki autorytet?

- Poza tym - ciągnął Hafner - z cywilami lepiej mi się rozmawia. Czasami wydaje mi się, że wojskowe procedury wymyślono specjalnie po to, żeby wprawiać w zakłopotanie i onieśmielać wszystkich spoza sekretnego klubu żołnierzy.

Carmen zaświtało coś w głowie.

- Ma pan trudności z przystosowaniem się do wojskowych reguł? - zapytała od niechcienia.

Hafner głośno wypuścił powietrze.

- Miałem mniej problemów z władzami miejskimi w Los Angeles. Właśnie dlatego przychodzę do biura pułkownika Mereditha. Nie mogę nic załatwić normalną drogą.

- Znam ten ból - przytaknęła. - Ja przez większą część sześciu miesięcy mojego pobytu tutaj nie mogłam sobie znaleźć miejsca. - Urwała na chwilę. - Właściwie dużo o tym ostatnio myślałam. Może powinniśmy zorganizować obywatelską radę miejską, która...

zbierałaby skargi i pośredniczyła w rozmowach między wojskiem a cywilami?

- Brzmi nieźle - powiedział Hafner. Spojrzał na nią. - Ale... nie miała pani na myśli siebie i mnie, prawda?

Roześmiała się.

- Nie. Nie staram się zrobić z pana wiceprzewodniczącego ani nikogo w tym rodzaju.

Obawiam się, że pułkownik jeszcze się tym nawet nie zajął. Uważa, że byłoby to marnowaniem cennego czasu pracowników.

- Jeżeli ułatwi to współpracę, to się opłaci na dłuższą metę - mruknął Hafner.

Odchylił się do tyłu i lekko uśmiechnął, zgadując jej intencje. - Więc chce pani, żebym użył swojego autorytetu naukowca i przekonał pułkownika do tego pomysłu?

- Mniej więcej - odrzekła mile zaskoczona, że zrozumiał tak szybko. - Ale nie musi pan udawać, że nagle wpadł pan na taki pomysł. Wystarczy, jeśli nakłoni pan jak najwięcej naukowców, żeby wsparli mój plan. Tak naprawdę to wy tu jesteście najważniejsi, a pułkownik wie o tym.

- A jak pułkownik już się na to zgodzi, co wtedy? Wahala się tylko przez chwilę.

- Wtedy załatwię panu pionolot.

- Umowa stoi - powiedział Hafner i podniósł się z miejsca. - Zajmę się tym od razu.

Gwiżdżąc jakąś melodię z lat dziewięćdziesiątych, zniknął w korytarzu.

Carmen posiedziała jeszcze chwilę i wróciła do biura. Nie wiedziała, co na to powie Meredith. Przypuszczała jednak, że naukowcy nakłonią pułkownika, przynajmniej do wypróbowania tego pomysłu. A kiedy już założą radę, wszystko będzie w porządku.

Była o tym przekonana.

A kiedy wszystko się ułoży na Astrze... ona będzie musiała skombinować pionolot dla Hafnera. Wszystko w porządku, poradzi sobie.

Jakoś.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 6

-...a wybory odbędą się dokładnie za dwa tygodnie. Okres kadencji wyniesie sześć miesięcy.

Meredith spojrzał chłodno znad ekranu komputera. Carmen wydawało się, że temperatura w pokoju spadła o kilka stopni.

- Może być?

- Tak, sir - odpowiedziała bez zastanowienia. Bardziej by ją zadowolili dłuższy okres przedwyborczy, ale dopóki rada była tylko organem doradczym, nie miało większego znaczenia, kto w niej zasiądzie. - Dziękuję, że zgodził się pan wypróbować ten pomysł. Nie będzie pan żałował.

Meredith odchylił się w fotelu i zmierzył ją spojrzeniem.

- Szkoda, że nie zaciągnęła się pani do wojska, Olivero. Pani pewnością siebie sprawiłaby, że dowódcy albo by panią uwielbiali, albo nie mogliby się doczekać przeniesienia. - Ponieważ nie skomentowała jego słów, dokończył: - Ja nie mam takich uprzedzeń. Przechylił się do przodu i przez chwilę pisał coś na komputerze. - Dlatego poddam panią poważnej próbie. Od tej chwili jest pani odpowiedzialna za radę miejską: za jej organizację, wybory, procedury, za wszystko. Wyczytałem w aktach, że może się pani pochwalić pewną znajomością prawa, więc jest pani odpowiednią osobą na to stanowisko.

Oczywiście zajmie się tym pani w czasie wolnym od pracy.

Carmen zdenerwowała się, ale mogła się czegoś takiego spodziewać. Przyparła pułkownika do muru, a teraz się na niej mścił.

- Rozumiem, sir - powiedziała.

- To dobrze. Taki departament organizacyjny na pewno spowolni prace na Astrze w stosunku do przyjętego harmonogramu. Po dwóch tygodniach, według naszych obliczeń, będziemy mieli pięć dni opóźnienia. Jeżeli kiedykolwiek przekroczy ono dziesięć dni, rada miejska zostanie bezwarunkowo rozwiązana. W przypadku wyprzedzenia harmonogramu, przyjdzie pani do mnie i zastanowimy się, czy zwolnić pani z obowiązku nadzorowania prac rady, czy zmniejszyć pani oficjalne obowiązki. W porządku?

- W porządku, pułkowniku - powiedziała, mile zaskoczona. Mimo wszystko postępował rozsądnie. - Dziękuję, sir.

Na ustach Mereditha pojawił się drwiący uśmiezek.

- Wystarczy, że zapamięta pani, jak to jest, kiedy się próbuje pracować po czterech godzinach snu. Może pani odejść.

Zgodnie z oczekiwaniami doktor Hafner siedział już w poczekalni przed biurem.

- I co? - zapytał, podnosząc się.

- Załatwione - powiedziała. - Zrobił większość rzeczy tak, jak proponowałam.

- Świetnie. - Otworzył drzwi i wyszli razem na korytarz. - Więc... kiedy dostanę pionolot?

- Dobrze się panu pracuje wczesnym rankiem i w ciągu długiego dnia?

- Od lat nie robię nic innego.

- To dobrze. Proszę czekać z całym sprzętem w bazie „Martello” jutro o czwartej rano.

Sądzi pan, że możemy wszystko załadować sami?

- Tak, jeśli użyjemy podnośnika. - Spojrzał na nią zdziwiony. - Pani też jedzie?

- Chyba muszę, bo to ja będę pilotować pionolot.

Hafner zatrzymał się.

- Pani?

- Tak. Musieliśmy wziąć udział w przyspieszonym kursie pilotażu, kiedy „Celeritas” został zaatakowany i obawiano się wojny. Nie mam dużego doświadczenia, ale za to odpowiednie kwalifikacje, a pionoloty są łatwiejsze w obsłudze niż zwykłe samoloty.

Większość operacji jest wykonywana automatycznie.

- Słyszałem o tym. - Hafner nadal nie wyglądał na zadowolonego. - Proszę posłuchać... nie wątpię, że jest pani w stanie...

- A jeśli nie zrobimy tego w ten sposób, będzie pan musiał poczekać na swoją kolej spokojnie powiedziała Carmen - bo nie mogę załatwić pionolotu razem z zawodowym pilotem, nie robiąc z tego powodu ogromnego zamieszania.

Hafner zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział z drwiącym uśmiechem:- Cóż, skoro tak to pani ujęła, zgadzam się. Do zobaczenia o czwartej.

Informacja wywieszona na widocznym miejscu na tablicy ogłoszeń w Ceres była zaskakująca, chociaż Pereza bardziej zdziwił widniejący na niej podpis współorganizatora. A więc Carmen Olivero zajęła się tą sprawą. Miał nadzieję, że jego naciski odniosą wreszcie skutek, lecz nie spodziewał się tak szybkiej reakcji. - Widzisz, Carmen? Mimo tylu lat w Ameryce, w głębi duszy jesteś łąka jak my wszyscy. Latynoska krew nie słabnie wraz z odległością, - pomyślał.

Jeszcze raz przeczytał ogłoszenie, tym razem dokładniej. Przynajmniej Meredith nie zmienił poglądów. Członkowie rady mieli być tylko papierowymi działaczami o nieco poszerzonych uprawnieniach. Ich zdanie nie mogło się liczyć bardziej, niż teraz poglądy dowolnej dziesięcioosobowej grupy. Ale wszystko było w porządku... bo w końcu miało się to zmienić.

Perez odwrócił się i ruszył w stronę centrum rekreacyjnego, gdzie zbierali się robotnicy po drugim dniu pracy. Tysiąc pięciuset cywili będzie reprezentowanych przez dwóch członków rady...

A jednym z nich, - przyrzekł sobie Perez, - zostanie on sam.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 7

Astriańskie słońce świeciło nad wschodnim horyzontem, kiedy Carmen zwolniła przepustnicę, a pionolot gładko wzbił się w powietrze. Hafner przyglądał się wyświetlaczom i miernikom, gdy jego towarzysza zmieniała tor lotu z pionowego na poziomy. Nawet jeśli ten manewr był skomplikowany, nie odczuł tego. Wręcz przeciwnie: im dłużej naukowiec przyglądał się Carmen, tym większą zyskiwał pewność, że do pilotażu wystarczyło tylko kilka z wielu przycisków kontrolnych. Zastanawiał się, do czego służyły pozostałe, ale podświetlone napisy raczej dezorientowały, niż wyjaśniały cokolwiek. W końcu dał sobie spokój z domysłami i zapytał o to Carmen.

- Większość z nich używana jest tylko w przestrzeni kosmicznej - powiedziała, przekrzykując niskie dudnienie repulserów.

- Aha.

Przynajmniej dziś nie będą wykorzystywać tej opcji, - pomyślał Hafner.

- Zdecydował pan już, gdzie będziemy lądować? - zapytała Carmen.

- Jeżeli mamy trochę czasu, chciałbym najpierw okrążyć stożek. Muszę znaleźć dobry teren do zebrania próbek.

Kiwnęła głową i przez kilka minut żadne z nich się nie odzywało. Hafner patrzył przez okno i podziwiał krajobraz. Na południu widać było brązowawe bloki Unie na nieco ciemniejszej ziemi, a dalej odcinały się kolorystycznie białe szczyty Gór Kaf.

Hafner wiedział, że działo się tak głównie za sprawą specyficznego układu cieni i innych efektów optycznych. Żadnej czerwieni związków żelaza ani zieleni związków miedzi. Cały teren miał wyblakły, nieciekawo kolor hawajskiej plaży. Spojrzał w kierunku Crosse... i zmrużył oczy.

- Carmen - zawołał - możesz polecieć kawałek w kierunku Crosse?

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Jasne. Coś nie tak?

- Chyba widziałem zarys płytkiego okrągłego zagłębienia pomiędzy rzeką a drogą z Unie do Crosse. Chcę się temu lepiej przyjrzeć.

- Co to jest, wygasły wulkan czy coś podobnego? - zapytała Carmen i skierowała pionolot we wskazanym kierunku.

- Raczej stary krater meteorowy - powiedział, patrząc w dół. - Trochę wyżej proszę... tak... a niech to. Tak, teraz w porządku. Ma tak regularny kształt, że nie może to być nic innego. Dziękuję, możemy lecieć dalej.

Pionolot przechylił się lekko na jej stronę. Hafner spostrzegł, że Carmen też zerknęła na krater, zanim maszyna wróciła do poziomej pozycji.

- Wygląda pan na zdenerwowanego - zauważyła nieśmiało. - Martwią pana meteoryty?

- Tak, ale nie jest tak, jak pani myśli. - Wskazał dłonią w kierunku okna po jej stronie.

- Jezioro Kropli Łzy koło Ceres. Na zdjęciach satelitarnych widać, że jest to okrągłe zagłębienie zniekształcone przez wody wpadających i wypływających z niego rzek.

Morze Martwe na południowy wschód od Mt Olympus to też krater, tyle że zdeformowany przez uskoki. Nawet na środku Zatoki Płaskiej Stopy odkryłem głęboki okrągły teren.

Przez ostatnie pół miliona lat ta planeta była dosłownie zasypywana skałami. Nie dziwi mnie to, skoro pas planetoid jest tak blisko. Tylko gdzie się podział cały metal z tych meteorytów?

Spojrzał na nią i z zadowoleniem spostrzegł, że zmarszczyła czoło. Przynajmniej zrozumiała, na

czym polegał ten paradoks. Niektórym nawet to się nie udawało.

- Więc... może dane Rooshrike są błędne.

- To najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie - zgodził się Hafner. - Problem polega na tym, że przeprowadziliśmy własne analizy. Nasz sprzęt nie wystarczył do testów na głębokości pół kilometra, ale meteoryt, który wykopał zatokę, powinien przecież zostawić ślady po sobie i w wyższych warstwach gleby.

- To może planetoidy, które spadły na Astrę, też nie zawierały metali - rozważała głośno. - Jeżeli cały system powstał z tej samej chmury pyłu... nie, to nie tak, prawda?

- Rzeczywiście, jeśli wiemy, że Rooshrike wydobywają metal na innej planecie tego układu - przytaknął Hafner. - Poza tym ekspertyza niektórych mniejszych planetoid wykazała, że jest tam dosyć metali. Cokolwiek się wydarzyło, wydarzyło się tylko na Astrze. Przez następne kilka minut lecieli w ciszy. Przed nimi zamglony stożek Mt Olympus stawał się coraz wyraźniejszy. Światło słoneczne padało na wulkan pod małym kątem.

Początkowo widać było tylko ogólne zarysy, ale już po chwili uwidoczniły się drobne szczegóły powierzchni zboczy. Hafner przyglądał się temu z zainteresowaniem.

Starał się ustalić, jaki rodzaj lawy je uformował. Były strome, co sugerowało przepływ lepkiej magmy.

Na Ziemi oznaczałoby to przewagę skał andezytowych. Z drugiej jednak strony dostrzegał mało charakterystycznych cech powierzchni, które zwykle towarzyszyły tej lawie.

Co prawda wulkan był uspiiony od dawna i erozja mogła takie ślady usunąć. Jak zawsze w geologii, najlepiej się o wszystkim przekonać podczas odwiertu i badania skał.

- Może jakiś nietypowy proces rozkładu metali? - zapytała nagle Carmen. - Na przykład rozszczepianie jąder atomowych albo produkowanie w ten sposób energii przez jakiś organizm.

- Energia wiązań chemicznych jest dużo bezpieczniejsza - mruknął Hafner. Ciekawa hipoteza... ale szybko znalazł jej słaby punkt. - Tak mogłyby zniknąć tylko cięższe metale.

Sód jest zbyt lekki, aby można go było w ten sposób rozłożyć, a na Astrze też go nie ma.

- Aha. Chwileczką. Spojrzała na niego z zaskoczeniem. - Nie ma sodu? Myślałam, że astriańskie oceany są słone.

- Niezupełnie. W wodzie jest dużo rozpuszczonych związków, ale żadnego z nich nie można uznać za sól. Sól tworzy się przez zastąpienie atomu wodoru w cząsteczce kwasu przez atom jakiegoś metalu, na przykład z kwasu chlorowodorowego powstaje chlorek sodu.

Bez metali kwasy albo nie wchodzi w reakcje, albo tworzą związki z tlenem i krzemem. - Hafner potrząsnął głową. - Mamy tu do czynienia z prawdziwie dziwną chemią.

Związki, które na Ziemi mogłyby istnieć tylko przez chwilę, po prostu czekają, aż je zbadamy. Od czasu naszego przyjazdu odkryliśmy chyba z osiemnaście nowych związków węgla.

- Coś cennego?

- Pod względem przydatności na Ziemi? Nie, jeszcze nie. Ale dotąd nawet nie zadrapaliśmy powierzchni. Coś znajdziemy. Jestem tego pewien.

- Mam nadzieję, że się pan nie myli. - Umilkła na chwilę. - Dobra, zaczynam okręzać stożek zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Proszę szybko znaleźć właściwe miejsce, bo niedługo musimy zwrócić pionolot.

- Dobrze.

Wzrok Hafnera przykuł metaliczny błysk kilka kilometrów na południe od stożka.

Już otworzył usta, żeby podzielić się swoim odkryciem z Carmen, gdy zrozumiał, co to było. Pomimo rzadkości występowania metali, nikt nie kwapił się do pozbierania resztek stali i magnezu porzucanych po katastrofie pionolotu Dwa. Wzdrygnął się i szybko odwrócił wzrok w stronę wulkanu.

Nie zrobili jeszcze nawet pół okrążenia, kiedy Hafner znalazł dogodne miejsce do pobrania próbek: małe wybrzuszenie w połowie stoku, które mogło wskazywać na stare ujście lawy.

- Tam - wskazał. - Nachylenie - wynosi co najmniej dziesięć stopni. Poradzimy sobie z lądowaniem?

- Bez problemu - odpowiedziała.

Włączyła napęd pionowy i głuchy pomruk silników zamienił się w gwizd. Po trzech minutach już byli na ziemi.

Sprzęt Hafnera był duży, ale niezbyt ciężki. W piętnaście minut wyładowali go z pionolotu i przenieśli poza zasięg repulserów.

- Poradzi pan sobie? - zapytała, kiedy przeniósł już cały ładunek.

- Nic mi nie będzie - zapewnił. Nie po raz pierwszy jestem na całodniowej ekspedycji.

- Dobrze. Przylecę po pana około dwudziestej. Do zobaczenia.

Wróciła przed dwudziestą pierwszą, ale Hafner nie przejmował się opóźnieniem. Po zebraniu próbek po prostu usiadł na ziemi i rozmyślał... a myśleć mógł wszędzie.

- Nic - poinformował Carmen, po wystartowaniu. - Sprawdziłem sześć próbek i nie znalazłem ani śladu metalu.

- Więc nie ma ich w astriańskiej magmie? - zapytała.

- Nie wiem. Może zebrałem nietypowe próbki. Skała była wprawdzie kiedyś wystawiona na działanie wysokiej temperatury, ale nie stopiła się zupełnie. I nie wiem, jak to wyjaśnić. Czy możemy jeszcze raz okrążyć stożek? Skoro już tu jesteśmy, chciałbym poszukać innego miejsca do badań.

Zgodziła się, a pionolot przechylił się lekko.

- Obawiam się, że będzie pan mógł tu wrócić dopiero za miesiąc. Nie wydaje mi się, żebym mogła znowu załatwić pionolot.

Mruknął z niezadowoleniem.

- Jeżeli próbki nie wykazanie obiecującego, potrwa to znacznie dłużej.

Przez chwilę w ciszy przypatrywał się powierzchni planety. Przed nimi w świetle kończącego się dnia błyszczwały błękitne wody Morza Martwego. Kilka kilometrów na zachód naukowiec znowu dostrzegł szczątki pionolotu Dwa. Po prawej stronie, na tle wielobarwnego wieczornego nieba widać było Mt Olympus. Hafner zauważył, że południowe zbocza wulkanu nadawały się do wspinaczki. Informacja ta mogła się jeszcze kiedyś przydać. W miarę jak pionolot zataczał krąg wokół góry, stożek stopniowo przesłaniał widok na Morze Martwe. Naukowiec rzucił ostatnie spojrzenie... i zamarł.

- Carmen, możemy na chwilę polecieć z powrotem na wschód? Zauważyłem coś ciekawego.

- Co takiego? - zapytała, przechylając pionolot na lewo.

- Zaraz wszystko wyjaśnię. Chwilę później wyrównali lot, a Hafner znowu zobaczył Morze Martwe. - Proszę spojrzeć - powiedział. - Tam, na północno-zachodnim wybrzeżu.

- Ma pan na myśli ten biały osad? Wygląda jak złoża minerałów.

- Właśnie. Podobnie jak Morze Martwe na Ziemi, ten zbiornik nie ma żadnych odpływów, więc

zbierają się tam minerały. Kiedy woda paruje, część z nich osadza się na dnie. Ale dlaczego tylko z jednej strony?

- A... dlaczego oceaniczne złoża występują tylko w pobliżu Zatoki Płaskiej Stopy? - zapytała.

- Prawdopodobnie tylko tam są widoczne, bo zbocza szelfu kontynentalnego nie są tam tak strome

- powiedział już mniej entuzjastycznie. - To pewnie coś podobnego.

Wracajmy do domu. Chyba starczy na jeden dzień.

Zjem kolację i pójdę do łóżka, postanowił. Próbki będą musiały poczekać do jutra.

Godzinę później jadł kanapkę przy biurku w laboratorium, a aparatura badawcza pracownicy analizowała zebrane kawałki skał. Wyniki, kiedy wreszcie nadeszły, potwierdziły wcześniejsze przypuszczenia. Brak jakichkolwiek metali w każdej z próbek.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 8

-...i jeśli dowódcy wojskowi nie zaczną się liczyć ze zdaniem ludzi, nigdy nie będzie prawdziwej współpracy i obustronnego poszanowania, które odróżniają naród od zwykłego zbiorowiska ludzi. - Perez odczekał, aż ucichną oklaski pozostałych czterech latynoskich członków Rady.

Meredith skrzywił się, i nacisnął wyłącznik magnetowidu. Obraz zniknął właśnie wtedy, gdy Perez znowu zabrał głos.

- Jest dość dobrym demagogiem, prawda? - zapytał pułkownik.

Carmen siedziała teraz tak samo spięta, jak przedstawiona na taśmie wideo.

- Niewiele mogę zrobić powiedziała. - On jest prawnie wybranym przedstawicielem.

Uważam to za normalne, że mówi w imieniu innych radnych.

Major Brown odchrząknął.

- Wygląda na to, pułkowniku, że pod przykrywką swoich żądań Perez próbuje podburzać do niełojalności w stosunku do nas. Może moglibyśmy na tej podstawie odesłać go na Ziemię.

- Wątpię - potrząsnął głową Meredith. - Powoli zaczynam nabierać pewności, że przysłano go tutaj, żeby nie robił kłopotów w Arizonie.

- Do diabła - krzyknął Brown. - Co to ma być? Kompania i karna?

- Na razie nie. Ale wydaje mi się, że ktoś o tym pomyślał. A może nie zauważyłeś, że dziwnym trafem przysłano nam tu dobrze wyszkolonych naukowców i latynoskich robotników o dużo mniejszych kwalifikacjach?

- Jeszcze miesiąc temu nie było to dla pana aż tak istotne - wtrąciła cicho Carmen.

Meredith spojrział na nią.

- Nie, nie było - powiedział. - Ale od tamtej pory przemyślałem tę sprawę.

Jestem pewien, że przynajmniej w dniu naszego odlotu Kongres nie zdecydował jeszcze, czy ma się nam udać, czy nie. Co najmniej kilkunastu senatorów uważało, że ONZ chce nas ośmieszyć i udziela nam tylko tyle wsparcia, ile potrzeba Stanom Zjednoczonym do podtrzymania decyzji i nie wycofania się przed poniesieniem zbyt dużych strat. Popierała nas większa grupa, ale nawet oni asekurowali się na wypadek, gdyby nam się nie udało. W całym tym zamieszaniu ktoś na pewno wyliczył, że do projektu nie trzeba będzie dopłacić więcej na osobę, niż wynoszą koszty bezpiecznego więzienia. A jeśli uda nam się uprawa roślin, cena spadnie. - Urwał na chwilę. Starał się pozbawić swoją wypowiedź mentorskiego tonu. - Proszę wybaczyć, że atakuję Kongres, Olivero, ale teraz jest już chyba jasne, dlaczego musimy ostudzić demokratyczne zapędy Pereza. Nie chcę, żeby odesłano nas do domu, bo zrobienie czegokolwiek zajmuje nam zbyt dużo czasu. Nie chcę też, żeby ktoś wpadł na pomysł przysyłania tu wszystkich niewygodnych obywateli. Rozumie pani?

- Tak, sir - powiedziała. - Porozmawiam z Perezem i zobaczą, co da się zrobić.

- Będę wdzięczny. Dziękuję, że przyniosła pani taśmę. Zwrócę ją, kiedy nie będzie mi już potrzebna. Może pani odejść.

Kiedy wychodziła, zadzwonił telefon Browna.

- Tak? - zgłosił się major. -...Co?! - Spojrział na Mereditha z niedowierzaniem.

- Baza

„Martello” zawiadamia, że zniknęły wszystkie narzędzia z hangaru pionolotów.

Razem z regałami, na których je trzymano.

Meredith włączył się do rozmowy przez własny telefon.

- Mówi Meredith. Wystawić straż w porcie.

- Już to zrobiliśmy - zapewnił oficer służbowy. - Przeszukujemy wszystko i sprawdzamy, czy zginęło coś jeszcze.

- Dobrze. Major Brown i ja zaraz u was będziemy. Przerwał połączenie i ruszył w stronę drzwi. Brown też już wychodził.

- Dlaczego ktoś miałby zabrać również regały? Musieli je rozebrać, żeby przenieść przez drzwi. Meredith zauważył stojącą w drzwiach Carmen.

- Proszę wracać do swojego komputera - polecił - i umieścić w sieci listę wszystkich narzędzi z tego hangaru z adnotacją, że zostały skradzione.

- Tak jest, sir. - Zmarszczyła brwi. - Nie podoba mi się to, pułkowniku. To nie wygląda na zwykłą kradzież.

- Wszystkiego się dowiemy. Na razie proszę zająć się tą listą. Port leżał w odległości dwóch minut jazdy samochodem z Unie, ale zanim pułkownik, Brown i Andrews dotarli na miejsce, przecucie Carmen potwierdziło się. Zaczęły napływać coraz dziwniejsze doniesienia. W Ceres podczas przygotowywania pod uprawy nowego odcinka pola traktor w tajemniczy sposób zgubił bronę. We Wright buldożer zapadł się pod ziemię w miejscu, gdzie nie było bagniska. Pozostało po nim tylko trochę gumowych części i szkła.

Kierowca był tak zdenerwowany, że trzeba mu było podać środki uspokajające, podobnie jak dwu innym robotnikom, którym zniknęły łopaty podczas próby odnalezienia pojazdu. A baza „Martello” informowała właśnie o zaginięciu wszystkich regałów i dużej części narzędzi. W miejscu, gdzie stały wcześniej półki, pozostawiono poukładane w stosy części zapasowe w kartonach i plastikowych pudełkach.

Pierwszy powiedział to Andrews.

- Chodzi o metal - stwierdził, kiedy wysiedli z samochodu i podbiegli do najbliższej motorówki, znikają wszystkie metalowe części.

- To niemożliwe - powiedział Brown bez przekonania.

- Oczywiście, że tak - zgodził się Meredith, wchodząc na pokład i obracając silnik, żeby umieścić śrubę w wodzie. - Ale tak się dzieje, prawda?

Andrews odcumował i mocno odepchnął łódź od brzegu. Meredith pociągnął starter i zaraz odpłynęli.

Po dwóch sekundach warkot silnika przeszedł nagle w świdrujący pisk, który brzmiał Meredithowi w uszach nawet wtedy, kiedy i z powrotem opuścił przepustnicę. Zaklął, sięgając do startera... ale po chwili zmienił zdanie i znów przekreślił silnik.

Podwodna część urządzenia zniknęła.

Spojrzał na Andrewsa i Browna. Obydwaj gapili się na zniszczony silnik. Wreszcie Andrews popatrzył na Mereditha. Odchrząknął.

- No, tak. Cokolwiek kradnie nam metal, pracuje też pod wodą. Brown nie miał nic do dodania. Wyjęli wiosła - na szczęście były z plastiku - i wrócili na brzeg.

Zamieszanie trwało jeszcze przez trzy godziny. Meredith uznał za niewątpliwą sukces swoich oficerów to, że życie kolonii nie uległo całkowitej dezorganizacji.

Zalążki paniki wśród cywili szybko stłumiono wydawaniem autorytatywnych rozkazów i podawaniem wiadomości z ostatniej chwili. Na szczęście niczyje życie nie było bezpośrednio

zagrożone.

Testy na roślinach i rybach wykazały, że tkanki żywych organizmów nie traciły metali.

Meredith mógł więc zapewnić kolonistów, że nie ma potrzeby ratowania się ucieczką na meble. Kilku ludzi, którzy mimo wszystko wpadli w histerię, przewieziono do lokalnych szpitali, gdzie mogli się nimi zająć lekarze. Dodatkowo odizolowano ich w ten sposób od i tak już poirytowanych sąsiadów. Meredith zamierzał rozesłać żołnierzy w poszukiwaniu sprzętu, który dałoby się jeszcze uratować. Szybko jednak zrezygnował z tego pomysłu.

Metalowe części, które nie miały bezpośredniego kontaktu z powierzchnią planety wydawały się nienaruszone. Na zabezpieczenie czegokolwiek innego było już o wiele za późno.

Wyglądało na to, że cały projekt legł w gruzach. Kiedy to zjawisko wreszcie ustało, pozostała po nim prawie całkowicie zrujnowana kolonia.

Ostateczną listę strat Meredith otrzymał o zachodzie słońca. Treść zawarta w ciasno zadrukowanych stronach raportu komputerowego wprawiła go w stan przygnębienia.

Narzędzia, ciężki sprzęt i części zamienne o wartości blisko pół miliona dolarów, nie licząc kosztów transportu z Ziemi. Westchnął ciężko i spojrzał na czterech starszych oficerów przy swoim biurku.

- Jakież sugestie, panowie?

Major Craig Barner odłożył kopię wydruku.

- Jeżeli chodzi o mnie i kontyngent Crosse, uważam, że sobie poradzimy - powiedział.

- Jeżeli się to nie powtórzy, powinno nam się udać odrobić straty. Jak wiemy, warstwa plastiku na łodziach skutecznie je ochroniła. Może moglibyśmy zabezpieczyć w ten sposób wszystkie pojazdy. A już na pewno nie powinniśmy zostawiać mniejszych przedmiotów na ziemi. Oduczyłem tego mojego brata, gdy miał pięć lat.

- Następnym razem może być znacznie gorzej. Planeta może wyciągać metal nawet z ludzi. - major Dunlop powiódł wzrokiem po zebranych. - Wiecie, jak szybko byśmy wtedy pomarli?

- Więc chce się pan wycofać? - zapytał major Gregory. Meredith przyjrzał mu się uważnie. Zastanawiał się, jakie było jego stanowisko w tej sprawie. Gregory nigdy nie lubił zobowiązywać się do niczego zbyt wcześnie, ale osada Wright ucierpiała bardziej niż baza „Martello”.

- Wycofać się, do diabła? - roześmiał się Dunlop. - Musimy dać nauczkę tym, którzy są za to odpowiedzialni.

- „Tym, którzy są za to odpowiedzialni”? - Brown zmarszczył brwi. - Mam rozumieć, że wini pan za wszystko Rooshrike?

- A kogo innego? Jeszcze nawet dobrze się nie urządziliśmy, kiedy zaczęli tu węszyć.

Pewnie rozsiali jakieś mikrocząstki.

- Dlaczego mieliby zrobić coś takiego? - zapytał Barner. - Płacimy im za to, żeby pozwolili nam tu zostać.

- Nie wiemy, jak funkcjonują ich umysły. - Dunlop wzruszył ramionami. - Może uważają to za jakąś grę wirtualną?

Barner roześmiał się. - To absurd...

- Tematem rozmowy nie jest udział Rooshrike w tym zajściu - przerwał ożywioną dyskusję Meredith. - Zostawmy bezsilny gniew Narodom Zjednoczonym. Musimy się zdecydować, czy powinniśmy przygotować kolonię do powrotu na Ziemię przed przybyciem „Aurory” za pięć dni.

Sygnal dźwiękowy z terminalu zawiadomił go o nadejściu nowych danych. Odwrócił się i przeczytał raport na ekranie. Potwierdziły się jego obawy. Z zaciśniętymi ustami nacisnął przycisk, żeby dostać wydruk. Wręczył kartkę Barnerowi.

- Wyniki badania gleby od doktora Havershama - powiedział cicho.

Barner zaklął i przekazał tekst innym.

- Nie pomyślałem o tym - przyznał, patrząc na Mereditha. - To wszystko zmienia, prawda?

Meredith przytaknął i zaczął, aż wszyscy przeczytają raport. Zniknął cały nawóz, który tak starannie dodawali do gleby na polach.

- No i co teraz? - zapytał po chwili Brown.

- Rośliny uprawne jeszcze się trzymają, lecz nie przetrwają zbyt długo, jeżeli wkrótce nie dodamy więcej nawozu. Mamy nawóz, więc na razie nie będzie z tym problemu. Ale to zużyje przydział na następny rok, więc musimy wyzebrać więcej od Kongresu.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Wydaje mi się - odezwał się w końcu Gregory - że z podjęciem ostatecznej decyzji powinniśmy poczekać na reakcję wojska i cywili.

- Zgadzam się - powiedział Bamer. - Może zorganizujemy jutro wieczorem zebrania miejskie? To powinno złagodzić zdenerwowanie kolonistów. Moglibyśmy zorientować się, jakie panują nastroje, a potem porównać dane.

- Brzmi rozsądnie - zgodził się Meredith. - Czy są jakieś sprzeczności albo inne sugestie?

- Powinniśmy dodać nawozu do gleby - zaproponował Brown. - Jeżeli zdecydujemy się wyjechać, i tak nie zabierzemy go ze sobą na Ziemię.

Meredith skinął głową.

- Wydam odpowiednie polecenia. To chyba wszystko, proszę panów. Będzie lepiej, jeśli wrócą panowie do swoich obowiązków.

Wyszli z pokoju. Meredith znowu wziął do ręki listę strat. Czytał ją teraz dokładniej. Szczególną uwagę zwracał na przedmioty, które komputer zaznaczył jako nie do zastąpienia.

Nie zdążył jeszcze dobrze zapoznać się z raportem, kiedy Andrews przeszkodził mu niemiłą nowiną.

- Pułkownik, Cristobal Perez chce z panem rozmawiać. Mówi, że chodzi o Radę Miejską.

- Jak zwykle. - skrzywił się Meredith. - Dobrze, może pan go wpuścić.

- Tak jest, sir. Aha, jest tu też pani Olivero i doktor Peter Hafner. Czekają już pół godziny.

- Hafner? A, tak - ten naukowiec, który przeforsował pomysł utworzenia Rady.

Pewnie wszyscy przyszli w tej samej sprawie. Wprowadź od razu całą tę bandę - powiedział. - To zaoszczędzi trochę czasu.

- Tak jest, sir.

Meredith spodziewał się, że Perez będzie kipiał z oburzenia. Pomylił się trochę.

Latynos był wprawdzie wściekły, ale starał się panować nad sobą i zachowywać w miarę uprzejmie. Carmen i Hafner natomiast wyglądali raczej na zamyślonych. Pułkownik postanowił przywitać się najpierw z nimi, żeby rozłodzić Pereza. Do zmiany decyzji zmusił go sam Perez, kładąc gwałtownie dłoń na jego biurku.

- Pułkownik Meredith - powiedział chłodno. - Bez powodu przetrzymuje pan ośmiu Latynosów z Ceres i Crosse. Żądam, żeby ich natychmiast uwolniono.

Meredith spojrział na niego.

- Latynosi, o których pan mówi, wpadli w historię i przechodzą właśnie standardową kurację pourazową. Razem z kilkoma Amerykanami, jeśli to pana pocieszy.

- A więc zamyka pan tych, którzy chcą zwrócić uwagę mieszkańców na pańską niekompetencję. Czy tak wyobraża pan sobie odpowiedzialne dowodzenie ludźmi?

Znudzony Meredith potrząsnął głową.

- Co ty, do diabła, chcesz osiągnąć Perez? Ta sztuczka nie przejdzie. Wszyscy na Astrze wiedzą, że trzeba było tych ludzi uspokoić. I w większości przypadków zawiadomili nas ich sąsiedzi.

- Chcę tylko sprawiedliwości i kompetentnych przywódców - powiedział Perez. - Ten incydent ponad wszelką wątpliwość wykazał, że wojsko nie jest w stanie obronić mieszkańców i mienia przed atakiem wroga. Nie otrzymaliśmy żadnego ostrzeżenia, żadnych instrukcji...

- A ta twoja Rada Miejska spisałaby się może lepiej?

- Gdyby dano nam uprawnienia, na jakie zasługujemy...

- Wątpię, czy ktokolwiek mógł coś zrobić w tej sprawie - przerwał Hafner. - Wydaje mi się, że to, co się dzisiaj stało, wydarzyło się już kilka razy w ciągu ostatnich stu tysięcy lat.

Obydwaj spojrzeli na niego. Perez tak, jak gdyby widział go po raz pierwszy.

- Co to miało znaczyć? - zapytał.

- Dokładnie to, co powiedziałem - odpowiedział Hafner. - Coś wysysa metale z astriańskiej gleby i działa się to już przed powstaniem Gór Kaf.

Pułkownik spojrział na Carmen i pytająco uniósł brew.

- Pomyślałam, że powinien pan jak najszybciej wysłuchać teorii doktora Hafnera - powiedziała. - To bardzo ważne i bałam się, że mógłby pan nie otrzymać tej informacji, gdybyśmy nie przekazali jej panu osobiście.

Meredith przytaknął i odchylił się w fotelu. Jeżeli ich wysłucha, zyska trochę czasu, żeby się zastanowić, co zrobić z Perezem.

- Dobrze, doktorze. Przede wszystkim co mają z tym wspólnego Góry Kaf?

- Zbadaliśmy tamtejsze skały i dowiedzieliśmy się dwóch ciekawych rzeczy. Góry są geologicznie młode i powstały już po usunięciu metali z gleby.

- A kto powiedział, że na Astrze były kiedykolwiek metale? - przerwał mu Perez.

- Nie wyjaśnia pan swojej tezy.

Hafner spojrział na niego zirytowany.

- To nie lekcja logiki dla studentów pierwszego roku. Przedstawiam właśnie spójną teorię.

- Jeśli cię to nie interesuje, to możesz wyjść - zaproponował Meredith. Latynos posłał mu wściekłe spojrzenie. Meredith zignorował je i znowu zwrócił się do geologa. - Skąd wiadomo, że góry nie powstały wcześniej?

- W większości formacji górskich na Ziemi jest dość dużo metali, a zwłaszcza glinu, żelaza i sodu. Jeżeli nagle usunęlibyśmy te wszystkie atomy, zniszczylibyśmy całkowicie strukturę skał. Nie miałem jeszcze możliwości przejrzenia zdjęć satelitarnych planety, ale założę się, że znajdziemy na nich rozpadające się łańcuchy górskie. Szczególnie teraz, kiedy wiemy, czego szukać. Góry Kaf natomiast zbudowane są prawie w całości z krystobalitu, czyli dwutlenku krzemu i pewnego minerału węglorkrzemowego. Innymi słowy powstały z najmocniejszego materiału, jaki był dostępny po zniknięciu metali.

- Rozumiem. - Wszystko zaczynało nabierać sensu, a Meredithowi się to nie podobało.

- Powiedział pan, że wydarzyło się to już kilkakrotnie...?

Hafner przytaknął.

- Niektóre kratery meteorytowe powstały znacznie później, a meteoryty prawie na pewno przyniosły ze sobą metale. Nie było ich już podczas zbadania Astry przez Rooshrike, więc musiało się to przynajmniej raz już kiedyś wydarzyć.

- Powtarza pan stale, że metal zniknął - powiedział Perez. - Zniknął gdzie? We wnętrzu planety? A przede wszystkim, jak? Nie znam się na chemii, ale wiem, że wyciągnięcie atomów żelaza ze stalowego młota nie jest możliwe.

- Zgadza się. - Hafner wzruszył ramionami. - Podobnie jak przepuszczenie ich przez glebę. Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale chyba wiem, gdzie szukać wyjaśnienia.

Meredith wyprostował się w fotelu i nacisnął przycisk nagrywania na swoim terminalu.

- W bazie Rooshrike?

- Nie, jestem pewien, że nie mają z tym nic wspólnego. Źródło naszych kłopotów znajduje się na Astrze... i myślę, że możemy je zlokalizować. - Zawahał się. - Chyba powinienem wyjaśnić moje rozumowanie. Wszedłem z założenia, że wysysane są tylko metale, bo przewodzą prąd. Wskazuje to na przyczyny natury elektromagnetycznej. W każdym razie przyszło mi do głowy, że jony rozpuszczone w wodzie działają podobnie jak przewodniki. Jakakolwiek więc siła przyciąga atomy metali, może też przyciągać te jony.

- Złoża minerałów na wybrzeżu, tak? - zapytał olśniony nagle Meredith.

Zaskoczony Hafner zamrugał oczami.

- Dokładnie tak, pułkowniku. Kiedy jony docierają do brzegu, wytrącają się w postaci osadu i tracą właściwości przewodników. Dlatego nie zapadają się już pod ziemię.

Meredith nacisnął kilka przycisków. Po chwili na ekranie komputera pojawiła się mapa nadbrzeżnych złóż minerałów.

- A więc tylko ten kontynent jest otoczony przez złoża, bo tu są ściągane metale?

Perez parsknął śmiechem.

- Wspaniała teoria. Obszar, na którym możemy znaleźć pańskie eldorado, ma dwadzieścia pięć milionów kilometrów kwadratowych. Miną lata, zanim ktokolwiek udowodni, że się pan myli. Ale my już wiemy, że nie ma tu metali.

- Niekoniecznie - zaprotestował Meredith. - Wiemy tylko, że muszą być głębiej, niż szukali ich Rooshrike. A co do ich znalezienia, to taka ilość metalu musi powodować ogromną koncentrację masy. Satelita w odpowiednim położeniu powinien ją wykryć w ciągu kilku dni. - Urwał, widząc z trudem powstrzymaną niecierpliwość na twarzy Hafnera. A może ma pan lepszy pomysł, doktorze?

- Chyba tak. - Hafner przechylił się przez biurko i dotknął linii brzegowej po obu stronach Zatoki Płaskiej Stopy. - Złoża są tutaj, najbliżej powierzchni. Moim zdaniem oznacza to, że eldorado, jak się wyraził pan Perez, znajduje się gdzieś niedaleko na wschód stąd. Ale - przesunął palec - kiedy Carmen i ja przelatywaliśmy w zeszłym miesiącu nad Morzem Martwym, zauważyliśmy bardzo podobne złoża po stronie północno-zachodniej.

Było tylko jedno logiczne wyjaśnienie. Meredith znalazł je bez trudu.

- Mt Olympus. Wulkan. Hafner przytaknął uroczyście.

- Mt Olympus. Tylko, że to nie jest wulkan. Nie ma tam skał magmowych, a lepkość próbek, które zebrałem, nie pozwoliłaby na taki kształt stożka. - Zawahał się na chwilę. - Pułkowniku, zdaję sobie sprawę, że brzmi to dość niewiarygodnie. Nie mam jeszcze nawet wstępnych hipotez wyjaśniających

niektóre fakty. Ale tego, co się dzisiaj wydarzyło, nie można wyjaśnić żadną teorią naukową, o jakiej słyszałem...

- Chce pan poprowadzić ekspedycję na Mt Olympus, żeby dokładniej zbadać te sprawę? - przerwał łagodnie Meredith.

- Tak, sir. I to jak najszybciej.

Pułkownik zwrócił się do Carmen.

- Rozumiem, że przejrzała już pani listę przydziałów?

Zaczerwieniła się lekko.

- Prawie wszystko, czego potrzebowałyby doktor Hafner, jest dostępne, sir - powiedziała. - Oczywiście nie wprowadziłam jeszcze do komputera żadnych rozkazów.

Trzeba tylko odwołać jeden z pionolotów z misji zwiadowczej, a kilku żołnierzy z doświadczeniem górskim musiałyby przerwać rutynowe czynności.

- A kto będzie pilotował?

- Pomyślałam, że sama to zrobię. Wszyscy piloci i tak powinni wkrótce dostać wolne.

- Mhm. Pańska teoria, doktorze, brzmi o wiele bardziej wiarygodnie, niż wszystko, co dzisiaj słyszałem. Kiedy chce pan wyruszyć?

- Chwileczkę, pułkowniku - wtrącił się Perez, zanim Hafner odpowiedział na pytanie.

- Nie wiem, czy wymyśliliście ten pseudonaukowy bełkot obydwaj, czy tylko jeden z was, ale nie wykręci się pan w ten sposób od odpowiedzi na moje zarzuty niewłaściwego zarządzania.

Hafner postąpił pół kroku w stronę Pereza.

- Sugerowałbym, żeby zachował pan swoje oceny dla siebie. Chyba że ma pan kilka stopni naukowych, o których nie wiem - powiedział ostro. - Ja wiem, o czym mówię, a wątpię, czy pan to wie.

- A co do twoich niedorzecznych zarzutów... - zaczął Meredith.

- Może pojedziesz z nami, Cris? - zaproponowała nieoczekiwanie Carmen.

Wszyscy spojrzeli na nią.

- Na Mt Olympus? - zdziwił się Perez. Popatrzył po pozostałych, jak gdyby węsząc podstęp. - Dlaczego?

- Dlaczego nie? Przyjrzałbyś się, jak Peter sprawdza swoje teorie. Mógłbyś być nieoficjalnym obserwatorem Rady.

- Rada nie potrzebuje tam żadnych obserwatorów, ani oficjalnych, ani nieoficjalnych - powiedział Meredith.

Perez uśmiechnął się kwaśno do pułkownika.

- Przyjmuję tę propozycję pani Olivero - powiedział, kłaniając się lekko. - Pojadę. Za pozwoleniem doktora, oczywiście.

Carmen spojrzała na Hafnera.

- Peter?

Hafner miał minę, jakby stał właśnie przed poborcą podatkowym. W końcu wzruszył ramionami.

- Jeżeli tylko nie będzie mi przeszkadzał - powiedział. - Wyruszamy przed świtem. Chcę zacząć wspinaczkę, kiedy zrobi się dość jasno.

Tym razem uśmiech Pereza nabrał odcienia goryczy.

- Ci, którzy pracują w polu, są przyzwyczajeni do wczesnego wstawania.

- Dobrze. - Hafner wydawał się już mniej rozdrażniony. - Proszę przyjść o czwartej do bazy

„Martello”. Pułkowniku, dziękuję za poświęcenie mi czasu i wyrażenie zgody na ekspedycję. Mam nadzieję, że będziemy wiedzieli coś więcej po powrocie.

Podał Carmen ramię i wyszli razem z biura.

- Ty też bądź uprzejmy już wyjść - zwrócił się Meredith do Pereza.

- Naturalnie. - Latynos podszedł do drzwi i zatrzymał się. - Ale jeszcze nie skończyliśmy tej rozmowy, pułkowniku. Wysiłki pani Olivero, żeby odwrócić moją uwagę, tylko opóźniły nieuniknione. Odwrócił się, otworzył szarpnięciem drzwi i wyszedł.

- Boże, uwolnij mnie od demagogów, - westchnął Meredith.

Nareszcie mógł pozbyć się niewygodnej żołnierskiej pozycji, którą utrzymywał ze względu na Pereza. Kiedyś myślał, że dowództwo na Astrze było pewnym sposobem zdobycia tej długo oczekiwanej generalskiej gwiazdki. Później pierwsze raporty z ekspedycji badawczych osłabiły jego optymizm i zastąpiły go ponurą determinacją. Od dziś...

Od dziś wiedział, że będzie miał szczęście, jeśli uda mu się zachować dotychczasowe stanowisko.

Ale zanim kongresmani zrobią z niego kozła ofiarnego, nadal był dowódcą. I nie zmienią tego pożar, powódź, Perez, ani nawet sama Astra.

Znowu wziął do ręki listę brakujących przedmiotów i zajął się przygotowaniem zamówienia, które „Aurora” zabierze na Ziemię.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 9

Poranne powietrze było stosunkowo zimne. Dla Pereza jednak nic nie mogło się równać z chłodem w kabinie pionolotu, kiedy lecieli w stronę Mt Olympus.

Przyjaciół Carmen - naukowiec Hafner - najwyraźniej nadal uważał Latynosa za zbędny balast.

Dość ostentacyjnie usiadł na miejscu drugiego pilota i zostawił Pereza z tyłu wraz z trzema żołnierzami i swoim asystentem. Perez nie protestował. Rozłożył dodatkowe awaryjne siedzenie za stanowiskiem Carmen i usiadł na nim. Zignorował zalecenie Hafnera, żeby znalazł sobie bezpieczniejsze miejsce. Widok nie był najlepszy, a jego obecność zdawała się odbierać Hafnerowi chęć do rozmowy. Nie dowiedział się więc niczego pożytecznego. Już dawno nauczył się jednak, że wyróżnianie się było istotnym składnikiem władzy.

Ten powód wystarczał mu do pozostania na awaryjnym siedzeniu. Właściwie nawet bawiła go ta sytuacja.

Mimo wszystko dobrze się stało, że podróż nie trwała długo.

Chociaż niebo na wschodzie było już jasne, słońce jeszcze nie wzeszło, kiedy wylądowali po południowej stronie stożka Mt Olympus. Perez z ulgą zauważył, że zabrali sprzęt przeznaczony tylko do wspinania się na łagodne zbocza. Najwyraźniej nie trzeba się było wykazywać dużym doświadczeniem alpinistycznym podczas wyprawy.

Poza wszystkim, Hafner na pewno był dobrym organizatorem. Po dziesięciu minutach od lądowania znali już trasę marszu, otrzymali ekwipunek i zaczęli się wspinać.

Pięć minut później zdarzył się pierwszy wypadek.

- Bardzo boli? - zapytał Hafner, kiedy ostrożnie zdejmował but z lewej nogi Carmen.

- Jak zawsze przy skręconej kostce - wycedziła przez zaciśnięte z bólu i złości zęby. - Cholera! Że też właśnie teraz musiało mi się to przytrafić!

- Lepiej teraz niż później - stwierdził Hamer. - Łatwiej będzie cię stąd znieść do pionolotu.

- Nic mi nie będzie.

Wstała z wysiłkiem. Ostrożnie przeniosła ciężar ciała na lewą stopę. Udało jej się nie skrzywić z bólu, ale nie utrzymała się długo w tej pozycji.

- Jasne. - Hafner potrząsnął głową. Chyba nic nie jest złamane, ale nie ujdiesz daleko o własnych siłach, nie mówiąc już o wspinaniu się.

Spojrzał na pozostałych. Na chwilę zatrzymał wzrok na Perezie, lecz szybko zwrócił się do jednego z żołnierzy.

- Sadowski, proszę pomóc pani Olivero dostać się do pionolotu i zostać z nią.

- Tak jest, sir.

Mężczyzna podszedł i objął ją w talii. Niechętnie puściła rękę Hafnera i oparła się na ramieniu Sadowskiego.

- Dobrze, ale nie wyłączajcie radia. Chcę wiedzieć, co robicie.

- Jasne - kiwnął głową Hafner.

Zaczekał, dopóki nie zeszli kilka kroków w dół zbocza. Wreszcie odwrócił się i ruszył dalej.

Przez następne pół godziny wspinali się we względnej ciszy. Tylko Hafner rozmawiał ze swoim asystentem Alem Nicholsem. Naukowy żargon był nieznośnie zagadkowy.

Perez zrozumiał tylko, że wyliczali anomalie, jakich należało się spodziewać na Mt Olympus. Najwyraźniej stwierdzenie Hafnera, jakoby mieli do czynienia z czymś innym niż wulkan, nadal

budziło wątpliwości.

Na horyzoncie pojawił się pierwszy skrawek słonecznej tarczy. Wraz z nadejściem dnia Perez poczuł, że idzie mu się lżej. Świt podniósł go na duchu. Z tyłu delikatnie popychał go południowy wiatr, jak gdyby Astra dostrzegła małą grupkę wędrowców i zaoferowała im swoją pomoc. W tym tempie szybko osiągną szczyt...

Prawie wpadł na Hafnera, kiedy geolog gwałtownie się zatrzymał.

- Co jest? - zapytał.

Zadowolenie w jednej chwili zmieniło się w rozdrażnienie. Hafner odwrócił się, a Perez przestraszył się na widok jego twarzy. - Co się stało?

- Nie czujecie? - Hafner powiódł wzrokiem po zebranych wokół towarzyszach. - Czy nikt z was tego nie czuje? Idzie się nam lekko. Zbyt lekko.

- Wspinamy się na górę... - zaczął Perez.

- Al, weź stoper - przerwał mu Hafner.

Wyciągnął z torby masywny młotek i trzymał go przed sobą, kilka centymetrów nad głową. Nichols nastawił stoper.

- To będą jakieś dwa metry. Siła ciężenia na Astrze jest o trzy procent mniejsza niż na Ziemi - przeliczył coś szybko na podręcznym kalkulatorze - więc młotek powinien spadać przez sześćdziesiąt pięć setnych sekundy. Gotów; na trzy: raz, dwa, trzy!

Perez nigdy nie zwracał uwagi na podobne rzeczy. Jednak nawet dla niego lot młotka wyglądał dosyć dziwnie. Meldunek Nicholasa potwierdził to spostrzeżenie.

- Osiemdziesiąt dwie setne sekundy.

Ktoś zaklął cicho.

- Spróbujmy jeszcze raz - powiedział Hafner. - Raz, dwa, trzy. Tym razem upadek trwał osiemdziesiąt pięć setnych sekundy.

- Na pewno pan źle policzył - stwierdził jeden z żołnierzy.

- Nie - powiedział Nichols. Rozejrzał się. Zmrużył oczy, kiedy ustawił się twarzą pod wiatr. - Nie, sprawdziłem obliczenia. Żeby trwało to osiemdziesiąt setnych sekundy, musielibyśmy zrzucić młotek z wysokości trzech metrów. Błąd na pewno nie jest aż tak duży.

- Zepsuty stoper - nie poddawał się żołnierz.

- Albo wpływ wiatru - wtrącił Perez. - Od kilku minut wieje coraz mocniej.

Cokolwiek się działo, Hafner i Nichols zrozumieli to jednocześnie.

- Cholera - zaklął Hafner - spróbujmy jeszcze raz, Al. A potem uciekamy stąd.

Znowu upuścili młotek. Uderzył w ziemię po osiemdziesięciu dziewięciu setnych sekundy.

- Dobra, wszyscy na dół - rozkazał ostro Hafner zdenerwowanym głosem - Ruszać się!

Ruszyli. Perez nie zdawał sobie sprawy, jak silny zrobił się wiatr, dopóki nie musiał z nim walczyć z całych sił. Przestraszyło go to bardziej niż spadający młotek.

- Co się dzieje? - starał się przekrzyknąć szalejącą wichurę.

- W tym miejscu siła ciężenia maleje. - Słowa Hafnera były ledwo słyszalne. - Może nawet spada do zera gdzieś na szczycie. Całe powietrze ucieka wzdłuż zbocza w kosmos!

Serce Pereza przestało bić na moment.

- Ale to niemożliwe.

- Tak samo jak planeta, która połyka regały i buldożery - odpowiedział szybko Hafner. Oszczędzaj oddech na dalszą drogę.

Perez usiłował przyspieszyć. To nie jest możliwe, myślał przerażony, chociaż doskonale wiedział, że było to tylko jego pobożne życzenie. Czuł, jak stopy odbijają się od ziemi i z coraz większym i opóźnieniem znowu dotykają podłoża. Nie wiedział, czy to od silnego wiatru, czy z innego powodu, coraz trudniej było oddychać. Przy pasku zabrzączał mu komunikator. Chwytał urządzenie, zwiększył głośność i przystawił aparat do ucha.

Carmen wywoływała ich na zwykłej częstotliwości, -...w dół zbiega; powtarzam, wiatr wieje tutaj w dół zbiega, nie w górę. - Chwila ciszy. - Peter, odbierasz mnie? Mówiłam...

- Słyszałem cię - wyksztusił Hafner ledwo słyszalnym głosem. - To nie ma sensu... Chwileczkę. Zaczekajcie wszyscy. Stać! - Zatrzymali się w chaotycznej grupce.

Przykucnęli, żeby nie dać się zmieść podmuchom wiatru. - Kto potrafi dobrze rzucać? - zawołał Hafner.

- Wilson? Masz, weź to. - Wręczył jednemu z żołnierzy swój młotek. - A teraz rzuć go najdalej jak potrafisz w stronę pionolotu.

Wilson wyprostował się, walcząc z wiatrem i rzucił. Młotek zatoczył łuk w kierunku srebrzystej maszyny na dole i zaczął spadać...

Nagle gwałtownie runął w dół z dużą prędkością i zapadł się pod ziemię. Nawet przez szum wichury Perez usłyszał huk upadku.

- Co...?

- Powoli naprzód, ostrożnie - polecił Hafner ponurym głosem. - Nie podchodźcie za blisko młotka. Otacza nas pas wysokiej grawitacji; nie wiem, jak szeroki. Jesteśmy w pułapce. Szybko tracimy powietrze. Cokolwiek tu mamy, musi być bardzo ważne, skoro zbudowano aż tak silny mechanizm obronny.

- Peter, posłuchaj. - Głos Carmen dziwnie zabrzmiał w uszach Pereza. Czyżby pierwsze oznaki niedoboru tlenu? - Mogę przylecieć po was pionolotem. Wytrzymajcie jeszcze kilka minut.

- Nie! Sposób, w jaki spadł młotek... grawitacja musi być tam co najmniej sto razy większa niż na Ziemi. Nigdy ci się nie uda.

Mieli teraz w zasięgu wzroku dziurę, którą wykopał w ziemi spadający młotek.

Huragan osłabł trochę i czuło się zaledwie silne powiewy. Umysł Pereza był nieco przytępiony i Latynos dopiero po chwili zorientował się, że wcale nie należało się z tego cieszyć. Słabszy wiatr oznaczał mniej powietrza. Hafner schylił się i podniósł kawałek skały.

Rzucił go przed siebie. Kamień runął w dół i spadł tuż obok młotka.

- Wszyscy na ziemię... tutaj. - Geolog oddychał z trudem. - Powietrze może... napływać tu... z drugiej strony. Nie ruszać się i nie... rozmawiać. Oszczędzać siły.

Perez przywarł do ziemi w niewygodnej pozycji, z nogami wyżej położonymi niż głowa. Niebo nad nim miało znacznie ciemniejszy kolor niż zwykle. Stożek Mt Olympus wyglądał jakoś nienaturalnie. Miejsca nie oświetlane bezpośrednio przez słońce były prawie czarne. Grunt pod stopami zdawał się wibrować, a Perez prawie się roześmiał.

Czyżby do tego wszystkiego jeszcze zaczęło się trzęsienie ziemi? Madre Astra, pracujesz stanowczo za ciężko tylko po to, żeby zabić kilku biednych ludzi.

Umysł Pereza osłabł. Latynos zamknął oczy, wsłuchał się w szum wiatru i czekał na koniec.

- Peter! Cris! Ktokolwiek! - Carmen nie odrywała wzroku od grupy leżącej bez ruchu na ziemi. Nacisnęła przełącznik komunikatora. - Nie odpowiadają, pułkownik. Nie wiem, czy są martwi czy

tylko nieprzytomni, ale nie mogę już czekać. Lecę tam.

- Proszę zaczekać. - Głos Mereditha pozornie brzmiał uspokajająco. - Pionolot Trzy jest już w drodze...

- Nie ma czasu, sir - przerwała mu Carmen. - Niech pan trzyma kciuki.

Nie czekała na odpowiedź. Włączyła dolne repulsery i uruchomiła główne silniki.

Pionolot uniósł się kilka metrów w górę, obrócił się i ostrożnie ruszył w stronę schwytej w pułapkę ekspedycji.

Zadanie wymagało silnych nerwów. Carmen musiała znaleźć złoty środek między potrzebą pośpiechu a ostrożności. Nie miała pojęcia, gdzie był brzeg pierścienia wysokiej grawitacji. Gdyby weszła w ten obszar zbyt szybko, mogłaby stracić kontrolę nad sterami i rozbić pionolot. Przygryzła spierzchnięte wargi i leciała dalej. Kątem oka widziała siedzącego obok Sadowskiego. Od celu dzieliło ich jeszcze dziesięć metrów... siedem... cztery...

zauważyła dziurę, którą zrobił młotek...

Z trzaskiem łamanych złączy i hukiem miażdżonego cylindra spalinowego dziób pionolotu uderzył w podłoże. Carmen przesunęła przepustnicę i kiedy wyłączyła napęd, dziób znowu skoczył około metra w górę poza poziom równowagi. Skierowane do przodu dolne repulsery lekko popychały pionolot do tyłu. Wyrównali lot w odległości trzech, czterech metrów od pola wysokiej grawitacji. W miejscu zderzenia z ziemią zostawili jakiś płaski kawałek metalu.

- Niezły lot, pani Olivero - powiedział nerwowo Sadowski. - Mam nadzieję, że nie straciliśmy nic ważnego.

- Ja też - zgodziła się Carmen.

Zdarzenie rozbudziło w Carmen nadzieję na ocalenie ekspedycji. Pierścień wysokiego ciśnienia miał najwyżej metr szerokości. Bariera nie do pokonania dla człowieka, ale jej plan mógł się udać.

Wzięła głęboki oddech. Pionolot zatoczył łuk i odwrócił się tyłem do pola grawitacyjnego.

Tym razem lecieli szybciej i uderzyli z głośniejszym hukiem Carmen nie zwracała uwagi na trzaski maltretowanego metalu i plastiku. Maksymalnie zwiększyła siłę ciągu i w napięciu czekała, aż automatyczny pozycjoner podniesie ogon pionolotu z ziemi. Zwykły pomruk silnika przeszedł w donośne dudnienie, a Carmen poczuła dłonie zaciskające się w pięści. Repulsery mogły wytrzymać ogromne temperatury, lecz konstruktor nie przewidział, że pionolot będzie w tym czasie leżał na ziemi. Wyobrażała sobie, że spód maszyny wygina się z gorąca, a może się nawet topi albo gotuje...

Tył pionolotu odrobinę uniósł się w górę.

Carmen była gotowa. Włączone na pełną moc dysze dziobowe popchnęły ich w tył.

Zdołali się przesunąć tylko o dwa metry, zanim temperatura na spodzie osiągnęła poziom krytyczny i system awaryjny wyłączył repulsery. Ale dwa metry wystarczyły.

Carmen przełączyła pionolot na „tryb kosmiczny” i odcięła dopływ paliwa do głównych silników.

Wyłączyła system zapłonu, a także wyświetlacze, które mogłyby jej przeszkodzić, i przesunęła przepustnicę na pełną moc.

Nic nie hamowało wypływu ani nie reagowało z tlenem skompresowanym w zbiornikach pionolotu. Wydostawał się więc przez dysze repulserów w kierunku nieruchomych postaci po drugiej stronie bariery grawitacyjnej.

- Poruszyli się! - Sadowski z szerokim uśmiechem odwrócił się od bocznego okna.

- Nic im nie jest.

Carmen zamknęła na chwilę oczy i odetchnęła z ulgą. Zmniejszyła siłę ciągu o połowę i otworzyła drzwi obok siebie.

- Idę zobaczyć, co się z nimi dzieje. Daj znać, jak poziom tlenu osiągnie punkt trzeci, na tamtym ekranie.

Ostrożnie zeskoczyła na dół i kulejąc okrążyła krzywiznę pionolotu. Starła się trzymać z daleka od pola wysokiej grawitacji. Poza tą granicą pięciu mężczyzn podniosło się już do pozycji siedzącej. Wyglądali na oszołomionych, poza tym wszystko wydawało się w porządku. W momencie, kiedy uniosła rękę, żeby do nich pomachać, Hafner ścisnął nagle Nicholasa za ramię. Wskazał na Mt Olympus. Carmen też spojrzała w tamtym kierunku i... znieruchomiała.

Z krateru wulkanu wystrzeliło w górę błyszczące w słońcu srebrzyste włókno.

Przedni kraniec zniknął im z oczu i pręt wydawał się przez chwilę tkwić nieruchomo. Wyglądało to tak, jakby Astra zwisała z nieba na niezwykle cienkiej linii. Dopiero gdy drugi koniec opuścił krater, Carmen zorientowała się, z jaką niesamowitą szybkością poruszał się pręt.

Gdy tak stała i patrzyła w górę, silny wiatr ucichł tak gwałtownie, że prawie upadła.

Kiedy odzyskała równowagę, spojrzała na pozostałych. Odwrócili się do niej jak na komendę.

Po chwili wahania Perez podniósł kamień i rzucił wysokim łukiem. Upadł u jej stóp bez najmniejszego śladu odchylenia. Chwilę później wszyscy stali przy pionolocie.

- Wszystko w porządku? - Carmen powiodła wzrokiem po zebranych.

- Nic nam nie jest - powiedział Hafner.

Rozglądał się zdezorientowany, jakby się zastanawiał, czy to wszystko rzeczywiście się wydarzyło. Carmen czuła się podobnie. Grawitacja wróciła do normy, a tajemnicze włókno już dawno zniknęło im z oczu. Całe zdarzenie wydawało się snem lub zbiorową halucynacją.

Dopóki nie zobaczyli z bliska zgniecionego tyłu pionolotu.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 10

- Wahadłowiec dopasował tor lotu do orbity pręta - zameldował kapitan Stewart. Jeszcze tylko kilka minut.

Meredith słuchał tego z odległości kilku milionów kilometrów i starał się stłumić uczucie złości. Desperacko pragnął być na miejscu, kiedy obiekt zostanie zbadany. „Aurora” nie zabrała pasażerów ze względu na niewystarczającą ilość paliwa. Argument ten nie zadowalał jednak Mereditha. Czymkolwiek był pręt, odkryli go astriańscy koloniści i pułkownikowi nie podobało się, że Stewart wyłączył ich z dalszych badań.

Brown siedział obok Mereditha w centrum komunikacyjnym bazy „Martello”.

Wydawał się myśleć to samo.

- Nadal nie mamy obrazu, który pan obiecał - powiedział Stewartowi. - Czy ktoś się tym zajmie, kapitanie?

- Na razie nie ma nic do oglądania - odparł Stewart. - Nawet kamery wahadłowca pokazują tylko sporadyczne błyski. Prześlemy obraz, kiedy zaczną się testy materiałowe w otwartej przestrzeni.

- Proszę tak zrobić - powiedział Meredith. - Zweryfikowaliście już szacunkowe dane na temat wymiarów?

- Jeszcze nie. Nadal sądzimy, że pręt ma około sześciu centymetrów średnicy i trochę ponad dwa kilometry długości. Jak tylko będziemy mieli próbkę, zbadamy gęstość i skład.

Ale jestem gotów założyć się o „Aurorę”, że mamy tu wasz zaginiony metal.

- Jasne. Jest tylko jeden problem. - Meredith postukał w klawiaturę i przywołał jakieś dane liczbowe. - Według naszych obliczeń straciliśmy cztery tony siedemset kilo metalu. Jeśli pręt ma gęstość żelaza, powinien być dziesięć razy krótszy. Skąd się wzięła reszta masy?

- Nie mam pojęcia - przyznał Stewart. - Może analiza chemiczna da nam jakieś wskazówki. - Urwał. - Dobrze. Wychodzą ze śluzu. Zaczynamy.

Ekran przed Meredithem ożył. Obraz z jednej strony przedstawiał fragment kadłuba wahadłowca. Z wnętrza wyszedł człowiek w kombinezonie kosmicznym wyposażonym w urządzenie sterownicze. Po drugiej stronie pułkownik dostrzegł pręt. Do kosmonauty dołączyła druga postać. Przez kilka minut okrążali obiekt i robili zdjęcia. Tak jak przypuszczał Meredith, na powierzchni pręta nie było widać z bliska żadnych nowych szczegółów.

- To powinno wystarczyć - powiedział wreszcie Stewart. - Użyć przecinaczy; blisko krańca.

- Przyjąłem.

Pierwszy astronauta odpiął urządzenie, które przypominało Meredithowi mechaniczne szczypce homara. Podleciał do pręta, objął go ostrzami... i nagle zaklął.

- Cholera. Utknęły.

- Jak to utknęły?

- Zupełnie, jakby się przykleiły, kapitanie. Ledwo dotknąłem nimi pręta, a teraz nie mogę... nie mogę ich oderwać nawet przy włączonym na wsteczny bieg silniku.

Meredith i Brown wymienili krótkie spojrzenia.

- Może nadal próbować go przeciąć - zasugerował przez mikrofon. - Albo przynajmniej naciąć, żeby można było obliczyć twardość.

- Tak jest, sir. - Chwila ciszy. - Próbuję, sir, ale nic się nie dzieje.

- To niemożliwe - stwierdził Stewart. - Te przecinacze radzą sobie z grubą na dziesięć

centymetrów płytą wolframową bez...

- Uwaga! - krzyknął jeden z astronautów.

Meredith drgnął odruchowo, kiedy mężczyzna na ekranie gwałtownie się cofnął.

- Wszystko w porządku? - zapytał ostro Stewart.

- Tak, sir - odpowiedział przerywany głos. - Właśnie straciliśmy przecinacze. Silnik się spalił.

Wszędzie latają małe kawałki urządzenia. O, nie widzę nawet zadrapania pod ostrzem.

Przez chwilę słychać było tylko buczenie przekaźnika radiowego.

- Rozumiem - powiedział wreszcie Stewart. - Czy współczynnik refleksji światła jest wystarczająco niski, żeby użyć lasera?

- Chwileczkę, sir... Chyba możemy użyć ultrafioletu. Współczynnik najwyraźniej rośnie wraz z długością fali. Ale nie mam pojęcia, czy z laserem pójdzie nam lepiej niż z przecinaczami.

- Proszę mimo to spróbować - polecił Meredith. - Możemy w ten sposób przynajmniej oszacować żaroodporność pręta.

Przygotowanie lasera zajęło tylko minutę. Chwilę później sensory na podczerwień mierzyły już temperaturę obiektu.

- Zaczynamy sir. Uruchamiam laser... refleksja około trzydziestu ośmiu procent.

Trochę mało jak na metal...

- Temperatura powoli rośnie wtrącił drugi astronauta. - Aż do... co do diabła?

- Co jest? - zaniepokoił się Stewart.

- Temperatura właśnie... spadła, kapitanie. Spadła jak kamień, aż do... kilku stopni powyżej zera absolutnego.

- Nadprzewodnik - mruknął Brown z podziwem.

- To niemożliwe - stwierdził astronauta. - Temperatura przed obniżeniem była wyższa od nadprzewodnikowej.

Stewart polecił przeprowadzić jeszcze kilka testów, ale każdy z nich tylko przysparzał nowych zagadek. Przenośny próbnik nie nadawał się do badania wytrzymałości. Pręt nawet się nie rozciągnął, nie mówiąc już o przerwaniu. Standardowy wykrywacz metalu nie reagował nawet w odległości kilku centymetrów. Dopiero bezpośredni pomiar oporności dowiódł, że przy odpowiednio wysokim napięciu materiał wykazywał nadprzewodnictwo elektryczne. Jednak najdziwniejszego odkrycia dokonali dopiero wtedy, kiedy jeden z astronautów przypadkowo zahaczył o pręt i przykleił się do niego. Gdy jego partner próbował go uwolnić, stwierdził, że „klej” wniknął kilka centymetrów w głąb kombinezonu.

Ten kawałek skafandra zrobił się prawie tak samo odporny jak pręt. W końcu wycięto ogromną dziurę wokół zaatakowanego miejsca, a kosmonauta musiał wrócić do wahadłowca, żeby nie dopuścić do dekompresji.

- Nie wiem, jak dla pana - powiedział Stewartowi Meredith, kiedy obydwaj astronauta byli już na pokładzie - ale dla mnie to był niezwykły dzień. To oczywiste, że z pańskim sprzętem nie otrzymamy już więcej informacji. Myślę, że będziemy musieli ściągnąć pręt na dół.

- Na astrańską orbitę?

- Na powierzchnię planety.

Przez dłuższy czas nikt się nie odezwał.

- A jak, jeśli wolno wiedzieć, zamierza pan ściągnąć ciężki, dwukilometrowy pręt bez narażania przy tym jednego z moich wahadłowców? - zapytał Stewart.

Meredith spojrział na Browna i wskazał na mikrofon.

- Rozważaliśmy ten problem od czasu odkrycia pręta - powiedział Brown. - Ze względu na długość, należałoby go zwinąć jak precelek i odholować na niską orbitę. Wtedy można by przyczepić do niego zdalnie sterowany silnik i kilka spadochronów, a następnie posłać na dół. Na Astrze jest wiele otwartych przestrzeni, gdzie mógłby spaść.

Najlepiej na pomoc od Wright, bo tam mamy większość ciężkiego sprzętu.

- To wykluczone. Odholujemy go na astrańską orbitę, ale tam zostanie. Jeżeli zrzucimy pręt na powierzchnię, pokryje się taką warstwą kurzu, że będzie bezużyteczny.

- A pan wróci na ziemię i zamelduje o wszystkim Pentagonowi, czy tak? - zapytał Meredith.

- Tak, za kilka dni. Chciał pan to ukryć?

- Nie, ale jak już odleciecie, to co powstrzyma innych, na przykład Rooshrike, od zabrania pręta z orbity?

Przez dłuższy czas znowu było cicho.

- Czy oni o wszystkim wiedzą? - zapytał Stewart.

- Nie mam zielonego pojęcia. Chce pan podjąć to ryzyko?

- Cholera. - Stewart głośno wypuścił powietrze. - Majorze Brown, przyjrzyjmy się obliczeniom, które podobno pan przeprowadził.

Ostatecznie z ogromnymi trudnościami i niewielkimi stratami sprowadzili pręt na powierzchnię.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 11

Pomieszczenie to nazywano potocznie „salą ciszy”, bo było to jedyne miejsce w Białym Domu całkowicie chronione przed jakąkolwiek formą podsłuchu audiowizualnego i elektronicznego, a także przed skanowaniem laserowym. Dzisiaj, jak stwierdził prezydent Allerton, było tam nawet ciszej niż zwykle. Nie słyszało się pomruków ani szeptów wśród zebranych doradców, członków rządu czy wojskowych. Oględnie mówiąc, wyrazem twarzy nadrabiali brak reakcji słownej.

Allerton dał im mnóstwo czasu, zanim wreszcie odchrząknął i powiedział.

- Dobrze. Jakies uwagi?

Pierwszą i najbardziej oczywistą wygłosił generał Klein.

- Niezwykłe. Po prostu niezwykle. Coś na Astrze zrobiło tę rzecz?

Narodowy Doradca do spraw Bezpieczeństwa Thomas Morley patrzył w przestrzeń.

- Ufam, że zdaje pan sobie sprawę, panie prezydencie, jak bardzo sprzeczny jest ten raport. Superlepekki metal niewidzialny dla wykrywaczy metalu? Mocniejszy niż mieszanina grafitu i boru, ale o gęstości o jedną piątą mniejszej niż gęstość wody?

- Zapewniam pana, panie Morley - powiedział spokojnie kapitan Stewart - że byłem obecny przy testach materiałowych. Też nic z tego nie rozumiem, ale obliczenia są dokładne.

- Nie mówiłem, że nie są - bronił się Morley. - Ja tylko staram się przewidzieć, jak inni na to zareagują, kiedy to ogłosimy.

- A musimy to ogłosić? - zapytał szorstko admirał Hamill. - Odkryli to amerykańscy obywatele w amerykańskiej kolonii. Więc jest to własność Ameryki.

- Tylko że formalnie zajmujemy tę kolonię na podstawie mandatu Narodów Zjednoczonych - przypomniał mu Allerton.

Hamill roześmiał się, co miało oznaczać zwięzłe przedstawienie jego punktu widzenia.

- Myślę, że Tom ma rację, sir - zabrał głos Sekretarz Stanu Joshua Purvis. - Przez cały czas narzekamy, że ONZ za mało dopłaca do austriańskiego projektu. Ktoś na pewno nam zarzuci, że wymyśliliśmy sobie ten pręt i tę... ogromną prząśnicę tylko po to, żeby zwrócić uwagę sponsorów. A na razie nie możemy sprowadzić pręta na Ziemię i pokazać go wszystkim.

- A musimy go komukolwiek pokazywać? - upierał się Hamill. - Jeżeli sądzi pan, że trzeba im o tym powiedzieć, w porządku. Ale jeśli nam nie uwierzą, to już ich sprawa.

Osobiście mam nadzieję, że tak się właśnie stanie, bo wtedy pozwolą wysłać naszych ekspertów, żeby się tym zajęli.

Przynajmniej w tej sprawie wszyscy byli zgodni. Dalszy ciąg zebrania poświęcono na przedyskutowanie sposobu, w jaki należało zwerbować nowych naukowców i wysłać ich na Astrę jak najszybciej i w jak największej tajemnicy. Allerton odbył tajne rozmowy telefoniczne z przedstawicielami rządów Wielkiej Brytanii, Japonii, Rosji i Chin. Wiadomość zafascynowała ich, lecz wywołała też sceptycyzm. Mniej więcej w takich proporcjach, jakich spodziewał się Allerton. W końcu prezydent zadzwonił do Sekretarza Generalnego ONZ Saleha.

Kiedy Allerton skończył mówić, Saleh przez chwilę milczał. Z obojętnym wyrazem twarzy patrzył Allertonowi prosto w oczy.

- Wiem - powiedział wreszcie - że nie obrażałby mnie pan tak niedorzecznym kłamstwem. Jakie są pańskie przemyślenia na temat tej... jak pan ją nazwał, - prząśnicy?

Allerton wzruszył ramionami.

- Nic, o czym mówili nam Ctencri, nie wskazywało na istnienie takiej technologii. A już na pewno nie na kontrolę nad grawitacją, jaką daje Prząśnica. Gdyby lud Ctencri lub inne rasy w tej części wszechświata dysponowały czymś takim, powinny tego używać przynajmniej do wystrzeliwania statków kosmicznych.

- Z pewnością można założyć, że Rooshrike też nie mieli pojęcia o czymś takim na Astrze - snuł przypuszczenia Saleh. - Chyba że już tego szukali i chcieli, żebyśmy znaleźli to za nich... Nie, to nie ma sensu.

- Też tak sędzę. Prawie na pewno nikt nic o tym nie wie, przynajmniej w tej części kosmosu. Zmieni to drastycznie pozycję ludzkości w międzygwiazdnych stosunkach handlowych.

Saleh uśmiechnął się sardonicznie.

- Zmieni też, oczywiście, pozycję Stanów Zjednoczonych. - Uśmiech zniknął mu z twarzy. - Chyba trzeba będzie na nowo rozważyć sprawę waszego mandatu.

- Nie widzę powodu - powiedział Allerton opanowanym głosem. Wiedział, że Mandat Astriański ulegnie wkrótce zmianie. Miał tylko nadzieję na spowolnienie tego procesu z powodu niewiarygodności raportu. - Nie złamaliśmy żadnego postanowienia umowy.

- Proszę nie udawać naiwnego. Obydwaj doskonale rozumiemy, że związana jest z tym polityka... a układ polityczny właśnie bardzo się zmienił.

- Oczywiście. Ale jeśli narody i zgrupowania narodów uważały Astrę za kamień, który można nam dla żartu zawiesić na szyi, a teraz myślą, że mogą sobie przywłaszczyć lwią część naszego odkrycia, to się grubo mylą. Mandatu nie można zmienić bez poparcia ze strony Rady Bezpieczeństwa, a ostatnio Rada była temu przeciwna.

- Formalnie ma pan oczywiście rację - zgodził się Saleh. - Ale ostrzegam, jeśli spróbujecie zatrzymać astriańskie odkrycie dla siebie, wywoła to falę protestów opinii publicznej na całym świecie.

Allerton odchylił się w fotelu i obdarzył Saleha lekkim uśmiechem.

- W takim przypadku, panie Saleh, bardzo chętnie zaproponuję opinii publicznej spacer w otwartej przestrzeni kosmicznej. Stany Zjednoczone na pewno nie zrezygnują z całkowicie legalnej i bardzo korzystnej pozycji tylko dlatego, że komuś się tak podoba.

Twarz Saleha pozostała spokojna, ale błysk w oku zdradzał zdenerwowanie.

- Rozumiem, co pan czuje. Może nawet lepiej, niż się panu zdaje. Ale nie radzę ugryźć więcej, niż zdołacie przełknąć. Proszę pamiętać, że wszystkie kontakty z Ctencri, łącznie z handlowymi, odbywają się na pośrednictwem ONZ. Mamy teraz ostrzejsze pazury, niż kiedykolwiek w historii... i znam doprawdy niewiele narodów, które chciałyby je wypróbować.

- No, cóż. Chyba jednak będziecie musieli ich użyć powiedział Allerton. - Myślę, że nam też wyrosło trochę pazurów. Do widzenia, panie Saleh. Wyślę panu kopię raportu tajną pocztą.

Przerwał połączenie. Chyba nie powinienem traktować go w ten sposób, pomyślał z lekkim wyrzutem sumienia. Saleh nic był taki zły, nawet jeśli był rzecznikiem największego niezoperowanego wrzodu w historii. Jednak za każdym razem, kiedy ONZ przegłosowywała jakąś sprawę, dostawał tysiące listów, w których oburzeni wyborcy żądali, żeby coś zrobił. I aż do dzisiaj musiał zawsze tłumić narodową dumę i udawać, że Ameryka nie zajmuje się tak nieistotną polityką.

I niech go piekło pochłonie, jeśli nie wyglądało na to, że wszystko się wkrótce zmieni.

Jednak ciągle... Znowu uruchomił telefon i wybrał numer Sekretarza Stanu.

- Josh, udało się wam przekonać Ctencri do bezpośredniego handlu?

- Nie, ani trochę. Nadal się upierają, żeby towary przechodziły przez Sekretariat Narodów Zjednoczonych. Nie wiem, czy nalegają na utworzenie jednego rządu dla całego świata, czy po prostu lubią trzymać się pierwszego kontaktu na nowym rynku zbytu.

- Jakikolwiek byłby powód takiego postępowania, musimy to zmienić - powiedział Allerton. - Trzeba ich mocniej przycisnąć. Chcę jak najszybciej handlować z nimi bez kontroli ONZ.

- Rozumiem, sir. Zrobimy, co w naszej mocy.

Biuro Saleha też można było nazwać salą ciszy. Jednak w odróżnieniu od podobnego pomieszczenia w Białym Domu, w jego gabinecie często bywali przedstawiciele Ctencri... a ctencriański sprzęt do przesłuchań był tak samo rozwinięty jak cała technologia tej rasy.

Czytnik impulsowy pociemniał, a Pierwszy Kupiec Sen siedział w milczeniu przez czas potrzebny jego umysłowi do przetworzenia informacji wizualnej z krótkiej pamięci.

Niewiarygodne. Zupełnie niewiarygodne. Nieoczekiwana obca technologia - i to ze wszystkich najmniej prawdopodobnych miejsc, właśnie na rooshrikańskiej Parkh-3.

Niezwykła ironia losu... ale też i ogromna szansa. Chociaż raz ctencriańska polityka cierpliwego przesłuchiwania nowych ras i wprowadzania ich do międzygwiazdnej wspólnoty handlowej przyniosła coś więcej, niż tylko kilka nędznych troidów metalu.

Pierwszy Kupiec uruchomił dyktafon i zaczął wyliczać ogólne punkty swojego planu.

Inne rasy - szczególnie M'zarchowie - najprawdopodobniej próbowałyby w takim wypadku zdobyć kontrolę nad Prząśnicą groźbami albo nawet bezpośrednią przemocą. Ctencri też mogli uciec się do takich metod, ale z doświadczenia wiedzieli, że były lepsze sposoby. W tym wypadku najlepiej robią namawiając Ziemiaków do zaakceptowania ich jako swoich pośredników do spraw handlu i dzierżawy nowej technologii. Zamówienia przyniosłyby natychmiastowe korzyści. Ponadto, kontrola wszystkich międzygwiazdnych kontaktów nadal izolowałaby Ziemiaków od innych ras, a tym samym zwiększała ich zależność od Ctencri. To była bardzo stara technika i mimo wszystko zaskakująco skuteczna.

A więc po pierwsze, należało zwiększyć ctencriańskie kontakty i usprawnić aparat wywiadowczy na Ziemi. Skomplikowany system polityczny Ziemiaków był na tyle niezrozumiały, że opierał się jakimkolwiek przewidywaniom. Możliwe, że trzeba było natychmiast zacząć wywierać presję z każdej możliwej strony.

Po drugie, należało powiadomić rodzinną planetę. Wiązało się to oczywiście z pewnym osobistym ryzykiem, bo mógł przecież zostać zastąpiony kimś innym.

Straciłby wtedy szansę uczestniczenia w kampanii do końca. Ale gdyby nawet tak się stało, jego nazwisko i pozycja finansowa nie byłyby zagrożone. Odkrycie i rozpoczęcie projektu były jego zasługi, co zapewniało mu udział w zyskach.

A jeśliby następca spartaczył robotę, to i tak musiałby mu zapłacić z własnej kieszeni.

I po trzecie, potencjalni nabywcy musieli się dowiedzieć o istnieniu produktu.

Trzeba więc wysłać do pozostałych ras darmowe zawiadomienia z opisem pręta, a może nawet wspomnieć o samej Prząśnicy - dziwna nazwa! - byle nie za dużo. Jeżeli informacje o wysysaniu metali i kontroli grawitacji nie były przesadzone, to mechanizm dawał naprawdę ogromne możliwości. Ctencri zrobiliby więc dobrze, nie kusząc zbyt wielu innych, bardziej porywczymi ras. Było jasne, że odkrycie nieco naruszy delikatną strukturę polityczną wspólnoty handlowej. Pierwszy Kupiec nie chciał jednak całkowitego zerwania międzygwiazdnych stosunków dyplomatycznych.

Handel podczas wojny nie przynosił aż tak dużych zysków, jak to sobie często wyobrażano.

Sięgnął po fiolkę semarinu - wbrew ogólnej opinii nie był to żaden środek stymulujący, lecz miał przyjemny zapach - wciągnął woń specyfiku kilka razy w nozdrza i zajął się opracowywaniem danych.

Dla tych, którzy znali M'zarchów, nie było tajemnicą, że nigdy za dużo nie mówili, kiedy mogli działać bezpośrednio. Ale zebranie Najwyższego Dowództwa trwało nadzwyczaj krótko, nawet jak na zwyczaje tej rasy.

- Nie mam żadnych wątpliwości - oświadczył Najstarszy Przywódca. - Atakujemy.

Rozległ się pomruk zadowolenia. W sali nie było stołu, żeby żaden z Przywódców Klanu nie mógł niepostrzeżenie wyciągnąć broni.

- Będziemy musieli przedostać się przez terytorium Rooshrike i Pomów - przypomniał jeden z zebranych.

Ktoś inny syknął lekceważąco.

- Nie potrzebujemy całej floty, żeby zająć tę planetę. Ćwierć dywizjonu z łatwością ominie detektory Rooshrike.

- Pomowie nie dadzą się oszukać.

- Pomowie nie atakują obcych statków, jeżeli sami nie są zagrożeni - powiedział Najstarszy Przywódca. - Na trasie naszego przelotu przez ich terytorium nie ma żadnych planet ani baz.

Pierwszy z rozmówców na chwilę przesłonił oczy wierzchem dłoni.

- Ja nie zgłaszam sprzeciwu. Ja tylko ostrzegam. Subtelności obcych umysłów nadal są dla mnie czymś nowym.

- Nie płaszcz się upomniał go ostro Najstarszy Przywódca. - Stanowisko Adwokata Tchórza to nie tylko prawa, ale i obowiązki. Nikt nie może rzucić ci wyzwania, cokolwiek byś powiedział, lecz nie wolno ci zrezygnować z tej roli.

Zaskoczenie na twarzy jego rozmówcy szybko zmieniło się w niepokój. Najstarszy Przywódca pozwolił sobie na chwilę radości z tego sukcesu. Adwokat Tchórza był zawsze najtrudniejszą pozycją w Dowództwie. Zazwyczaj udawało się wmanewrować w to nowych członków dokładnie tak, jak to właśnie zrobił. Do czasu, kiedy nowy Adwokat dostatecznie wzmocni potęgę swojego klanu, żeby móc sprostać wszelkim wyzwaniom, jakie może przynieść to stanowisko, na pewno będzie można przekazać jego obowiązki komuś innemu.

Po chwili znowu musiał skoncentrować się na pracy.

- Ty i ty - wskazał na dwóch najpotężniejszych Przywódców Klanu. - Każdy z was weźmie jeden statek wojenny. Ty - wskazał na trzeciego - dostaniesz transporter ciężkich oddziałów. Niech każdy klan wystawi jeden oddział. Spotkanie w bazie kosmicznej Kylish za dziesięć dni. Rozpoczynamy inwazję za jedenaście dni. Jakies pytania? - Spojrzał na nowego Adwokata Tchórza, ale ten się nic odezwał. - A więc odmaszerować!

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 12

Doktor Simon Chang miał zaokrągloną twarz, prawie tak samo zaokrągloną sylwetkę i naturalną opaleniznę, która jakimś cudem przetrwała nudną, trzytygodniową podróż z Ziemi.

Właściwie nie wyglądał na specjalistę od badań materiałowych - tak przynajmniej uważał Meredith - ale sposób, w jaki przyglądał się zaplątanemu w węzeł gordyjski prętowi, przemawiał za nim skuteczniej niż jego referencje.

- Wspaniały - stwierdził od razu.

Meredith nie mógł się z tym nie zgodzić. Pręt był wprawdzie oblepiony grubą warstwą pyłu, ale gdy sześciometrowy odcinek wyprostował się prawie pionowo do góry, to pod własnym ciężarem wygiął się w błyszczącą ćwiartkę okręgu. Na końcu zostały kawałki sznura, którym przymocowano wcześniej spadochron, a klej pręta mocno przytrzymał przytwierdzone do niego różne klamry i czujniki.

- Mam nadzieję, że panu i pańskim ludziom nie minie ten entuzjazm powiedział Meredith do Changa. - Ten pręt to twardy orzech do zgryzienia.

- Nie wątpię. - Chang powiódł wzrokiem po kontenerze wielkości domu towarowego, który wzniesiono wokół miejsca lądowania. - Przywieźliśmy ze sobą mnóstwo specjalistycznego sprzętu. Czego się dotąd dowiedzieliście?

Meredith przywołał spieszącego się gdzieś oficera.

- Kapitan Witzany, Korpus Inżynieryjny - przedstawił go. Jego ludzie to najbliższy odpowiednik specjalistów do badań materiałowych, jakim tu dysponujemy. Kapitanie, proszę powiedzieć doktorowi Changowi, co odkryliście.

- Obawiam się, że niedużo. - Witzany wskazał na coś, co przypominało olbrzymie imadło. - Ustaliliśmy, że rozciągliwość jest przynajmniej trzy razy większa niż w przypadku pręta epoksydowo-grafitowego. Później osiągnęliśmy limit bezpieczeństwa naszej platformy doświadczalnej. Klej - albo jakkolwiek to nazwiemy - słabo łączy się z cieczami i gazami, ale wnika na głębokość kilku centymetrów w każde ciało stałe, z którym ma kontakt.

- Czy ten proces zaczyna się już przed dotknięciem pręta?

- Nie, sir. To nie działa jak magnes przyciągający metal, jeśli o to panu chodzi.

Chang kiwnął głową w zamyśleniu.

- Dowiedzieliście się czegoś więcej o właściwościach elektrycznych? Raport wstępny był dość sprzeczny wewnątrz.

- To wina tego pręta, nie nasza - odpowiedział Witzany. - Otrzymujemy bardzo ekstremalne wyniki testów. Metal albo przewodzi, albo izoluje, nic pośredniego.

Na tej podstawie przypuszczamy, że jeśli go kiedyś przełamamy, pęknie bez uprzedniego rozciągania się.

- Kiedy go przełamamy - poprawił łagodnie Chang. - Badaliście widmo emisyjne przy ogrzewaniu? Wiem, że staje się nadprzewodnikiem, ale ciepło musi przecież gdzieś uciekać.

- Badaliśmy, sir. Podgrzewaliśmy go przez trzy dni, zanim osiągnął odpowiednią temperaturę, ale się nam udało. Widmo koncentruje się głównie w obszarze czerwieni i podczerwieni.

- To powinno mi wystarczyć. - Chang spojrzał na Mereditha. - Na tej podstawie dowiemy się, z czego się składa.

- Życzę powodzenia, doktorze - powiedział Meredith. - Nie wydaje mi się, żeby zespołowi

kapitana Witzany'ego udało się dopasować jakiś istotny fragment widma do znanych pierwiastków albo związków.

Chang lekceważąco machnął ręką.

- Myślę, że wszystkie niezbędne dane znajdują się w mojej bibliotece. Chciałbym jak najszybciej otrzymać dwie czytelne kopie widma i dostęp do komputera.

Coś nieprzyjemnego pojawiło się na chwilę w spojrzeniu Witzany'ego.

- Tak jest, sir - powiedział. - Z przyjemnością udzielę panu wszelkiej pomocy, jakiej będzie pan potrzebował...

- Dziękuję, ale to nie będzie konieczne - uciał Chang. - Od tej chwili sprawą zajmuję się ja i moi pracownicy. Proszę nam tylko przekazać wszystkie dane, jakie macie, a potem może pan wracać do swoich zwykłych obowiązków.

Tym razem nieprzyjemne spojrzenie Witzany'ego trwało wystarczająco długo, żeby Meredith mógł je spostrzec. Kapitan pracował nad prętem w pocie czoła przez ostatnie półtora miesiąca, a teraz ktoś ni stąd, ni zowąd po prostu mu go odbierał. To mu się nie podobało.

Meredith zdał sobie nagle sprawę, że jemu też to nie odpowiada. Wreszcie ktoś oficjalnie zainteresował się Astrą, tak jak na to zasługiwała, ale takie zainteresowanie tylko uprzytomniło Meredithowi, jak niewielkie wsparcie otrzymywali dotychczas.

Witzany wskazał na Mereditha.

- Wszystkie nasze raporty klasyfikował pułkownik Meredith. Muszę mieć jego pisemną zgodę, żeby je panu przekazać.

- To absurdalne, kapitanie. Mam zgodę Kongresu i Wspólnoty Kierowniczej na badanie na Astrze wszystkiego, co tylko chcę.

- Oczywiście, doktorze - przerwał Meredith. - To tylko formalność, ale konieczna.

Zajmie kilka minut.

- Pułkowniku...

Meredith ruchem ręki uciszył protest Changa. Zabrzęczał telefon.

- Proszę wybaczyć - powiedział i odebrał połączenie.

Dzwonił major Brown z bazy „Martello”.

- Pułkowniku, zbliża się statek Rooshrike. To Beaki nul Dies na, ten który odwiedził nas wkrótce po przyjeździe. Chce wylądować i porozmawiać z panem.

Meredith zmrużył oczy.

- O czym?

- Nie wiem. Ale jest bardzo uprzejmy.

Meredith popatrzył na Changa.

- Może mnie pan na chwilę połączyć z „Pathfinderem”? Chcę porozmawiać z kapitanem Radfordem.

- Chwileczkę, sir.

Chang zrobił krok w stronę Mereditha.

- Czy coś się stało?

- Jeszcze nie wiem - powiedział krótko pułkownik.

W słuchawce usłyszał najpierw kilka trzasków, a potem głos Radforda.

- Tu Radford. O co chodzi, pułkowniku?

- Czy ktoś na Ziemi wygadał się o pręcie, zanim pan wyjechał? - zapytał Meredith. - Chodzi mi o

to, czy udostępniono te informacje Ctencri albo innym Obcym?

- O ile wiem, wszystko było utrzymane w ścisłej tajemnicy - powiedział wolno Radford. -

Dlaczego pan myśli... chodzi o statek Rooshrike?

- Właśnie. To dosyć podejrzana pora na wizytę, zważywszy, że ignorowali Astrę przez ostatnie trzy miesiące.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

- Myślałem, że ściągnęliśmy pręt na powierzchnię, żeby nikt go nie zwędził.

- Bo tak było. - Meredith głośno wypuścił powietrze i nacisnął przycisk na telefonie. - Brown?

- Tak, pułkowniku?

- Proszę mnie połączyć z Rooshrike. Pan i kapitan Radford będziecie się przysłuchiwać i nagrywać rozmowę. Wszystko jasne?

- Tak jest, sir.

- Chwileczkę, muszę nastawić odporny na zakłócenia rejestrator dźwięku.

Meredith zdał sobie nagle sprawę, że w pomieszczeniu z prętem przerwano wszystkie czynności i rozmowy. Chang wyglądał na nieco zdezorientowanego, ale Witzany i jego asystenci nie mieli żadnych wątpliwości. Wiedzieli, że coś się dzieje.

Telefon zapiszczał.

- Mamy połączenie, pułkowniku. Może pan mówić - poinformował Brown.

Meredith przysunął telefon bliżej ust.

- Mówi pułkownik Lloyd Meredith. Chciałbym mówić z Beaki nul Dies na.

- Ja jestem Beaki nul Dies na. - Odpowiedź nadeszła natychmiast. - Mówię w imieniu mojego ludu.

- A, tak... ja też mówię w imieniu mojego ludu. Chciałbym poznać cel pańskiej wizyty.

- Pragnę przedyskutować warunki handlu. Rozumiem. Chodzi o naszą siarkę, jak się domyślam.

- Nie starajcie się nas oszukać - powiedział Beaki. - Oferuję wam darmową informację jako znak szczerości. Wiemy o odkrytej przez was zaawansowanej technologii i o pręcie, który dzięki niej powstał. Chcielibyśmy zakupić fragment pręta, żeby go zbadać. W zależności od jego właściwości możemy być zainteresowani nabyciem większych ilości metalu.

Przez chwilę Meredith patrzył na telefon i bił się z myślami.

- Skąd wiecie o pręcie? - zapytał, bardziej dla zyskania na czasie, niż z ciekawości.

- Uzyskaliśmy tę informację od Ctencri, którzy zamierzają w przyszłości działać jako ziemscy pośrednicy handlu. Mój lud uważa, że bardziej sprawiedliwe będą bezpośrednie transakcje między nami.

- Rozumiem.

A więc Ziemia zawarła umowę z Ctencri, nawet go o tym nie informując... a może Ctencri ustalili to jednostronnie? Albo Rooshrike wymyślili sobie wszystko, żeby przekonać Astrę do pochopnego i nieprzemyślanego podpisania kontraktu? Meredith zawahał się.

Wiedział, że w żadnym razie nie wolno mu okazać niezdecydowania. Jaka szkoda, że nic ma więcej informacji.

- Jeżeli chodzi o sprzedaż części pręta, żałuję, ale w tej chwili nie mogę wyrazić na to zgody. Sprzedamy wam jednak dane, które zebraliśmy. Zrobimy to teraz albo za kilka dni, kiedy uruchomimy nasz nowy sprzęt badawczy.

Odpowiedź Beakiego mogła pomóc Meredithowi zorientować się, o co w tym wszystkim

chodzi. Jednak stało się coś, co przeszkodziło pułkownikowi w wysłuchaniu odpowiedzi Rooshrike.

- Pułkowniku, wykryliśmy inny statek - wtrącił się do rozmowy zdenerwowany Brown. - Właśnie przeskoczył do naszego systemu. Namierzaliśmy błysk. Około miliona czterystu tysięcy kilometrów stąd. Zmierza w kierunku Astry.

- Pułkowniku, właśnie zarejestrowaliśmy drugi błysk - zameldował Radford. - Chwileczkę... jest i trzeci.

- Potwierdzam - powiedział Brown.

- Czy to wasi ludzie, Beaki? - zapytał ostro Meredith.

- Nie - odpowiedział Obcy. - To może być delegacja handlowa innego ludu...

- Szczerze w to wątpię - przerwał mu Radford. - Delegacje handlowe zwykle nie stosują manewrów skrzydłowych.

Manewr skrzydłowy. A niech to.

- Jeżeli to nie wasi, proponowałbym szybką ucieczkę - powiedział Meredith.

Rooshrike nie odpowiedział. Nagle z telefonu dobiegł niski gwizd.

- Ucieka zameldował Radford. - Jak nietoperz z silnikiem raketowym... teraz przeskoczył. Intruzi nadal nadlatują.

- Majorze? Proszę ich wywołać.

- Przyjąłem.

Przedłużająca się cisza.

- Nie odpowiadają. Albo ignorują wszystkie rzekomo standardowe częstotliwości, albo nie mają translatora do tłumaczenia z angielskiego. Mogę też nie chcieć rozmawiać.

- Nie sądzę, żeby powód ich milczenia przedstawiał jakiegokolwiek wątpliwości - powiedział cicho Meredith. - Chyba powinniśmy przygotować się na inwazję.

- Zgadzam się - powiedział lodowatym głosem Radford. - „Pathfinder” jest do pańskiej dyspozycji, pułkowniku.

- Dziękuję, ale nie wiem, co mógłby pan zrobić, nie dając się przy tym roznieść na strzępy. Sugeruję, żebyście się wycofali. I to daleko. Proszę czekać na rozwój wypadków.

Jeżeli wam bezpośrednio zagrożą, lepiej uciekajcie.

- Niestety, muszę się zgodzić. W porządku. Wycofujemy się i rozpoczynamy ciszę radiową. Powodzenia.

- Dziękuję. Brown?

- Sir?

- Czerwony alarm. Dla wszystkich jednostek. Proszę to również ogłosić cywilnym kolonistom. Siedzą w tym po uszy razem z nami i też potrzebują jak najwięcej czasu na przygotowanie się.

- Tak jest, sir. Powiadamiam wszystkie centra. Jakies rozkazy co do rozmieszczenia jednostek?

Meredith zamyślił się. Zauważył wtedy, że obecni w pokoju ludzie ustawili się półkolem za plecami Witzany'ego i Changa. Wszyscy mieli ten sam wyraz twarzy: byli przestraszeni, zdenerwowani i niezwykle zdesperowani. Meredith widział coś takiego tylko raz w życiu - u egipskich wieśniaków, którzy przygotowywali się do obrony swojej wioski przed atakiem libijskiej armii. To był szok. Pułkownik nie zdawał sobie sprawy, że jego ludzie mogą po trzech miesiącach uważać Astrę za swój dom.

Nie spodziewał się też, że on sam mógł tak myśleć.

- Rozproszyć oddziały - powiedział do Browna. - Nie ma sensu bronić bazy „Martello” albo

budynków administracyjnych. Rozdzielimy się na grupy partyzanckie i rozpoczniemy walkę podjazdową, kiedy tylko Obcy wylądują.

- Nie mamy się gdzie schronić.

- Wiem, ale jeśli będziemy walczyć otwarcie, zaatakują z powietrza i zdmuchną nas z powierzchni ziemi. Jak najwięcej ludzi powinno schronić się w Górach Kaf albo na wzgórzach w pobliżu Jeziora Kropli Łzy. Trzeba zabrać tam też pionoloty.

- A co z prętem, pułkowniku? - zapytał Witzany.

- Zostawiamy go - powiedział Meredith. - Jeśli tylko tego chcą, mogą go zabrać i odlecieć.

- Co?! - wybuchnął Chang. - Pułkowniku, ten pręt jest bezcenny...

- Bezcenny jest mechanizm, który go wyprodukował - przerwał mu Meredith. - I założę się, że właśnie po niego tu przylecieli.

- Pułkowniku - zabrał głos Hiown przekazałem rozkazy, ale mamy problem z pionolotami. Jeden jest na Mt Olympus z grupą Hafnera.

- Cholera!

Codzienne poszukiwania Prząśnicy stały się już czymś zwyczajnym i Meredith zupełnie o nich zapomniał.

- Będzie lepiej, jeśli tam zostanie.

- Tak jest. Pionolot Jeden leci w stronę gór.

Meredith przytrzymał w myślach kciuki na szczęście - pionolot Jeden nie był używany od czasu kontaktu z polem wysokiej grawitacji - i zaraz przestał o tym myśleć.

Pionolot był cenny, ale na jego pokładzie znajdowały się tylko dwie osoby. Dwie spośród prawie dziesięciu tysięcy, za które Meredith był odpowiedzialny.

- Dobrze. Wracam do Unie. Przejmę od pana dowództwo, jak tylko dotrę na miejsce.

Kiedy minął Wright i znowu wyjechał na drogę, nadeszło nieuchronne ultimatum.

- Nie chcą się przedstawić - przekazał nerwowo Brown - ale żądają, żebyśmy zatrzymali wszystkie jednostki latające i pojazdy lądowe. Mamy się też zebrać przed budynkami.

- A jak nie posłuchamy?

- Nie powiedzieli tego otwarcie, ale to chyba oczywiste.

- Jasne. Jak przebiega ewakuacja?

- Powoli. Cywile ruszają się zbyt wolno.

Meredith zmiął w ustach przekleństwo.

- Czy Obcy są już na tyle blisko, żeby móc namierzyć pojazdy lądowe?

- Powiedziałbym, że to zależy od tego, czy wiedzą, gdzie szukać. Jeden ze statków zszedł z wysokiej orbity, pozostałe trzymają się z tyłu. Jak dotąd ignorują „Pathfindera”.

- Mhm. Dobrze. Powiedz im, że dopóki nie dowiemy się, kim są i czego chcą, twój przywódca się przed nimi nie ugnie. Proszę używać jak najwięcej slangu - przestarzałego slangu, jeśli pan potrafi. Powinno to dać nam trochę więcej czasu, niż samo przekazywanie mi ich poleceń.

- Tak jest. Ale pewnie i tak nie uda się nam ewakuować wszystkich z miasta. Czy mam przygotować obronę?

- Raczej tak. Najlepiej w budynkach administracyjnych. - Może pan użyć pojemników z nawozem jako worków z piaskiem.

- Już o tym pomyślałem. Mam obsadzić żołnierzy na stanowiskach już teraz, czy zaczekać na pana?

Meredith zawahał się. Bardzo chciał zająć się wszystkim osobiście, ale nie wiedział, jak długo uda im się jeszcze powstrzymać atak wroga.

- Lepiej będzie, jeśli pan się tym zajmie. Proszę dać lokalnym dowódcom wolną rękę i zaznaczyć, że mają się skoncentrować na obronie. Niech pan prześle jak najwięcej informacji siecią komputerową. Obcy przynajmniej nieźle się natrudzą, zanim przechwycą rozmowy.

- Tak jest, sir. Prześlę ostateczne plany do pańskiego biura. Myślę, że możemy ich zwodzić, dopóki pan nie przyjedzie.

Meredith wcale nie był o tym przekonany. Ale czy to z powodu zdezorientowania, czy też ze zwykłej chęci dokładnego przyjrzenia się krajobrazom Astry, wrogowie zwlekali wystarczająco długo, żeby pułkownik dotarł do Unie. Wertował w biurze przygotowany pośpiesznie przez Andrewsa plan obrony, kiedy Brown przekazał mu najświeższą wiadomość. Ze statku na niskiej orbicie wystartowały dwie jednostki latające. Po kilku minutach usłyszeli szum, który szybko przeszedł w głośne dudnienie. Jedna z maszyn przemknęła nad nimi, kierując się na wschód. Meredith patrzył przez okno, jak zmniejsza prędkość i ląduje za pomocą repulserów gdzieś między Unie a Crosse. Zamarł w oczekiwaniu na odgłosy wystrzałów... ale, przynajmniej na razie, wszędzie było cicho.

- A więc stało się, - pomyślał i ponownie usiadł przy biurku. Rozpoczęła się bitwa o Astrę. Ciekawe, jakie mamy szansę.

Ale nie wystarczyły mu same rozważania. Zaczął sprawdzać przez telefon, które linie komunikacyjne jeszcze działają.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 13

- Wyprowadzają teraz coś podobnego do pionolotów, większych niż nasze - stwierdził Hafner i nastawił ostrość lornetki. - Wygląda na to, że mają cztery. Reszta wojsk rozdzieliła się i zdążyła w kierunku Crosse i Unie.

Carmen stała obok i też patrzyła na zachód, osłaniając ręką oczy od słońca.

Drugą rękę przycisnęła do boku i zwinęła w pięść. Ekspedycja Hafnera pokonała już dwie trzecie wysokości południowego zbocza Mt Olympus. Roztaczał się stąd wspaniały widok na miejsce lądowania obcego statku. Carmen nie mogła się pogodzić z faktem, że musiała się tylko temu przyglądać bez możliwości udzielenia pomocy. Powinnam tam być, powtarzała w myślach.

Powinnam im pomagać w oprogramowaniu taktycznym. Wzięłam sobie wolny dzień, żeby przywieźć tu Petera, i wszystko się wali.

- Może powinniśmy do nich zadzwonić i powiedzieć o pionolotach? - zapytała Hafnera.

Potrząsnął głową, nadal patrząc przez lornetkę.

- Jestem pewien, że zwiadowcy pułkownika Mereditha i majora Barnera już to odkryli. Nie, jeśli nadamy teraz coś przez radio, zdradzimy naszą obecność tutaj. Zaczekajmy lepiej, aż będziemy wiedzieli coś naprawdę ważnego.

- Ale nie możemy tutaj tak po prostu siedzieć i zbijać baki - zaprotestował jeden z członków ekspedycji. - Czy nie moglibyśmy jakoś wykorzystać naszego pionolotu? Może atak bombowy albo ewakuacja, cokolwiek?

- Jeżeli potrafisz zrobić kilka bomb z kamienia, nie krępuj się - powiedział cierpko Hafner. - A co do ewakuacji, nie ulecielibyśmy nawet pół kilometra, a już siedziałyby nam na ogonie ich cztery pionoloty...

Urwał nagle.

- Masz jakiś pomysł? - zapytała Carmen.

- Może. - Opuścił lornetkę i popatrzył na południe. - Pamiętasz to miejsce, gdzie rozbił się pionolot, w pierwszym dniu naszego pobytu tutaj?

- Pionolot Dwa? Tak... coś mi świta.

- Nigdy do końca nie wyjaśniono przyczyn katastrofy, prawda?

- Przynajmniej nic o tym nie wiem. Dlaczego pytasz?

- No więc - powiedział wolno - wiemy, że pod tym wzniesieniem jest jakaś ogromna maszyna. Czy to możliwe, żeby pole elektryczne w repulserach pionolotu wywołało... no, czy ja wiem... jakiś rezonans albo sprzężenie w tym czymś pod ziemią?

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Tak, to chyba możliwe - przyznała. - Ale nie wiem, do czego moglibyśmy to teraz wykorzystać. Poza tym wydaje mi się, że lecieliśmy nad tym miejscem, więc cokolwiek to było, wydarzyło się tylko raz.

Hafner wciąż patrzył na południe.

- Może... - Nagle wziął głęboki wdech i znowu odwrócił się na zachód. - W każdym razie daje nam to pewne pojęcie o rozmiarach maszyny. Obcy nie będą mogli tak po prostu spakować wszystkiego w walizkę i wywieźć stąd.

- Mhm. - Nie o tym myślał, powiedziała do siebie, podejrzliwie obserwując jego profil. Przyszło mu do głowy coś innego. Ale co?

Jednak przynajmniej na razie Hafner nie wydawał się skłonny do rozmowy na ten temat. Carmen powstrzymała ciekawość. Wróciła myślami do dramatu rozgrywającego się na zachodzie i żałowała, że jej tam nie ma.

Meredith miał nadzieję, że przywódca Obcych użyje komunikatorów wizyjnych. Nie był jednak zbyt zaskoczony, kiedy ekran pozostał pusty. Chociaż wszystkie pozaplanetarne rozmowy radiowe były zagłuszane, znał dobrze Obcych i wiedział, że zawsze postępowali bardzo ostrożnie. Oczywiście zatajenie własnej tożsamości mogło równie dobrze oznaczać, że nie zamierzali zabijać ludzi. To spostrzeżenie było godne zapamiętania.

- Przykro mi, Przywódcu - powiedział po raz czwarty w ciągu dwóch minut - wielu moich ludzi nie ma przy sobie osobistych telefonów. Niepodobna ich w jednej chwili ściągnąć z powrotem.

Na ekranie komputera pojawiła się wiadomość z Wright od majora Gregory'ego. Na polach na wschód od miasta osiadł drugi lądownik i w alarmującym tempie wypuszczał żołnierzy w kombinezonach kosmicznych. Wstępne dane szacunkowe...

Odpowiedź Obcego przeszkodziła mu w czytaniu.

- Staracie się spowolnić nasze translatory wariantami dialektowymi. Taka taktyka jest bezcelowa. Nie zamierzam skrzywdzić waszych ludzi, chyba że będzie to absolutnie konieczne. Ale nie zamierzam też pozwolić im na swobodne przemieszczanie się.

Jeżeli trzeba, zawsze mogę użyć sensorów na podczerwień i detektorów substancji, żeby zlokalizować każdego z nich z orbity. Daję wam czas potrzebny na jeden obrót planety; zawróćcie ich do miast. Później uznam, czy kwestionują moje rządy i odpowiednio ich potraktują.

Meredithowi zaschło w ustach ze zdenerwowania. Nie wiedział, jak dokładne były sensory Obcych. Wątpił jednak, czy jego ludzie zdołają w ciągu dwudziestu siedmiu godzin zaryć się na tyle głęboko pod ziemią, żeby nie można ich było nimi wykryć.

Powiniennem pomyśleć o obronie, kiedy tylko zdaliśmy sobie sprawę, jak ważne jest nasze odkrycie, upomniał się w duchu. Ale, do diabła, ta wspólnota handlowa miała być politycznie stabilna.

- Przywódcu, oczekuję pańskiej decyzji - ponaglił Obcy.

- Tak. Aha... jakie mam gwarancje, że moi ludzie będą bezpieczni?

Obcy zaczął mówić... lecz Meredith nie usłyszał odpowiedzi. Na ekranie pojawiła się krótka wiadomość od majora Barnera i bez reszty pochłonęła uwagę pułkownika:

Meldunek zwiadowców: Obcy lądownik stoi na metalowych płozach, powtarzam metalowe płozy lądownicze.

Meredith patrzył na ekran i starał się zebrać myśli. Propozycja Barnera była jasna...

Tylko jak major wyobrażał sobie jej zrealizowanie? Nikt nie wiedział, co uruchomiło maszynę za pierwszym razem, a teraz z pewnością nie mieli czasu na eksperymenty.

Pułkownik musiał zaryzykować i mieć nadzieję, że Astra chociaż raz będzie im sprzyjać.

Obcy przestał mówić, a Meredith oblizwał spierzchnięte wargi.

- Dobrze - powiedział. - Jeżeli wyłączycie zagłuszanie, prześlę instrukcje do tyłu moich ludzi, do ilu zdołam dotrzeć.

- Wyłączam zagłuszanie.

Drżącą ręką Meredith nacisnął przycisk i otworzył wszystkie kanały komunikacyjne, łącznie z systemami telefonicznymi.

- Mówi pułkownik Meredith - powiedział. - Żeby zapobiec niepotrzebnemu rozlewowi krwi, wszystkie jednostki mają się poddać naszym niespodziewanym gościom. Jako gest dobrej woli polecam natychmiast otworzyć pojemniki z nawozem, używane jako osłony. Ich zawartość należy wysypać na ziemię. Powtarzam, wysypać cały nawóz na ziemię.

- Nie wydał pan rozkazu zebrania się w miastach - zauważył Obcy, kiedy Meredith wyłączył przekaźnik.

- Zrobią to później - odparł pułkownik. Obcy nie mogli wiedzieć zbyt dużo o ludziach.

- Kiedy podejmujemy się czegoś jako aktu dobrej woli, uważamy za swój obowiązek doprowadzić to do końca. Dopiero wtedy możemy wypełnić dalsze rozkazy.

Meredith czekał w napięciu na odpowiedź, ale Obcy się nie odezwał. Nic teraz nie rób, po prostu czekaj, nakazał sobie. Wytarł mokre od potu czoło. Jeżeli się nie uda, będziemy musieli się poddać, pomyślał. A jeśli się uda... to z pewnością zaczną strzelać.

- Słyszeliście rozkazy, żołnierzu - powiedział major Brown do zdezorientowanego sierżanta przy barykadzie otaczającej posterunek. - Proszę otworzyć pojemniki i rozsypać nawóz równomiernie na ziemi.

- Tak jest, sir.

Sierżant nadal nie wyglądał na zadowolonego. Mimo to stanowczym głosem przekazał rozkaz swojemu oddziałowi. Ludzie schowali pistolety, chwycili noże i zabrali się za przecinanie grubego tworzywa.

Barner obserwował przez lornetkę dach lądownika Obcych. Resztę maszyny zasłaniały budynki Crosse. Jeżeli plan był dobry, powinien zacząć działać lada chwila.

Carmen przez blisko minutę nie mogła dostrzec żadnych szczegółów nieprzyjacielskiego lądownika. Ale kiedy wreszcie mignął jej przed oczami spód maszyny, nie miała już żadnych wątpliwości.

- Ma płozy lądownicze - powiedziała do stojącego Ala Nicholisa - a nie gumowe koła.

To prawie na pewno naga stal albo coś równie podatnego na działanie maszynierii.

Opuściła lornetkę i podała ją Alowi.

- A więc o to chodzi z tym nawozem. - Nichols powiesił lornetkę na szyi. - Meredith sądzi, że rozsypanie metalu na ziemi wywoła efekt ssania. Powinno się udać.

- O ile to duża ilość metalu powoduje ten efekt - zwróciła uwagę Carmen.

Powiodła wzrokiem po górach i spojrzała na członków ekspedycji. Stali ciasno koło siebie i patrzyli na zachód.

Nie było wśród nich Hafnera.

Zauważyła to, kiedy po raz drugi sprawdziła liczbę, osób w grupie. Naukowiec mógł być tylko w jednym miejscu. Poszła w dół zbocza w kierunku pionolotu.

Hafner siedział w fotelu pilota i z wyrazem skupienia na twarzy studiował układ sterowniczy.

- Wybierasz się gdzieś? - zapytała i usiadła koło niego.

Spojrzał na nią przelotnie i wrócił do poprzedniego zajęcia.

- Bądź tak dobra, Carmen, i pokaż mi, jak mam wystartować powiedział. - A potem uciekaj stąd.

Przez chwilę przyglądała się jego profilowi. Ostentacyjnie nacisnęła jeden z przycisków i przełączyła stery na swoją połowę pulpitu.

- Dokąd lecimy? - zapytała i z trzaskiem zapięła pasy bezpieczeństwa.

- Ty zostajesz - powiedział stanowczo, walcząc z nią o dostęp do przełącznika. - Mówię poważnie, Carmen, to zbyt niebezpieczne. Oddaj mi stery i wysiądź.

- Powiedz mi najpierw, co zamierzasz.

- Nie ma mowy... - przeczesał włosy ręką - Posłuchaj. Oboje wiemy, co planuje pułkownik Meredith. Nie sądzę, żeby można to było zrobić samym tylko nawozem. Musimy jak najszybciej dodać do gleby więcej metalu.

Poczuła silne ukłucie w żołądku.

- Chcesz rozbić pionolot?

- Zwariowałaś? - przeraził się. - Nie jestem aż tak zdesperowany. Postaram się, żeby Obcy rozbili swój.

- Ach, rozumiem. To co innego. W takim razie potrzebujesz dobrego pilota.

Włączyła zapłon i odpaliła dolne repulsery. Niski pomruk silnika prawie zagłuszył sprzeciw Hafnera.

- Bez dyskusji! - krzyknęła, kiedy pionolot uniósł się w górę. - Pułkownik Meredith może mi wydawać rozkazy, Peter, ale nie ty. Doskonale wiesz, że mam rację. A teraz, dokąd lecimy?

Po chwili milczenia powiedział wreszcie bez sprzeciwu.

- Na północ, z lekkim odchyleniem na wschód. Chcę zwabić jeden z pionolotów Obcych, a potem zmusić ich do pościgu za nami.

Kiwnęła głową i uruchomiła główne silniki. Mt Olympus zniknął za nimi. Carmen spojrzała na radar.

- Masz jakiś pomysł, jak ich nakłonić, żeby nas ścigali, zamiast do nas strzelać?

- Mam nadzieję, że mi się uda. Ale nie jestem pewien. - Zawahał się. - To jeden z powodów, dla którego chciałem lecieć sam.

Carmen ponuro skinęła głową i powstrzymała się od oczywistego komentarza.

- Dobrze, pora na twój plan... bo Obcy właśnie nadchodzą.

Hafner odwrócił się, żeby wyjrzeć przez okno. Carmen nic nie widziała ze swojego miejsca, potrzebne informacje czerpała ze wskazań radaru. Zbliżały się dwa z czterech wrogich pionolotów. Jeden leciał na dosyć dużej wysokości, drugi prawie sunął po ziemi.

Hafner odwrócił się i włożył słuchawki radioodbiornika.

- Czy to się włącza?

Nacisnęła przycisk z prawej strony i włączyła też swoje słuchawki, -...lądować - usłyszeli monotonny głos tłumacza. - Powtarzam. Nieautoryzowany pionolot Ctencri:

natychmiast lądować.

- Jeżeli zależy wam na pręcie, który odkryliśmy, lepiej nam nie przeszkadzajcie - powiedział Hafner zdecydowanym głosem. - Mamy na pokładzie czuły sprzęt niezbędny do pracy maszynierii. Wycofajcie się i pozwólcie nam lecieć dalej. - Nie czekał na odpowiedź.

Sięgnął do przełącznika i wyłączył nadajnik. - W porządku - zwrócił się do Carmen - Zawróć i leć do miejsca, gdzie rozbił się pionolot Dwa.

- Mógłbyś mnie wtajemniczyć w swój plan? - zapytała i przekręciła stery w prawo.

- To nie plan. Raczej przecucie. Jak słusznie zauważyłaś wcześniej, mijaliśmy już kilka razy ten obszar... ale pionolot Dwa rozbił się podczas lotu na południe.

Jestem pewien, że my nigdy nie lecieliśmy w tym kierunku.

Carmen zastanowiła się nad tym przez chwilę. Doszła do wniosku, że było to możliwe. Pod ziemią mogło znajdować się coś podobnego do solenoidu albo anteny, których działanie zależałoby od kierunku lotu. Chociaż równie dobrze mógł to być wtedy tylko jednorazowy efekt.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedziała głośno. - Żałowała, że nie wiedziała o tym wcześniej, kiedy jeszcze mogła od - wieść Hafnera od tego pomysłu. - Więc co mam zrobić? Lecieć slalomem nad tym obszarem, zakładając, że nasi prześladowcy polecą prosto na południe?

- Właśnie. Mam nadzieję, że są inteligentni i przyjdzie im do głowy ścigać nas dotąd, aż skończy nam się paliwo i będziemy musieli wylądować. To powinno dość długo powstrzymać ich od strzelania... ups!

Carmen drgnęła gwałtownie. System kontroli lotu automatycznie złagodził efekt tego ruchu. Zaledwie kilka metrów przed nimi pojawiły się nagle wrogie pionoloty i zagroziły im drogę. Dopiero z bliska zdali sobie sprawę, jak były duże.

- Carmen! - Okrzyk Hafnera częściowo wyrażał zdziwienie, a częściowo dezorientację.

- Nie wiem, co się stało - potrząsnęła głową, równie oszołomiona. - Jeszcze dwadzieścia sekund temu byli w odległości piętnastu kilometrów. Nawet nie zobaczyłam, jak się zbliżyli.

Urwała i siłą woli znowu skoncentrowała się na sterach. Może i dysponują bardziej zaawansowaną technologią, pomyślała stanowczo, ale my wiemy coś, czego oni nie wiedzą.

Tylko jak mieli użyć tej wiedzy teraz, kiedy wrogowie obserwowali każdy ich ruch.

W końcu przyszło jej do głowy właściwe rozwiązanie. Chyba właściwe.

- Weź głęboki oddech, Peter - poleciała. - I trzymaj się. Zaczynamy.

Stożek Mt Olympus zbliżał się do nich niczym odwrócone tornado. Carmen przyciągnęła drążek do siebie i przesunęła przepustnicę, żeby włączyć silnik na pełną moc.

Pionolot wzbił się w górę szerokim hakiem. Obcy bez najmniejszego trudu dopasowali trajektorię lotu. Powtórzyli ten manewr, kiedy skierowała pionolot na południe.

Po prawej stronie, daleko w dole mignął im szczyt Mt Olympus. Gdzieś tutaj nastąpiła awaria pionolotu Dwa.

Z zaciśniętymi zębami wyłączyła repulsery.

Nagła cisza aż dzwoniła jej w uszach. Przelotnie spojrzała na Hafnera. Siedział z zaciśniętymi ustami. Skupiła całą uwagę na kłapach i sterolotkach. Próbowwała przypomnieć sobie wszystko, czego się nauczyła o szybowaniu. Nie było tego, niestety, dużo.

- Wiesz chociaż, jak daleko możemy tak lecieć? - zapytał Hafner z udanym spokojem.

- Nie. - Carmen też próbowała mówić spokojnie, ale nie wychodziło jej to tak dobrze jak jemu. - Nadal się wznosiliśmy, kiedy wyłączyłam silniki, więc na razie tylko wyrównujemy lot. Wszystko zależy od parametrów szybowniczych pionolotu, a, jakie są, nie mam pojęcia. Myślę, że minimy miejsce katastrofy, zanim będziemy musieli znowu włączyć silniki. Nie wiem tylko, czy odlecimy daleko poza to miejsce.

Hafner odwrócił się i wyjrzał przez okno.

- Lecą równo z nami. Zastanawiam się, co im powiemy, jak... Hej!

Obniżył trochę lot.

Carmen zerknęła przez okno po swojej stronie.

- Ten też. - Czyżby już się zaczęło? Bez żadnego błysku albo trzasku w odbiornikach radiowych?

- Trzymaj się - powiedziała do Kamera. - Zaryzykujemy.

Przyciągnęła drążek do siebie i skierowała pionolot w górę pod ostrym kątem.

Standardowy manewr utraty szybkości powstrzymał ich lot. Jeżeli silniki wrogich pionolotów nadal pracowały, Obcy powinni bez problemu dostosować kurs lotu... a Carmen po utraceniu prędkości będzie musiała się poddać i zrezygnować z całego planu...

- Nadal obniżają lot! - zawołał Hafner i zaaferowany uderzył pięścią w krawędź pulpitu sterowniczego. - Szybują. Udało nam się!

Carmen odetchnęła z ulgą. Nie zdawała sobie wcześniej sprawy, że wstrzymała oddech. Przerwała manewr utraty prędkości i pionolot leniwie przechylił się na sterburtę.

Dopiero kiedy lecieli na zachód, odważyła się uruchomić silniki. Włączyły się od razu.

Skierowali się w stronę Mt Olympus i Carmen znowu nacisnęła przycisk nadajnika.

- Uwaga, najeźdźcy - powiedziała. - Rozprawiliśmy się z waszym pionolotem, bo odmówił wycofania się. Jeśli cenicie swoje życie, natychmiast opuśćcie Astrę. - Wyłączyła nadajnik i uśmiechnęła się do Hafnera. - To im przynajmniej da do myślenia.

Hafner nadal wyglądał przez okno.

- Carmen, czy możemy wrócić tam, gdzie rozbili się Obcy? Nie jestem pewien, ale chyba się zaczęło.

Rzeczywiście się zaczęło.

Z początku ledwo dostrzegalnie. Na pokładzie okazałych m'zarchiańskich lądowników jedynym przejawem efektu było lekkie drżenie, niewytłumaczalne, ale niezbyt niepokojące. Żołnierze znajdujący się na zewnątrz nie przyglądali się maszynom i nie zauważyli nawet, że powoli wtapiały się w podłoże. Wielkie statki osiadły na brzuchach i zapadały się coraz głębiej, a kiedy syreny alarmowe powiadomiły o przerwaniu kadłuba, było już za późno. Dolnych repulserów, które już zniknęły pod ziemią, nie dało się uruchomić.

Dla tych na pokładzie też było za późno, lecz w innym znaczeniu. Siedzieli uwięzieni w pomieszczeniach zabezpieczonych przed atakiem, z umysłami otępionymi szokiem i zmniejszoną prędkością reakcji. Zostali zgnieceni przez sufit, kiedy złączyły się ściany, a zbroja rozpuściła w piaszczystej glebie jak syrop w wodzie. A byli to żołnierze uważani za zbyt cennych, żeby ryzykować ich życie na zewnątrz. Oddziały terenowe musiały więc radzić sobie same, bez starszych oficerów, taktyków i łączników klanu... bez dostaw ciężkiej amunicji, komunikacji wewnątrz oddziału i na duże dystanse, bez możliwości użycia sensorów ostrzegawczych.

- Zniszczyliśmy wasze lądowniki. - Wybrany Najwyższego Dowództwa usłyszał monotony głos przywódcy Ziemi dochodzący z translatora na łokciu. - Rozkażcie swoim żołnierzom rzucić broń i poddać się albo ich też zniszczymy.

Palce Wybranego zadrżały. To niemożliwe - opancerzone lądowniki M'zarchów nie mogły zostać tak szybko unieszkodliwione bez użycia broni nuklearnej. Ale zostały unieszkodliwione, a sensory dowódcy wojsk nie wykryły żadnej eksplozji nuklearnej. Czyżby technologia Prząśnicy dostarczyła Ziemiom nowego rodzaju broni? Jeżeli tak, lud M'zarchów tym bardziej musiał opanować tę planetę.

Łącznik Klanu S'tarm jakby czytał w jego myślach.

- Nie możemy dopuścić, żeby ktokolwiek oprócz M'zarchów dysponował taką technologią - powiedział.

Wybrany powstrzymał wybuch gniewu.

- Chętnie wysłucham propozycji co do strategii - zwrócił się do wszystkich łączników klanu i

oficerów Najwyższego Dowództwa na mostku. - Mam jednokierunkową łączność z moimi oddziałami naziemnymi. Mogę ich wysłać do ataku, a nawet kierować operacją, chociaż niezbyt wydajnie. Ale uważam za nierozsądne założenie, że po tym Ziemianie nie użyją swojej broni przeciw żołnierzom.

- Po to są żołnierze, żeby oddawali życie dla zwiększenia m'zarchiańskich wpływów - zaczął ktoś z obecnych.

- Ale nie po to, żeby tracić ich bez sensu - odpowiedział ostro Wybrany. - Czy ich pancerze wytrzymają działanie tej broni na tyle długo, żebyśmy wymyślili dla nich jakieś zadanie?

- Mamy jeszcze jeden lądowik - głośno myślał Główny Taktyk, bo przecież tego od niego wymagano. - Ale bez dodatkowych informacji nie można dodać do jego wyposażenia żadnych skutecznych zabezpieczeń. Niemożliwe jest również oszacowanie zasięgu broni.

Większość łączników klanu dopiero po chwili zrozumiała, co to oznaczało.

- Niemożliwe! - roześmiał się S'tarm - Ten statek nie jest w niebezpieczeństwie, a gdyby nawet był, to na pewno są bezpieczne statki wojenne. Nadal zagrażamy Ziemianom całkowitą zagładą.

Wybrany znowu nic nie powiedział. Jeżeli S'tarm nie powstrzyma się od tak głupich komentarzy, któryś z oficerów Dowództwa wyzwie durnia na pojedynek i oszczędzi mu kłopotu. Pod żadnym pozorem nie wolno było wypowiadać gróźb, których nie chciało się spełnić. Gdyby ktoś niepotrzebnie zniszczył taką zdobycz jak ta, nie tylko on, ale i cały jego klan zostałby skazany na śmierć.

- Groźby zniszczenia planety są bezsensowne. - Główny Taktyk zlekceważył propozycję S'tarma pogardliwym ruchem dłoni, żeby uniknąć wyzwania na pojedynek.

- Możemy jednak zagrozić ich statkowi kosmicznemu.

Ledwo wypowiedział te słowa, kiedy potrójny pisk alarmu poddał je w wątpliwość.

- Wybrany - Oficer Obrony przekrzyczał alarm - sensory wykryły błysk przeskoku sześciu okrętów na kursie przechwytyjącym. Według konfiguracji... korwety bojowe Rooshrike.

Wybrany przyjął meldunek skinieniem głowy. Słowa oficera nadal dzwoniły mu w uszach. Jeżeli nie wykona tego zadania, zostanie zdegradowany w hierarchii wojskowej, po której szczeblach tak mozolnie piał się do góry... ale jeżeli nie wykona zadania i na darmo pošle żołnierzy na śmierć, będzie jeszcze gorzej. Dwa statki bojowe z łatwością poradziłyby sobie z sześcioma korwetami, ale to na pewno tylko wierzchołek góry lodowej, a on nie miał ani możliwości, ani chęci zmierzenia się z całą armią Rooshrike.

- Sterniku - skinął na pilota - zabierz nas na wysoką orbitę. Mówco, poinformuj Ziemian, że moje oddziały naziemne poddadzą się, jeśli będą później mogły opuścić planetę. Wydaj żołnierzom odpowiednie polecenia na naszej częstotliwości wojskowej. Przekaż też moim statkom wojennym rozkaz, żeby się podporządkowały nadlatującym oddziałom Rooshrike.

- Poddajemy się?

Wybrany odwrócił się twarzą do S'trama.

- Tak - wycedził przez zaciśnięte zęby - Sprzeciwiasz się?

- Tak! Honor ludu M'zarch...

Nie było to formalne wyzwanie, ale Wybrany był pewien, że S'tarm zrozumiał, o co mu chodzi, zanim z piersią posiniałą od ciosu uderzył w odległą ściankę działową. Wybrany czekał, gotów do starcia z przeciwnikiem. Ten jednak najwyraźniej uznał, że jego umiejętności są niewystarczające do walki w stanie nieważkości i pośpiesznie opuścił mostek.

Przynajmniej, pomyślał Wybrany, zszedł mi z oczu na czas podróży powrotnej.

Kiedy wróca, nie będzie już oczywiście Wybranym. Być może S'tarm weźmie wtedy na nim odwet.

Nie miało to aż takiego znaczenia. Dla Wybranego życie, które znał, już się skończyło.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 14

Obserwatorzy, których Meredith rozmieścił u podnóża Mt Olympus, dopiero pod wieczór następnego dnia zameldowali o pierwszych wahaniach siły ciężenia. Słońce było już prawie do połowy zanurzone w wodach oceanu, kiedy nowy pręt wystrzelił ze stożka wulkanu.

- Najpierw o wschodzie, a teraz o zachodzie słońca - stwierdził Hafner, gdy Andrews przekazał wiadomość Meredithowi. - Na pewno zaprojektowano to tak, żeby umieścić metal na astriańskiej orbicie. Pewnie łatwiej go później przechwycić, zwłaszcza jeśli aż kilka prętów dostanie się do punktów Lagrange'a.

- Aha - przytaknął Meredith. - Jednak przechwycenie było akurat najłatwiejszą częścią operacji. Hafner posłał mu drwiący uśmiezek.

- Innymi słowy postępy, jakie zrobiliśmy na Mt Olympus, nie były nadzwyczajne.

- Nadal nie znalazł pan ani śladu wejścia?

- Nie, nie znalazłem. Mimo że krater się otwiera przy wypuszczaniu pręta, nie jest przystosowany do tego, żeby można było wejść do środka.

- Może po prostu przeoczył pan wejście? - Meredith wzruszył ramionami. - Trzysta metrów kwadratowych dna krateru plus sto metrów powierzchni ścian wewnętrznych to dosyć duży obszar. Można na nim ukryć sekretne wejście.

- Nie sądzę, żeby konstruktorom chodziło o ukrywanie czegokolwiek. A drzwi dla personelu zazwyczaj są widoczne.

- Jak to nie chodziło im o ukrywanie niczego? - odezwał się Andrews. - Zamaskowali wszystko tak, żeby wyglądało na wulkan, prawda?

- Powoli dochodzę do wniosku, że kształt jest przypadkowy - odpowiedział Hafner.

- Cylinder wewnątrz stożka jest dosyć gładki, wykonany z tego samego materiału co pręt, tylko nie jest tak lepki. A skały na powierzchni z pewnością nie są pochodzenia wulkanicznego. Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że Prząśnicy...

- Prząśnicy? - zdziwił się Meredith.

- O, to domniemana rasa konstruktorów urządzenia. - Hafner wyglądał na nieco zmieszanego. - Zespół doktora Changa nazywa maszynę Prząśnicą, a nazwa rasy sama się nam nasunęła. W każdym razie jestem przekonany, że Prząśnicy tylko zgromadzili materiał skalny, który wykopali przy budowie swojej podziemnej fabryki. A żar z centralnego szybu stopniowo zmienił luźne kamienie w ich obecną postać.

- Tak, ten podziemny obszar roboczy. - Meredith wreszcie nawiązał do tematu, który chciał przedyskutować z Hafnerem na samym początku. - W raporcie złożonym przez pana i panią Olivero dziś rano, przeczytałem, że chcecie szukać wejścia do fabryki w pobliżu Morza Martwego. Czy to nie za daleko? Mówimy tu co najmniej o dziesięciu kilometrach dzielących to miejsce od wulkanu.

Hafner wzruszył ramionami.

- M'zarchowie stracili repulsery mniej więcej w tej samej odległości od stożka.

- Stało się to przynajmniej kilometr na zachód od Morza Martwego.

- To prawda. Ale jeżeli Prząśnicy chcieli sobie zaoszczędzić kłopotu z budową windy na pełnym pustkowiu, to na pewno zbudowali wejście w jedynym dogodnym miejscu, czyli wśród wzgórz wokół Morza Martwego.

Po drugiej stronie biurka Andrews odebrał telefon i mruknął coś do słuchawki.

Meredith część uwagi poświęcił tej rozmowie.

- Proszę mnie zrozumieć, doktorze - powiedział do Hafnera. - Doceniam pańskie próby dowiedzenia się czegoś więcej o tej... Prząśnicy, ale nie mogę marnować siły roboczej na długie, niekończące się poszukiwania, jakie pan proponuje. Znowu straciliśmy cały nawóz na polach i trzeba będzie albo przedwcześnie rozpocząć żniwa, albo rozsypać więcej nawozu.

Jeżeli zdecydujemy się na to drugie, musimy to zrobić natychmiast, a do tego ręcznie...

Urwał, kiedy Andrews przestał rozmawiać.

- No i co?

- Pułkownik, „Pathfinder” melduje, że dwa rooshrikańskie statki zeszły z orbity i lecą przechwycić pręt.

Zamyślony Meredith wolno kiwnął głową. Było jasne, że „Pathfinder” nie miał szans na zakłócenie wykrywaczy Rooshrike. Poza tym M'zarchowie nie skończyli jeszcze wycofywać swoich oddziałów i nie był to dobry moment na zatargi z wojskiem, które przyszło Astrze z odsieczą.

- Niech Radford poinformuje Rooshrike, że dajemy im pręt za darmo w podziękę za pomoc i takie tam... niech sam wymyśli, jak to sformułować.

- Tak jest, sir.

Meredith odwrócił się do Hafnera, spodziewając się sprzeciwu, lecz naukowiec tylko przytaknął, na znak, że się zgadza.

- Dobry pomysł. Domyśla się, dlaczego to robimy, ale przynajmniej pokażemy im, że znamy się na polityce. Nawiasem mówiąc, czy pierwszy pręt został wessany razem z resztą metalu?

- Nie, efekt ssania nie miał na niego wpływu.

- Dobrze. Wiać... czy mam rozumieć, że nie dostanę więcej ludzi do pomocy przy poszukiwaniach?

Meredith rozłożył ręce.

- Jak już powiedziałem, musimy natychmiast zająć się uprawami. Kiedy z tym skończymy, zamierzamy skonstruować coś w rodzaju ogromnych plastikowych skrzynek na kwiaty. To powinno ochronić pola przed działaniem mechanizmu ssącego. I to są teraz nasze priorytety. Mogę udostępnić panu samochód i rozsądną liczbę sprzętu, ale to wszystko. Może pan to przyjąć albo nie.

Hafner wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że przyjmę. Chociaż muszę przyznać, pułkownik, że wykazuje pan bardzo mało zainteresowania tym niezwykle ważnym znaleziskiem.

- Chyba za bardzo nie zwracał pan na to uwagi - powiedział Meredith z nutą irytacji w głosie. - Gdybym nie wykazywał zainteresowania, pan i pańscy koledzy po fachu spędzilibyście dwa ostatnie miesiące na pracy w polu albo przy budowie, zamiast buszować po Mt Olympus. Nie jestem głupi, doktorze. Wiem, co tu mamy. Ale najważniejsze jest przetrwanie kolonistów. Za jakieś dwa tygodnie przybędzie „Aurora”. Radford twierdzi, że przywiezie wszystko, o co prosiliśmy. Jeżeli ma rację, a ci dusigrosze z Kongresu nie obcięli na to połowy funduszków, wówczas wszystko się jakoś ułoży. Ale uwierzę w to dopiero wtedy, jak to zobaczę.

- Rozumiem. - Hafner wstał. - Jednak wydaje mi się, że najprostszym rozwiązaniem kłopotów z uprawami będzie znalezienie układu sterowniczego Prząśnicy i wyłączenie urządzenia ssącego.

Po tych słowach wyszedł. Meredith westchnął i spojrzął na Andrews'a.

- Chyba się rozchoruję przez tych naukowców pod moją komendą - powiedział, potrząsając głową. - Każdy z nich nie widzi świata poza swoją pracą.

Andrews wzruszył ramionami.

- Właściwie ten ostatni pomysł nie był taki zły, sir. Oczywiście zakładając, że uda nam się później z powrotem uruchomić maszynę.

- Na co nie mamy żadnych gwarancji. Nawet jeśli znajdziemy coś tak prostego jak wyłącznik... - Meredith skrzywił się - nie wiemy, jakim sprzętem do obserwacji terenu dysponują Rooshrike albo M'zarchowie. Nie jestem wcale pewien, czy odlecą, kiedy tylko ich Żołnierze wrócą na pokład statków.

- I myśli pan, że kiedy znajdziemy wejście do Prząśnicy - powiedział wolno Andrews - oni będą o tym wiedzieli. To dlatego opóźnia pan poszukiwania?

- Głównie dlatego. Rzeczywiście mamy mało siły roboczej, lecz bez większych kłopotów moglibyśmy przełożyć niektóre projekty na później. Uważam jednak, że na razie będzie lepiej, jeśli spowolnimy poszukiwania.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Chyba nie spodziewa się pan, że Pentagon przyśle nam broń uzbrojenie - powiedział Andrews. - Nawet jeśli Kongres nie będzie nad tym debatował przez pół roku, to musiano by wynaleźć taki rodzaj materiału, jakiego potrzebujemy.

- Wiem. Broń kosmiczna do niszczenia satelitów szpiegowskich byłaby bezużyteczna w walce z m'zarchiańskimi krążownikami. Nie, liczę na tych, którzy już mają odpowiednią broń.

- Rooshrike?

- Rooshrike, Pomowie, Orsfami i Wissstowie - potwierdził Meredith. - Co by pan zrobił, gdyby był pan prezydentem i dowiedział się, że odkryto Prząśnicę na przykład w Górnej Wolcie, a dobrali się do niej Chińczycy?

- Wysłałbym im ze dwie eskadry myśliwców F-26 i zaoferował wszystko, czego jeszcze by chcieli - odparł natychmiast Andrews. - Więc chce pan czekać tak długo, aż wszyscy Obcy w tej części wszechświata dowiedzą się o ataku M'zarchów?

- Trafiał pan w dziesiątkę. Przypuszczam, że Rooshrike wszystkim o tym powiedzą. A gdyby tego nie zrobili, wysłamy wiadomość do ctencriańskiej grupy handlowej na Ziemi i pozwolimy na rozpowszechnienie jej tą drogą.

Andrews wolno kiwnął głową.

- Trzy tygodnie w jedną stronę dla „Pathfindera”. Wie pan, jak szybkie są statki Rooshrike?

Wiemy już, że Ctencri nie sprzedali nam najnowocześniejszej technologii. Najdalej za miesiąc wszystkie pozostałe rasy przyślą tu swoje statki, żeby ocenić sytuację z bliska. Do tego czasu Rooshrike powinni powstrzymać innych napastników.

- O ile im samym nic nie strzeli do głowy.

Meredith skrzywił się.

- To też.

- Naprawdę wspaniały dowcip - powiedział młody Wist i zatrzasnął swoje ostre szczypce w geście wielkiego zadowolenia.

- Rzeczywiście wspaniały dowcip - zgodził się starszy Wist na ekranie wizyjnym.

- Bardziej zabawne byłoby tylko znalezienie samej Prząśnicy.

- Prawda. A ja myślałem, że M'zarchowie są całkowicie pozbawieni poczucia humoru.

- Powinniśmy wysłać delegację na terytorium Rooshrike, żeby się temu przyjrzeć.

Młody Wist zastanowił się przez chwilę.

- Ale to wcale nie byłoby zabawne - powiedział.

Najbardziej na lewo wysuniętym czułkiem dotknął przycisku kontrolnego. Nad twarzą jego ziomka pojawiła się mapa i jakieś dane liczbowe. Z wyliczenia przepowiadacza wynikało, że prawdopodobieństwo podjęcia przez Wissstów takiej akcji wynosi jedną osiemdziesiątą dziewiątą.

- Rozumiem twoją niechęć, mój potomku. Musisz jednak wiedzieć, że nie wszystkie czynności muszą być zabawne. W tym przypadku zyskamy więcej, jeśli nasz przedstawiciel będzie tylko obserwował, zamiast szukać dowcipu w tej sytuacji. Poza tym - starszy Wist zamachał czułkami - kto wie, jakie figle może nam jeszcze spletać Prząśnica?

- Prawda. Chętniej podjąłbym się czegoś zabawnego, kiedy mam do czynienia z obcoświatowcami, ale przyjmuję twoją logikę. Skontaktuję się z odpowiednimi osobami.

- Dobrze.

Ekran opustoszał.

Młody Wist wpisał pierwszy numer najszybciej, jak umiał, ale komputer i tak powiadomił go, że będzie niewielkie opóźnienie. Każdy z jego braci w tym samym wieku próbował połączyć się z przypisanym mu młodszym krewnym, z których każdy łączył się później z pięcioma innymi... i w ten sposób inne rodziny otrzymywały informację i wykonywały podobne operacje. Piramida była wydajnym sposobem przekazywania informacji, lecz jej praktyczne zastosowanie nie miało w sobie nic zabawnego: linie zawsze się zatykały.

Jednak... młody Wist poweselał nagle, kiedy spojrział na mapę. Nawet jeśli spodziewano się, że Wissstowie przybędą na Astrę, ich statki mogły przecież okrążyć terytorium Rooshrike i przylecieć z tego samego kierunku co Orsfami. Mały żarcik, ale zawsze lepszy niż żaden.

Na rodzinnej planecie Pomów wiadomości przekazywano w postaci szemrzących fal dźwiękowych, które wzmacniano w tysiącu punktów strategicznych, zanim dotarły do każdej rafy i każdego czubka fali wszechoceanu. Zgromadzenie się zajęło znacznie więcej czasu, mimo że Pomowie szczycili się swoją szybkością i wytrzymałością. Dyskusję można było przeprowadzić oczywiście znacznie prościej, z użyciem wzmacniaczy dźwiękowych albo sprzętu radiowego działającego na ekstremalnie niskich częstotliwościach. Ale od niepamiętnych czasów ważne zagadnienia omawiano podczas Zgromadzenia... a zagrożenie granic terytorium Pomów niewątpliwie do takich się kwalifikowało.

- Nie jesteśmy zagrożeni - z uporem podkreślał Pierwszy Samiec. Lawirował wśród zebranych Pomów i oceniał, ilu z nich zgadzało się z jego punktem widzenia. - Nie musimy działać. W centrum zainteresowania są Ziemiańskie i ich Prząśnica. Terytorium Pomów jest bezpieczne.

- Czyżby? - zapytała Pierwsza Samica, również pływając wśród obecnych. - A możliwe naruszenie przez Obcych granic przestrzeni Pomów? Do Astry można dotrzeć tylko przez obszar Rooshrike albo Pomów. A Rooshrike są powszechnie znani jako zaciekli wojownicy, którzy zazdrośnie bronią swoich granic. Czyż nie oznacza to, że najeźdźcy wybiorą raczej trasę przez nasze terytorium?

- Wszechświat jest wolny - upierał się Pierwszy Samiec. - Nic nie wskazuje na to, że planety albo statki Pomów będą zagrożone.

- Zwróćcie uwagę na szansę rozwojową - poddała myśl Druga Samica i przecięła trasę Pierwszej na znak, że się z nią zgadza. - Pręt Prząśnicy może mieć wiele zastosowań, tak jak i inne związane z tym technologie. Niewątpliwie będzie łatwiej zakupić to od Ziemiańskich, niż od najeźdźcy, który

wszystko zdobędzie.

- Dlatego też umocnienie granic bardziej służy naszym interesom - dodała Pierwsza Samica.

- To międzygwiazdna polityka - powiedział Pierwszy Samiec. - Pomowie się tym nie zajmują.

Dyskusja trwała prawie przez cały dzień, ale w końcu ponad połowa zebranych Pomów pływała, przecinając ścieżki z Pierwszą Samicą. Głosowanie zakończyło się.

Przybyli na Zgromadzenie Pomowie rozeszli się, a Pierwszy Samiec przekazał ich decyzję do statku kurierskiego, który krążył wysoko nad falami oceanu.

W ciągu kilku dni statki zebrały się na granicy i zagroziły dostęp do terytorium Pomów, czego nigdy dotąd nie robiono w czasach pokoju.

Przynajmniej z tej strony Prząśnicy nie groziła inwazja.

Do porozumienia doszli również Orsfami. M'zarchowie próbowali przejąć kontrolę nad Astrą, a Orsfami zdecydowali nie dopuścić do kolejnych ataków. Postanowili natychmiast wysłać misję dyplomatyczną na rodzinną planetę Ziemiań i zaoferować pomoc militarną.

Ustalono też, że siły zbrojne będą czekać tuż przy granicy z rooshrikańskim terytorium, aż Rooshrike i Ziemiań zezwolą im na podróż na Astrę.

Decyzja taka nie była spowodowana tylko tradycyjną rywalizacją. Nawet Orsfami zgadzali się, że M'zarchowie mieli nosa do interesów. A skoro uważali, że dla Prząśnicy warto zaryzykować wojnę z Rooshrike, to mechanizm ten musiał być naprawdę cenny.

Dopóki Orsfami nie dowiedzą się, dlaczego tak było, należało trzymać M'zarchów z daleka od planety.

Orsfami byli może powolni, ale na pewno nie głupi.

Ze wszystkich ras na tym obszarze, Ctencri chyba najlepiej rozumieli skutki zarówno ataku M'zarchów, jak i ich klęski.

Pierwszy Kupiec Sen powtarzał w myślach raport Rooshrike. W ręce trzymał fiolkę semarinu i wciągał w nozdrza zapach specyfiku. Czynna napaść zbrojna, pomyślał ponuro, powstrzymana przez bezpośrednie zastosowanie technologii Prząśnicy. Czego by nie powiedzieć, wojskowe zastosowanie.

Nie było w tym właściwie nic zaskakującego. W końcu każdą technologią można zaadaptować do celów wojskowych. Ale teraz wszyscy będą myśleli o takim zastosowaniu, co może ogromnie skomplikować handel. Popyt na pewno wzrośnie, bo nikt nie zrezygnuje z urządzeń wojskowych, które inni już posiadają. Złagodzi to tylko atmosfera napięcia, w jakiej będą musieli pracować Ctencri.

Istniało oczywiście niebezpieczeństwo, że jakaś rasa z dużymi wpływami w międzygwiazdnej społeczności przejmie całkowitą kontrolę nad tą technologią.

Zaopatrzenie Ziemiań w odpowiednie możliwości obronne, bez zwiększania tym samym ich potencjału militarnego, było poważnym problemem. Ziemiań nie mogą nagrać podejrzeń, że traktowano ich dotąd jak szczeniaków.

Dobrze. Na początek potrzebna będzie szybsza komunikacja pomiędzy Ziemią a jej kolonią. Ściśle przestrzegano polityki niedostępności młodszym rasom bardziej zaawansowanych napędów gwiazdnych, ale przy odrobinie starań plany konstrukcyjne mogły przypadkowo wpaść Ziemiań w ręce... Nie. Szybszym i bezpieczniejszym sposobem byłoby dostarczenie im kilku nieuzbrojonych

statków kurierskich z opieczętowanym napędem. Jako dar, zdecydował Pierwszy Kupiec, akt dobrej woli, który w subtelny sposób doprowadzi do zaciągnięcia przez Ziemiian długu u Ctencri.

Fiolka semarinu była pusta. Lotna zawartość musiała wyparować kilka minut wcześniej, a Sen nawet tego nie zauważył. Wrzucił fiolkę do otworu utylizatora, włączył interkom i kazał się połączyć z Sekretarzem Generalnym Salehem.

To dziwne uczucie, zdał sobie sprawę Saleh, czuć jednocześnie ogromną ulgę i silne wzburzenie. M'zarchowie zapłacą za to, pomyślał ponuro. Jak Boga kocham, zapłacą za to.

Olbrzymim wysiłkiem woli stłumił wściekłość do na wpół nieświadomionego uczucia na dnie swojej duszy, gdzie mogła dojrzewać, aż nadejdzie czas zemsty.

Przez kilka minut rozmyślał w ciszy. Wreszcie chwycił telefon i wybrał tajny numer prezydenta Allertona.

- Właśnie otrzymałem wiadomość od Ctencri, panie prezydencie. - Saleh nie owijał w bawełnę. - Siły zbrojne M'zarchów próbowały opanować Astrę.

Allerton zmrużył oczy. Nie odzywał się, dopóki Sekretarz Generalny nie skończył relacjonować incydentu.

- Czy Kupiec Sen powiedział, że Rooshrike zamierzają pozostać na straży Astry? - zapytał wreszcie.

- Podobno zostaną tam tak długo, jak będziemy chcieli. Ale nie sądzę, że zrobią to za darmo.

- Mmm. Przypuszcza pan, że w ramach zapłaty trzeba im będzie udostępnić część technologii Prząśnicy?

- Możliwe. Ale nie o to chodzi. Nikt nie może uznawać za swój terenu, którego nie potrafi obronić. Strasznie zaniedbaliśmy tę sprawę, lecz dzięki Bogu mamy szansę to naprawić.

- Więc co według pana powinniśmy zrobić? - zapytał spokojnie Allerton.

Zbyt spokojnie, pomyślał Saleh. Gdzie się podział ten wzywający do walki, pobrzękujący szabelką amerykański duch bojowy, kiedy był rzeczywiście potrzebny?

- Według mnie powinniśmy natychmiast zaopatrzyć astriańską kolonię w broń - wycedził. - Na pewno w pociski przeciwlotnicze i może w bojowe wozy naziemne. Będziemy musieli też uzbroić nasze statki...

- A kto za to wszystko zapłaci?

Saleh zaniemówił na sekundę.

- Czyżby zapomniał pan, że chodzi tu o waszych ludzi? - wybuchnął, gdy odzyskał mowę.

- A więc mamy zapłacić za bezużyteczne uzbrojenie? - Allerton skinął głową. - Mogłem się tego spodziewać.

- Bezużyteczne?

- Chyba nie sądzi pan, że jesteśmy w stanie wyprodukować jakąś skuteczną broń przeciw technologii wojskowej, z którą będziemy mieli do czynienia? Naszą jedyną szansą jest zakup najnowocześniejszego sprzętu od Ctencri. A szczerze wątpię, czy nam go sprzedadzą.

Saleh patrzył na obraz Allertona na ekranie i znowu stłumił gniew.

- Dobrze. Czy jeżeli uda nam się znaleźć dostawcę odpowiedniego uzbrojenia, będziecie partycypować w kosztach?

- Może - powiedział Allerton. - Częściowo zależy to od tego, kto miałby kontrolę nad tym sprzętem. I jak zagwarantujecie, że nie pojawi się on później w różnych arsenalach narodowych.

- My, Narody Zjednoczone, zachowamy broń dla siebie.

- To trochę nieprecyzyjne. Ma pan na myśli Radę Bezpieczeństwa, Zgromadzenie Ogólne, czy może tylko Sekretariat Generalny?

Saleh obdarzył go długim, chłodnym spojrzeniem.

- Nie ufacie nam, prawda?

- Jak wielokrotnie pan zauważył, panie Saleh, wszystkie kontakty z Ctencri odbywają się za pośrednictwem ONZ. Zważywszy na antyzachodnie nastroje, które zdają się dominować wśród mówców Zgromadzenia, mam prawo obawiać się, że wkrótce zaczniecie planować pośpieszny zakup broni.

- Jednak czujecie się urażeni, kiedy proponuję bardziej równomierną dystrybucję korzyści płynących z Astry i Prząśnicy.

- To zupełnie inna sprawa, a pan doskonale o tym wie.

- Oczywiście, że wiem. Ale opinia publiczna rzadko jest tak racjonalna.

Urwał na moment.

- A więc powiem panu już teraz, jakie mam plany. Po pierwsze, jutro rano podam do wiadomości publicznej wszystkie szczegóły dotyczące odkrycia Prząśnicy i ataku M'zarchów.

Zamierzam też poddać pod głosowanie Rady Bezpieczeństwa rezolucję, że Narody Zjednoczone przejmują odpowiedzialność za prowadzenie i obronę kolonii na Astrze.

- Stany Zjednoczone zawetują każdy taki wniosek - przerwał ostro Allerton.

- To nic nowego. Po drugie, powołałam międzynarodową grupę naukowców i zlecę im zbadanie Prząśnicy i pręta. Zostaną przetransportowani na Astrę na pokładzie jednego z naszych nowych statków kurierskich, które tak wspaniałomyślnie zaproponowali nam Ctencri. Statki te pokonają odległość między Ziemią a Astra w ciągu najwyżej czterech dni.

Z ogromną satysfakcją obserwował wyraz twarzy Allertona.

- A więc macie szybsze statki - powiedział wolno prezydent. - Cóż, jeśli spodziewacie się, że taka przewaga komunikacyjna doprowadzi do naszego wycofania się z Astry, to będziecie rozczarowani. Astra najbardziej potrzebuje teraz stabilnego źródła zaopatrzenia. Wątpię, czy wasze małe stateczki kurierskie mają ładowność choćby zbliżoną do tej, jaką posiadają nasze statki.

- To prawda. Ale kto wie? Może za miesiąc będziemy je od was dzierżawić, bo zapewniam pana, panie prezydencie, że Prząśnica nie pozostanie długo pod kontrolą ani waszą, ani żadnego innego narodu. To własność całej ludzkości i zamierzam uczynić ten status oczywisty i legalny. Proponuję żebyście zdecydowali się jak najszybciej pogodzić się z losem. Dobrego dnia, sir.

Allerton nadal ponuro wpatrywał się w ekran, kiedy Saleh przerwał połączenie.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 15

Meredith przypuszczał, że polityczne skutki ataku M'zarchów dadzą się odczuć na Astrze dopiero po miesiącu. W rzeczywistości jednak Obcy zaczęli przybywać już dziesięć dni po tym incydencie. Najpierw pojawiły się trzy statki wojenne z Imperium Orsfamskiego - olbrzymie monstra, przy których eskortujące je rooshrikańskie korwety wyglądały jak karły.

Kilka dni później przybyli Wissstowie. Meredithowi ich statki najbardziej przypominały duże stalowe precelki. Ctencri nie przysłali statków wojennych. Sprowadzili za to latający dom towarowy. Według katalogu, który przekazali na powierzchnię, był pełen najnowszych gadżetów. Meredith starał się powitać każdą nowo przybyłą rasę najlepiej jak umiał. Z wdzięcznością przyjmował wszelkie propozycje pomocy i obrony, nie akceptując żadnej z nich.

- Czuję się jak spadkobierca Exxonu na zjeździe poszukiwaczy złota - powiedział gderliwie pewnego popołudnia majorowi Barnerowi w jego biurze.

Ostatnio spędzał dużo czasu u różnych osób w biurach. Myśl o tych wszystkich radiomonitorach w górze sprawiła, że stał się podejrzliwy. Niechętnie patrzył na rozmowy telefoniczne, z wyjątkiem tych najbardziej niewinnych.

- Za każdym razem, kiedy któryś z nich tu dzwoni, mam wrażenie, że liczą już pieniądze, które mogą na tym wszystkim zarobić.

- Z wyjątkiem Orsfamów - zaznaczył Bamer. - Najbardziej wydają się zainteresowani zniszczeniem jakiegoś m'zarchiańskiego statku. Czy zastanowił się pan już, co pan z nimi robi?

Meredith skrzywił się.

- Jeszcze nie. Będziemy potrzebować ochrony przynajmniej przed kolejnym atakiem M'zarchów. Martwi mnie tylko, czy strażnicy, których zatrudnimy, nie dojdą pewnego razu do wniosku, że bardziej im się opłaca rabunek. - Potrząsnął głową. - Ale w tej chwili to nieistotne. Na razie możemy sobie pozwolić na zwodzenie ich Jeszcze jakiś czas.

Rzeczywiście chciał pan porozmawiać o żniwach, czy chodzi o ludzi Hafnera?

- To drugie. - Barner rozwinął mapę i wskazał na zakresowany obszar. - Przeszukali trzy nowe wzgórza i większość masywu z tej strony Morza Martwego.

- Mhm. Nadal używają tego echolokacyjnego urządzenia, które skonstruowali ludzie Browna?

- Tak, i mają nadzieję, że materiał, z którego zrobiony jest pręt, nie przysporzy takich kłopotów z falami dźwiękowymi, jak z polem elektrycznym. Na razie nie odkryli nic, co wyglądałoby na pustą przestrzeń pod ziemią.

- Czy rozmawiali o tym z zespołem doktora Changa? Nie wiem, czy testowali zachowanie pręta pod wpływem dźwięku, ale powinni coś doradzić.

- Pewnie tak. - Barner zawahał się. - Myślę jednak, że ludzie Hafnera nie chcą współpracować z Changiem.

- Do diabła z tym, czego chcą - warknął Meredith. - Mamy tu ekspertów i skorzystamy z tego. Co ten Hafner sobie wyobraża? Że może robić, co mu się podoba, czy jak?

- Sądzę, że doktorowi Hafnerowi aż tak bardzo to nie przeszkadza. Jednak część jego ludzi, ma pretensje, że Chang przejął nadzór prac nad prętem.

Meredith przypomniał sobie, jak zareagował na to kapitan Witzany.

- Byłoby lepiej, gdyby wszyscy wzięli wreszcie pod uwagę, że Astra to terytorium Stanów Zjednoczonych, a nie jakieś wolne i niepodległe państwo. Wyśle pan dziś po południu posłańca do

Changa i zapyta o właściwości dźwiękowe pręta. - Zauważył sprzeciw w spojrzeniu Barnera i ustąpił trochę. - Nie musi pan mu jednak mówić, dla kogo chcemy mieć tę informację.

- To mi pomoże. - Barner odsunął mapę na bok i wyjął plik fotografii. - Doktor Hafner zrobił też znaczną liczbę zdjęć terenu i zaproponował, żebyśmy spróbowali wywnioskować coś z kształtu wzgórz. Myślę, że to może być dobry sposób.

- Jasne. - Meredith wziął pierwsze zdjęcie i obejrzał leżące pod nim. - Niestety, musiałbym wrzucić wszystko do komputera, a nie wiem, czy warto tak ryzykować.

Baraer wzruszył ramionami.

- Moja znajomość komputerów nie jest zbyt duża, ale wydaje mi się, że po wyłączeniu systemu zdalnego dostępu dane będą wystarczająco bezpieczne. Z odległości trzydziestu tysięcy kilometrów nikt przecież nie przechwyci informacji biegnącej w zakopanych pod ziemią kablach światłowodowych. A sam komputer powinien zostać odpowiednio zabezpieczony przed podsłuchem.

- Powinien. Tyle to i ja wiem. Zważywszy na naszą okropną wprost ignorancję co do współczesnego stanu wiedzy w tej dziedzinie, jakoś nie dodaje mi to otuchy. - Pułkownik położył zdjęcie z powrotem na stosie. - Może pan to równie dobrze dołączyć do zabezpieczonego pliku. Ja muszę wracać do Unie. Carmen Olivero mówiła, że Rada zamierza przedyskutować jakąś głupią uchwałę. Proszę mnie na bieżąco informować o postępach Hafnera.

- Tak jest, sir.

Meredith wyszedł. Zatrzymał się przed samochodem i przez chwilę patrzył na południe. Zauważył na polu dwa kombajny zbierające mizerne plony. Blisko trzydzieści procent roślin uschło z powodu dwukrotnego zniknięcia metali z gleby. Mam nadzieję, że „Celeritas” przywiezie mnóstwo dodatkowej żywności, pomyślał, kiedy usadowił się za kierownicą i zapalił silnik. I dużo zapasowego paliwa.

Zaczął się już ostatnie przemówienie, które jak zwykle należało do Pereza, kiedy Meredith wreszcie pojawił się na zebraniu. Usiadł na krześle pod drzwiami, zamiast zająć miejsce przy stole razem z innymi. Carmen spojrzała na niego zirytowana, a potem znowu skoncentrowała się na Perezie i ludziach siedzących przy stole. Wynik debaty był już niestety przesądzony. Z treści poprzednich przemówień i aplauzu, jaki wywołały, jasno wynikało, że co najmniej sześciu z dziesięciu radnych było za przyjęciem propozycji Pereza, a z pozostałych czterech tylko dwóch zdecydowanie się temu sprzeciwiało. Carmen miała nadzieję, że uda jej się doprowadzić do kompromisu. Jej głos byłby wtedy decydujący. Ale wynik miał się okazać mało obiecujący.

Perez usiadł, a Carmen zaczęła, aż ucichną owacje.

- Czy ktoś jeszcze chciałby zabrać głos? - zapytała. - W takim razie przystępujemy do głosowania. Wszyscy, którzy są za...

Wynik wynosił siedem do trzech. Carmen stłumiła niezadowolenie i zwróciła się do Mereditha.

- Pułkowniku, Rada Astry wzywa pana do wydania wszystkim, z wyjątkiem austriańskich obywateli, zakazu zbliżania się do Mt Olympus i badania pręta leżącego na północ od Wright, a także wszelkiej obcej technologii i urządzeń, które mogą zostać później odkryte. Zakaz ten powinien szczególnie dotyczyć członków zespołu doktora Changa i różnych reprezentantów Obcych, którzy przebywają obecnie w tym systemie gwiazdny.

- Wniosek odrzucony - powiedział bez namysłu Meredith. - Macie do mnie jeszcze jakieś sprawy?

Wśród zebranych przeszedł pomruk niezadowolenia, a Carmen przygotowała się na nieunikniony wybuch złości. Ale Perez nie dał się wyprowadzić z równowagi.

- Obawiam się, że pan nie rozumie, pułkowniku - powiedział spokojnie. - To nie jest jakaś tam uchwała, którą tak po prostu wyrzuci pan do kosza. Mam petycje podpisane przez siedemdziesiąt dwa procent mieszkańców Ceres, a inni radni zebrali podobne dowody poparcia w swoich dystryktach. Prząśnica jest własnością Astry, pułkowniku, i nie odbierze nam jej ani pan, ani jacyś anonimowi biurokraci z Waszyngtonu.

Meredith popatrzył na niego chłodno.

- Masz niezwykle krótką pamięć, Perez. Zwłaszcza w sprawach dotyczących waszych praw obywatelskich i mojej władzy tutaj. Mam prawo zignorować wszystko, co ty i te twoje siedemdziesiąt dwa procent macie mi do powiedzenia. A jak będziecie niegrzeczni, to mogę was zatrzymać.

Perez nawet nie mrugnął okiem.

- Nie pójdzie to tak gładko, jak pan sądzi. Jeżeli natychmiast nie wyrzuci pan grupy Changa, mogę zagwarantować, że wybuchną zamieszki i tym razem nie będę próbował nikogo powstrzymać.

Meredith siedział nieruchomo, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Za to Carmen doznała nieprzyjemnego uczucia, że Perez posunął się trochę za daleko.

- W takim wypadku, panie Perez - oznajmił złowrogo Meredith - ja też nie będę nikogo powstrzymać.

- Oczywiście - powiedział Perez - i wygrałby pan... ale tylko chwilowo. Bardzo możliwe, że oznaki sporów między cywilami na Astrze przekonałyby Obcych, że potrzebna nam jest silna i bezstronna władza, oczywiście wyłącznie dla naszego dobra.

Mogliby wtedy przedsięwziąć odpowiednie kroki.

W sali zrobiło się cicho. Meredith nie spuszczał wzroku z Pereza, ale Carmen czuła, że ta lodowata cisza oznaczała brak gotowej odpowiedzi. Po chwili Perez wyciągnął ze stosu papierów grubą teczkę i włożył do niej kopię uchwały Rady. Wstał, podszedł do Mereditha i wręczył mu dokumenty.

- Myślę, że w końcu zrozumie pan, pułkowniku - powiedział - że jeśli chcemy tu przetrwać, przede wszystkim musimy się trzymać razem.

Meredith wstał i z zaciśniętymi ustami przyjął teczkę.

- Zobaczymy - powiedział krótko.

Spojrzał przelotnie na Carmen, odwrócił się i wyszedł. Carmen oblizwała spierzchnięte wargi.

- Niniejszym odraczam zebranie - powiedziała i trochę zbyt mocnym uderzeniem młotka zakończyła posiedzenie.

Natychmiast skupiła całą uwagę na pakowaniu aktówki. Inni zrobili to samo, ograniczając rozmowy do minimum. Carmen zaczęła, aż ucichną ostatnie odgłosy kroków za zamykanymi drzwiami, i głośno zaklęła.

- Zgadzam się. I przepraszam.

Zaskoczona podniosła wzrok i zobaczyła Pereza siedzącego na krześle, które niedawno zwolnił Meredith.

- Myślałam, że wyszedłeś razem z innymi - rzuciła.

Wzruszył ramionami.

- Chciałem się upewnić, czy wszystko w porządku. I czy rozumiesz, dlaczego to robię.

- Jakoś to przeżyję - powiedziała kąśliwie i wstała. - Nie musisz mi wyjaśniać niuansów techniki szantażu, obejdzie się.

Próbowała go wyminąć, ale on podniósł się i chwycił ją za rękę. Zanim się zorientowała, podprowadził ją z powrotem do stołu i posadził na krześle.

- Złóścisz się, bo nie akceptujesz moich metod - powiedział i usiadł naprzeciw niej. - Ale historia pokazała, że klasę rządzącą można zmusić do podzielenia się władzą tylko przemocą. Albo rzeczywiście jej używając, albo grożąc jej użyciem.

- To dlaczego nie sprzymierzycie się z jedną z obcych ras i nie zrobicie wszystkiego jak należy? - zapytała cierpko.

Perez westchnął.

- Miałem nadzieję, że lepiej zrozumiesz, o co mi chodzi. Nie widzisz? Nie staram się zamienić jednych niesprawiedliwych rządów na inne. Astra może być współczesnym odpowiednikiem Ameryki, miejscem, do którego ludzie mogą uciec od surowych zasad ziemskiej polityki. Ale to się nie stanie, dopóki jesteśmy tylko częścią Stanów Zjednoczonych.

- A czym chcesz nakarmić tę zmęczoną, bezładną masę, kiedy już tu dotrze? - odpowiedziała szybko. - Nasze uprawy nie wystartują nawet dla dziesięciu tysięcy ludzi, których tu mamy. - Możemy ich nakarmić, czym tylko będą chcieli, łącznie z importowanym kawiozem. Nie zastanawiałaś się przypadkiem, za ile możemy sprzedać pręty Prząśnicy?

Potrząsnęła głową.

- Twoje pomysły co do marketingu dowodzą takiego samego płytkiego rozumowania, jak w przypadku twojej polityki. Jeżeli pręt okaże się naprawdę użyteczny, nie pozostanie długo naszą własnością. Zwłaszcza gdy na orbicie krąży tak dużo wojennych statków.

- Poradzimy sobie z nimi - zapewnił ją. - Trzeci Świat już dawno posiadał umiejętność skłócania ze sobą wielkich mocarstw.

Zaśmiała się drwiąco.

- Wspaniale. Starasz się uwolnić nas od amerykańskiej polityki, a zamiast tego zamieniasz kolonię w nową Jugosławię, która zużywa całą energię na gierki z supermocarstwami. Cóż za znakomita poprawa!

Odczuła satysfakcję, kiedy zobaczyła, że stara się stłumić wybuch gniewu.

- To nie moja wina, że przez Prząśnicę znaleźliśmy się w takiej, a nie innej sytuacji, Carmen. Mnie też się to nie podoba, ale nie zmienimy niczego, jeżeli będziemy tylko tak siedzieć i uzalać się, że sprawy nie potoczyły się inaczej. - Urwał na chwilę. - Szkoda, że nie potrafisz chociaż na chwilę przewyciężyć wpływu twojego wychowania, żeby spojrzeć na świat oczami kogoś, kto miał mniej szczęścia. Widzę, że marnowałem tylko z tobą czas.

A więc wszystko było z góry zaplanowane. Zastanawiała się nad tym od czasu, kiedy przekazała jego postulaty Meredithowi i rozpoczęła to całe zamieszanie z Radą.

- Nie pochlebiaj sobie - powiedziała i znowu wstała. - Tu nie chodzi o wychowanie, tylko o ciebie i twoje metody. To one zrażają mnie do tej całej utopii.

- Carmen...

Odtrąciła jego rękę.

- Dopóki masz na wszystko odpowiedź, zastanów się, jak te twoje bezładne masy będą zarabiać na życie, kiedy już tu dotrą. A może rozdasz wszystkim po równo dochód z Prząśnicy i ludzie będą siedzieli beczynnymi jak przerośnięte pasożyty? Jeżeli tak rozumiesz szczęśliwą egzystencję, to jesteś

jeszcze głupszy, niż myślałam.

Odwróciła się, wyszła z pokoju i z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi.

Zdażyła opuścić budynek i przejść połowę drogi do budynków administracyjnych, zanim ochłonęła na tyle, że mogła znowu trzeźwo myśleć. Zwolniła kroku i przyglądała się ponurym ceglany zabudowaniom. Była przyzwyczajona do nowoczesnych baz wojskowych. Astra kojarzyła się jej z początkiem dziewiętnastego wieku... nigdy wcześniej jednak nie zauważyła, że kolonia była całkowicie bezbronna zarówno wobec zewnętrznego, jak i wewnętrznego ataku. No, pomyślała smutno, i co ja teraz zrobię?

Z jednej strony pytanie było banalne, z drugiej niezwykle trudne. Postanowiła natychmiast pójść do pułkownika Mereditha i zaproponować mu wszelką pomoc, jakiej mogła udzielić, żeby uniemożliwić Perezowi zdobycie władzy. Ale jak można to było osiągnąć, to już zupełnie inna sprawa.

Z zamyślenia wyrwał ją odległy pomruk silników. Spojrzała na zachód i zobaczyła wahadłowiec schodzący do lądowania w bazie „Martello”. Delegacja Obcych? To nie mogło być nic innego. Na jakąkolwiek reakcję z Ziemi na atak M'zarchów było co najmniej kilka tygodni za wcześnie. Przyspieszyła kroku i skierowała się w stronę portu w Unie.

Pułkownik na pewno pojechał do bazy przywitać gości, a ona nie widziała sensu w siedzeniu przed jego biurem i czekaniu, aż wróci. Przyszło jej też nagle do głowy, że jeżeli jako przewodnicząca Rady wesprze Mereditha swoją obecnością podczas rozmów, to przeszkodzi Perezowi w promowaniu niezgody.

W porcie napotkała uzbrojonego wartownika. Najwyraźniej Meredith wziął groźby Pereza poważnie. Carmen spodziewała się, że nie zostanie wpuszczona do łodzi, ale jej wojskowa karta identyfikacyjna okazała się wystarczającą przepustką. Wkrótce płynęła już motorówką przez Zatokę Płaskiej Stopy w stronę bazy „Martello”.

Delegacja liczyła dziesięć osób. Nazwiska w ich dokumentach były równie znane jak te, które figurują w prestiżowych spisach UNESCO. Przez większość czasu siedzieli cicho.

Niektórzy wyglądali przez okno na lądowisko w bazie „Martello”, inni patrzyli na wzgórza na stałym lądzie.

Towarzyszyło im czterech urzędników ONZ również o wybitnych nazwiskach. Nie okazywali jednak cierpliwości naukowców, kiedy Meredith przeglądał kolejno ich dokumenty. Możliwe, pomyślał pułkownik, że czuli się znieważani, bo powitał ich w biurze majora Browna, zamiast u siebie w Unie. Może powinien tak zrobić, bo i tak nie dałoby mu to dużo więcej czasu do namysłu.

W końcu musiał się odezwać.

- Przede wszystkim pragnę powiedzieć, że wszyscy na Astrze czujemy się zaszczyceni państwa obecnością - zwrócił się do naukowców, gdy oddał im dokumenty. - W innych okolicznościach bylibyśmy do państwa dyspozycji... lecz teraz obawiam się, że niepotrzebnie odbyli państwo tę podróż.

- Mógłby pan to wytłumaczyć, pułkowniku? - zapytał chłodno Ashur Msuya.

Meredith nigdy wcześniej nie spotkał tego człowieka, ale na jego zajadłych antyzachodnich wystąpieniach od lat opierała się ta odrobina jedności, do której kiedykolwiek zdołał dojść Blok Afrykański. Kiedy Meredith wyjechał na Astrę był zaledwie przewodniczącym delegacji Mozambiku. Teraz legitymował się dokumentami Zastępcy Podsekretarza do spraw Terytoriów Powierniczych i

Niesamodzielnym. Meredith uznał tę zmianę stanowiska za dosyć podejrzaną.

- To raczej proste, panie Msuya - odpowiedział pułkownik i odwrócił się lekko, żeby spojrzeć na swojego rozmówcę. - Rząd Stanów Zjednoczonych powierzył mi dowództwo na całej Astrze i nie widzę sposobu legalnego przekazania władzy panu lub komukolwiek innemu bez wyraźnego rozkazu moich przełożonych albo prezydenta Allertona.

Msuya uśmiechnął się.

- Tak, spodziewałem się, że będzie pan cytował różne przepisy. Astra jest jednak terytorium Narodów Zjednoczonych i nie potrzebujemy zezwolenia Pentagonu do unieważnienia mandatu, którego udzielił wasz rząd. Skoro nalega pan, żeby wszystko było zgodne z prawem, pragnę nadmienić, że Prząśnica i pręt są wytworami obcej rasy, a nie częścią Astry, i pański mandat ich nie obejmuje. Tak czy inaczej, przysługuje nam prawo do kontroli nad Prząśnicą.

- Panie Msuya, bez odpowiednich rozkazów nie mogę wierzyć panu na słowo. A wszystko sprowadza się właśnie do tego, nawet jeśli wziąć pod uwagę pańskie dokumenty.

Jeżeli nasz statek dostawczy przywiezie mi właściwe rozkazy, wszystko będzie wyglądało inaczej. Ale do tego czasu...

Potrząsnął głową.

Jeden z naukowców odchrząknął.

- A jeśli pański statek nie przywiezie żadnych rozkazów?

- Wtedy wyślę wiadomość za pośrednictwem jego kapitana z opisem państwa misji i prośbą o instrukcje. Obawiam się jednak, że na odpowiedź będziemy musieli poczekać sześć tygodni.

- Nasz statek mógłby odbyć taką podróż w ciągu ośmiu dni - oznajmił Msuya. - To zaawansowana technologia. Ctencri dali ONZ kilka takich maszyn.

- Ciekawe. Ile Saleh za nie zapłacił?

- Podarowano je nam.

No jasne, - pomyślał Meredith.

- Rozumiem - powiedział na głos - ale wolę używać amerykańskich statków do przekazywania takich wiadomości.

Msuya odchylił się w fotelu i chłodno popatrzył na Mereditha.

- Inaczej mówiąc, chce pan zwlekać. Dobrze, niech tak będzie. Ufam, że zechce pan przynajmniej przydzielić zespołowi naukowemu zakwaterowanie na czas badań nad prętem.

Ja i moja delegacja możemy zostać na pokładzie naszego statku, jeśli pan woli.

I teraz zaczną się schody, - pomyślał Meredith z nieprzyjemnym przeczuciem. Nie zamierzał zezwolić grupie obcokrajowców na pracę nad prętem. Bez względu na polecenia ONZ.

- Będę zaszczycony, mogąc gościć tak wybitne osobistości - powiedział. - Ale jeśli chodzi o badanie pręta, obawiam się, że to nie będzie możliwe.

- Pułkownik Meredith - Msuya wstał z fotela i powoli podszedł do biurka. - Najwyraźniej nie obchodzi pana, że niechęcią do współpracy naraża pan na szwank swoją karierę. Przypuszczam, że gdybym miał do dyspozycji uzbrojoną armię, tak samo mało dbałby pan o swoje życie. Ale ostrzegam pana: taką postawą naraża pan na niebezpieczeństwo swój kraj. Wiemy, że są tutaj amerykańscy naukowcy, którzy prowadzą badania nad prętem. Odmowa udzielenia nam podobnych uprawnień zrodzi szereg wątpliwości co do intencji Stanów Zjednoczonych. Może to spowodować natychmiastowe nałożenie na was i wasz kraj embarga na wymianę towarów i technologii z Obcymi. I zapewniam pana, że takie embargo będzie skuteczne.

Msuya zrobił przerwę, a Meredith skorzystał z okazji, żeby mu odpowiedzieć.

- Rozumiem pańskie obawy - powiedział. - Ale teraz ja zapewniam pana, że nie zamierzamy przed nikim ukrywać informacji o pręcie.

Poruszył się lekko w fotelu. Zastanawiał się, co jeszcze powinien powiedzieć. Wtedy w kieszeni jego płaszczka zaszeleścił dokument. Z nieba mi to spada, - pomyślał i sięgnął po papier.

- Sądzę, że wyciągnął pan błędne wnioski. To nie jest sprawa między Amerykanami a naukowcami ONZ. Chodzi o to, że nad prętem mogą na razie pracować tylko Austrianie.

Wyjął kopię uchwały Rady, którą otrzymał od Pereza, i wręczył ją naukowcom.

Msuya obejrzał ją i podejrzliwie ściągnął brwi.

- Co to za wymysł z tą Radą? Astra miała znajdować się pod wojskowymi rządami.

- Amerykanie przywiązują dużą wagę do demokracji. - Meredith wzruszył ramionami.

- Rada została powołana wkrótce po naszym przybyciu jako organ doradczy.

- A więc ta uchwała nie ma mocy prawnej. - Msuya rzucił dokument na biurko.

- Ta uchwała jest wyrazem opinii publicznej - powiedział Meredith. - W Ameryce jest to dla nas ważne.

Jedna z kobiet w grupie naukowców odchrząknęła.

- Powiedział pan, pułkowniku, że nad badaniem pręta mogą pracować tylko Austrianie?

Meredith zrozumiał podstęp.

- Miałem właśnie przekazać odpowiednie rozkazy zespołowi doktora Changa, kiedy powiadomiono mnie o państwa przybyciu. Nie minęła jeszcze godzina od podjęcia uchwały przez Radę.

- Powinniśmy więc chyba dać panu trochę czasu, żeby mógł pan wypełnić swój obowiązek - odpowiedziała.

Nie było wyjścia. Meredith zadzwonił do czekającego przed wejściem do biura Andrews.

- Poruczniku, chcę, żeby pojechał pan do hangaru z prętem i sprowadził tu ludzi doktora Changa. Proszę zabrać też kopie danych, jakie uzyskali, a potem skontaktować się z kapitanem Witzanym i przywrócić go na stanowisko kierownika badań nad prętem.

Jedną z większych zalet Andrews była umiejętność przyjmowania najdziwniejszych rozkazów bez zadawania pytań.

- Tak jest, sir. Rozumiem, że naukowcy mają przyjechać, czy im się to podoba, czy nie?

- Właśnie. Gdyby narzekali, proszę im powiedzieć, że wszystko się wyjaśni po przyjeździe tutaj.

- Tak jest, sir. Aha, jest tu pani Olivero, pułkowniku. Wygląda na to, że bardzo jej zależy na widzeniu się z panem.

Przewodnicząca Rady... Ona mogła dodać wiarygodności jego słowom. O ile Carmen okaże się wystarczająco sprytna, żeby zrozumieć, o co mu chodzi.

- Proszę ją tutaj poprosić - polecił Andrewsowi.

Drzwi się otworzyły i Carmen weszła do środka z obojętnym wyrazem twarzy. Meredith żałował, że nie wie, czy Andrews powiedział jej cokolwiek o gościach.

- Carmen Olivero, obecna przewodnicząca Rady Austriańskiej - przedstawił ją, podnosząc się z miejsca. - To jest pan Msuya z Sekrateriatu Generalnego ONZ. Właśnie poinformowałem go o decyzji Rady, żeby zakazać nie-Astrianom dostępu do pręta.

Przez chwilę się obawiał, że Carmen wszystko zburzy. Powiodła wzrokiem po zebranych, a potem spojrzała na niego z wyrazem zdziwienia w oczach. Trwało to tylko chwilę.

- Rozumiem - powiedziała. - Cóż, cieszę się, że postanowił pan nie odwoływać się od decyzji Rady. Zważywszy na różnicę głosów siedem do trzech, i tak nie miałyby to sensu. - Zwróciła się do Msuyi. - Spodziewał się pan, że przejmie badania nad prętem, sir?

- Pręt jest własnością Narodów Zjednoczonych - odparł jej Chłodno. - Odwrócił się do Mereditha i dodał: - Nie wiem, co chce pan przez to osiągnąć, pułkowniku, ale może pan być pewny, że nikt w tym pokoju nawet w najmniejszym stopniu nie dał się na to nabrać. Sprowadzi pan tu teraz tych naukowców, zrobi wielkie przedstawienie, pozbawiając ich dostępu do projektu, a jak tylko wyjedziemy, przywróci ich pan do pracy.

- Przykro mi, że uważa mnie pan za tak podstępny - powiedział Meredith tym samym tonem co Msuya. Nadszedł czas na okazanie zniecierpliwienia tymi obelgami.

- Mogą państwo porównać z doktorem Changiem spostrzeżenia co do mojego charakteru podczas podróży powrotnej na Ziemię. Jestem pewien, że do tego czasu będzie miał coś do dodania na ten temat.

Msuya zamrugał oczami. Po raz pierwszy oprócz niechęci poczuł także niepewność.

- O czym pan mówi?

- Cóż, na pewno nie mamy dosyć żywności dla dodatkowych ludzi - powiedział spokojnie Meredith. - Zakładam, że nie macie państwo nic przeciwko powrotowi do domu. Podobno podróż twa tylko cztery dni?

Msuya wziął głęboki wdech i odwrócił się w stronę ciągle stojącej w drzwiach Carmen.

- A więc cywilna Rada ma czelność dyktować warunki waszemu legalnemu dowódcy, czy tak? Jak wam się wydaje, co powie na to Kongres Stanów Zjednoczonych, kiedy o tym usłyszy? Albo Pentagon? Spodziewam się, że dosyć szybko wyznaczą nowego dowódcę.

Meredith wstrzymał oddech... ale Carmen najwyraźniej domyśliła się, o co chodzi.

- Moim zdaniem ani Pentagon, ani nikt inny nie ma powodu do narzekania. Przeciętą bazą wojskową nie składa się przecież w dziewięćdziesięciu procentach z cywili. Ręczę też za to, że dzięki Radzie łatwiej prowadzi się kolonię. - Utkwiła w Msuyi stalowe spojrzenie.

- O ile pamiętam, o to właśnie chodziło w oenzetowskim mandacie. Założyć i utrzymać opłacalną osadę na planecie Astra. Wybrać, wyposażyć i wyszkolić taki personel, jaki może się okazać potrzebny i wystarczający...

Wyrecytowała z pamięci całą sekcję głównych celów. Kiedy skończyła, nawet Msuya był pod wrażeniem.

- Przynajmniej powierzył pan stanowisko przewodniczącego Rady komuś z doświadczeniem prawniczym - zwrócił się do Mereditha. - Ale zakopujecie się w dziurę, w której zginiecie z głodu. Możecie nas teraz wyrzucić z Astry, to prawda, lecz jak długo przetrwacie, kiedy ONZ odetnie wam dostawę żywności? Jak długo się utrzymacie, gdy Rada Bezpieczeństwa przegłosuje wniosek wysłania oddziałów wojskowych, żeby położyć kres rażącemu nieposłuszeństwu waszej kolonii?

Meredith nie mógł się powstrzymać. Roześmiał się głośno.

- Oddziały wojskowe? Widzieliście te statki bojowe na orbicie? To cholerne zbiorowisko wygląda jak korek uliczny. A każdy z tych statków jest gotów wkroczyć do akcji, kiedy pojawi się najłżejsze nawet przypuszczenie, że grozi nam inwazja. Proponuję, żebyście o tym pomyśleli, gdy znowu zaczniecie mówić o użyciu siły.

Przez chwilę obydwaj stali nieruchomo i mierzyli się wzrokiem. Meredith odczekał wystarczająco długo, aż napięcie w pokoju odpowiednio wzrośnie. Opuścił wzrok, nacisnął przycisk

na konsoli komputerowej Browna i przywołał raport.

- Państwa wahadłowiec został zatankowany i będzie gotów do startu za godzinę. Poproszę majora Browna, żeby oprowadził państwa w tym czasie po bazie „Martello”.

- To oburzające! - wykrztusił jeden z naukowców. - Panie Msuya, pozwoli pan na to, żeby tak po prostu nas stąd wyrzucono?

Msuya nadal świdrował wzrokiem twarz Mereditha.

- W tej chwili, doktorze, niewiele więcej mogę zrobić. Ale ten stan rzeczy nie potrwa długo. Na pewno nie potrwa długo.

Meredith zadzwonił po Browna i w milczeniu czekał na jego przyjście. Spodziewał się jakiejś groźby ze strony Msuyi, kiedy Brown wyprowadzał naukowców. Podsekretarz nie skorzystał jednak z ostatniej okazji dodania sytuacji dramatyzmu. Carmen też chciała wyjść z pokoju, lecz Meredith ruchem dłoni polecił jej zostać. Drzwi zamknęły się, a ona przeciągle westchnęła.

- Nie powinien pan się z niego śmiać, pułkowniku - powiedziała.

Meredith poczuł się nagle zmęczony. Usiadł za biurkiem.

- Wiem, ale akurat ta groźba była zupełnie nedorzeczna. Nie ma to zresztą znaczenia. Msuya pewnie i tak wściekłby się tak samo. - Potrząsnął głową. - W jakiej sprawie chciała się pani ze mną widzieć? Andrews chyba myślał, że to ważne.

Uśmiechnęła się.

- Przyszłam tutaj, żeby zaoferować panu pomoc w powstrzymaniu Pereza od zabawy władzą. Chyba się trochę spóźniłam...

- Ani trochę. Zarówno pani wyczucie czasu, jak i ocena sytuacji były znakomite.

- Ja mówię o... nieważne.

- O tym, że przegapiła pani chwilę, w której przeszedłem na drugą stronę?

Zaczerwieniła się.

- No... tak. Trochę mnie to... zaskoczyło.

- Jasne. To też i moja wina. Powinienem się spodziewać, że ONZ spróbuje przejąć kontrolę i lepiej się przygotować. Przyjechali tu wcześniej, niż oczekiwałem.

Przez chwilę milczeli.

- Co teraz będzie? - zapytała Carmen. - Naprawdę odeśle pan doktora Changa do domu?

- Nie mam wyjścia. Widziała pani wyraz twarzy Msuyi. Aż pali się do napuszczenia batalionu piechoty morskiej na Astrę albo Stany Zjednoczone. Jeżeli nie wpuścimy nikogo na Astrę, odwrócimy uwagę od Ameryki, chociaż sprowokujemy naciski na prezydenta Allertona, żeby zastąpił mnie kimś innym. Mam nadzieję, że zrozumie, co robię, i jakoś załagodzi sytuację.

- A jeśli nie? Stąpa pan po bardzo cienkim lodzie, pułkowniku. Niezależnie od tego, czy mamy tu Radę czy nie, ostatecznie to pan odpowiada za wszystko, co się dzieje na Astrze... a ONZ będzie miała pełne prawo wstrzymać dostawy towarów.

- Mhmm.

Meredith przez chwilę wyglądał przez okno. Podobnie jak statek kurierski, wahadłowiec oenzetowskiej delegacji najwyraźniej został zaprojektowany przez Obcych. Bez wątplenia kolejny „dar” od Ctencri. Meredith nigdy nie czuł takiej niechęci do ONZ, jak niektórzy z jego kolegów. Ale kontaktowanie się Obcych w sprawach handlu tylko z tą organizacją mogło mieć złe następstwa. Przez to Sekretariat miał w ręku za dużo władzy.

Meredith zastanawiał się przez chwilę, czy obecność Msuyi na Astrze została uzgodniona tylko

przez ONZ. Nie okazał przecież żadnego dowodu na to, że odbyło się głosowanie Rady Bezpieczeństwa. Takie głosowanie było konieczne do wprowadzenia jakichkolwiek zmian w Mandacie Astriańskim. Chyba że Stany Zjednoczone skapitulowały pod groźbą sankcji ekonomicznych i przegłosowały sprawę samodzielnie...

- W porządku - powiedział nagle Meredith. - Jak mówi przysłowie, to gra dla dwóch. - Wybrał numer do centrum komunikacyjnego. - Proszę się połączyć z najbliższym statkiem Rooshrike - polecił oficerowi służbowemu - i powiedzcie im, że chcę rozmawiać z Beaki nul Dies na w dogodnej dla niego chwili. - Otrzymał potwierdzenie i znowu spojrzął na Carmen. - Czy w pani zespole jest ktoś, kto kiedykolwiek zajmował się negocjacjami handlowymi?

Carmen zdziwiona przechyliła się przez biurko i zaczęła pisać coś na klawiaturze komputera.

- Chyba robiła to Ruth Eldridge... Nie, to były rozmowy z robotnikami. - Nacisnęła jeszcze kilka klawiszy, ale ekran pozostał pusty. - Nie mam takiej informacji w niczyich aktach, sir - powiedziała.

- Cholera! Więc... może pani? Pomoże mi pani w negocjacjach handlowych z Rooshrike?

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Ja? Dlaczego?

- Dlaczego nie? Zdrowy rozsądek i przytomność umysłu są co najmniej tak samo ważne, jak doświadczenie w tych sprawach. Poza tym jako przewodnicząca Rady dodałaby pani temu przedsięwzięciu atmosfery legalności. W ten sposób miałbym ludzi Pereza z głowy.

- Ale... pułkowniku, czy nie uważa pan, że daje mi pan odrobinę za dużo ponadprogramowych zajęć?

Meredith uśmiechnął się mimowolnie.

- Dziwnie powiedziane, ale punkt dla pani. W porządku. Od tej chwili jest pani zwolniona ze wszystkich etatowych obowiązków. Do wieczora albo jutra rana przydzielę pani personel i materiały, ale proszę ich używać oszczędnie.

- Rozumiem - westchnęła. - Dobrze, zgadzam się. Czego dokładnie chce pan od Rooshrike?

- Przede wszystkim możliwości handlu między Stanami Zjednoczonymi a Obcymi, której nie będzie nas mogła pozbawić ONZ. Priorytetem jest w tej chwili żywność, ciężki sprzęt... Lista jest zresztą w komputerze. Chodzi o wszystko, co straciliśmy w wyniku działania Prząśnicy.

- A broń?

- Nie. - Warga mu drgnęła, kiedy zobaczył wyraz twarzy Carmen. - Tak, wiem, jestem żołnierzem i raz już nas zaatakowano. Ale mamy większe szansę na przetrwanie, jeśli będziemy wyglądać i działać jak najbardziej niewinnie. Proszę pamiętać, że Obcy wiedzą o Prząśnicy jeszcze mniej niż my. Nie mają też pojęcia, że nie mamy właściwie kontroli nad tym urządzeniem. Musiałem się już wymigać od odpowiedzi na kilka zakamuflowanych pytań na temat „broni”, której użyliśmy przeciwko lądownikom M'zarchów.

Przynajmniej jedno dotyczyło zasięgu urządzenia. Kiedy zaczniemy wyglądać na wojowniczą kolonię, na pewno szybko porozumieją się co do wspólnego ataku.

- Też mi się tak wydaje - zgodziła się niechętnie. - Tylko nie lubię poczucia bezbronności.

- Ja też nie, ale na razie nic nie można na to poradzić. Wzruszyła ramionami, jak gdyby lekceważąc tę kwestię.

- Dobrze. Co zaproponujemy Rooshrike w zamian za wszystko, czego nam dostarczą?

Meredith wziął głęboki oddech. Nie chciał tego robić, ale nie widział innego wyjścia.

- Zapłacimy im i każdej innej rasie, z którą ubijemy interes, kawałkami pręta Prząśnicy. Wartość

jednego metra ustalimy później, po skończeniu badań właściwości materiału.

Carmen utkwiała ciemne oczy w twarzy Mereditha.

- Dopuszcza pan do tego, żeby Obcy tak po prostu kupili pręt? A jeśli odkryją, z czego jest zrobiony albo jak działa klej?

- Nie sądzę, żeby to był duży problem - powiedział sucho. - A jeśli nawet tak jest, to wątpię, żeby zmniejszyło to nasze zyski. Jeżeli doktor Hafner ma rację, fabryka Prząśników może mieć wielkość małego miasta. Ani Ctencri, ani Rooshrike nie zbudują podobnej w ciągu jednej nocy. - Przerwał, ale Carmen nadal wyglądała na zmartwioną. - Nie zgadza się pani ze mną? - zagadnął.

- A co z Ziemią? Da pan Stanom Zjednoczonym albo ONZ część pręta za darmo, czy zmusi ich do płacenia, tak jak innych?

Meredith potrząsnął głową.

- Nie wiem jeszcze, jak to załatwimy. Teraz wydaje mi się, że najlepiej będzie zwrócić poniesione koszty kolonii, a potem traktować Ziemię jak zwykłego nabywcę... ale Stany Zjednoczone dostałyby wtedy lwią część pręta, co wywołałoby ogromne wzburzenie w ONZ. A to cholerne sześciotygodniowe opóźnienie komunikacyjne też nam nie pomaga. Moglibyśmy rozpętać wojnę i nawet się o tym nie dowiedzieć, dopóki nie byłoby po wszystkim. - Spojrzał na monitor komputera i skrzywił się. - Umieścimy też kilka tych szybkich statków kurierskich na liście bożonarodzeniowej, którą pani przygotowuje. Jeśli ONZ może mieć nowoczesny napęd, my też powinniśmy go mieć.

- Tak jest, sir. - Zawahała się. - Pułkowniku... zanim tu przyszedłam, rozmawiałam z Crisem Perezem. On też pomyślał o sprzedaży pręta Prząśnicy.

- Tak? Nie spodziewałem się, że ma głowę do interesów.

Zarumieniła się.

- On jest zainteresowany nie tyle zyskiem, co zrobieniem z Astry schronienia dla biedaków z Ziemi. Postrzega Prząśnicę jako swoisty róg obfitości, który to umożliwi.

- To do niego podobne - mruknął Meredith. - Perez jest najwyższej klasy idealistą.

- Może - powiedziała dyplomatycznie. - Ale pan myśli teraz w podobnych kategoriach... tak czy owak, martwię się, co zrobimy z tym nagłym przyływem bogactwa. Nie chciałabym, żebyśmy tylko siedzieli i zbijali baki, podczas gdy pracowałyby na nas Prząśnica.

Meredith podrapał się po podbródku.

- Wątpię, żeby do tego doszło. Pręt może być piekielnie mocny, ale co można zrobić z czymś, co przypomina kosmiczne spaghetti?

- Nie wiem. Ale Prząśnicy najwyraźniej coś z nim robili.

- Tak.

Przez chwilę zapatrzył się gdzieś. Metal wart tyle, co cała planeta... kwintyliony ton metalu... i wszystko w postaci pręta o przekroju sześciu centymetrów? Dlaczego?

- Będzie lepiej, jeśli pójdzie już pani do swojego biura i zajmie się przygotowaniami - powiedział i instynktownie zaprzestał dalszych rozważań, które pewnie i tak nie doprowadziłyby do żadnych poważnych wniosków. - Chciałbym zaprosić ludzi Beackiego na wstępne spotkanie jutro rano.

Kiwnęła głową i wstała.

- Będę gotowa.

- Dobrze. Po rozmowie z Rooshrike powiem pani, o której godzinie odbędzie się spotkanie.

Carmen wyszła, a Meredith przez chwilę spoglądał na blat biurka. A więc on i Perez chociaż raz

myśleli w ten sam sposób. Denerwująca myśl. Chociaż, odpowiednio wykorzystany, fakt ten mógłby umożliwić Meredithowi złagodzenie skutków demagogii Pereza. Pożądana byłaby nawet krótka chwila wytchnienia. Meredith miał na głowie Pereza, ONZ i całe to zbiorowisko obcych statków w kosmosie. Musiał stawić czoło zbyt wielu przeciwnikom.

A skoro mowa o przeciwnikach...

Przysunął fotel bliżej terminalu, przywołał plik zadań i zaczął pisać:

Przejrzeć całą dostępną literaturę Obcych i wyszukać zapisy historyczne, legendy i mity na temat innych ras, istot boskich etc. Skoncentrować się na terytoriach Rooshrike i Pomów. Wymagana pełna analiza z uwzględnieniem związków i odwołań tam, gdzie to możliwe.

Poznaj swego wroga, mawiali starożytni... a jeśli Prząśnicy pozostawili po sobie jeszcze jakiś inny ślad swojej egzystencji, Meredith chciał o tym wiedzieć.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 16

Raport był krótki i zawierał bardzo mało informacji. Sekretarz Generalny Saleh odłożył ostatnią stronę na biurko i mruknął z niezadowoleniem.

- Mam wrażenie - powiedział sarkastycznie - że nie macie pojęcia, po co zwołano te spotkania z Rooshrike.

Ashur Msuya potrząsnął głową. Sądząc po jego minie, nie był w lepszym nastroju od Saleha. Wiedział jednak, że lepiej nie zadzierać z przełożonym.

- Nie wiemy nic pewnego. Nie było żadnego ogólnego komunikatu o zmianie ustaleń obronnych ani nic podobnego rodzaju. Możliwe, że pracują nad umową o handlu. Co prawda, dostawy, które otrzymali od Rooshrike, mogły być równie dobrze zapłatą za część pręta zabranego przez Obcych po ataku M'zarchów.

Saleh roześmiał się.

- A, to umowa handlowa, rozumiem. Allerton chce prowadzić niezależne interesy z Obcymi.

- Albo chce tego pułkownik Meredith - poddał myśl Msuya i potrząsnął głową. - Nie jestem pewien, po której on stoi stronie.

- To nie ulega wątpliwości. Jest amerykańskim żołnierzem na terenie, do którego zgłasza pretensje Ameryka. Wszelkie konflikty są tylko na pokaz.

- Możliwe. Tak czy owak, moim zdaniem najwyższy czas, żeby ONZ upomniała się o swoje prawa na Astrze.

- Przypuszczam, że chodzi panu o nałożenie na kolonię ekonomicznego embarga?

Msuya przytaknął.

- Niezależnie od umowy, jaką przygotowałby Meredith albo Allerton, Rooshrike nie mogą dostarczyć na Astrę żywności, której my nie wypuścimy z Ziemi.

- Amerykanie mają własne statki kosmiczne...

- Z wmontowanym ctencriańskim napędem. Są zaopatrywane z powierzchni przez ctencriańskie wahadłowce. W każdej chwili możemy ich odciąć od dostaw części zamiennych i cylindrów paliwowych. Minęłyby miesiące albo nawet więcej, zanim mogliby znowu korzystać ze swoich starszych wahadłowców.

Saleh zamyślił się. Niezbyt podobało mu się to rozwiązanie, kiedy Msuya po raz pierwszy je zaproponował. Od tamtej pory niewiele się zmieniło. Miałby umyślnie zacisnąć pętlę na gardle kolonii, którą sam pomagał zbudować...? Na pewno do tego nie dojdzie.

Amerykanie ustąpią, zanim ich ludzie pomrą z głodu.

- Jest pan pewien, że własne uprawy im nie wystarczą?

- Całkowicie. Po zniwach analizy plonów mogą być bardziej dokładne.

- A jeśli Rooshrike postanowią dostarczać wszystko z Ziemi...? - Saleh uśmiechnął się i sam sobie odpowiedział na to pytanie. - Nie pozwolimy im na to. Ziemia formalnie leży na terytorium Ctencri. Moglibyśmy ich poprosić, żeby nie wpuszczali rooshrikańskich kupców.

Bardzo dobrze. Przedstawię tę sprawę Allertonowi dziś po południu. Dam mu szansę na wycofanie się z tej umowy z Rooshrike.

- A po co? W ten sposób da pan mu więcej czasu na przygotowanie się do embarga.

- Bo jeśli zdecydujemy się na tak drastyczne posunięcie - powiedział Saleh - chcę, żeby świat nie miał wątpliwości co do słuszności naszej decyzji.

A czy decyzja była w rzeczywistości słuszna czy nie, nie miało większego znaczenia.

Tak przynajmniej powiedziałby każdy polityk.

Allerton jeszcze nigdy nie widział Sekretarza Stanu Joshui Purvisa tak zaskoczonego.

- Jakie umowy z Rooshrike? - zapytał. Allerton bezradnie wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się, że Meredith z jakiegoś powodu rozpoczął negocjacje na własną rękę.

Nie będziemy tego pewni przez następny tydzień, dopóki nie wróci „Pathfinder”. A może nawet i wtedy niczego się nie dowiemy.

- Co pan powiedział czcigodnemu Sekretarzowi Generalnemu?

- Próbowałem oczywiście zyskać na czasie. Powiedziałem, że nie mogę przedsięwziąć żadnych kroków ani złożyć żadnych oświadczeń, dopóki nie dostanę raportu na temat tego, co się dzieje na Astrze.

- Poszedł na to?

- Niezupełnie. Zaproponował, żebym wysłał reprezentanta Stanów Zjednoczonych w jednym z ich nowych ctencriańskich statków, zbadał sytuację i wydał odpowiednie rozkazy. - Przestał mówić, podniósł z biurka jakiś dokument i podał go Purvisowi.

- Sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej. Ctencriański statek przed godziną dostarczył to ludziom Saleha. Nie sądzę, żeby to dobrze wpłynęło na jego cierpliwość.

Purvis rzucił okiem na dokument.

- Co to jest, wyniki rooshrikańskich badań nad prętem...? O, do diabła! - Spojrzał na Allertona. - To musi być błąd w druku, John. Miliard funtów na cal kwadratowy?

- Przeczytaj informacją na stopce. Tyle co najmniej wynosi maksymalne obciążenie, jakie może wytrzymać pręt. Najwyraźniej nawet Rooshrike nie zdołali go przerwać.

- Ale miliard funtów na cal kwadratowy? - Purvis pośpiesznie przeliczył na kalkulatorze. - To oznacza... że taki pręt mógłby utrzymać ponad dwa miliony ton. Czyli na wpół załadowany supertankowiec.

- Pamiętaj, że ma gęstość mniejszą od wody, nie mówiąc już o zwykłych metalach - zaznaczył Allerton. - Nie zapominaj też o warstwie superkleju i wyjątkowych własnościach nadprzewodnikowych. A Saleh myśli, że chcemy zachować wszystko dla siebie.

Purvis przez chwilę znowu czytał dokument, a potem odłożył go na biurko prezydenta.

- Uważam - powiedział cicho - że powinniśmy raz na zawsze ustalić, jaka jest nasza polityka, a potem upewnić się, czy Meredith postępuje zgodnie z jej zasadami. - Zawahał się.

- To, czy chcemy być nadal niepopularni na świecie zależy oczywiście od pana. Ja myślę, że trzeba się zastanowić, czy tego nie zmienić.

- Innymi słowy, mamy ulec Salehowi i przekazać Astrę i Prząśnicę w ręce ONZ?

- Tego nie powiedziałem. - Purvis wzruszył ramionami. - Ale embargo na dostawy żywności miałoby dla kolonistów ujemne, jeśli nie katastrofalne skutki. A to tylko wierzchołek góry lodowej tego, co jeszcze planuje Saleh. Formalnie może i mamy jakieś prawa do Prząśnicy, lecz dopóki Saleh ma Ctencri w kieszeni, nie będziemy mieli z tego ani odrobiny korzyści. W przypadku jakiegokolwiek konfrontacji „Aurora” i „Pathfinder” równie dobrze mogłyby być kosmicznymi łodziami rybackimi.

Allerton skrzywił się.

- Myślisz, że Ctencri daliby ONZ uzbrojone statki?

- Gdyby nie Prząśnica, na pewno nie daliby nam nawet nowoczesnych napędów gwiazdnych.

Saleh ma teraz dwa. Najwyraźniej Ctencri widzą szansę wzbogacenia się na oficjalnych właścicielach Astry i chcą z niej skorzystać. Kto wie, jak daleko są gotowi się posunąć, żeby ochronić swoją inwestycję?

- Właśnie - westchnął Allerton. - Cóż, w takim razie chyba przystaniemy na propozycję Saleha i damy się podwieźć na Astra. Trzeba to jak najszybciej wyjaśnić.

- Ja mam jechać?

- Nie...nie, myślą, że sam pojedę. - Uśmiechnął się krzywo na widok wyrazu twarzy Purvisa. - Daj spokój, Josh, podróże kosmiczne są podobno tak proste jak przejście na drugą stronę Delaware. I o wiele bezpieczniejsze.

- O ile Saleh nie postanowił odsunąć cię na nieokreślony czas od władzy - powiedział bez ogródek Purvis. - W takim wypadku nie mógłbyś mu dać lepszej okazji.

Allerton zlekceważył sprzeciw.

- Saleh nie jest ani wystarczająco potężny, ani dość zdesperowany, żeby porwać głowę państwa. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Może - powiedział Purvis. - A może nie.

- Jak miło, że dla odmiany to pan mnie tu zaprosił - stwierdził Perez i usiadł w fotelu naprzeciw Meredith. - Zazwyczaj zmuszam sekretarkę, żeby mnie tu wpuściła.

Twarz Meredith pozostała obojętna. Perez przestał wierzyć w to, że pułkownik zaprosił go na towarzyskie pogaduszki.

- Jak rozumiem - powiedział Meredith - zastanawiałeś się nad możliwościami spieniężenia pręta Prząśnicy?

- To prawda - przytaknął Perez. - A ja rozumiem, że pan zamierza zrealizować mój projekt.

Pułkownik otworzył szeroko oczy.

- Pani Olivero mówiła ci o tym?

- Potwierdziła tylko to, czego się już spodziewałem. To miała być tajemnica?

Meredith uśmiechnął się szyderczo.

- Chciałbyś. Tajne umowy zawarte przez skorumpowanego wojskowego dyktatora, to by dobrze brzmiało w przemówieniach, prawda?

- To nie w porządku, pułkowniku - powiedział Perez i poczuł, że się czerwieni. - Ja nie zniekształcam umyślnie prawdy. Ja tylko staram się, żeby inni tego nie robili.

- Oczywiście. - Meredith nacisnął kilka przycisków na klawiaturze i obrócił ekran w stronę Pereza. - Oto odrobina prawdy. Ciekawe, co na to powiesz.

Perez wychylił się do przodu. „Wstępna Analiza Pręta Obcych”, przeczytał... i nagle zrozumiał, co to było.

- To wyniki testów Rooshrike, czy tak? To dlatego stara się pan utrzymać porozumienie handlowe w tajemnicy?

- Utrzymujemy w tajemnicy negocjacje; nie zawarliśmy jeszcze żadnego porozumienia. Musimy więcej wiedzieć o pręcie, żeby ustalić właściwą cenę.

- Chce pan w tym celu skorzystać z danych, które dostarczyli Rooshrike?

Meredith wzruszył ramionami.

- Wiem, jak to brzmi, ale nie mamy wyjścia. Rooshrike mają nie tylko lepszy sprzęt badawczy, ale też i lepsze wyczucie, co się stanie, kiedy pręt znajdzie się na wolnym rynku.

- Mmm. - Perez zamyślił się na chwilę. - Gdybyśmy zaoferowali im niewielki udział w zyskach ze sprzedaży pręta innym rasom... mogłoby ich to odwieść od sugerowania zbyt niskiej ceny.

- Tak się składa, że pani Olivero już to zaproponowała reprezentantom Rooshrike.

Wygląda na to, że się zgadzają.

- Rozumiem.

Kobieta o wielu talentach, - pomyślał Perez nieco zaskoczony. Sam kilka lat wcześniej niejednokrotnie prowadził negocjacje handlowe. Zupełnie mu to nie odpowiadało.

Oczywiście Carmen była w lepszej sytuacji, bo reprezentowała rynek zbytu.

- O jakim przedziale cenowym mówimy?

- Planujemy pobierać około czterdziestu milionów dolarów za kilometr plus dwie i jedną czwartą tony metalu, które musimy zużyć do wyprodukowania takiej długości pręta.

Perez zagwizdał lekko.

- To trochę dużo.

- To mniej niż podwojona aktualna cena złota - stwierdził Meredith. - A pręt jest o wiele cenniejszy.

- Może dla naukowców. Ale oprócz budowy dużych wiszących mostów, możliwości jego zastosowania są moim zdaniem ograniczone.

- Tak sądzisz? - Meredith odchylił się w fotelu i zaczął wyliczać na palcach. - Po pierwsze, zwiń go w wężyk, bo jest wystarczająco elastyczny, tak żeby każdy segment przylegał do drugiego. Klej zamieni całość w płaską płytę. Pokryj ją teraz czymś, co pomoże pozbyć się resztek kleju, a otrzymasz sześćdziesiąt metrów kwadratowych niezniszczalnego materiału. Dodaj po jednym pręcie na każdym rogu i znajdź silny dźwig, a będziesz miał pojemnik, w którym możesz przenosić małe góry. Po drugie, zwiń pręt w spiralę, a otrzymasz solenoid z nadprzewodnika o milionach zastosowań. Po trzecie, złącz kilka prętów końcami i zrób ogromną obręcz w kosmosie. Połącz kilka takich pierścieni równolegle, a będziesz miał kręgosłup okrągłej stacji kosmicznej. Po czwarte, owiń go wokół cienkiego metalowego pancerzyka, do licha, niech to będzie nawet tektura albo skórka od kielbasy, a otrzymasz kadłub statku kosmicznego. Mam mówić dalej?

- Nie, rozumiem, w czym rzecz - powiedział Perez. Było jasne, że pułkownik dużo o tym myślał. Znacznie więcej niż on sam. - poddaję się. Nabywcy będą wkrótce walić drzwiami i oknami. To po co mnie pan tu dziś wezwał, skoro rozpracował pan już wszystkie szczegóły? Żeby przypieczętować swoją decyzję?

Meredith roześmiał się.

- Nie zgadłeś. Zapominasz, że nie potrzebuję twojej zgody, żeby zarządzać Astrą, jak mi się podoba. - Urwał, a potem niemal niechętnie mówił dalej. - Wezwałem cię tutaj, żeby pomówić o tym, co zrobimy, kiedy już zaczniemy zbijać na tym wszystkim pieniądze.

Perez poruszył się w fotelu.

- Carmen mówiła o tym jakiś czas temu. Według niej stalibyśmy się populacją pasożytów.

- Nie zgadzasz się z tym?

Perez popatrzył mu w oczy.

- Wiem z doświadczenia, że jeśli ludzie mają wybór, wolą zarabiać na życie.

Nikt, kto jest na zasiłku albo otrzymuje inne wsparcie, nie jest tak naprawdę szczęśliwy.

- Właśnie. Przypuśćmy więc, że chcemy, żeby wszyscy ludzie, którzy wyemigrują tutaj z Ziemi, mieli sensowną pracę. Co mogliby tu robić?

- Co pan ma na myśli? - zdziwił się Perez. - Robiliby dokładnie to, co na Ziemi.

- Niestety nie - powiedział cicho Meredith. - Nie zauważyłeś, że nie ma tu minerałów i żyznych pól uprawnych?

Perez patrzył na niego przez chwilę... i nagle wszystko zrozumiał.

- Produkcja przemysłowa i rolnictwo odpadają, o to chodzi? Meredith przytaknął.

- Będzie tego trochę, ale nie w takich proporcjach, jak gdziekolwiek na Ziemi. Nie ma sensu importować surowców, kiedy możemy przywozić gotowe produkty.

- Ale na pewno gdzieś na Ziemi jest podobna sytuacja - zaprotestował Perez. Szukał w pamięci przydatnego przykładu. - Na przykład... no, na przykład Monako. Dość dobrze funkcjonuje bez żadnych minerałów.

- Czy tego chcesz dla tych twoich bezładnych mas? - parsknął Meredith. - Chcesz, żeby byli służącymi i kelnerami dla turystów? Oczywiście zakładając, że udałoby się nam sprowadzić tu turystów.

- Nie, oczywiście, że nie...

- Umieścić ich wszystkich w rządzie? W handlu? Mieliby sprzedawać sobie nawzajem polisy ubezpieczeniowe? To ty chcesz uczynić z tego miejsca raj dla ubogich. Powiedz mi, co będą tu robić.

- Dobrze, rozumiem. - Perez wstał. - Zgadzam się, że trzeba się nad tym zastanowić. Ale jestem pewien, że znajdziemy jakieś rozwiązanie. Pan wybaczy...

- Jeszcze nie skończyłem - przerwał mu Meredith. Perez zastanawiał się, czy mimo wszystko nie wyjść. Przemyślał to i znowu usiadł.

- Prawdopodobnie chce pan mojego zapewnienia, że Rada nie będzie upierać się przy sprowadzeniu nowych kolonistów, dopóki nie uporządkujemy tych spraw?

- Niezupełnie. Chyba macie na tyle rozsądku, żeby tego nie robić. Nie, chodzi o coś zupełnie innego. - Meredith zacisnął usta. - Musimy dojść z tymi wszystkimi statkami wojennymi do porozumienia w sprawie obronności. Pani Olivero sądzi, że mógłbyś mieć kilka pomysłów, jak mamy to zrobić bez wywoływania wrażenia prześladowania albo niechęci, jeśli kogokolwiek odeślemy do domu.

Perez zamrugnął ze zdziwienia. To była chyba ostatnia sprawa, w jakiej pułkownik mógł poprosić go o radę.

- Jak rozumiem, nie chce pan, żeby cały ten tłum został na orbicie?

- To Rooshrike nie chcą. Są o krok od pozbycia się ich z systemu i wzięcia na siebie obowiązków strażników.

- Niezbyt dobry pomysł. Szczególnie, że pan i Carmen odbywacie z nimi tajne spotkania.

- Tak im powiedziałem - wyjaśnił Meredith. - Zgodzili się dać nam tydzień na znalezienie lepszego rozwiązania.

- Hm. Cóż... może losowanie albo coś w tym rodzaju. Mogliby to uznać za sprawiedliwe...

Urwał, kiedy zabrzączał telefon Mereditha. Pułkownik odebrał połączenie, a Perez błędził wzrokiem po bezchmurnym niebie. Starał się coś wymyślić. Sześć obcych ras nie przebierających w środkach walczy o dostęp do Prząśnicy. Przekonywał Carmen o napuszczeniu ich nawzajem na siebie, ale im więcej o tym myślał, tym bardziej wydawało mu się to skomplikowane. Z jakim rodzajem psychologii mieli do czynienia? Czy mogli założyć, że wszyscy Obcy rozumieli zysk i stratę w ten sam sposób? Na pewno były jakieś podobieństwa, bo przecież handlowali ze sobą. Ale za cenę czegoś tak wyjątkowego jak Prząśnica łatwo mogli zmienić swoje zwykłe sposoby załatwiania

interesów... nie wspominając o ich układach czy etyce.

-...czekajcie tam, zrozumiano? Nie próbujcie... no, kontynuować, dopóki nie przyjadę.

Uwagę Pereza zwrócił ton wypowiedzi Mereditha. Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz pułkownika i już wiedział, że coś się stało.

- Atakują nas? - zapytał scenicznym szeptem.

Zirytowany Meredith ruchem dłoni nakazał mu milczenie.

- Przyniosę wszystko, co trzeba. Proszę spokojnie czekać. Dobra. - Przerwał połączenie i wystukał inny numer. - Major Barner? Mówi pułkownik Meredith. Procedura zielony-siedem; natychmiast. Proszę się stawić na zachód od celu po instrukcje... dobra. Koniec. - Wstał, wybrał kolejny numer i zerknął na Pereza. - Dokończymy tę rozmowę innym...

- Co się dzieje? - przerwał Perez i zagroził Meredithowi drogą do drzwi.

- Zespół doktora Hafnera odkrył drzwi w jednym ze wzgórz koło Morza Martwego. To może być dojście do maszyny Prząśnicy. - Przysunął telefon bliżej ust. - Pułkownik Meredith. Proszę przygotować dla mnie pionolot za piętnaście minut... nie, nie trzeba. Polecę sam. Dziękuję.

Opuścił rękę i próbował obejść Pereza.

- Proszę mi pozwolić lecieć ze sobą. - Perez znowu zaszedł mu drogę..

Meredith spojrział na niego... i nagle zgodził się.

- Dobra, ale nie przeszkadzaj nam.

Ominął Latynosa i zniknął za drzwiami.

Perez poszedł za nim, starając się dotrzymać mu kroku. Może teraz, pomyślał, dowiemy się wreszcie, do czego służy ta cała Prząśnica.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 17

Wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim pionolot wynurzył się zza zachodniego horyzontu i osiadł wśród niskich wzgórz. Hafner wiedział, że od rozmowy z pułkownikiem nie upłynęło jeszcze pół godziny. Jego czteroosobowy zespół dobrze spożytkował ten czas i odsłonił wystarczającą część podwójnych drzwi potrzebną do oceny ich wielkości. Kiedy pionolot wylądował, zrobiło się dość cicho, żeby Hafner usłyszał odgłos nadjeżdżających samochodów. Z niepokojem zastanawiał się, ilu ludzi przywoził ze sobą Meredith. Rozważał, czy nie pójść i nie zapytać. Zdecydował się jednak nie tracić na to czasu. Meredith i ten nieznośny Perez wysiedli z pionolotu; wszelkie pytania mogły poczekać do czasu, aż dotrą do drzwi.

Tak się złożyło, że wszyscy przybyli w tym samym czasie: obydwaj mężczyźni z pionolotu i sześć samochodów, po brzezi wypchanych żołnierzami.

- Co to ma być? - zapytał Hafner, kiedy wojskowi zaczęli zajmować pozycje wokół wzgórza.

Zauważył, że wszystkim kierował major Barner z Crosse.

- Ochrona - wyjaśnił pokrótce Meredith.

Minął geologa i zatrzymał się przed drzwiami.

Hafner dołączył do niego. Starał się ignorować hałas za plecami. Chwile, takie jak ta, powinno się świętować pijąc szampana, a nie ustawiając karabiny maszynowe.

- Próbowaliśmy powiększyć otwór tak, żeby było dość miejsca na otwarcie drzwi - powiedział pułkownikowi. - Można poznać po zawiasach, że odchylają się na zewnątrz.

- Mhm. - Meredith powiódł koniuszkami palców wzdłuż drzwi. - Są bardzo gładkie jak na coś, co było tak długo pod ziemią.

- Wygląda na to, że Prząśnicy wznosili trwałe budowle - stwierdził Perez.

- To prawda. - Pułkownik odwrócił się i rozejrzał dookoła. - Dobrze, odsłońmy je.

Sierzancie! Zespół kopaczy, migiem!

Po dwóch minutach kilkunastu żołnierzy zaopatrzonych w łopaty już odrzucało ziemię sprzed drzwi. Praca szła dosyć szybko - kruche skały nie stawiały dużego oporu.

Gdyby jednak drzwi były tak wysokie, jak wynikało z ich pięciometrowej szerokości, odkopanie ich i tak zajęłoby większą część dnia. W końcu okazało się jednak, że wysokość wynosiła niecałe cztery metry, a żołnierze uwinęli się ze wszystkim w godzinę.

- Co teraz? - zapytał Perez, kiedy Meredith zrobił już tyle zdjęć odkrytych drzwi, ile najwyraźniej uważał za konieczne.

Pułkownik pozostawił problem Hafnerowi.

- Doktorze? Czy wie pan, jak można by je otworzyć?

- No... - Hafner podszedł do cieniutkiej szczeliny między skrzydłami drzwi i ostrożnie trącił zawieszony na wysokości oczu mechanizm. - To wygląda na zamek albo kłamekę. Kłopot w tym... że nie chce się przesunąć w żadną stronę.

Meredith sam spróbował.

- Mmm. Myśli pan, że celowo je przed nami zamknięto?

- Trudno powiedzieć. - Hafner cofnął się kilka kroków i przyjrzał się konturom wzgórz. - Prawdopodobnie ten kopiec powstał przez zwykłe nagromadzenie się materiału skalnego. Pył i piach osiadały najpierw na powierzchni jakiejś przeszkody, a potem powoli pokryły wszystko.

- Więc pańskim zdaniem wejście nie zostało celowo ukryte? - zapytał Perez.

- Wydaje mi się, że nie.

- A więc jest prawdopodobne, że nie zostało też celowo zamknięte - wywnioskował Perez. -

Czego spróbujemy najpierw: młota, czy dynamitu?

- A może wolałbyś małą bombę atomową? - nie wytrzymał Hafner. - To szybsze i daje dużo bardziej zadowalający efekt.

- Nie chodziło mi o wyważanie drzwi - odpowiedział łagodnie Perez. - Niczego, co przetrwało tak długo, nie można potraktować ładunkiem wybuchowym. Myślałem raczej o sprawdzeniu, czy nie dałoby się wydobyć piasku, który prawdopodobnie dostał się do zamka.

- Aha. - Hafner poczuł się jak idiota.

- Chyba warto spróbować - mruknął Meredith i spojrzął na mechanizm przymrużonymi oczami. - Pył mógł się dostać do zamka przez tę wąską szparkę.

- Na początek spróbujmy czegoś mniej drastycznego niż dynamit - zaproponował Hafner, kiedy pułkownik skinął na jednego z żołnierzy.

- Na przykład?

- Kwasu fluorowodorowego. Możemy go wstrzyknąć do szpary albo wlać od góry. To powinno pomóc pozbyć się wszelkich zanieczyszczeń i nie uszkodzi przy tym samego mechanizmu.

Meredith przytaknął, a naukowiec uznał to za mały sukces osobisty.

W ciągu zaledwie kilku minut Hafner odszukał buteleczkę kwasu i wstrzyknął sporą porcję cieczy za skobel. Odczekał, aż płyn dotrze do wszystkich zakamarków i jeszcze raz sprawdził zamek.

Tym razem skobel przesunął się o milimetr w górę. Więcej kwasu i kilka ostrożnych puknięć kilofem do rozbijania skał sprawiło, że skobel puścił gwałtownie. Hafner przekręcił go do oporu o sto osiemdziesiąt stopni wokół punktu zaczepu na lewym skrzydle drzwi...

Drzwi odchyliły się ze zgrzytem.

- Padnij! - wrzasnął Meredith.

Hafner cofnął się poza zasięg ogromnych skrzydeł drzwiowych i przykucnął popchnięty przez stojącego obok żołnierza. Wewnątrz był ciemny, prowadzący w dół tunel. W środku nic się nie poruszało, a przynajmniej Hafner nic takiego nie dostrzegł ze swojego miejsca. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wstać i nie uspokoić Mereditha, ale żołnierz nadal mocno przytrzymał go za ramię. Naukowiec westchnął w myśli i pogodził się z przymusem czekania.

Nie słyszał cichego pomruku silnika, dopóki odgłos ten nie ucichł nagle.

Skrzydła drzwi ustawiły się do siebie równolegle i wyglądały jak przedłużenie ścian tunelu.

Uruchomiono zamontowany na samochodzie reflektor, żeby rozświetlić mrok.

Refleksy światła zatańczyły na matowej metalowej konstrukcji.

- Dobra, wszyscy spocznij! - zawołał Meredith. Uścisk na ramieniu Hafnera zelżał. Naukowiec wstał i odwrócił się do pułkownika. Dopiero wtedy zauważył podwójny półokrąg żołnierzy, którzy chowali wycelowane w tunel karabiny. Podnosili się właśnie z pozycji strzeleckich. Mój Boże, pomyślał Hafner z drżeniem rak, a gdyby tak Prząśnicy zostawili coś za drzwiami na przywitanie gości? Kule przecięłyby to na pół! - A więc nawet ich drzwi wciąż działają - zauważył Meredith i stanął obok Hafnera.

- Dziwny zapach.

Hafner podszedł do tunelu i wciągnął w nozdrza powietrze. Nadal dostawał gęsiej skórki na myśl o karabinach za plecami.

- Prawdopodobnie bardzo zatęchłe powietrze - powiedział. Otwierałem już wejście do jaskiń na

Ziemi, gdzie było o wiele gorzej. Ale możemy wykonać analizę, jeśli pan chce.

- Proszę.

Meredith zaczął oglądać wewnętrzną powierzchnię jednego ze skrzydeł drzwi.

Hafner utorował sobie drogę wśród żołnierzy i wziął aparat do badania powietrza.

Kiedy był gotów do pracy, zapach zaczął się już rozpraszać. Szybka analiza wykazała, że skład powietrza zasadniczo odpowiadał normie austrijskiej.

- Śladowe ilości jakichś tlenków metali i lekko podwyższona zawartość radonu to jedyne anomalie, jakie odbieram - poinformował Mereditha. - Przypuszczam, że mogą tu być też obce drobnoustroje, ale nie mamy odpowiedniego sprzętu, żeby wykryć organiczne zanieczyszczenia.

- Biorąc pod uwagę pozostałą część Astry, nie widzę w tym prawdziwego zagrożenia - odparł sucho Meredith. - W porządku. Chodźmy zobaczyć, co nam zostawili Prząśnicy.

Dał znak majorowi Barnerowi i ruszył w stronę samochodów.

- Chwileczkę, pułkowniku - zatrzymał go Hafner. Nieważne, jak odbierze to Meredith, ale dla spokoju sumienia musiał poruszyć tę sprawę. - Ilu żołnierzy zamierza pan wprowadzić do środka?

- Trzy oddziały, trzydziestu ludzi. Bez obaw, poradzą sobie ze wszystkim, na co się natkniemy.

- Właśnie to mnie martwi. Radzą sobie ze wszystkim, bez względu na okoliczności.

Pułkownik zmarszczył brwi.

- Co?

- Szczerze wątpię, żeby znaleźli tam coś niebezpiecznego, jeżeli będą trzymać ręce z dala od jakiegokolwiek sprzętu - powiedział Hafner. - Bardziej mnie martwi, że ktoś zacznie strzelać do cennego urządzenia tylko dlatego, że odbije się od niego promień światła.

- Ależ doktorze, moi ludzie nie są tak skorzy do strzelania...

- Jest to też odpowiednia pora do stworzenia precedensu. - Hafner zamaszyście wskazał na tunel. - Jeśli chcemy, żeby obce rasy traktowały Prząśnicę jako pokojowe urządzenie produkcyjne, musi być ono od samego początku w rękach cywili. Jeśli wpuści pan tu żołnierzy, wszyscy wyciągną nieprawidłowe wnioski.

- Nadmiernie pan to upraszcza - powiedział Meredith z wymuszoną cierpliwością - nie mówiąc już o antropomorfizowaniu. Co najmniej dwie spośród tych obcych ras nawet nie odróżniają cywili od wojskowych.

- Więc zrobmy to dla siebie samych - nie ustępował Hafner. - My ich odróżniamy, podobnie jak wszyscy ludzie na Ziemi. Na przykład w ONZ.

Meredith patrzył na niego przez chwilę, a Hafner żałował, że nie może poznać jego myśli. Z pewnością naciski i wpływ geologa na tę sprawę były niewielkie, o czym pułkownik wiedział równie dobrze jak on sam. Naukowiec miałby jakąś szansę tylko wtedy, gdyby pułkownik dostrzegł związane z tym konsekwencje polityczne - Hafner miał o tym tylko mgliste pojęcie - i podjął odpowiednią decyzję.

I tak właśnie zrobił.

- W porządku - powiedział wreszcie Meredith i znów spojrzął na żołnierzy. - Wojsko reprezentować będzie tylko major Barner i ja. Ufam, że nie sprzeciwi się pan postawieniu przed wejściem oddziału obronnego?

Ostatnie zdanie zabrzmiało sarkastycznie, ale Hafner się tym nie przejął.

- Nie, nie ma problemu.

- Dziękuję bardzo.

Pułkownik szybko wydał rozkazy: on, Barner, Perez, Hafner ze swoim asystentem i Nichols wejdą do środka na rekonesans. Każdy zabierze apteczkę pierwszej pomocy.

Meredith i Barner wezmą też broń ogłuszającą i pistolety z podwójnym magazynkiem. Przez chwilę zastanawiano się, czy zabrać samochód. W końcu przeważała możliwość przewiezienia dodatkowego sprzętu nad niechęcią wojskowych do tłoczenia się w ciasnym samochodzie. Barner włożył słuchawki radiowe średniego zasięgu.

- Będziemy w ciągłym kontakcie, dopóki okaże się to możliwe powiedział Meredith kapitanowi, którego wyznaczył na dowódcę kontyngentu w Crosse. - Proszę się jednak nie przejmować, jeśli sygnał zaniknie. Te ściany mogą go zagłuszyć, zanim dojedziemy do końca drogi. Gdybyśmy nie wrócili za cztery godziny, proszę się skontaktować z majorem Brownem w bazie „Martello” w sprawie instrukcji i wsparcia.

Pułkownik zajął miejsce pasażera z przodu i spojrzął na pozostałych: Barner, Perez i Hafner usiedli z tyłu, a Nichols za kierownicą.

- Wszystko gotowe? Dobra, Nichols; powoli i ostrożnie. Młody geolog wprowadził samochód do tunelu i ruszył naprzód.

Zgodnie z przewidywaniami Hafnera, droga pochylała się o kilka stopni w dół. Wychylony do przodu wyteżał wzrok, aż do granicy zasięgu przednich reflektorów samochodu. Nagle tunel rozbłysnął światłem.

Nichols gwałtownie nacisnął na hamulce, a Hafner usłyszał podwójny odgłos odbezpieczanych pistoletów. Przez chwilę panowała napięta cisza. Kiedy oczy Hafnera przywykły do światła, naukowiec zobaczył pusty tunel.

- Automat - mruknął Barner. - Najechaliśmy na prądnicą wersję wycieraczki i włączono nam światło.

- Jasne. - Meredith chyba odetchnął głęboko. - Dobra. Wygląda na to, że nic nam w tej chwili nie grozi. Jedźmy dalej. - Nichols znowu ruszył, a Meredith spojrzął na Hafnera. - Doktorze, mówił pan kiedyś, że Prądnicę zbudowano conajmniej sto tysięcy lat temu. Czy wejście było zasypane równie długo?

Wciśnięty między Pereza a prawe drzwi Hafner wzruszył ramionami.

- Nie mogę na to odpowiedzieć z całą pewnością. Nadal prawie nic nie wiemy o schemacie klimatologicznym Astry, nie mówiąc już o erozji, czy wskaźnikach zagęszczenia dla wielu tutejszych minerałów. Sądzę jednak, że nadal mówimy tu o setkach tysięcy lat.

- Czy to takie ważne? - wtrącił Perez. - Nie widzę dużej różnicy pomiędzy przetrwaniem jakiegoś sprzętu tysiąc czy milion lat.

- Różnica... - Meredith urwał nagle. - Nieważne. Czy to coś na lewo to są drzwi?

To rzeczywiście były drzwi, tak samo duże jak wejście zewnętrzne.

- Wygląda na to, że się rozsuwają, a nie otwierają - stwierdził Barner, kiedy wysiedli z samochodu.

Hafner przytaknął. Zwrócił też uwagę na brak zawiasów i umieszczenie drzwi nieco w głębi, zamiast na równi ze ścianami tunelu.

- Gdybyście zechcieli zaczekać, pójde sprawdzic, czy ta płyta pośrodku działa tak samo jak na drzwiach zewnętrznych.

Tym razem piach nie blokował mechanizmu. Hafner już po chwili znalazł na wysokości oczu urządzenie, które należało wcisnąć, a nie przekreślić. Drzwi gładko wsunęły się w ścianę, a we

wnętrzu rozblęły światła. Ich oczom ukazał się przestronny pokój.

- Wygląda jak sala gimnastyczna w szkole średniej - stwierdził Perez - Te znaczki na podłodze i wszystko...

- Ale i tak nigdy nie zagrałbyś tu w koszykówkę - mruknął Hafner wpatrzony w sufit na wysokości czterech metrów.

Nichols wszedł do środka.

- Skrzynki tam w kącie, doktorze Hafner - wskazał.

- Gdzie? - zapytał Meredith i stanął obok.

Hafner z niepokojem zauważył trzymany przez pułkownika pistolet.

- A, ciekawe.

Pułkownik zlustrował wzrokiem przeciwległy koniec sali, a potem znów popatrzył na skrzynki.

- Tak. Widzicie, że nie są poukładane w rzędy? Jeżeli wzór na podłodze jest symetryczny po obu stronach, to ustawiono je z tyłu po łuku według szablonu.

- Dziwne - mruknął Barner. - Myśli pan, że to jakaś gigantyczna gra planszowa?

- Niekoniecznie - powiedział Meredith. - To może być ich sposób przechowywania zapasów.

Wygląda mi to na znaczne marnotrawstwo miejsca - stwierdził major.

- Nawet gdyby stały w rzędach, potrzebne byłoby miejsce na wentylacją i jazdą podnośnikami widłowymi - podkreślił Meredith. A dla celów identyfikacyjnych numer rzędu i numer palety to po prostu numer krzywej i odległość wzdłuż niej. W niektórych częściach Japonii nadal używa się podobnego systemu dla adresów pocztowych.

Hafner patrzył na kunsztowny wzór na podłodze i próbował Wyobrazić sobie rasę, która wolała zakrzywienia od linii prostych. Czy Rooshrike też robią wszystko w ten sposób? zastanowił się nagle. Chyba warto się tego dowiedzieć.

- Może powinniśmy otworzyć jedną z tych skrzynek i zobaczyć, co jest w środku? - zapytał Nichols.

- Jeszcze nie teraz - powiedział Meredith i odwrócił się w stronę samochodu - Czymś takim mogą zająć się później zespoły badawcze.

Przez następne dwa, trzy kilometry mijali drzwi innych podobnych pomieszczeń magazynowych. Meredith odrzucał wszelkie propozycje sprawdzenia, co było w środku.

- To jasne, że mamy tu wejście towarowe i magazyn. Ciekawe, ale nie tak ważne jak sterownia maszynierii Prząśnicy.

Do rozmowy włączył się Perez.

- A tak z ciekawości, pułkowniku, co dokładnie chce pan zrobić, kiedy już dowiemy się, jak to wszystko funkcjonuje?

Meredith obrócił się i spojrzał na niego.

- Na początek chciałbym wyłączyć zasysacz metalu albo drastycznie zmniejszyć jego działanie. Jeżeli tego nie zrobimy, nasze próby rozwinięcia rolnictwa ograniczą się do uprawy roślin w kulturach wodnych. Możemy znaleźć też odpowiedzi na kilka pytań, jeśli dowiemy się, czy sześciocentymetrowe pręty to wszystko, co potrafi produkować Prząśnica. Czy można też zrobić płyty. Po co? Nie miałeś przypadkiem jakiegoś własnego projektu?

- Zastanawiam się, co stanie się z urządzeniami naukowymi, jakie tu znajdziemy - powiedział Perez. - Czy zamierza pan na przykład wystawić też na sprzedaż anulator grawitacji?

Nichols wychwycił to słowo jeszcze przed Hafnerem.

- Też? - wtrącił się, zanim Meredith zdążył odpowiedzieć. O co chodzi? Co my sprzedajemy?

- Wprowadzamy pręt Prząsnicy na rynek - odpowiedział niechętnie Meredith. - To nie jest właściwie tajemnica, ale nie chcieliśmy o tym mówić pozostałym kolonistom, dopóki nie uzgodnimy z Rooshrike warunków handlu i cen.

- Rooshrike? - zdziwił się Hafner. - Myślałem, że tylko Ctencri handlują z Ziemią.

- Tak właśnie jest - powiedział Meredith. - To jeden z powodów, dla którego negocjujemy z Rooshrike.

Hafner myślał o tym przez chwilę. Nie podobały mu się wynikające z tego implikacje. Najwyraźniej wtedy, kiedy on był zajęty przekopywaniem astriańskiego krajobrazu, wydarzyły się ważne rzeczy. To jasne, że Meredith nie był zainteresowany wyjawieniem szczegółów. Hafner zastanawiał się, czy Carmen wiedziała, co się stało.

Postanowił jak najszybciej się z nią skontaktować.

- A co do anulatora grawitacji i zasysacza - ciągnął Meredith to ta technologia zostaje na Astrze. Chyba że macie coś przeciwko temu.

- Nic a nic - odpowiedział Perez. - Uważam też, że nie powinniśmy zbyt dokładnie badać urządzenia. W chwili, kiedy wchodzi się w posiadanie takiej wiedzy, jest się podatnym na jej kradzież. A nie wolno nam przecież stracić tajemnic Astry.

- Myślę, że doktorzy Hafner i Nichols dość niechętnie odnieśliby się do takiej filozofii - odparł Meredith. - A może obecni tu naukowcy byliby zadowoleni, gdyby musieli pracować z maszyną, która działa na zasadach czarnej magii?

Hafner wychwycił zmianę kierunku.

- Droga się wyprostowała - zawiadomił szczęśliwy, że ma okazję uniknąć kłótni. - Chyba widzę też skrzyżowanie z innym korytarzem.

- Widzi pan - potwierdził Meredith i spojrzał na licznik samochodowy jakieś sześć kilometrów od wejścia... czyli jesteśmy około stu, dwustu metrów pod ziemią. Hm. To dziwne, że rooshrikańskie wykrywacze metalu nie znalazły tego miejsca. Podobno mają zasięg do pół kilometra.

- Może wyprodukowano to wszystko z tego samego materiału co pręt - podsunął myśl Barner. - Nie pojawia się na wykrywaczach, pamiętacie?

- Nic z tego - powiedział Hafner. - Metal z pręta jest dobry do konstrukcji i przewodów zasilających, ale w elektronice trzeba użyć zwykłych metali.

- Dlaczego? - zapytał Perez.

- W każdym elektronicznym urządzeniu potrzebne są zarówno przewodniki, jak i półprzewodniki - odrzekł Hafner. - Metal z pręta albo doskonale przewodzi, albo wcale. Bardzo prawdopodobne, że te ściany jakoś ekranują elektronikę.

Dojechali do skrzyżowania i Nichols na polecenie Mereditha zatrzymał samochód.

- Czy widać coś ciekawego? - zapytał pułkownik i rozejrzał się na wszystkie strony.

- Wygląda na to, że z tej strony korytarz kończy się pojedynczymi dużymi drzwiami - zameldował Barner.

Hafner wychylił się do przodu, żeby spojrzeć na korytarz za plecami Pereza. Z całą pewnością tak właśnie było... i nagle naukowiec wiedział już, co mogli znaleźć za tymi drzwiami.

- Przyjrzyjmy się temu - zaproponował.

Meredith spojrzał na niego dziwnie, ale przyzwalająco kiwnął głową.

- Jeśli uważa pan, że warto to zrobić. Majorze, jak tam kontakt ze światem zewnętrznym?

- Sygnał stopniowo zanika, lecz nadal mamy łączność.

- Proszę ich ostrzec, że będziemy teraz wchodzić i wychodzić z korytarzy, więc kontakt może się urywać. W porządku, Nichols, proszę nas tam zawieźć.

Przeczcucie Hafnera potwierdziło się. Za drzwiami był drugi korytarz, równoległy do tunelu wejściowego, ale o co najmniej cztery razy większym przekroju. Przez ścianę przebiegał ogromny solenoid, którego końce znikają po obu stronach korytarza.

- Akcelerator mikrocząstek? - wyszeptał Nichols, patrząc na monstrualną cewkę.

- Kto wie. - Hafner wzruszył ramionami. - Z całą pewnością wiemy tylko to, że psuje repulsory plazmowe.

Meredith mruknął coś z niezadowoleniem. Najwyraźniej nie pomyślał o tym.

- Myśli pan, że katastrofę naszych pionolotów spowodował jakiś efekt rezonansu z tym czymś?

- Albo z zawieszonymi w niektórych miejscach na solenoidzie przyrządami - powiedział Hafner.

- W środku musi wtedy powstawać ogromne pole, skoro wywołuje tak silny efekt na zewnątrz.

- Ciekawe, do czego to służy - powiedział Barner. - Ktoś ma jakiś pomysł?

- To może być praktycznie wszystko. - Hafner potrząsnął głową. - Całe to miejsce jest niezwykle.

Dlaczego, u licha, ktoś miałby sobie zadać trud wybudowania czegoś takiego?

- Może tak działa ich górnictwo? - podsunął myśl Perez. Owszem, robi to wrażenie, ale robią je też przybrzeżne platformy wiertnicze i wieża Exxon.

- To gdzie jest reszta ich cywilizacji? - zapytał Nichols. - Musiały przecież zostać jeszcze jakieś inne ślady.

- Po stu tysiącach lat?

- Na Ziemi znajdujemy jeszcze starsze skamieliny.

- Prawdopodobnie Prząśnicy nie pochodzili z tego systemu wtrącił Meredith. - Może nawet nie z tej części wszechświata. Wracajmy do samochodu i jedźmy dalej.

- Co według pana wskazuje na to, że Prząśnicy nie byli stąd? zapytał Perez, kiedy jechali wzdłuż głównego tunelu. - Brak skamielin się nie liczy, bo nikt ich przecież nie szukał.

- A brak innych budowli z materiału pręta? - odparł Meredith. Nie tylko tutaj, ale gdziekolwiek w systemie. Pamiętaj, że Rooshrike dokładnie zbadali to miejsce, kiedy dotarli tu po raz pierwszy. Gdyby Prząśnicy żyli gdzieś w pobliżu, znaleźlibyśmy przynajmniej jakieś wzmianki w rooshrikańskiej archeologii albo legendach.

- Może tam są - powiedział Hafner. - Historie o bóstwach i podobnych im istotach mogą się do niej odnosić.

- Komputer jest innego zdania. Wszystkie postacie mitologiczne są zbyt podobne do samych Rooshrike, żeby mogły być Obcymi.

- Ale skoro historie powtarzano tysiące razy...

- Stać! - wrzasnął Barner. Uciszył tym Hafnera i spowodował ostre hamowanie przez Nicholasa. - Tam na prawo, w korytarzu, który właśnie minęliśmy. Wygląda jak dziura w skale.

Nichols cofnął samochód o kilka metrów i skręcił w prawo. Hafner wychylił się do przodu i patrzył Meredithowi przez ramię. Bez wątpienia, tam gdzie kończyły się metalowe ściany i światła, korytarz ciągnął się dalej.

- Ma pan dobre oczy, majorze - stwierdził.

- Nie lepsze niż pańskie - odpowiedział Barner trochę cierpko. - Ja umiem swoich używać, to wszystko.

Hafner zaczerwienił się i umilkł.

Korytarz kończył się w miejscu, gdzie kiedyś było skrzyżowanie w kształcie litery T. Wyboisty tunel, który zauważył Barner, prowadził przez krótsze ramię, jak gdyby ktoś planował przedłużyć korytarz i nigdy nie skończył pracy.

- Byle jaka robota - stwierdził Nichols po potarciu palcami chropowatej kamiennej ściany wewnątrz otworu. - Chyba skończyły się im fundusze.

- Nie wydaje mi się - powiedział Meredith. - Proszę zauważyć, że zostawili tu surową skałę, jakby planowali się w nią wwiercić.

Hafner cofnął się i spojrzał w głąb korytarza.

- Ma pan rację... Tam dalej jest inny otwór, zaraz za tą poziomą barierką.

Meredith wydobyl z plecaka latarkę i oświetlił nią tunel.

- Schodzi dość głęboko... no, no. Wewnątrz jest chyba coś metalicznego. - Przełożył latarkę do lewej ręki, schylił głowę i ostrożnie wszedł do korytarza. - Zaczekajcie tu i miejcie oczy szeroko otwarte. Zaraz wracam.

Minęło jakieś pięć minut, zanim pułkownik znowu pojawił się w przejściu.

- No i co? - zagadnął Perez, kiedy Meredith odłożył latarkę.

- Nie mogę być tego pewien, jak zawsze przy urządzeniach Obcych - powiedział pułkownik - ale wygląda na to, że jest tam automatyczna koparka.

- A więc rzeczywiście przedłużali tunel - powiedział Nichols.

- Albo wydobywali ze skały niemetalę, których nie mógł ściągnąć zasysacz - podsunął myśl Hafner. - Może dowiedzielibyśmy się czegoś więcej, gdybyśmy wyciągnęli koparkę na zewnątrz.

- Nie radziłbym tego robić - powiedział Meredith. - To urządzenie nadal działa.

Spojrzeli na niego.

- Co takiego? - zapytał Hafner i zaczął nasłuchiwać dźwięków w tunelu.

- No, właściwie nie pracuje. Jakiś głąz zaklinował się między dwoma odcinkami drogi. Ale z tyłu jest coś, co wygląda na panel kontrolny i świeci się nadal sześć lampek. - Meredith otrzepał pył z ramion i ruszył z powrotem do samochodu. - Chodźcie, jedziemy.

Wrócili do głównego korytarza i pojechali dalej. Przez większą część czasu siedzieli w ciszy. To nie powinno być aż takim szokiem, powiedział sobie w myślach Hafner.

Wszyscy przecież wiedzieli, że główna maszyna Prząsnicy nadal działała. Mimo wszystko geolog zawsze wyobrażał sobie Prząsnicę jako aparaturę półprzewodnikową, która z trudem przetrwała dzięki licznym systemom awaryjnym. Fakt, że jakieś małe urządzenie i do tego maszyna do kopania tuneli - zachowało się w dobrym stanie, budził podziw i strach.

Skęcili korytarzem jakieś trzydzieści stopni w lewo... i nagle, bez ostrzeżenia, znaleźli się w zupełnie nowym świecie.

- Jasny gwint! - wykrztusił Barner i zaczął się rozglądać - Co się tu dzieje, do diabła?

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 18

Hafner również podniósł wzrok na błękit nad ich głowami. Po niebie sunęły puszyste białe obłoki i tylko czasami przyciemniały światło żółtego słońca znajdującego się w połowie drogi do zenitu... Minęła prawie minuta, zanim Hafner oderwał wzrok od tego widoku i spojrzał na otaczającą ich wioskę.

Z początku miał wrażenie, jakby wjechali do starego miasta w Jerozolimie. Wzdłuż wąskich, krętych uliczek stały ściśnięte koło siebie budynki o białych ścianach i kopułowatych dachach. W niewielkiej odległości, przed minaretową wieżyczką przez miasto przebiegał zdobiony mur. Kiedy jednak Hafner przyjrzał się bliżej, dostrzegł miriady różnic architektonicznych między tymi budynkami a czymkolwiek, co widział na Ziemi.

Kształty i położenie okien, misternie wykonane rzeźby na drzwiach i sklepionych przejściach, nawet lekko opalizujący blask ścian - wszystko zdecydowanie charakteryzowało to miejsce jako obce.

Perez pierwszy wymamrotał jakieś hiszpańskie zdanie, które brzmiało jednocześnie jak bluźnierstwo i wyraz podziwu.

- To niemożliwe! - wyszeptał. - To niebo... Przecież jesteśmy sto metrów pod ziemią!

- Jest sztuczne - powiedział Meredith, a Hafner z podziwem usłyszał pewność w jego głosie.

Geolog patrzył na niebo przez całą minutę i nie zauważył żadnych słabych punktów symulacji. Bo to oczywiście musiała być symulacja.

- Prawdopodobnie hologram albo jakaś projekcja na kopule sufitu - ciągnął Meredith.

- Wygląda na to, że Prząśnicy zamierzali tutaj osiąść na dłużej.

- Ale dlaczego pod ziemią? - zapytał Perez, nadal wyraźnie przejęty. - Dlaczego nie na powierzchni, gdzie mogli mieć prawdziwe światło słoneczne?

- Pewnie chcieli mieć gdzie w spokoju przypalać stek - powiedział Nichols i potężnie kichnął. - A może nie czujecie tego paskudztwa?

Hafner ostrożnie wciągnął powietrze. Wcześniej nie czuł odoru, jaki niósł lekki wietrzyk. Zwrócił na to uwagę dopiero teraz i stwierdził, że Nichols miał rację.

Dominował lekki zapach, podobny do palonego mięsa. Można też było wyczuć ślady jaśminu, siarki i jakby mieszanki zardzewiałego żelaza z oregano.

- A fu! - powiedział. - Śmierdzi, jakby ktoś spalił kuchenną spiżarnię.

- Zapach też jest pewnie sztuczny. - Meredith wskazał kawałek nagiej ziemi, której Hafner przedtem nie zauważył. - To był chyba kiedyś ogród albo mały park. Jak pan widzi, cokolwiek tu kiedyś rosło, już dawno zniknęło. Wszystko zgniło przed wiekami.

Wiatr ucichł, a później powiał z nieco innego kierunku. Podobnie subtelna zmiana dała się też wyczuć w mieszaninie zapachów. Hafner spojrzał w górę. Sztuczne obłoki także zmieniły kierunek ruchu.

- Ktoś zadał sobie bardzo dużo trudu, żeby mieszkańcy czuli się tu jak w domu.

- Tak. - Meredith wskazał na minaret w oddali. - Oznaczmy to wejście i chodźmy zobaczyć tę wieżę i mur.

Barner wydobył z plecaka fluorescencyjny pomarańczoworóżowy znacznik i wysiadł z samochodu. Nichols spojrzał przed siebie, znowu kichnął i potrząsnął głową.

- Nie rozumiem, dlaczego zbudowali tu w ogóle jakieś mury powiedział bardziej do siebie niż do

innych. - Po co mieliby dzielić to miasto na dwie części?

- To może być po prostu dekoracja - podsunął myśl Perez. Albo mur oddzielał robotników od wyższych sfer.

- Albo - wtrącił Meredith - rzeczywiście służył do celów obronnych. A jeśli tak, to lepiej dowiedzmy się, przed czym się tak bronili.

Obejrzał się za siebie i zobaczył Barnera wsiadającego do samochodu. Skinął na Nicholasa.

- Jedźmy, doktorze. Bardzo powoli i ostrożnie.

Dla Pereza było to ostatnie miasto duchów. Ożywiało wspomnienia z dzieciństwa, których wolał nie przywoływać. Wiele mijanych budynków miało pootwierane drzwi i Latynos za każdym razem przyłapywał się na nerwowym zaglądaniu do środka. Nie zdziwiłby się, gdyby się rzucił na nich jakiś ocalały z masowej emigracji mieszkańców.

Wcześniej pochwalał stanowisko Hafnera w sprawie udziału wojska w tej wyprawie, a teraz prawie żałował, że Meredith nie zabrał tych trzech oddziałów.

Hafner najwyraźniej czuł podobny niepokój.

- Wygląda na to, że wyjechali w pośpiechu - mruknął naukowiec, gapiąc się przez okno. - Pozostawiono wiele otwartych drzwi i okien.

- A po co mieli je zamykać? - zapytał trzeźwo Barner. - Chyba że przywieźli tu też swoich włamywaczy...

- Poza tym zostawili włączoną Prząśnicę - podkreślił Hafner.

Barner wzruszył ramionami.

- Zostawia się światło fluorescencyjne, jeśli chce się szybko wrócić.

- Właśnie - zgodził się Meredith. - To... dlaczego nie wrócili? - Klepnął Nicholasa w ramię i wskazał przed siebie. - Tam, po lewej. To rozszerzenie drogi. Podjedź i zajrzyjmy do środka jednego z tych budynków.

Nichols zastosował się do polecenia i wszyscy wysiedli z samochodu. Budynek koło miejsca parkowania był większy niż sąsiednie. Drzwi z ulicą łączyło sklepienie przejście.

- Wchodzą - powiedział Meredith i wyciągnął pistolet. - Majorze, zostanie pan tu z innymi. Mamy w tej chwili kontakt ze światem zewnętrznym?

- Nie, sir - odpowiedział Barner.

On też wyciągnął pistolet.

- Nadal jest ustawione na jedną czwartą mocy?

- Tak.

- W porządku. Nie oczekuję żadnych problemów, lecz jeśli usłyszycie strzał, a nie wyjdę w ciągu dziesięciu sekund, proszę zwiększyć moc do maksimum i wezwać wsparcie. Jak te wściubiny na orbicie dowiedzą się... ale wtedy będziemy mieli większe zmartwienia.

Barner kiwnął głową.

- Rozumiem. Powodzenia, pułkowniku.

- Dzięki.

Meredith wszedł pod łukowate sklepienie i zatrzymał się na widok Pereza.

- A ty czego chcesz? - warknął.

- Idę z panem - powiedział spokojnie Perez. - Jeżeli tam może być niebezpiecznie, dwóch będzie miało większe szansę niż jeden. A musi pan przyznać, że ja tu nie jestem aż taki niezastąpiony.

Meredith roześmiał się i machnął niecierpliwie pistoletem.

- No dobrze, tylko niczego nie dotykaj. A na mój rozkaz natychmiast stamtąd uciekniesz. Jasne?

- Jasne.

Od ulicy drzwi wydawały się zamknięte. Okazało się jednak, że ich lewe skrzydło było uchylone. Meredith zatrzymał się przy wejściu i przez blisko minutę sprawdzał teren, zanim otworzył drzwi. Ruchem dłoni nakazał Perezowi zostać na miejscu, przekroczył próg i zniknął gdzieś z prawej strony. Po chwili wystawił rękę i gestem przywołał Pereza. Perez ponieważ zastanowił się, czy jego ciekawość nie przewyższyła przypadkiem rozsądku. Mimo to ostrożnie wszedł do środka.

Znajdowali się w dużym pokoju. Ze wszystkich stron pomieszczenia stały sięgające sufitu regały. Na niektórych półkach leżały przedmioty niewiadomego przeznaczenia, wszystkie pokryte warstwą kurzu. Naprzeciw Pereza i Mereditha zamiast regału stał sięgający do ramion pojemnik. Na jego powierzchni Latynos zauważył więcej śladów zużycia, niż gdziekolwiek indziej. Zwrócił na to uwagę Mereditha.

- Tak - zgodził się pułkownik. Z początku myślałem, że wszystko wykonano tu z pomalowanego metalu prętowego, ale to jest chyba jakaś ceramika. Możliwe, że materiał prętowy jest pod spodem.

Rozejrzał się na boki, spojrzał na dwoje zamkniętych drzwi w ścianie i podszedł do pojemnika. Perez starał się obserwować oba wyjścia naraz. Po chwili dołączył do pułkownika.

- Podłoga wydaje się w tym miejscu nieco bardziej zarysowana - powiedział Meredith.

Dotknął na próbę brzegu pokrywy pojemnika, nacisnął lekko... i rozległ się trzask, a kilkucentymetrowy kawałek wieka zamienił się w chmurę białego pyłu.

Perez mocno zacisnął usta, żeby zdusić okrzyk. Cofnął się pośpiesznie, kiedy zawirowanie powietrza popchnęło chmurę w jego kierunku. Meredith przykucnął, gotów do strzału. Perez wstrzymał oddech i nasłuchiwał, ale niczego nie usłyszał.

- Miałem rację - odezwał się Meredith głośnym szeptem.

Wyprostował się i zdarł resztki ceramiki z matowej metalowej powierzchni.

- Metal z pręta, prawie na pewno.

- Mhm - przytaknął Perez. Rozejrzał się po pokoju. - Przypuszcza pan, że był tu kiedyś jakiś magazyn albo coś takiego?

- Magazyn, bar szybkiej obsługi albo bufet - mruknął Meredith.

- Może Prząśnicy lubili jeść na stojąco. Sprawdźmy pozostałe drzwi. I mów po cichu, jasne?

- Czego się pan właściwie obawia? - zapytał Perez.

Pokruszone wieko pojemnika przypominało mu, jak stare było to miejsce i oddaliło lęk przed miastem duchów. Nawet duchy znikają przecież po kilku stuleciach.

- Przyszło mi do głowy - odpowiedział Meredith - że może być inny powód, dla którego Prząśnicy nie przejmowali się otwartymi drzwiami. Mogli mieć jakiś bardzo dobry sprzęt antywłamaniowy.

- Po tylu latach...

- Koparka nadal działała.

Perez przełknął tę uwagę.

- To prawda. Ale... nic nas jeszcze nie zaatakowało.

- Jeszcze - powtórzył Meredith. - Sprawdźmy te drzwi i jedźmy dalej. Chyba niczego nie znajdziemy w tej części miasta.

Byli w połowie drogi, kiedy w kieszeni Mereditha cicho pisnęło radio krótkiego zasięgu.

- Meredith - odebrał połączenie. -... Gdzie jest?

Perez stanął z boku, tak żeby słyszeć głos Barnera.

-...set metrów stąd i zbliża się. Nie jest bardzo szybki, ale może być uzbrojony.

- Jasne. Wycofajcie się jak najciszej. Zobaczmy, czy to nas ściga. - Pułkownik podszedł do drzwi frontowych i zerknął na ulicę. - Wygląda na to, że jest zrobiony głównie z metalu pręta - powiedział i cofnął się z powrotem. - Perez, sprawdź te drzwi. Zobacz, czy prowadzą na zewnątrz.

Perez przewyciężył paraliżujący strach i podszedł na palcach do bocznych drzwi.

Otworzył je i zobaczył inny pokój. Chociaż był znacznie mniejszy niż poprzedni, stały w nim takie same, prawie puste regały. Nie zauważył drzwi, ale jedno z okien od strony ulicy wydawało się wystarczająco duże, żeby można było szybko się przez nie przedostać. Oby tylko dało się otworzyć, powiedział do siebie i poszedł chyłkiem wzdłuż ściany, żeby to sprawdzić. Pochylił głowę i wyciągnął rękę, szukając klamki... i wtedy po raz pierwszy zobaczył zbliżającą się do nich maszynę.

Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś zbudował gigantycznego mechanicznego pająka, przykrył go żółwią skorupą, a na szczycie zaszczeplił gniazdo węży. Chodząca Gorgonia Głowa, - pomyślał Perez i ciarki przeszły mu po plecach. I rzeczywiście szła w ich stronę. Po drugiej stronie ulicy Latynos dostrzegł Barnera i pozostałych, przykucniętych przy innym budynku.

- Perez!

Wzdrygnął się, zanim sceniczny szept z tyłu utożsamiał z głosem Mereditha.

- Zbliża się, pułkowniku - wysapał. - Widzę go.

- Wiem, ale mamy przynajmniej minutę, zanim tu dotrze. Czy to okno się otwiera?

Perez przypomniał sobie o swoim zadaniu.

- Uch... chyba czuję klamkę... jest.

Przekręciła się o ćwierć obrotu. Znowu ostrożnie wyjrzał.

- Chyba nie będę jeszcze próbował otwierać okna.

Meredith przykucnął koło niego i dotknął okna.

- Dobra... Miejmy nadzieję, że się nie zaklinowało. - Sięgnął po radio. - Majorze, kiedy tylko wejdzie do środka, macie być wszyscy w samochodzie gotowi do odjazdu. Proszę mnie nie osłaniać, chyba że będzie to konieczne. Zwabienie tu więcej takich urządzeń jest ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebujemy. Otrzymał potwierdzenie i wsunął radio do kieszeni.

- Czeka tu - polecił Perezowi. - Kiedy strzelę, otwórz okno i uciekaj. Jeżeli się zaklinuje, padnij na ziemię i krzyknij. Ja spróbuję użyć kul przeciwpancernych.

Perez przytaknął cicho, a Meredith wrócił na drugi kraniec pokoju. Przymknął drzwi, podniósł się i wyjrzał na zewnątrz. Oburącz trzymał gotowy do strzału pistolet.

Perez przygryzł wargi i spojrzał na broń. Miał nadzieję, że pułkownik nie zmarnował żadnej z sześciu kul w obu magazynkach na rakiety świetlne lub coś równie bezużytecznego.

Tylko czy kule pancerne poradzą sobie z metalem pręta? - zastanowił się nagle. Czujący punkt, musi być czujący punkt, w który można by trafić.

W sąsiednim pokoju rozległo się miarowe klip-klip-klip metalowych odnóży. Perez wstrzymał oddech... a Meredith nacisnął spust.

Ogłuszający huk wybuchu w zamkniętej przestrzeni prawie stopił się z odgłosem dwóch następnych strzałów Mereditha. Ze ścian i sufitu spadła lawina ceramicznego kurzu, a budynek zatrzęsł się od eksplozji. Perez uniósł rękę, żeby osłonić oczy przed pyłem. Wstał i oparł się całym ciężarem o okno. Przez chwilę stawało opór, a potem skrzypnęło i ustąpiło.

Perez chwycił za krawędź framugi i wyskoczył. Uderzył się przy tym w ramię i prawie stracił równowagę. Meredith biegł tuż za nim. Popchnął go w odpowiednim kierunku i krzyknął coś, czego Perez nie dosłyszał. Mimo szaleńczego pędu w porę otarł oczy z pyłu i łez, żeby zdążyć wyhamować przed otwartymi drzwiami samochodu i dać nura na siedzenie obok Hafnera. Po chwili Meredith wskoczył na przednie siedzenie. Pereza wcisnęło nagle w poduszki fotela, gdy Nichols gwałtownie nacisnął pedał gazu. Samochód skoczył naprzód, miotając Perezem na wszystkie strony, kiedy Nichols usiłował utrzymać się na krętej uliczce.

- Wszystko w porządku? - zapytał Meredith.

- Tak sędzę.

Perez wyciągnął chusteczką i wytarł oczy. Usłyszał chrząknięcie z przeciwnej strony samochodu. Zobaczył gramolącego się przez okno Barnera, który prawdopodobnie trzymał tylną straż.

- O ile się nie mylę, nie oddał ani jednego strzału - powiedział i odwrócił się, żeby wyrzucić przez okno.

- Nie jestem pewien, czy nie próbował - odparł ponuro Meredith. - Co najmniej dwa z tych węży śledziły każdy mój ruch od momentu, kiedy maszyna przekroczyła próg budynku.

- Rozwalił go pan? - zapytał Barner.

- Nawet nie próbowałem. Strzelałem w odnóża i próbowałem przewrócić maszynę, żebyśmy mogli uciec.

- Może pomógł też pył. - Barner patrzył teraz do przodu. - Myśli pan, że to tutejsza policja?

- Albo alarm antywłamaniowy - podsunął Hafner.

- Alarmy antywłamaniowe najczęściej ustawia się w pojedynczych domach - powiedział Perez i wykasłał z płuc resztki pyłu.

- U nas - powiedział Hafner. - Ale całe to miejsce urządzono dość wygodnie jak na standardy ludzkiej... no, przynajmniej zachodniej kultury. Bardzo możliwe, że towarzyski lud Prząśników utworzył scentralizowany system kontroli antywłamaniowej.

- To tylko inna nazwa policji. - Barner zlekceważył rozróżnienie. - Pytanie, ile takich maszyn nadal działa.

Weszli w ostry zakręt i samochodem trochę zarzuciło.

- Myślę, że może pan już teraz zwolnić, Nichols - zwrócił uwagę Meredith.

- Tak. Dobra.

Nichols rozejrzał się szybko na wszystkie strony i jakby niechętnie zmniejszył nacisk na pedał gazu. Perez uporczywie wpatrywał się w geologa. Zastanawiał się, czy naukowiec przejął się tym całym zajściem. Stopniowo dotarło do niego, że on sam był wtedy zbyt zajęty, żeby zdać sobie sprawę z tego, co mogła im zrobić Gorgonia Głowa.

Niespotykana architektura i ukształtowanie podłoża Prząśnickiej Groty utrudniały prawidłową ocenę odległości. Okazało się, że mur znajdował się dalej i był wyższy, niż to ocenili u wejścia do tunelu. Wznosił się dobre sześć metrów nad nimi, a jego powierzchnię pokrywał zawiły wzór łagodnych barw. Wyglądało to tak, jak gdyby setka tęczy złączyła się w jedną całość i przyłgnęła do czoła lodowca. Meredith skrzywił się. Malowidło nappełniało go dziwnym niepokojem.

- No i co, pułkowniku? - odezwał się z tyłu Perez. - Zbudowano to dla obrony, czy nie?

Meredith powiódł wzrokiem wzdłuż muru. Żadnych blanków ani otworów, przez które można by strzelać, żadnych baszt czy wieżyczek. Mur nie nosił nawet śladów, że coś takiego kiedyś tam było.

- Byłby to bardzo pasywny system obrony - powiedział. - Niezależnie od tego muszę się dostać

na drugą stronę. Czy ktoś widzi jakąś przerwę w murze albo bramę?

- Chyba widziałem tam na lewo jakąś szczelinę - powiedział Barner i spojrzał w tamtym kierunku. - Ale nie mogę jej teraz znaleźć.

- Może maskuje ją kolorowy wzór - zastanowił się Meredith. Chodźmy się rozejrzeć.

Wsiadli do samochodu. Już piętnaście metrów dalej znaleźli wysoki, wąski otwór, który widział wcześniej Barner.

- Nigdy bym nie uwierzył, że tak trudno znaleźć zwykłą dziurę - mruknął Barner i zajrzał przez otwór na drugą stronę muru.

- Tak... Z pewnością nie uda się nam wjechać tam samochodem, pułkowniku, ale wygląda na to, że do wieży jest tylko dziesięć minut drogi piechotą.

Meredith ruchem dłoni nakazał mu się odsunąć i przeszedł przez otwór. W odróżnieniu od miasta po drugiej stronie muru, ta część groty była prawie pozbawiona zabudowań. Te, które zauważył pułkownik, wyglądały raczej na domy mieszkalne, niż siedziby przedsiębiorstw czy budynki przemysłowe. Były długie i niskie, nieudekorowane tak, jak widziane wcześniej kopulaste domy. Mogły to być miejskie bary samoobsługowe i centra rekreacyjne, pomyślał Meredith. A te wolne przestrzenie to pewnie ogrody albo las. W takim wypadku wieża byłaby... czym?

Wieża. Wznosiła się nad okolicą blisko pół kilometra przed nimi. Wyglądała jak skrzyżowanie iglicy kościelnej z wieżą kontrolną na lotnisku. Mierzyła jakieś pięćdziesiąt metrów, jak oszacował pułkownik, a w połowie wysokości i przy samym szczycie miała coś, co przypominało szerokie okna. U jej podstawy skupiało się sześć budynków o płaskich dachach. Czyżby pomieszczenia dla służby albo kwatery dla nocnej zmiany? A może to stamtąd wychodziły te małe kreatury jak ta, na którą się natknęli?

- Pójdziemy pieszo - oznajmił Meredith po powrocie do grupy. - Majorze, proszę wyjąć z bagażnika karabiny i cztery granaty. Doktorze Hafner, proszę pójść z majorem i przynieść licznik Geigera. Jest pod przednim siedzeniem pasażera.

Oczy Hafnera rozszerzyły się na wzmiankę o dodatkowej broni, ale zgodził się bez słowa. Meredith spojrzał na zegarek: minęła już jedna godzina z czterech, które wyznaczył na rekonesans. Powrót powinien zająć mniej czasu, ale dwie godziny to za mało, żeby zbadać całą wieżę. Będą musieli wybrać części, które wydadzą się najbardziej interesujące.

Barner i Hafner wrócili ze swoim ładunkiem.

- Dobra - powiedział Meredith i przewiesił przez ramię stonera kaliber 5,56 mm i przyczepił dwa granaty strzelnicze do paska u spodni. - Trzymajcie się w luźnej grupce i miejcie oczy szeroko otwarte.

Budynki wokół podstawy wieży nie były, jak przypuszczał wcześniej Meredith, połączone z jej strukturą. Stały ze dwa, trzy metry od jej matowej, metalowej ściany.

- Ciekawe - zauważył Hafner, kiedy okrążali wieżę w poszukiwaniu drzwi. - To pierwsza konstrukcja bez tej białej ceramicznej warstwy.

- Może zbudowali ją później? - zastanowił się Perez. - W ostatnim okresie; kiedy nie mieli już czasu na wykończenie?

- Albo może jest podatna na drgania - powiedział Meredith, pamiętając kruchą ceramikę w budynku w wiosce. - Po tamtej stronie chyba są drzwi. Chodźmy zobaczyć.

Podobnie jak wszystkie drzwi w okolicy, te też były wysokie, smukłe i kunsztownie wykonane. Stały otworem. Prowadziły do pustego pomieszczenia, które wyglądało na poczekalnię. Kształtem

przypominało mały kawałek placka z odgryzionym koniuszkiem.

Brakujący fragment uzupełniał sięgający do sufitu walec.

- Winda, jak sądzę - powiedział Barner. Ostatni raz rzucił okiem na zewnątrz i zamknął drzwi. -

Może sprawdzimy, czy działa?

- Możemy - powiedział niechętnie Meredith. - Chociaż lepiej jej nie używać. Zobaczmy, co

Prząśnicy rozumieli jako schody.

Minęło kilka minut, zanim wreszcie odkryli, że jeśli naciśną małe urządzenie w ścianie, walec obróci się i odsłoni przesunięty względem środka otwór. W środku po prawej stronie znajdowała się winda, a po lewej schody, które miał nadzieję znaleźć Meredith.

Ruszyli na górę.

Posuwali się wolno. Marsz utrudniały wąskie stopnie i nalegania Mereditha, żeby powoli wchodzić na każdy stopień. Hafner mruknął zniecierpliwiony, że taka ostrożność nie jest konieczna w przypadku konstrukcji z metalu pręta. Meredith zignorował go.

Nie rozmawiali dużo. Z pomieszczeń obok nich i nad nimi zaczynały dobiegać przyciszone szmery i pstryknięcia. Nikt nie chciał tego zagłuszać niepotrzebnym gadaniem.

Meredith zaprowadził ich na sam szczyt schodów. Miał nadzieję, że najważniejszy sprzęt znajdują na tym właśnie piętrze. Wewnętrzny mechanizm wyzwalający obrót cylindra, kiedy go wreszcie znaleźli, zadziałał bez zarzutu. Z pistoletem w pogotowiu, Meredith przeszedł przez krótki tunel. Zalało go morze jaskrawych barw.

Przez chwilę stał i starał się przyzwyczaić wzrok i umysł do tego, co zobaczył.

Daj małemu dziecku pudełko kredek i dokładne zdjęcie kokpitu wahadłowca, pomyślał, a otrzymasz coś takiego. Szeroki na metr półkolisty pierścień, który otaczał pokój poniżej linii okien, przypominał pulpity sterowniczy. Umieszczone na nim panele kontrolne nie wyglądały jednak znajomo. Pomalowano je najbardziej jaskrawymi kolorami, jakie kiedykolwiek Meredith widział. Niektóre panele miały zakrzywione, niekiedy powyginane krawędzie, a inne przypominały kształtem prostokąty. Przez chwilę Meredith starał się sklasyfikować je według znanych wielokątów - prawie kwadrat, trapez, trójkąt - aż wreszcie porzucił zadanie jako bezsensowne. Same przełączniki - przeważnie czarne, chociaż czasem zdarzały się też kolorowe - również rozmieszczono bez poszanowania zasad koncepcji linii prostych. Nie było dwóch paneli o jednakowych kształtach i takim samym układzie przycisków, a niektóre zestawienia kolorów aż kłuły w oczy. I niech to będzie dziecko dotknięte daltonizmem, dodał w myśli pułkownik.

Za nim wchodzili pozostali i cicho wypowiadali uwagi na temat feerii barw, z jaką się zetknęli. Hafner wydawał się najmniej przejęty. Podszedł do pulpitu i zatrzymał się tylko na moment, żeby na niego spojrzeć.

- No, przynajmniej przełączniki są podpisane - oznajmił. - To już coś.

Meredith podszedł do niego. Rzeczywiście, na lewo od każdego przycisku były małe czarne znaki, wyglądające jak skrzyżowanie pisma chińskiego z arabskim.

- Tak, to nam na pewno pomoże - powiedział sucho do Hafnera.

Spojrzał na dzielącą pokój ścianę i szukał przejścia na drugą stronę. Zwrócił uwagę na dwa nieduże wysokie walce, podobne do szybu z windą i schodami.

- To na pewno tego szukaliśmy - stwierdził Nichols. Musi tu być... hmm, dobre pięć albo i dziesięć tysięcy osobnych przełączników. Po co innego ktoś mógłby tyle tego potrzebować?

- Kto wie, co mogli tu jeszcze skonstruować - powiedział Perez i pochylił się ostrożnie nad pustą

częścią pulpitu, żeby wyrzeć przez okno. - Mieli stąd niezły widok.

Może to wszystko służyło tylko do rozprowadzania elektryczności w wiosce.

- Może dowiemy się czegoś, jak wejdziemy do drugiego pokoju - powiedział Meredith i po raz ostatni zerknął na dziwaczne pismo Prząśników.

W filmie science fiction, pomyślał, główny bohater rozpracowałby taki pulpit sterowniczy w dziesięć sekund. Szkoda, że nie zabraliśmy ze sobą jednego z tych cholernych geniuszów.

- Pułkowniku - powiedział Barner. Ton jego głosu natychmiast zwrócił uwagę Mereditha. Major wyglądał na zewnątrz przez inne okno. - Mamy towarzystwo.

Meredith spojrział we wskazanym kierunku i zacisnął zęby. Do wieży ze wszystkich stron zbliżało się osiem mechanicznych kreatur podobnych do tej, która wypędziła ich z wioski.

- Gorgonie Głowy! - syknął Perez. - Pułkowniku, lepiej się stąd wynośmy.

Meredith automatycznie oszacował odległości i prędkość. Nie mieli dużo czasu.

- Dobra. Wszyscy na dół po schodach, szybko. Odwrócił się, zrobił krok i nagle stanął jak wryty.

- O, do diabła! - mruknął Barner.

Dwa małe walce obok klatki schodowej obróciły się, odkrywając otwory. W środku stało tyle samo Gorgonich Głów.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 19

Przez dłuższy czas słyhać było tylko łomotanie serca Mereditha. Gorgonie Głowy nie ruszały się z miejsca, jakby zamarły od tego samego szoku, który unieruchomił ludzi. Tylko lekkie falowanie ich węzowatych macek zdradzało, że nadal funkcjonowały.

A niech to. No i co teraz? pomyślał Meredith. Maszyny były zaledwie pięć metrów od niego - mógłby w nie trafić z pistoletu albo karabinu... gdyby tylko zdążył wyciągnąć broń. Nieuzbrojona Gorgonia Głowa mogła go dopaść, zanim by strzelił; uzbrojona mogła go zmieść z powierzchni ziemi o wiele szybciej. Uciekać? Jeśli były nieuzbrojone, jedna lub dwie mogły zdążyć dobiec do schodów... a trzeba się jeszcze zająć posiłkami, które nadchodziły z dołu.

- Czy ktoś z nas nie powinien teraz powiedzieć „weźcie mnie na przywódcę”? - zapytał cicho Perez.

- Zamknij się - warknął Meredith.

- Nie, pułkowniku, mówię poważnie - powiedział Perez. - Na razie nas jeszcze nie zaatakowały ani nie wykonały żadnych ruchów, które można by uznać za wrogie.

Może zrozumiały, że nie jesteśmy Prząśnikami i czekają, aż nawiążemy kontakt.

- Albo czekają na kolegów z dołu.

Jednak... warto spróbować. Meredith zebrał się w sobie i zrobił krok naprzód.

Jeden z węży na każdej Gorgoniej Głowie zdawał się śledzić jego ruchy. Innej reakcji nie było.

- Jestem pułkownik Lloyd Meredith, dowódca ziemskiej kolonii na Astrze. - Meredith utrzymał napięcie głosu jak przy normalnej rozmowie. - Przybywamy w pokoju.

Szukamy budowniczych tego miejsca. - Urwał. Po kołnierzyku koszuli spłynęła mu strużka potu.

Znowu nie doczekał się odpowiedzi. - Jakies inne propozycje? - zapytał pozostałych.

- Może powinien pan spróbować dostać się do schodów - zaproponował Barner. - Przez cały ten metal nie mogę nawiązać kontaktu z żołnierzami przed grotą, ale panu może się to udać z zewnątrz.

- Grupa ratownicza usytuowana piętnaście kilometrów stąd na pewno bardzo nam pomoże - mruknął Nichols.

- Skończmy z tym pesymizmem, dobrze? - powiedział cierpko Meredith. Zaczynało wyglądać na to, że pozostało im już tylko jakieś samobójcze posunięcie. - W porządku. Majorze, proszę się przygotować do podania mi słuchawek. Reszta ma paść na ziemię, kiedy tylko coś się wydarzy. Jasne? - Usłyszał ciche pomruki aprobaty. - Dobra, zaczynamy.

Meredith ostrożnie wysunął nogę naprzód. Całą uwagę skupił na milczących maszynach przy wyjściu. Przesunął drugą nogę i odczekał chwilę, zanim znowu uniósł pierwszą. Do drzwi zostało jeszcze tylko półtora metra... I nagle, bez ostrzeżenia, Gorgonia Głowa po lewej z trzaskiem wysunęła jednego ze swoich węży. Macka wydłużyła się i mocno zacisnęła wokół lewego nadgarstka Mereditha.

Meredith zapamiętał tylko chrzęst strzelby, którą wyciągnął Barner, i ogólną kakofonię okrzyków przerażenia. Na tę jedną straszną chwilę dla pułkownika zniknął cały wszechświat; pozostał tylko nadgarstek i ssący uścisk chłodnego metalu.

Nie było mowy o przedostaniu się na schody. Meredith czuł instynktownie, jak całe jego ciało domaga się pozbycia macki. Rzucił się do tyłu, gwałtownie podniósł rękę nad głowę... i upadł na plecy u stóp Pereza.

- Co się stało? - nie wytrzymał Barner.

Meredith usiadł i nie zwracając uwagi na chwilowe zawroty głowy obejrzał rękę.

Była cała i zdrowa. Uścisk węża nie zostawił najmniejszego śladu.

- Po prostu... puściła mnie. - Meredith jakby sam w to nie wierzył. - Ona... chyba nie chciała mnie przytrzymać.

Spojrzał na Gorgonia Głowę. Cofnęła mackę, ale nie zareagowała inaczej. Czekala? Na co?

- Czy to możliwe, żeby wstrzyknęła coś do pańskiego nadgarstka? - zapytał z troską Hafner.

Meredith potrząsnął głową. Czekaj, - pomyślał.

- Żadnych śladów nakłucia ani stanów zapalnych. Sprawdziłem. A nawet przy zastrzykach hiposprayem coś się przecież czuje.

Ostrożnie wstał i znowu odwrócił się w stronę Gorgonie Głowy. Naturalny lęk walczył z naturalną ciekawością... i, jak na razie, zwyciężyła ciekawość.

- Spróbuję jeszcze raz - oznajmił zdziwiony spokojnym tonem swojego głosu.

Zacisnął żąbki i ruszył naprzód.

Tym razem podszedł prosto do Gorgonie Głowy. Zrobił tylko półtora kroku, zanim zaatakowała go ta sama wydłużona macka. Udało mu się zachować spokój, kiedy metal znów dotknął jego skóry. Śledził wzrokiem dwie inne macki. Wygięły się łukowato nad maszyną, jak szykujące się do ukąszenia grzechotniki. Przez cztery uderzenia serca nic się nie działo... potem Gorgonia Głowa wydała z siebie czknięcie, a Meredith znalazł się nagle w chmurze dymu. Odetchnął i prawie się zakrztusił.

- Wszystko w porządku - wysapał, żeby uprzedzić jakąkolwiek reakcję innych. - Mam tylko wrażenie, jakbym został żywcem pogrzebany w herbacie ziołowej.

Znowu wciągnął powietrze, ale chmura już się rozproszyła, a Gorgonia Głowa uwolniła Mereditha z uścisku macki.

- I co? - zapytał z tyłu Perez.

- Dlaczego mnie pytasz? - zripostował Meredith. - Nie ja tu dowodzę.

- Zastanawiam się - powiedział powoli Hafner - pułkowniku... dlaczego nie spróbuje pan znowu dojść do schodów?

Meredith pomyślał o tym przez chwilę i wzruszył ramionami.

- Dobrze. Majorze, niech pan przygotowuje słuchawki.

Żadna z maszyn nie zrobiła najmniejszego ruchu, żeby mu przeszkodzić, kiedy podszedł do wyjścia na klatkę schodową, ani też wtedy, gdy Barner rzucił mu słuchawki.

- Chyba już się mną nie interesują - stwierdził i włożył słuchawki. Chwilowo był poza zasięgiem obu Gorgonich Główn. - Miejmy nadzieję, że reszta gangu myśli podobnie.

- Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej - powiedział Hafner. Myślę, pułkowniku, że uznały pana za przyjaciela.

Meredith zatrzymał się.

- Sądzi pan, że ten podmuch cypryjskiego dymu to była moja gwarancja bezpieczeństwa?

- Albo to, albo sygnał potwierdzający, że jest pan zarejestrowany w komputerze.

Macka mogła sprawdzać pański zapach albo rytm bicia serca czy coś takiego.

- To niedorzeczne. - Meredith parsknął śmiechem. - Niemożliwe, żebym pachniał tak samo jak jakiś Prząśnik.

- Może dane zostały stracone - powiedział Nichols - a Gorgonie Głowy chcą je odtworzyć i używają pana jako wzorca.

- Ale... - Meredith umilkł. - Dobra, sprawdźmy to. Drugi oddział Gorgonich Głównych musi być teraz na dole. Jeśli one nie będą mi przeszkadzać, przyznam panu rację.

Przeszedł przez poczekalnię, okrążył podstawę wieży i wrócił po schodach na górę.

Teraz był przekonany.

- To nie do wiary - wysapał, gdy wszedł do sterowni. - Te cholerne maszyny zachowywały się jak jakieś pudle. Wąchały mnie, a potem zupełnie ignorowały. - Odwrócił się do Barnera i popchnął go do przodu. - Zobaczmy, czy pana też zaakceptują, majorze.

Zaakceptowały. W końcu cała piątka poddała się węchowej inspekcji Gorgonich Głównych.

- Nadal czegoś nie rozumiem. - Barner potrząsnął głową, podczas gdy inni ostrożnie sprawdzali na maszynach swoją nietykalność. - Dlaczego po tylu latach rozpadł się tylko ich system bezpieczeństwa?

- I to rozpadł się akurat w korzystny dla nas sposób - dodał Nichols, delikatnie dotykając skorupy jednej z Gorgonich Głównych. Równie dobrze maszyny mogłyby nikogo nie wpuszczać do miasta.

- Niekoniecznie musieliśmy mieć aż takie szczęście - powiedział Perez. - Można to też wyjaśnić drobną awarią i uszkodzeniem systemu komunikacji. Załóżmy na przykład, że jest tu automatyczna blokada drzwi albo niezależny skaner bezpieczeństwa, który się zepsuł. I wtedy znalazły nas tu te Gorgonie Główne. A skoro inne systemy nie wpuściłyby nas tutaj bez uprawnień, to musimy je mieć. Rozumiecie? Gorgonie Główne nie mają nas na liście ważnych osobistości, więc starają się uzupełnić tę lukę w swojej pamięci.

- Niezły pomysł - mruknął Hafner. - Ale to nie najlepsza procedura.

Perez wzruszył ramionami.

- No, nie wiem. Sam już kiedyś tego próbowałem. Jak już się wejdzie do zamkniętej strefy, nietrudno zostać w środku.

- Tak czy owak - wzruszył ramionami Hafner - cieszymy się dobrą opinią u Gorgonich Głównych, a to się nam przyda, kiedy dotrą tu antropolodzy. Nie wydaje mi się, żeby chcieli pracować, jeśli jakieś węże będą im zaglądać przez ramię.

Meredith ściągnął brwi.

- Jacy znowu antropolodzy?

- Może powinienem powiedzieć lingwiści. Ludzie, których tu wezwiemy, żeby to wszystko przetłumaczyli.

Szerokim gestem wskazał na pulpit sterowniczy.

- Prawdopodobnie potrzebni będą też eksperci od komputerów - dodał Nichols. - A także matematycy i specjaliści od badań materiałowych...

- Chwileczkę - przerwał mu Meredith. - A skąd my weźmiemy tych wszystkich ludzi?

Nichols zamrugał zdziwiony.

- Mamy przecież do dyspozycji doktora Changa i jego zespół. Wystarczy więc tylko wysłać listę potrzebnych ludzi następnym wahadłowcem.

Meredith spojrzał na Pereza. Zauważył jego kwaśną minę. Z oczywistych powodów pułkownik nie ogłosił publicznie nowiny o ultimatum Rady i przymusowym odjeździe Changa. Okazało się teraz, że nikt inny też tego nie zrobił.

- Tak się składa, doktorze - powiedział Nicholsowi - że doktor Chang już u nas nie pracuje. Wyjechał z powodu uchwały Rady o zakazie nie-Astrianom dostępu do urządzeń Prząśnicy. - Odwrócił głowę w stronę Pereza. - Chyba że Rada zastanowiłaby się nad unieważnieniem swojego

rozporządzenia.

Perez zaczerwienił się. Meredith nie wiedział, czy ze złości, czy z zażenowania.

- Uchwaliliśmy tę ustawę, żeby nie dopuścić do zagrabienia przez cudzoziemców jedyne bogactwa Astry i uchronić kolonię od biedy i głodu. To niebezpieczeństwo nadal istnieje.

- Czy ty nie masz czasem skłonności do melodramatyzmu? - mruknął Hafner. - Nie mówiąc już o dziewiętnastowiecznych poglądach? Nie jesteśmy przecież dzikusami, którzy będą się spokojnie przyglądać, jak rozkłada się ich Prząśnicę na części i wywozi na Ziemię.

- Nadal można wykraść tajne informacje - upierał się Perez. - Nie potrzebujemy nikogo. Ctenci mają programy komputerowe do analizy nieznanymi języków. Mówiono mi, że w niecały tydzień przetłumaczyli wszystkie ważniejsze języki Ziemi.

- Mają też kilkaset tysięcy kanałów radiowych i telewizyjnych jako bazy danych - podkreślił Nichols. - A tu jest tylko trochę przełączników sterowniczych.

Perez nadal miał niewzruszoną minę, ale Meredith wiedział, że zmięknie.

- No... jeśli tylko zespół badawczy będzie mały... i międzynarodowy - dodał i spojrzał na Mereditha. - Myślę, że będę mógł przedsięwziąć odpowiednie środki ostrożności.

- Dlaczego międzynarodowy? - zapytał podejrzliwie Barner. - Stany Zjednoczone mają ekspertów, jakich tylko zechcemy.

- Nie kłómy się teraz o to - wtrącił się Meredith.

Nie chciał konfrontacji z Perezem w obecności Hafnera i Nicholasa. Lepiej, żeby nikt nie był świadkiem gróźb, do jakich zapewne musiałby się uciec.

- Zastanowimy się, kogo zaprosić po dokładnym ustaleniu, czego potrzebujemy i kiedy Rada zdecyduje, czy będzie nam przeszkadzać, czy nie.

- W takim razie chyba powinniśmy już wracać - wzruszył ramionami Hafner. - Jestem pewien, że jest tu więcej do obejrzenia, ale nie uda nam się wszystkiego zwiedzić w czasie, który nam jeszcze został.

- Słusznie.

Meredith podszedł do okna i przez chwilę patrzył na zewnątrz. Przyglądał się ścianom grotty i utrwał w pamięci położenie oznaczonego przez nich korytarza wyjściowego. Widoczne były jeszcze co najmniej dwa wyloty tunelu. Jeden z nich powinien prowadzić do urządzenia kontroli grawitacji pod stożkiem wulkanu. W pierwszej kolejności trzeba będzie sporządzić dokładne mapy tego labiryntu, zdecydował, a potem drobiazgowo zbadać wieżę i cały sprzęt sterowniczy, jaki się jeszcze znajdzie. Później... naprawić koparkę, którą odkrył?

Może. Byłoby dobrze dowiedzieć się, jaką rolę miała odegrać w całym tym przedstawieniu... i dlaczego nikt nie zwrócił uwagi, że zniknęła.

Tak, ma pan rację - westchnął i odwrócił się. - Wystarczy na dziś. Chodźcie, wracamy do domu.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 20

Pierwsza serwetka nie sprawiła jej trudności, ale drugą Carmen musiała z jakiegoś powodu składać cztery razy, zanim wreszcie ułożyła ją jak trzeba na środku talerza. Cofnęła się, żeby ocenić rezultat. Okropne, stwierdziła. Jej perfekcjonizm akurat teraz musiał dać znać o sobie. Serwetka ozdobiona deseniem promienistych linii na talerzu z wojskowego przydziału. Pasuje jak pięść do oka. No, dobrze. Peter pewnie nawet nie zauważy.

Przynajmniej tego była prawie pewna. Nie chodziło o to, że Hafnerowi brakowało obycia, tylko cieszyłaby się, gdyby mogła go częściej widywać. Przez kilka ubiegłych tygodni był bardzo zabiegany, a ostatnie cztery dni okazały się jeszcze gorsze. Musiała się bardzo starać, żeby sprowadzić go do Unie na tak długo, żeby zjeść z nim obiad.

I tu pojawił się zupełnie inny problem. Znała Hafnera już prawie cztery miesiące i ceniła sobie jego przyjaźń. Nie darzyła go jednak uczuciami, które mogłyby chociaż w najmniejszym stopniu uchodzić za romantyczne. Dlaczego więc tak bardzo brakowało jej jego towarzystwa, kiedy wyjeżdżał z ekspedycją nad Morze Martwe? Dlaczego tak się starała, żeby ten wieczór był czymś wyjątkowym? Może po prostu zapomniałam, jak to jest mieć naprawdę dobrego przyjaciela, pomyślała. Myśl sama w sobie raczej przygnębiająca. Nie ulega wątpliwości; pewnego dnia muszę osiąść gdzieś na stałe.

Ktoś zapukał do drzwi. Spojrzała na zegarek lekko zaskoczona. Hafner rzadko się spóźniał na spotkania, ale zazwyczaj nie przychodził aż tak wcześnie. Nieważne, wszystko było już właściwie gotowe. Uśmiechnięta, otworzyła drzwi.

- Cześć, Carmen. Mogę wejść? - Uśmiech zniknął jej z twarzy.

- Cris - powiedziała z formalną uprzejmością, która miała ukryć zaskoczenie. - Właściwie czekam w tej chwili na kogoś innego. Bądź tak dobry i...

- A, na doktora Hafnera, jak sądzę - domyślił się Perez. - Bez obaw, to zajmie tylko chwilę.

Ruszył do przodu... i jakoś zdołał ją wyminąć. Przeszedł koło stołu i z uznaniem pokiwał głową.

Carmen zacisnęła zęby, zamknęła drzwi i podeszła do niego.

- Wbrew powszechnemu mniemaniu nie pracuję dwadzieścia siedem godzin na dobę - powiedziała chłodno. - Więc, gdybyś był uprzejmy nie nachodzić mnie po godzinach...

- W komputerowej bibliotece znajduje się Folder Naukowy przerwał i odwrócił się do niej przodem. - Z powodów, których nie będę wyjaśniał, został utajniony i zabezpieczony jakimś hasłem. Chciałbym, żebyś załatwiła mi dostęp do niego.

Carmen głęboko odetchnęła.

- Po pierwsze, nie zamierzam dawać ci tajnych materiałów, jeżeli nie otrzymam takich rozkazów. Po drugie, trzeba mieć niewiarygodny tupet, żeby się tu do mnie wdrzeć z tak błahej przyczyny. Mogłam ci odmówić przez telefon.

Odczekał, aż skończy, a potem uniósł palec.

- Po pierwsze, jak się wyraziłaś, w Folderze nie ma absolutnie nic, co by trzeba utajniać. Nie tylko wszystkie te dane są w połowie bibliotek w Ameryce Pomocnej i Europie, ale wiem też na pewno, że Folder był dostępny jeszcze miesiąc temu. A po drugie... - zawahał się - nie chcę, żeby Meredith wiedział, że z tobą rozmawiałem.

Zmarszczyła brwi.

- Rany, dostajemy paranoi, co? Dlaczego twoim zdaniem pułkownik chciałby nagrywać twoje

rozmowy, nie mówiąc już o tym, że mógłby tak rzeczywiście robić?

Uśmiechnął się sztywno.

- Daj spokój, Carmen. Dobrze wiesz, dlaczego. Jestem solą w oku Mereditha, główną przeszkodą na drodze do urzeczywistnienia jego marzenia o Astrze jako pięćdziesiątym drugim stanie Ameryki. Pułkownik zamierza zasugerować austriańskim naukowcom, żeby zaprosić tu amerykańskich ekspertów, którzy pomogliby nam poznać zastosowanie przełączników Prząsnicy. Utajnił Folder tylko dlatego, żeby nie zaproponował międzynarodowej grupy ekspertów.

Zastanowiła się nad tym przez chwilę. Perez był chyba ostatnią osobą na świecie, której chciałyby wyświadczyć przysługę. Wielokrotnie udowodnił przecież, jaką jest dla wszystkich udręką. Ale mimo wszystko... sensowne wydawało się zdobycie jak najlepszych ludzi. Im szybciej nauczyliby się obsługiwać Prząsnicę, tym lepiej. A zważywszy na obecną sytuację w Prząsnickiej Grocie, mało prawdopodobne było, żeby jakiś cudzoziemiec bez pozwolenia wśliznął się do środka i cokolwiek ukradł. Co do Mereditha - cóż, nawet jeśli Perez miał coś nagannego na myśli, pułkownik udowodnił już, że potrafi wykorzystać wrogie działania Pereza do własnych celów.

A Peter mógł przyjść w każdej chwili.

- Dobra - westchnęła. - Jutro rano postaram się dostać do twojego Folderu.

Jeżeli uda mi się to zrobić w ciągu najwyżej dziesięciu minut, wykonam kopię i umieszczę ją pod nazwą „Cris” wśród ogólnodostępnych danych. Ale nie będę marnować na to więcej czasu, jasne?

- Jestem ci bardzo wdzięczny. - Perez uśmiechnął się i podszedł do drzwi. - Opuszczę cię teraz, bo muszę wracać do Crosse. Jutro zaczynam wcześniej pracę. Dobranoc. I dziękuję.

- Dobranoc.

Z determinacją zamknęła drzwi i przez chwilę stała oparta o nie, starając się pozbyć rozdrażnienia. Spojrzała na zegarek i poszła do kuchni, żeby sprawdzić, co z obiadem.

Obawiała się, że Hafner spotka się po drodze z Perezem. Taka konfrontacja pewnie popsułaby ten wieczór. Doznała wieje dziwnego uczucia ulgi - dziwnego przynajmniej dla niej - kiedy musiała poczekać prawie dziesięć minut, zanim wreszcie usłyszała pukanie Hafnera.

- Cześć, Carmen - powitał ją zmęczonym uśmiechem. - Wybacz, że się spóźniłem.

- Nic nie szkodzi - zapewniła. - Muszę jeszcze tylko przez dwadzieścia sekund podgrzać lasagnę i już będzie gotowa.

- Lasagna, he? Dosyć ekstrawagancka potrawa jak na zwykłego urzędnika służby cywilnej. Czyżby ten prywatny apartament uderzył ci do głowy? Sama mozzarella musiała cię drogo kosztować.

Usiadł przy stole i z podziwem popatrzył na zwiniętą serwetkę.

- Właściwie to nie. Ja po prostu przewiduję różne rzeczy. - Nastawiła mikrofalówkę i poszła osączyć warzywa. - W czwartek Rooshrike rozpoczynają regularne dostawy towarów z Ziemi i każda paczka z żywnością jest pełna tych tak zwanych luksusów.

- Byłoby dobrze. Wiem, że bardzo podniosłoby to moje morale. Chcecie to rozprawdzać przez wojsko, czy otworzyć specjalne składy?

- Nie wiem.

Mikrofalówka zadzwoniła i Carmen ostrożnie postawiła na stole parujące naczynie.

- Chciałabym stworzyć normalny system ekonomiczny, ale pułkownik Meredith mówi, że sytuacja jeszcze się wystarczająco nie ustabilizowała. W każdym razie nie jestem pewna, czy luksusowa żywność jest tym, czego nam trzeba na początek. Za bardzo przypomina to sklepy w Moskwie, gdzie można coś kupić tylko za obcą walutę.

- To prawda.

Miała wrażenie, że niechętnie rozwinął serwetkę.

- Szkoda, że nie mogłem przynieść ze sobą butelki wina, ale nie mam tak wysoko postawionych znajomych jak ty.

- Z wyjątkiem Gorgonich Głów.

Uśmiechnął się drwiąco.

- A mając takich przyjaciół...

Potrząsnął głową i zabrał się za jedzenie.

- Ciężki dzień, jak sądzę? - zapytała Carmen i naląła wody do szklanek.

- Raczej śmiertelnie nudny. - Wzruszył ramionami. - Właściwie nie robię tam nic oprócz uciszania Gorgonich Głów. To inni fotografują etykiety przy przełącznikach i wprowadzają do komputera wszystko, co znajdzie się w zasięgu wzroku. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo można się zmęczyć, kiedy się tylko siedzi i nic nie robi.

- Możesz chyba jednak zostawić ludzi samych w wieży?

- Wszędzie oprócz głównej sterowni. A ściślej mówiąc, najwyższego piętra, bo jeszcze nie ustaliliśmy, czy to sterownia. - Pomachał widelcem. - Ale nawet w innych pokojach nikt nie może wyjść na schody albo wsiąść do windy, jeżeli nie jest eskortowany przez kogoś z naszej piątki. A broń Boże, żeby ktoś spróbował wyjść z wieży.

Davidson raz chciał to zrobić i o mało nie został uduszony jedną z tych macek.

- Och. Chyba nie ma sposobu na wysłanie tego kółka strażniczego do patrolowania wioski albo do innego zajęcia.

- Jestem pewien, że jest. Tak jak jestem pewien, że więcej ludzi może uzyskać akceptację Wielkiego Zakonu Matek Podziemia, jak nazywa to Al Nichols. Po prostu jeszcze nie wiemy, jak to zrobić.

- Mmm. - Carmen potrząsnęła głową. - Nadal nie rozumiem, dlaczego was pięciu uzyskało specjalny status, a nikomu innemu to się nie udało. Te maszyny są trochę... no, kapryśne.

- Niezupełnie. - Hafner skończył lasagnę i nałożył sobie kolejną porcję. - Właściwie, o ile teoria Pereza jest prawdziwa, system Gorgonich Głów jest dosyć spójny. Nasza piątka przedostała się do sterowni niezaczepiana ani przez same maszyny, ani nic innego. Dlatego Gorgonie Głowy były przekonane, że jesteśmy administratorami i trzeba nas jako takich umieścić w bazie danych. Ale teraz utworzyły kordon wokół wieży i nikt inny nie może się sam dostać na górę, więc i nikt inny nie zostaje administratorem.

- A was pięciu musi chodzić tam i z powrotem, jak przewodnicy wycieczek.

Cały system nadal wydawał się dość dziwaczny, lecz gdyby się nad tym głębiej zastanowiła, odnalazłaby w nim sens. Prząśnicy byli w końcu kosmitami, przypomniała sobie.

- Właściwie to jest nas trzech, a czasem trzech i pół - powiedział. - Pułkownik Meredith prawie wcale tam nie zagląda, a Perez i major Barner razem wzięci nie robią więcej niż jeden pracownik. Przez to wszystko prawie żałuję, że poparłem ten pomysł z Radą, bo... przynajmniej Perez nie zasłaniałby się teraz „sprawami służbowymi”, żeby uciec od roboty.

- Gdyby nie było Rady, Perez w ogóle by tam z wami nie poszedł - zauważyła Carmen. - Byłoby was tylko czterech.

- I trzydziestu żołnierzy, gdyby nie zwyciężyła wtedy we mnie szlachetność - narzekał. - Może kiedyś nauczę się trzymać język za zębami.

Przez kilka minut jedli w ciszy. Okno jadalni wychodziło na zachód i Carmen widziała wciąż palące się światła w budynkach administracyjnych. Dopracowują szczegóły naszych propozycji handlowych? - zastanawiała się. - A może starają się rozszyfrować prąśnickie pismo? Pewnie jedno i drugie. Z początku czuła się urażona, że nikt jej nie poinformował o odkryciu tunelu Prząśników. Uważała, że dla badań nad urządzeniem Obcych i zajmujących się nim ludzi zrobiła więcej, niż od niej oczekiwano. Zasłużyła więc też na odrobinę satysfakcji. Teraz jednak cieszyła się, że tak się nie stało. Była niezastąpiona już przy zbyt wielu projektach.

- O czym tak rozmyślasz?

Skupiła uwagę z powrotem na Hafnerze.

- Przepraszam. Myślałam o tym, co musimy zrobić, żeby Astra była ekonomicznie stabilna. -

Westchnęła. - Tak wiele zależy od tego, jak szybko nauczymy się obsługiwać Prząśnicę.

Hafner zacisnął usta i wyrzwał przez okno.

- Carmen... co ci Obcy chcą zrobić z prętem, który od nas kupią? Wiesz coś na ten temat?

Zmarszczyła brwi.

- Nie, właściwie nie.

- To ciekawa sprawa - ciągnął, prawie jakby jej nie słyszał. Prząśnicy zadali sobie wiele trudu, żeby zbudować to miejsce. Zabiorę cię kiedyś na dół, żebyś zobaczyła ich wioskę. Gwarantuję, że ten widok zwali cię z nóg. Tylko po co to wszystko zrobili? W jakim celu wyciągali metal z całej planety i produkowali sześciocentymetrowe pręty? Do czego ich używali?

- Do wielu rzeczy. - Wzruszyła ramionami. - Sami ułożyliśmy trzystronicową listę możliwości, a nie poznaliśmy jeszcze wszystkich właściwości pręta. Potrząsnął głową.

- Nie o to mi chodzi. Te budynki pod ziemią, cała Prząśnica, wszystko przetrwało setki tysięcy lat. Dlaczego jakakolwiek kultura miałaby stworzyć coś, co przetrwa tak długo?

Chciała coś powiedzieć, lecz rozmyśliła się. Pytanie nie było banalne.

- Może zamierzali zbudować najwspanialsze miasto na swojej rodzimej planecie albo coś podobnego. Może jakiś grobowiec albo pomnik, jak piramidy albo Tadž Mahal.

- A może klatkę dla czegoś bardzo dużego i długowiecznego powiedział cicho. - To jedna z możliwości, która ciągle przychodzi mi do głowy.

Skrzywiła się.

- Tego bym raczej nie brała pod uwagę. Może... no, po prostu byli znacznie dłużej niż my. Z ich punktu widzenia pręt mógł nie być aż tak trwały.

- Może. - Hafner odchylił się w fotelu. - Ta lista, o której wspomniałaś... czy są na niej jakieś zastosowania wojskowe?

- Ja... - Zmarszczyła brwi. - Teraz, kiedy mnie pytasz... nie, nie ma.

- Pułkownik świetnie to rozgrywa. - Hafner z namysłem skinął głową. - Ale wątpię, czy nam to pomoże. Żadna z ras nie jest na tyle głupia ani naiwna, żeby nie dostrzec możliwości użycia tego sprzętu w walce.

Przytaknęła milcząco. Ona i Meredith nigdy nie rozmawiali otwarcie na ten temat, lecz ta sprawa zawsze wisiała nad negocjacjami handlowymi, jak sęp nad zdobyczą.

Użycie nadprzewodzącego solenoidu do wystrzeliwania pocisków; wyposażenie statku wojennego w niezniszczalny pancerz; wrzucenie ogromnego kłęбка nici między wrogie statki, żeby je ze sobą bezładnie posklejać - każde pokojowe zastosowanie miało swoją ciemną stronę.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli w jakikolwiek sposób dyktować naszym klientom, jak mają

używać pręta - powiedziała na głos. - Prawdopodobnie dlatego pułkownik Meredith chce zapewnić wszystkim Obcym równy dostęp do pręta. Trzeba zminimalizować strategiczną przewagę, jaką metal może dawać.

- Nie wyklucza to jednak naruszenia równowagi politycznej w bardziej subtelny sposób - powiedział Hafner. - Jeżeli w jednym z imperiów panuje wewnętrzna niezgoda, centralny rząd mógłby łatwo zwyciężyć opozycję, używając statków kosmicznych opancerzonych metalem z pręta. Uwolniłoby to zasoby rządowe i takie imperium mogłoby skupić uwagę na swoich sąsiadach.

- To co według ciebie mamy zrobić? - zapytała ostro. Chociaż doskonale wiedziała, że Hafner nie atakował jej osobiście, nadal czuła się w obowiązku bronić swojego projektu. - Mamy przekazać Astrę ONZ? A może w ogóle się wycofać i oddać wszystko Rooshrike? Tak czy owak, ktoś wykorzysta pręt. Wypuściliśmy dzina, Peter. On już nie wróci do lampy.

Uniósł dłonie w obronnym geście.

- Już dobrze. Nie krytykuję ani ciebie, ani twojej pracy. A jeżeli chodzi o dzina, to ja zrobiłem swoje, żeby zamknąć lampę. Ja tylko... to druga możliwość, która ciągle przychodzi mi do głowy. Może Prząśnicy też używali metalu pręta do celów wojskowych. Jeżeli zespół, który tu pracował, został wezwany do pomocy w walce i nigdy nie wrócił... To by wyjaśniało, dlaczego nie wyłączono Prząśnicy.

Drgnęła.

- Ogłosiłbyś to, prawda?

- Przykro mi. - Potrząsnął głową. - Zostawmy tę sprawę, dobrze? Nie przyniosłem wina, ale przyniosłem trochę muzyki. Może włączysz odtwarzacz, a ja posprzątam ze stołu. Potem możesz dokończyć historię swojego życia. Ostatnio mówiliśmy o szkole średniej.

Roześmiała się i wzięła od niego kasetę.

- Dobrze... Ale tym razem ty zaczniesz.

- Skoro nalegasz - powiedział i zaczął zbierać talerze. - Tylko ostrzegam: byłem bardzo nudną osobą na studiach.

Robili co mogli, ale nastrój tego wieczoru zniknął bezpowrotnie. Hafner wyszedł wcześniej.

Czy teraz już zawsze tak będzie? - zastanawiała się godzinę później Carmen, kiedy rozebrała się do spania i odłożyła książkę, nad którą nie mogła się skoncentrować. - Czy Prząśnica tak zdominuje nasze życie, że nie będziemy mogli myśleć już o niczym innym?

Ech, nie dramatyzuj, - zganiła się w myślach. - Jesteś zmęczona, przepracowana i użalasz się nad sobą. Weź się w garść, dziewczyno; przynajmniej do rana nic się nie wydarzy.

Myliła się.

Było jeszcze zupełnie ciemno, kiedy uporczywe brzęczenie telefonu wyrwało ją z surrealistycznej mieszanki wszystkich filmów wojennych, jakie kiedykolwiek widziała.

- Halo? - zapytała trochę oszołomiona i upuściła aparat na łóżko, zanim zdołała zacisnąć na nim palce.

- Carmen? Mówi pułkownik Meredith. Jak szybko możesz się zebrać i przyjechać do bazy „Martello”?

- No... za pół godziny, jak sądzę - powiedziała, nadal trochę zaszpana. - Co się dzieje?

- Jeden ze statków ONZ właśnie wszedł na orbitę i wysłał tu wahadłowiec - odpowiedział. - Na pokładzie jest nasz stary znajomy Ashur Msuya... i prezydent Allerton.

- Allerton?! - zapytała z niedowierzaniem i natychmiast oprzytomniała.

- Nie przesłyszała się pani... i tak się składa, że mam złe przeczucia. Cokolwiek zamierzają, chcę, żeby pani tu była. Jako przewodnicząca Rady i główny negocjator handlowy.

- Dobrze, sir. Czy będzie tam ktoś jeszcze?

- Tylko pani i ja, a może też major Brown. Dlaczego?

- No... nie jestem pewna, pułkowniku, lecz wydaje mi się, że przedstawią nam jakieś ultimatum.

Może powinniśmy wezwać małą delegację reprezentantów ludności planety.

Przez chwilę nie było żadnej odpowiedzi.

- Istnieje niebezpieczeństwo, że taka grupa mogłaby udowodnić całkowity brak jedności.

Wyniknęłoby z tego, jak przypuszczam, coś zupełnie przeciwnego, niż pani zamierza zrobić.

- To prawda. Ale Msuya już słyszał o Radzie. Wie, że pan jej słucha.

Przynajmniej czasami.

- Dlatego panią wezwałem.

- Tak, sir... ale ja nie kontroluję Rady. Mogę poprzeć pana we wszystkim, co pan powie, lecz jeśli Rada jako całość się z tym nie zgodzi, możemy mieć później kłopoty.

- Innymi słowy uważa pani, że powinienem zaprosić Pereza - powiedział zdecydowanie Meredith.

Carmen przełknęła tę uwagę.

- Tak, sir. I może też doktora Hafnera jako reprezentanta naukowców.

Tym razem cisza trwała dłużej.

- Chyba ma pani rację - powiedział w końcu niechętnie. - Na krótką metę możemy sobie pozwolić na sprzeczkę w obecności Msuyi, lecz nie wolno nam dopuścić do zamieszek w obecności Rooshrike. Na dłużej... cóż, zobaczymy. W porządku, zadzwonię do nich. Proszę jak najszybciej przyjść do sali konferencyjnej w „Martello”. Wahadłowiec powinien wylądować za niecałą godzinę, a chcę mieć jeszcze trochę czasu, żeby z panią porozmawiać.

Carmen miała już telefon przypięty do nadgarstka i wkładała bieliznę.

- Będę najpóźniej za pół godziny, sir.

- Dobrze. A tak przy okazji... Miała pani jakiś szczególny powód, żeby zaproponować właśnie Pereza i Hafnera?

- Tak, sir. Skoro widzieli Prząśnicką Groteę, pomyślałam, że lepiej rozumieją, o co tutaj chodzi. To może być ważne.

- Mam nadzieję, że ma pani rację. Do zobaczenia.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 21

Sala konferencyjna w bazie „Martello” składała się z dwóch biur i warsztatu, które połączono ze sobą na czas rozmów Carmen z reprezentantami handlowymi Obcych. Nie była luksusowa, chociaż wstawiono do niej wygodne fotele, a stół wypolerowano do połysku.

Meredith stanął sztywno za swoim fotelem i jeszcze raz rozejrzał się po pomieszczeniu.

Żałował, że nie mieli więcej czasu na urządzenie tego miejsca. Sala, w której można było przyjąć ctcencriańskich kupców, wydawała się mniej odpowiednia dla głowy państwa. Drzwi otworzyły się i wszedł młody kapral. Rozejrzał się dookoła nerwowo, jak żołnierz pod obstrzałem.

- Pułkowniku Meredith: pan prezydent Stanów Zjednoczonych i pan Msuya z Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Przywarł do drzwi i zasalutował, kiedy Allerton i Msuya minęli go w wejściu. Za nimi weszło czterech milczących mężczyzn w czarnych ubraniach. Dyskretnie ustawili się z tyłu pod ścianą. Tajne służby? - zastanawiał się Meredith. - A może Msuya postanowił tym razem sięgnąć po mocniejsze argumenty?

Ukrył niepokój i zasalutował Allertonowi.

- Panie prezydencie, panie Msuya, witamy na Astrze. Przykro mi, że nie mogliśmy przygotować bardziej okazałej ceremonii, ale ostatnio brakuje nam orkiestr dętych.

Allerton uśmiechnął się lekko, Msuya nie.

- Nic nie szkodzi - powiedział prezydent. - Właściwie to i tak sprawa służbowa.

A więc nie stwarzamy nawet pozorów przypadkowej wizyty, - pomyślał Meredith. - Niedobrze.

- Tego się spodziewałem, sir - powiedział.

Wskazał na towarzyszące mu trzy osoby.

- Za pozwoleniem, to jest doktor Peter Hafner, przewodnicząca Rady Cywilów Carmen Olivero i radny Cristobal Perez. Chciałbym, żeby byli obecni podczas spotkania.

Oczywiście, jeżeli nie mają panowie nic przeciwko temu.

- Mamy - powiedział Msuya. - Obecność osób cywilnych niczemu tutaj nie służy. To pan dowodzi Astrą, pułkowniku, a ja osobiście zaczynam tracić cierpliwość do tej Rady Cywilów.

Meredith ostentacyjnie zwrócił się do Allertona.

- Panie prezydencie?

- Pan Msuya ma rację, że cała odpowiedzialność za astriańskie działania spoczywa na panu - powiedział Allerton. - Jednak, jeżeli uznaje pan tych ludzi za swoich doradców, możemy się zgodzić na ich obecność.

Msuya mruknął coś pod nosem i przez chwilę nie spuszczał wzroku z prezydenta. W końcu wzruszył nieznacznie ramionami, odsunął krzesło i usiadł przy stole. A więc - pomyślał Meredith, kiedy prezydent i Astrianie poszli za przykładem Msuyi - Allerton nie poddał się jeszcze całkowicie presji ONZ... albo chce spierać się z Msuyą tylko w mniej istotnych sprawach.

Uznał, że to spostrzeżenie może się przydać później. Spojrzał na Allertona i czekał na jego ruch.

Nie minęło dużo czasu.

- Pułkowniku, otrzymaliśmy ostatnio raporty, z których wynika, że pańskie biuro podejmuje dość niecodzienne decyzje polityczne. Odmówił pan zespołowi naukowemu pana Msuyi zgody na badania nad prętem Prząśnicy, w tym samym czasie zwolnił pan z pracy grupę doktora Changa, nie wysłał pan na Ziemię próbek pręta do badań i stara się pan zawrzeć nieautoryzowane umowy handlowe.

Wywołało to wątpliwości co do pana zdolności sprawowania władzy. Chciałbym usłyszeć jakieś wytłumaczenie pańskich działań, jeśli ono istnieje.

Dobrze przygotowane przemówienie, - pomyślał Meredith, nie spuszczać wzroku z prezydenta.

- Chce mnie pan postawić przed sądem wojskowym, sir? - zapytał bez ogródek.

- Nie, nie w zwyczajnym znaczeniu tego słowa. Ani pański stopień, ani akta nie są w niebezpieczeństwie. Zagrożona jest tylko, jak już powiedziałem, pańska pozycja na Astrze.

- Rozumiem. - Meredith zerknął na nieruchomą twarz Msuyi. - Jeżeli chodzi o zespoły naukowców, wydaje mi się, że moja jurysdykcja obejmuje ostateczne decyzje co do personelu w kolonii, nawet jeśli ma on tu pracować tylko tymczasowo. Rooshrike zabrali drugi pręt Prząśnicy i otrzymałem zapewnienie, że podzielią się z nami wynikami badań.

Wydawało mi się więc zbyteczne i trochę niedorzeczne, żeby marnować czas na kilka skrzynek sprzętu.

- Możemy marnować nasz czas, jeśli tak zdecydujemy - powiedział Msuya z łagodnością, która najwyraźniej miała ukryć późniejszą burzę. - Ponadto byliśmy mianowaną przez ONZ grupą i formalnie nie był pan upoważniony do wydawania nam poleceń.

- Proszę wybaczyć, panie Msuya, ale nie miałem potwierdzenia tego faktu z niezależnych źródeł - odparł Meredith. - Jak wtedy wyjaśniłem, takie rozkazy albo upoważnienia muszą być wydane przez posiadacza mandatu, a mianowicie rząd Stanów Zjednoczonych. - Spojrzał na Carmen.

Potwierdziła jego słowa skinieniem głowy.

- A co do dostarczenia pręta na Ziemię, zrobimy to, jak tylko znajdziemy najlepszy sposób na przetransportowanie go przez hiperprzestrzeń.

- Za darmo? - zapytał Msuya.

- W zamian chcemy otrzymać taką samą ilość innych metali... Wszyscy nasi klienci będą musieli nam to zapewnić. Co do ceny... tego jeszcze nie ustaliliśmy.

- Nie widzę niczego, co by tu trzeba ustalać - powiedział Msuya. - Astra jest terytorium ONZ; nie powinniśmy płacić za coś, co już jest nasze.

- Iowa jest stanem USA - wzruszył ramionami Meredith - ale jej rolnicy nie dają zboża za darmo.

Msuya otworzył szeroko oczy.

- Powiedziałem chyba, że Astra jest terytorium ONZ, a nie częścią Stanów Zjednoczonych. Chyba że zawarto jakieś jednostronne porozumienie, o którym nie wiem?

- Nie, oczywiście, że nie - powiedział Allerton i rzucił na Mereditha zirytowane spojrzenie. - Pułkownik Meredith posłużył się tylko pewną analogią.

I to cholernie głupią, - zganił się w myślach Meredith. - Msuya i tak znajdował się na bardzo dobrej pozycji i nie trzeba mu było dawać do ręki dodatkowej amunicji. Po lewej stronie pułkownika Hafner poprawił się w fotelu, a daleko na prawo Perez mruknął coś po cichu.

- Rozumiem - powiedział Msuya, a z jego tonu jasno wynikało, że jeszcze wróci do tej sprawy. - To oczywiście prowadzi bezpośrednio do sprawy umów handlowych i upoważnienia do ich zawierania. Zaprzeczy pan, że wystawia własność ONZ, a mianowicie Prząśnicę, bez naszej zgody na sprzedaż?

Meredith wziął głęboki oddech... a Carmen nieoczekiwanie wykorzystała tę krótką przerwę.

- Wydaje mi się, panie Msuya, że trzymamy się ściśle naszych obowiązków, do których, podkreślam, należy rozbudowa i obrona astriańskiej kolonii. Na orbicie stacjonują statki sześciu obcych ras. Ponad połowa z nich to w pełni wyposażone statki wojenne. Zdaje pan sobie sprawę, co

Obcy mogliby zrobić, gdyby pomyśleli, że chcemy zatrzymać dla siebie tajniki technologii Prząśnicy i korzyści z produkcji pręta?

- Odparliście atak M'zarchów bez większych problemów.

- Dzięki kombinacji naszego szczęścia i ich ignorancji - powiedział Meredith. - Pani Olivero ma rację: nasi sąsiedzi pozostaną spokojni, jeśli przekonamy ich, że odniosą z tego bezpośrednie korzyści.

- Więc twierdzi pan, że te oferty handlowe to tylko podstęp? - zapytał Msuya.

- Ani trochę - powiedział Meredith. - A może chciałby pan, żeby rasa ludzka zyskała reputację oszustów?

- Inaczej mówiąc, będzie lepiej, jeśli ONZ zatwierdzi pańskie umowy, bo będzie źle.

Starł się przyprzeć Mereditha do muru, a pułkownika zaczynało to męczyć.

- Jeśli je odrzucicie, powinniście umieć wyjaśnić, dlaczego Astrze, którą Rooshrike nazywają wolną kolonią, nie wolno wchodzić w lokalne układy handlowe. Przygotujcie się też na zawieranie wszelkich stosunków dyplomatycznych od nowa.

- No, dobrze. - Msuya zaczął z drugiej strony. - Skoro już o tym mówimy, co to za rzekoma umowa handlowa z Rooshrike? Może nie słyszał pan, że ONZ ma wyłączny kontrakt z Ctencri?

- O ile pan pamięta, panie Msuya, podczas swojej ostatniej wizyty zagroził pan nam całkowitym embargiem na dostawy żywności i sprzętu - przypomniał Meredith. - Dał pan nam jasno do zrozumienia, że będziemy głodować. Jak zaznaczyła pani Olivero, moim obowiązkiem jest bronić Astry. Dlatego uważam, że poszukiwania nowego źródła zaopatrzenia były jak najbardziej zasadne.

Odczuł satysfakcję, kiedy zauważył, że jego rozmówca marszczy brwi. Najwyraźniej nie spodziewał się takiej obrony.

- Nie można bronić kolonii przed jej właścicielami - warknął. To kompletnie nedorzeczny argument.

- Możliwe. - Meredith wzruszył ramionami. - Ale jak dotąd nie widziałem żadnego dowodu, że te groźby i rozkazy naprawdę są wolą ONZ. Równie dobrze to Ctencri mogliby grozić Ziemi embargiem, o ile ONZ nie wykona ich poleceń w tej sprawie.

Msuya patrzył na niego przez chwilę i nerwowo ruszał szczęką ze złości lub bezsilności. Wreszcie odchylił się w fotelu i uśmiechnął się chłodno do Mereditha.

- Świetnie pan sobie radzi, pułkowniku, szczególnie jak na wojskowego.

Zobaczmy, czy wywinie się pan z tego. - Niedbałym ruchem dłoni skinął na Allertona.

- Panie prezydencie?

Allerton wyglądał tak, jakby bolały go zęby. Ale głos miał nadal stanowczy.

- Pułkowniku Meredith, jako Zwierzchnik Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych rozkazuję panu całkowicie dostosować się do wszelkich poleceń pana Msuyi dotyczących urzędzeń Prząśnicy albo pręta.

Meredith przygryzł wargi i gorączkowo myślał.

- Czy unieważniono mandat Stanów Zjednoczonych? - zapytał, żeby zyskać na czasie.

- Nie, nadal dowodzi pan kolonią. ONZ bezpośrednio zajmie się tylko samą Prząśnicą.

- Rozumiem. - A więc ugięliśmy się pod groźbą embarga, pomyślał z goryczą. - A jeśli odmówię?

Allerton nawet nie mrugnął okiem.

- Wtedy zostanie pan odwołany ze stanowiska i wróci na Ziemię na pokładzie statku ONZ.

- A więc przywiózł pan ze sobą mojego ewentualnego zmiennika. Mogę zapytać, kto to jest?

- Zastąpi pana generał Benigno Sandoval z Republiki Filipin odezwał się Msuya. - Jest na pokładzie głównego statku.

Będzie marionetką Msuyi, - pomyślał Meredith, - zważywszy na bałagan, który dziesięcioletni reżim wywołał w filipińskiej gospodarce. Tak czy owak, ONZ zyska kontrolę nad Prząśnicą. Chyba, że...

Hafner poruszył się w fotelu.

- Czy mogę zapytać, panie Msuya, co zrobicie z Prząśnicą, jeśli przekażemy wam władzę?

Spojrzenie Msuyi stwardniało na chwilę po usłyszeniu słowa „jeśli”.

- Będziemy kontynuować waszą pracę, a w szczególności postaramy się dowiedzieć więcej o sprzęcie i o tym, jak go używać.

- I całą wiedzę zyska tylko ONZ, a nie wszystkie rządy świata?

- Głównie. Nie możemy ryzykować przedostania się ważnych danych w ręce Obcych.

- Rozumiem. - Hafner zrobił efektowną pauzę. - A pręt, jak sądzę, też byłby własnością ONZ. Na jakich warunkach dostarczalibyście go krajom, które chcą, powiedzmy, wybudować wiszące mosty? Za darmo, czy za opłatą?

- To nie jest wasza sprawa - odpowiedział bez ogródek Msuya.

- Ależ jest - zabrał głos Perez. - Widzi pan, niezależnie od tego, kto wydaje rozkazy, doktor Hafner i ja eskortujemy wszystkich pracowników do sterowni Prząśnicy.

- Doprawdy? - Msuya obdarzył go protekcjonalnym uśmiechem. - Jakieś ustalenie lokalnego związku zawodowego, jak sądzą?

- Nie - powiedział cierpko Perez. - To raczej kwestia zachowania zdolności oddychania.

Msuya parsknął śmiechem.

- Jeśli chcecie nam grozić...

- Ależ skąd! Za pozwoleniem, chciałbym wyjaśnić kłopoty z czymś, co nazywamy Gorgonimi Głowami.

W kilku rzeczowych zdaniach Perez opisał system bezpieczeństwa Prząśników i wytłumaczył oczywiste nieporozumienie, w wyniku którego piątka Astrian otrzymała swobodę poruszania się wśród maszyn obronnych. Kiedy skończył, rozbawiony uśmiezek zniknął z twarzy Msuyi.

- Rozumie więc pan - podsumował Perez - że nie będziemy mogli panu pomóc zgodnie z naszym sumieniem, jeśli pan nas nie przekona, że zwykli ludzie na Ziemi odniosą możliwie największe korzyści z pańskich planów.

Msuya popatrzył na niego uważnie. Ponownie zerknął na Mereditha i Hafnera.

Pułkownik nadal siedział cicho i starał się odgadnąć, o co Perezowi właściwie chodziło. O zobowiązanie ONZ do zwiększenia liczby imigrantów? A może o coś bardziej zasadniczego - na przykład o władzę w nowym austriańskim reżimie?

Msuya jakby czytał w jego myślach.

- Mogę pana zapewnić, panie Perez a także pana, doktorze Hafner, że podejmiemy wszelkie kroki, aby Prząśnica była użytkowana z korzyścią dla całej ludzkości.

Jestem przekonany, że pański wkład zostanie uznany za niezwykle cenny. Być może zaproponowanie stanowiska wicedyrektora dla pana i trzech pozostałych okaże się właściwym sposobem na oficjalne potwierdzenie waszego znaczenia w badaniach.

- Ciekawa propozycja. - Perez wychylił się do przodu, żeby Carmen nie zasłaniała mu Mereditha.

- Muszę jednak przeprosić pułkownika Mereditha. Wydaje mi się, że nie skończył rozmowy z prezydentem Allertonem. Pułkowniku, proszę kontynuować.

Meredith popatrzył przez chwilę na Pereza i znowu odwrócił się do Allertona. Do czego on zmierza? - pomyślał. - Otrzymał propozycję od Msuyi - po co oddał mi głos? Żeby zobaczyć, jak poprowadzę dalej rozmowę i czy się pograżę?

- Właściwie już skończyliśmy - powiedział Allerton.

Patrzył na Mereditha z równie poważnym wyrazem twarzy jak Perez- Pułkownik bezzwłocznie przekaze panu Msuyi nadzór nad Prząśnicą.

- Nie, sir, nie zrobię tego - odparł Meredith. - Nie wydaje mi się, żeby pan Msuya albo jakikolwiek urzędnik ONZ mógł w obecnej sytuacji zająć się Prząśnicą tak dobrze jak my, Astrianie. I nie mogę przekazać mu dowództwa w zgodzie z moim sumieniem.

- Więc zostaje pan odwołany ze stanowiska - powiedział Msuya z satysfakcją. - Generał Sandoval będzie tu za godzinę. Do tego czasu...

- Chwileczkę, sir - przerwał łagodnie Perez. - Nie wydaje mi się, żeby skonsultowano z Radą, czy generał Sandoval będzie odpowiednią osobą, która zastąpi pułkownika Mereditha.

- O czym pan mówi? - Msuya popatrzył na niego. - To wyłącznie sprawa ONZ, komu powierzy swoje terytorium.

Perez spojrzał na Carmen.

- Pani Olivero, uważam, że taka postawa wobec prawnie wybranego zgromadzenia wskazuje na niezdolność ONZ do prawidłowego nadzorowania badań nad Prząśnicą.

- Zgadzam się - przytaknęła i tylko lekkie drżenie głosu zdradzało jej zdenerwowanie.

- Panie prezydencie, panie Msuya, Rada Astriańska oficjalnie odrzuca decyzję o przeniesieniu pułkownika Mereditha.

- Co to za nonsens? - parsknął Msuya. - Meredith opuszcza Astrę i kropka. Jeśli komuś się to nie podoba, może wysłać oficjalny protest do generała Sandovala przez jednego z jego żołnierzy.

- Żołnierzy? - zapytał Hafner. - A więc teraz ogłasza pan okupację...

Meredith uciszył go gestem dłoni.

- Pani Olivero ma rację - powiedział cicho. - Nie wyjeżdżam z Astry.

Po drugiej stronie stołu atmosfera zrobiła się bardzo napięta.

- Wyjedzie pan - powiedział wreszcie Msuya - albo zostanie pan oskarżony o zdradę własnego kraju i Narodów Zjednoczonych. Pańscy żołnierze zwrócą się raczej przeciw panu, niż zostaną pańskimi współnikami.

- Możliwe. Ale może pan przeceniać ich lojalność w stosunku do ONZ. Większość z nas pamięta wasz brak zainteresowania Astra, dopóki nie pojawiły się pręty.

- Ma pan nędzne cztery setki żołnierzy - wrzasnął Msuya, tracąc wreszcie panowanie nad sobą. - Mogę wynająć od Ctencri transportowiec i sprowadzić tu cztery razy więcej w ciągu dziesięciu dni. Chce pan zobaczyć, jak pańscy ludzie padają jak muchy?

Meredith uniósł rękę i dotknął telefonu na nadgarstku.

- W krótszym czasie, niż pańskim tysiąc sześciuset żołnierzom zajęłoby wejście na pokład wahadłowców, ja mogę skontaktować się z głównym reprezentantem Rooshrike. Jak pan myśli, co by zrobił, gdybym mu powiedział, że jesteśmy atakowani, i poprosił o pomoc?

- Wyjaśniłbym, że pan już tu nie dowodzi...

- On mnie zna. Pana nie.

- Ctenrici poparliby nasze żądanie.

- Ctenrici nie mają tu statków bojowych... a Rooshrike nie są nastawieni do nich życzliwie.

Msuya wykrztusił coś z wściekłością. Widać było, że jest spięty. Allerton odchrząknął.

- Zdaje pan sobie chyba sprawę, że pan Msuya ma rację co do prawnych konsekwencji pańskiego postępowania - powiedział. - Odmowa wykonania mojego bezpośredniego rozkazu automatycznie stawia pana przed sądem wojskowym. Właściwie każdemu z was można zarzucić złamanie różnych przepisów prawa federalnego, a może nawet zdradę.

Meredith spojrział na niego.

- Wszyscy Astrianie, którzy nie będą chcieli zostać tu na nowych warunkach, mogą opuścić kolonię najbliższym statkiem - powiedział.

Żałował, że nie znał myśli prezydenta. Słowa Allertona były bardzo ostre, a ton głosu niewiele mniej surowy. Tylko wyraz twarzy zdradzał spokój, jeśli nie zadowolenie. Czy on tego właśnie chce? - zastanawiał się Meredith. - Otwartego buntu, który odwróci uwagę ONZ od Stanów Zjednoczonych? W takim razie będzie miał teraz prawdziwą ucztę.

- Obawiam się, że resztę z nas będą panowie musieli sądzić in absentia. Ale nie jestem pewien, czy można stosować amerykańskie prawo wobec obywateli obcego narodu.

Jego słowa zawisły w powietrzu na dobre trzy sekundy, zanim ktoś zrozumiał, o co chodzi.

- Obywateli czego?! - szepnął Hafner, kiedy spojrzeli na niego Carmen i Perez.

Twarz Allertona nawet nie drgnęła.

- A więc odstępujecie od unii? - zapytał.

- Niezupełnie, sir. Astra nigdy nie była terytorium Stanów Zjednoczonych. Ogłaszamy jednak niepodległość.

Msuya walnął pięściami w stół.

- Tego już za wiele. Ochrona! Aresztować ich wszystkich.

Dwaj mężczyźni stojący na prawo od drzwi wystąpili do przodu. W ich dłoniach pojawiły się niewielkie pistolety.

- Allerton, pańscy ludzie też - krzyknął Msuya.

Pozostali dwaj mężczyźni zrobili kilka niepewnych kroków. Zatrzymali się na sygnał Allertona.

- Tajne Służby nie wykonują pańskich rozkazów - powiedział chłodno prezydent. - Nie są upoważnione do działania w takich sytuacjach jak ta.

Oczy Msuyi błysnęły nienawiścią... a Meredith podniósł rękę i przełączył głośnik telefonu.

- Majorze, słyszał pan to wszystko? - zapytał.

- Tak, sir - głos Browna słyhać było również na drugim krańcu stołu. - Zawiadomiłem Rooshrike. Są gotowi do wysłania swoich ludzi.

Pierwszy zabrał głos Msuya.

- Blefuje pan.

Meredith potrząsnął głową.

- Przylecą, jeśli ich o to poprosimy - powiedział spokojnie. Nie jest pan przygotowany na taką walkę.

- Mógłbym przedtem zabić pana i te pańskie skorpiony - wykrztusił.

- Mógłby pan - potwierdził Meredith. - Ale zabiłby pan trzech albo i pięciu ludzi, którzy mogą wejść do sterowni Prząśnicy. Jeżeli coś im się stanie, maszyna pozostanie niedostępna na zawsze.

Przez dłuższy czas Msuya siedział jak skamieniały. Potem wstał i ruchem dłoni nakazał swoim

ludziom schować broń.

- Jak już powiedziałem, pułkownik - odezwał się grobowym głosem - może mnie pan teraz wyrzucić z Astry... ale kiedyś pan tego pożałuje. Dostawy, które pan uzgodnił z Rooshrike, nie opuszczą Ziemi. ONZ i Ctencri dopilnują tego. Embargo przeciwko wam będzie utrzymane, dopóki Astra nie padnie z głodu albo pan nie wróci do Nowego Jorku w kajdankach. Proszę o tym pomyśleć, kiedy będzie pan musiał jeść piasek.

Odwrócił się, podszedł do drzwi, otworzył je szarpnięciem i razem ze swoimi ludźmi zniknął w ciemnościach nocy. Allerton wstał i kiwnął głową z wyrazem wymuszonej obojętności na twarzy.

- Jestem pewien, pułkownik, że to jeszcze nie koniec - powiedział cicho. - Ale oczywiście nieoficjalnie życzę panu szczęścia.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i wyszedł.

- Cóż - Hafner odetchnął, gdy pracownik Tajnych Służb zamknął drzwi za prezydentem. - To musiał być dla niego szok.

Perez odsunął krzesło do tyłu i zgarbił się nieco.

- Ani trochę - westchnął. - Allerton jest zachwycony rozwojem sytuacji.

Ogłaszając niepodległość, uwolniliśmy go od ataków ONZ. Nie jest już odpowiedzialny za nasze postępowanie, więc Saleh nie może nałożyć embarga na Stany Zjednoczone.

- Ale teraz my mamy problem - mruknęła Carmen.

- I tak groziło nam embargo. - Perez wzruszył ramionami. - W ten sposób przynajmniej nie ucierpią Stany Zjednoczone.

Meredith uniósł brew.

- Odniosłem wrażenie, że Stany Zjednoczone za bardzo cię nie obchodzą - powiedział.

- Niechęć do rządu i troska o ludzi nie wykluczają się wzajemnie - odparł Perez.

- Po prostu czujesz jeszcze większą niechęć do ONZ?

- Czuję niechęć do pomysłu oenzetowskiej kontroli nad Astrą - poprawił.

- Podobnie jak pan, uważam, że lepiej zajmiemy się Prząśnicą, niż jakikolwiek duży rząd. A biorąc pod uwagę umowę handlową z Ctencri, ONZ szybko upodabnia się do dużego rządu.

Podniósł się z wysiłkiem.

- Pułkownik, jeśli nie jesteśmy już panu potrzebni, chciałbym wrócić do łóżka.

- Oczywiście - zgodził się Meredith. - Wszyscy możecie już odejść. Bądźcie obecni jutro rano, kiedy ogłoszę niepodległość. Mam przecucie, że tak łatwo nam to nie pójdzie.

- Proszę się nie martwić, pułkownik. - Hafner ziewnął przeciągle, podnosząc się z fotela. - Do obiadu napiszemy nawet nasz hymn narodowy.

Kiedy odeszli, Meredith siedział w ciszy jeszcze przez kilka minut. Powieki ciążyły mu jak ołów. Hymn narodowy, istotnie, pomyślał. Od razu widać, jak duże doświadczenie zdobył w pracy z ludźmi.

Zabrzączał telefon: major Brown.

- Wahadłowiec ONZ jest gotów do startu, pułkownik - zameldował. - Mam ich puścić?

- Jasne.

Umilkł i czekał. Chwilę później pokój wypełnił ryk repulserów. Brzmiał dziwnie, tłumiony przez materiał dźwiękoszczelny w ścianach. Hałas cichł stopniowo, aż w końcu można było normalnie rozmawiać.

- Majorze? Nadal pan tam jest?

- Tak, sir - powiedział. - Cholerny oszołom leciał nisko i powoli. Pewnie chciał obudzić jak najwięcej ludzi w Unie.

- Raczej próbował znaleźć wejście do Prząśnicy. Msuya nie podda się tak łatwo. - Zastanawiał się przez chwilę. - Nadal utrzymujecie łączność z Rooshrike?

- Tak, sir.

- Chciałbym, żeby zaprosił pan tu Beackiego nul Dies na na spotkanie pojutrze... no, właściwie jutro, skoro to już czwartek rano.

Proszę też wysłać takie same zawiadomienia innym Obcym, Spotkanie urządzimy... o szesnastej.

- W piątek o szesnastej, dobra - powiedział Brown. - Jaki mam podać powód zebrania?

- Przedyskutowanie warunków handlu prętem Prząśnicy... i zawarcie umowy o obronie Astry.

Brown milczał przez chwilę.

- Nie myśli pan chyba, że Saleh przyśle tu wojsko?

- Nie wiem, ale na jego miejscu cholernie szybko podjąłbym jakieś działania.

Jako suwerenny naród możemy przecież zawierać umowy handlowe z innymi krajami, nie przejmując się oenzetowską biurokracją. A jeśli uzyskamy przez to dostęp do rooshrikańskiej technologii, przełamiemy monopol Narodów Zjednoczonych. Saleh straciłby pozycję władcy wszechświata i stał się znowu dyrektorem największego na świecie przedszkola.

Gwarantuję, że nie pogodzi się z tym zbyt łatwo.

- Mhmm. Więc chce pan się spotkać z Obcymi tutaj, żeby Msuya nie mógł założyć podsłuchu?

- Mniej więcej. Chcę poza tym podkreślić naszą niepodległość. Wątpię, żeby Obcych obchodziło, gdzie odbędziemy rozmowę, ale na Ziemi to symbol władzy, jeśli ktoś przychodzi do nas, a nie odwrotnie.

- Proszę wybaczyć, pułkowniku, ale chyba mamy teraz większe zmartwienia niż symboliczne strzelanie w tyłek Msuyi. Jak, u licha, chce pan to wyjaśnić żołnierzom i cywilom, w końcu dobrym obywatelom amerykańskim?

- Nie wiem - powiedział otwarcie Meredith. - Kiedyś i tak by do tego doszło. Nie moglibyśmy przecież na zawsze zostać terytorium ONZ, więc nie okaże się to całkowitym zaskoczeniem. Będzie to jednak bardzo trudne. Mam nadzieję, że uda nam się nie dopuścić do podjęcia przez ludzi pochopnych decyzji, dopóki nie wyjaśnimy wszystkich za i przeciw.

- Musimy szczególnie uważać na żołnierzy - zaznaczył Brown. - Jakiś ambitny porucznik mógłby wpaść na pomysł, że „zamach lojalistów” to dobra droga do awansu na kapitana.

- Porucznik albo ktoś wyższy rangą. - Meredith się skrzywił. Lepiej, żeby spróbował pan wybadać dowódców innych obszarów, zanim to ogłoszę. Barner, jak sądzę, będzie w porządku, ale Gregory i Dunlop mogą sprawiać kłopoty.

- Szczególnie Dunlop, biorąc pod uwagę te wszystkie starcia między panem a nim - powiedział Brown. - Może będziemy mieli szczęście i zdecyduje się wrócić na Ziemię.

- Tego bym sobie życzył - powiedział kwaśno Meredith. - Możliwe jednak, że zostanie. Dla utrzymania stanowiska w Ceres tyle razy musiał schować dumę do kieszeni, że pewnie można go stamtąd wyrzucić tylko łomem.

- Tak. Ale może uda się go przekonać, że jest zbyt wielkim patriotą, żeby dalej wdychać to zhańbione astriańskie powietrze. Brown roześmiał się. - Przepraszam.

On nadal często mnie drażni. Pomyślałem jeszcze o czymś, pułkowniku. Czy powinniśmy poprosić Rooshrike o zakłócanie łączności ze statkiem ONZ?

- Mamy nie dopuścić, żeby ich propaganda przyćmiła naszą?

- No... wiem, to wygląda na totalitaryzm, ale nadal sędzę, że to dobry pomysł.

Przynajmniej, dopóki nie wyjaśni pan wszystkim całej tej sprawy.

- Nie podoba mi się to... ale niech tak będzie. Poza tym astriański ustrój nie kwalifikuje się jako dyktatura, dopóki swobodnie kręci się tu Perez.

Brown roześmiał się.

- Byłby nawet zabawny, gdyby nie był tak dobry w robieniu ludziom wody z mózgu.

- Przynajmniej raz przyda się ten jego talent. Perez pomógł nam znaleźć się w tym położeniu, więc niech teraz pomoże przekonać do tego pomysłu innych.

- Mam nadzieję, że mu się uda. Szczerze mówiąc, sam nie wiem, czy nie robimy za dużo zamieszania wokół Prząśnicy.

Meredith uśmiechnął się. Znowu miałaś rację, Carmen, pomyślał. To rzeczywiście różnica.

- Proszę mi przypomnieć, majorze, żebym zabrał pana kiedyś do Prząśnickiej Groty.

Zobaczy pan, że mamy tu coś, o co warto walczyć. Dlatego ograniczyłbym walkę do ataków słownych.

- Tak. - Brown urwał na chwilę. - Pułkowniku, wie pan, w jaki sposób Rooshrike testowali wytrzymałość pręta?

Meredith zmarszczył brwi.

- Nie, nie czytałem jeszcze tego fragmentu ich raportu. To ważne?

- Nie, nie tak bardzo. Przyczepili do obydwu końców kilka pięciotonowych planetoid i zaczęli całość obracać. Doszli do prawie dwunastu obrotów na minutę, kiedy siły grawitacyjne rozerwały planetoidy. Przyszło mi do głowy, że jeśli w ten sposób prowadzą badania naukowe, to nie chciałbym poznać ich podejścia do maszyn bojowych.

A Rooshrike dysponują podobno mniej zaawansowaną technologią niż inne rasy, - przypomniał sobie Meredith.

- Ja też nie - powiedział Brownowi. - Miejmy nadzieję, że zdołamy uniknąć prywatnej demonstracji. Proszę rozesłać te zawiadomienia. Porozmawiam z panem, kiedy się wyśpię.

- Tak jest, sir. Miłych snów.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 22

Ryk lądujących wahadłowców Obcych już dawno ucichł, kiedy Perez zatrzymał motorówkę w porcie przy bazie „Martello”.

- Cristobal Perez, członek Rady - przedstawił się dwóm żołnierzom, pilnującym łodzi.

Podobnie jak ci w porcie w Unie popatrzyli na niego z niedowierzaniem i - tak jak ich koledzy - zadzwonili po instrukcje. Po chwili Perez szedł już w stronę sali konferencyjnej.

Minęło tylko czterdzieści godzin od czasu, kiedy Astra stała się niepodległa, przynajmniej na papierze, pomyślał. Bolała go głowa od zbyt małej ilości snu i zbyt wielu rozmów. Zupełnie jakby minął co najmniej tydzień.

Meredith ogłosił niepodległość tamtego ranka o dziesiątej. Mimo że nieźle opisał nowy status Astry, pozostawił wiele podstawowych pytań bez odpowiedzi. Od tamtej pory dużą część czasu poświęcał na odpowiadanie różnym osobom na te właśnie pytania.

Obawy dotyczyły głównie stosunków Astry ze Stanami Zjednoczonymi i możliwego odwetu władz amerykańskich na rodzinach i przyjaciółach na Ziemi. Właśnie te rozmowy przyprawiały go o ból głowy. Na złe samopoczucie wpływał też projekt, nad którym pracował przez większą część nocy.

Żołnierze przed salą konferencyjną okazali się bardziej uparci, ale w końcu wpuścili go... i mimo że Perez wiedział, czego się spodziewać, doznał lekkiego szoku.

Oglądał fotografie przedstawicieli pięciu obcych ras, ale dopiero kiedy zobaczył ich z bliska, zrozumiał, jak bardzo byli obcy. Ctencri o luźnej skórze i grzebieniu podobnym do skrzydła nietoperza na głowie siedział sztywno w fotelu. Sposób, w jaki kiwał głową, przywodził na myśl dziobiącego ziarno koguta. Nieruchomy Wist obok niego wyglądał jak Budda... o ile stworzenie przypominające tłusty grzyb o szczypcach homara w ogóle może wyglądać jak Budda. M'zarch w galowej zbroi był olbrzymim upiorem wprost ze średniowiecza.

Równie duże wrażenie wywierał tylko niedźwiedzich rozmiarów Orsfis po drugiej stronie stołu. Od dawna rywalizowali ze sobą z niezwykłą zaciętością. Nawet bez znajomości mowy ciała każdej z ras Perez wyczuwał panujące między nimi napięcie. Wzdrygnął się mimowolnie, zadowolony, że nie musi się zbliżać do żadnego z nich. Obok akwarium o opływowym kształcie siedział Rooshrike w kosmicznym kombinezonie. Perez przyjrzał się zbiornikowi i przestraszył się na widok pływającego za ciemnym szkłem delfina z mackami.

Meredith nie uprzedził go, że na spotkaniu będzie też reprezentant Pomów. Rasa ta najwyraźniej zdecydowała jednak, że ich czynny udział w zebraniu wart był kosztów przysłania wypełnionego wodą wahadłowca. Jak, u licha, udaje im się wystrzelić statek o rozmiarach wahadłowca? - zastanowił się nagle Perez - Woda jest ciężka.

Meredith i Carmen siedzieli u szczytu stołu i najwyraźniej skończyli już prezentację. Powietrze wypełniały ćwierkot, syczenie i pochrząkiwanie, kiedy Obcy rozmawiali ze sobą.

Ostrożnie minął fotele, wymienił uprzejme ukłony z Meredithem i zerknął Carmen przez ramię.

- Jak wam idzie? - szepnął i popatrzył na porozrzucane przed nią na stole dokumenty.

- Jak dotąd dobrze - odpowiedziała. - Wszyscy są chyba zadowoleni z proponowanej przez nas ceny i pewnie ustalają teraz między sobą, czy zaakceptować plan obronny Mereditha.

- Czyli...?

- Czy pozwolimy, żeby Wissstowie i Orsfami umieścili na orbicie równikowej po dwa statki

bojowe. Na tej samej orbicie parkować będą zwykłe statki handlowe.

Pomówię i Rooshrike mogą patrolować obszar dalej od planety, sprawdzając oczywiście statki przelatujące przez ich własne terytoria.

- A M'zarchów i Ctencri to nie dotyczy?

- Na razie nie. M'zarchowie zostali ukarani za wcześniejszą inwazję, a Ctencri nie chcą się nawet przyznać, że mają statki bojowe, a co dopiero je pokazywać.

- Aha. Więc jeśli Orsfami lub Wistowie...

- Wissstowie. Długie „s” w liczbie mnogiej.

- Przepraszam. Jeśli Orsfami lub Wissstowie spróbują coś pochwycić i uciec, muszą przedrzeć się przez całą armię Rooshrike, a jeśli będzie to ktoś inny, zostaniemy w porę ostrzeżeni i wtedy możemy zrobić... Wiecie może, co?

- Nadal nad tym pracujemy.

- Aha.

Perez spojrział na drugą stronę stołu. Z fotela wstał Rooshrike.

- Zgadzą się - powiedziała skrzynka translatorska.

- Dobrze. - Meredith kiwnął głową i też wstał. - W takim razie... Przerwał mu chłupot z akwarium Poma.

- Zgadzą się - usłyszeli bardziej donośny głos.

Tym razem Meredith tylko kiwnął głową i czekał. Jeden po drugim, M'zarch, Orsfis, Wist i Ctencri podnosili się, żeby wyrazić zgodę.

- Dziękuję za wasz czas i współpracę - powiedział Meredith, kiedy wstali już wszyscy oprócz Poma. - Tak jak dotychczas, wszystkie pytania lub polecenia należy kierować ustaloną drogą do Carmen Olivero.

Urwał i spojrział po milczących Obcych.

- Spotkanie jest zakończone.

Odwrócił się do Pereza i wtedy, jak na komendę, Obcy wreszcie się poruszyli i poszli w stronę drzwi prowadzących na lądowisko.

- No, przynajmniej to już załatwione - powiedział Perez w nadziei, że powstrzyma w ten sposób pytanie Meredith o powód jego wizyty.

Ctencri, zauważył Perez, zatrzymał się, żeby dotknąć szyszkowatych kłów Orsfisa i porozmawiać przez chwilę z Wistem.

- Przy okazji zdobyliśmy kolejną informację na temat hierarchii społecznej Obcych.

- Chodzi ci o kolejność, w jakiej przyjmowali umowę? - zapytała Carmen, zbierając dokumenty. - Robili to w kolejności wzrastających odległości między Astrą a ich stolicami.

- Aha.

Po drugiej stronie sali Ctencri wychodził za M'zarchem na zewnątrz.

- Dobra, wróć już chyba na stały ląd. Do zobaczenia później.

Kilka metrów za drzwiami zobaczył Ctencri.

- Chciałbym z panem porozmawiać, sir, jeśli można - powiedział, kiedy zrównał się z Obcym.

Ctencri zatrzymał się gwałtownie i zaczął kręcić głową.

- Oczywiście - odpowiedział krążek na jego szyi.

Perez przełknął ślinę. Stali w zasięgu wzroku kilkunastu żołnierzy i miał nieprzyjemne uczucie, że są obserwowani.

- Chciałbym poprosić pana i pański lud o przysługę - powiedział Obcemu. - Mam kilka wiadomości, które chciałbym w tajemnicy dostarczyć do kilku ludzi na Ziemi... to znaczy, dostarczyć bez wiedzy władz ONZ.

- Życzy pan sobie, abyśmy wykonali dla pana usługę kurierską?

- Wątpię, żeby było z tym aż tak dużo kłopotu - powiedział sucho Perez. - Musieliście już przecież stworzyć sieć ziemskich informatorów w różnych częściach świata.

Koperty są poukładane według państw. Wystarczy, jeśli przekażecie je swoim agentom, a oni nakleją znaczek i wyślą je.

Ctencri zdawał się zastanawiać nad tym.

- A jaką zapłatę oferuje pan za tę usługę? - zapytał.

- Możemy to ustalić później - odrzekł Perez. - Najprawdopodobniej będzie to jakiś kawałek pręta Prząśnicy.

- To wysoka opłata za tak niewielkie zadanie.

A więc Ctencri byli wystarczająco dobrymi biznesmenami, żeby podejrzliwie odnosić się do transakcji, w wyniku których mogli otrzymać coś za darmo.

- Niezupełnie... bo jest coś jeszcze. Niektórzy z tych ludzi, a może wszyscy, będą chcieli dostać się na Astrę. Ziemskie rządy najpewniej postarają się do tego nie dopuścić, jeśli się o tym dowiedzą. Liczę, że w tajemnicy możecie im zapewnić transport.

Rysy twarzy Obcego poruszyły się, a grzebień zeszywniał. Perez poczuł odruchowe napięcie mięśni nóg. Zastanawiał się, czy coś źle powiedział.

- Prosi pan o wiele - odezwał się wreszcie Ctencri. - Czy jest pan upoważniony do zagwarantowania zapłaty?

Perez odetchnął.

- Tak, sądzę, że tak. Jestem członkiem Rady Astriańskiej i mam też inne wpływy.

Jeżeli prawidłowo wykonacie zadanie, odpowiednio wam zapłacimy.

- Proszę mi dać te listy.

Perez wydobył spod płaszcza grubą kopertę i wręczył ją Obcemu.

- Powinniście przygotować się do kontaktu z tymi ludźmi w ciągu kilku dni od wysłania listów. Jak będą mogli was zawiadomić?

- Zanotujemy ich nazwiska, zanim wyślemy listy.

- Dobrze. Prawdopodobnie pierwsi z nich przybędą tu w ciągu kilku tygodni. I proszę pamiętać: władze nie mogą się o tym dowiedzieć.

- Pamiętam. To wszystko?

- No... tak.

- Do widzenia.

Perez nie zauważył u Ctencri żadnego gestu pożegnального; Obcy odwrócił się i poszedł dalej. Latynos patrzył za nim jeszcze przez chwilę i ruszył z powrotem do portu. No, to by było tyle, - pomyślał, dziwnie zdenerwowany całą transakcją. - Za kilka tygodni albo postawię Mereditha przed faktem dokonany, albo będę po uszy w kłopotach. Albo jedno i drugie.

- Pakunek? - zapytał cicho Meredith przez telefon. - Jaki pakunek?

- Około dwudziestu centymetrów na dziesięć, gruby na blisko pięć centymetrów - powiedział żołnierz. - Przypominało to jakieś papiery albo zawinięte dyski, a nie twardy sprzęt. Rozmawiali przez chwilę, ale nie zdążyliśmy założyć podsłuchu. Mamy schwytać Pereza albo zablokować start

ctencriańskiego wahadłowca?

Meredith przygryzł wargę i spojrzał w bok. Zgodnie z umową, Beaki nul Dies na i reprezentant Pomów zostali po odejściu pozostałych na krótką rozmowę. Pułkownik nie chciał kazać im czekać, a tym bardziej przesłuchiwać teraz Ctencri. Obecnie ani Perez, ani nikt na Astrze nie miał dostępu do informacji, które trzeba by było utajniać.

Będzie to konieczne dopiero wtedy, kiedy dowiedzą się czegoś o urządzeniach sterowniczych Prząśnicy... ale to potrwa jeszcze miesiące albo i dłużej.

- Nie - powiedział żołnierzowi. - Proszą ich obydwu puścić. Później sprawdzę, co ostatnio robił Perez i po co używał komputera. Jest pan pewien, że nic innego nie przekazał Obcemu?

- Tak, sir. Perez nawet nie trzymał ręki tak, żeby mógł ukryć w dłoni coś małego.

- W porządku. Zawiadom mnie, jeśli Perez pójdzie gdzie indziej, nie do portu. W przeciwnym razie proszę wrócić do swoich normalnych obowiązków. To było ciekawe spostrzeżenie, sierzancie. Może pan oczekiwać pochwały w swoich aktach.

- Dziękuję, pułkowniku - w głosie żołnierza wyraźnie słyszało się zadowolenie. - Ja tylko wykonuję moją pracę, sir.

- Byle tak dalej. Koniec.

Wyłączył telefon. Rozdrażnienie z powodu Pereza zmalowało. Jest dużo takich ludzi jak Perez, ale dobrze, że jest chociaż jeden taki jak sierżant Wynsman, pomyślał... a siły zbrojne Astry przynajmniej na razie były bez wątpienia po jego stronie.

Oczywiście do czasu, gdyby sytuacja uległa pogorszeniu. Wtedy część tej lojalności może trochę osłabnąć.

Carmen siedziała obok Obcych i przysłuchiwała się rozmowie Mereditha. Kiedy opuścił rękę, skinęła głową.

- Wszystko ustalone, sir - powiedziała. - Beaki nul Dies na może nam dostarczyć zbiorniki najpóźniej pojutrze. W ich bazie wydobywczej na wewnętrznej planecie są wszystkie części zamienne. A Waywisher mówi, że może w ciągu miesiąca sprowadzić dla nas statek standardowej wielkości.

- Doskonale. - Meredith spojrzał na Beakiego. - Wzięliście pod uwagę, że nasze rośliny bardzo się różnią od waszych pod względem chemicznym?

- Szeroko zajmowaliśmy się życiem opartym na węglu - powiedział Rooshrike. - Zbiorniki całkowicie nadają się do waszej flory. Pod wpływem tutejszej niższej temperatury materiał, z którego je wykonano, będzie jeszcze bardziej obojętny.

Meredith kiwnął głową i zwrócił się do zamkniętego w szkle Poma.

- Waywisher, nie mamy złudzeń co do wysokości opłaty za wynajem waszego statku.

Czy jesteście świadomi, że możemy zapłacić tylko prętem Prząśnicy?

- Potrzebujemy ogromnych ilości waszego pręta - powiedział głębokim głosem przez translator Pom. - Cieszymy się, że możemy wam pomóc w tej sprawie w zamian za zwrot kosztów, które wkrótce będziemy ponosić.

- Rozumiem - powiedział Meredith z cieniem niepokoju.

Z wyjątkiem statków kosmicznych Pomowie podobno nie budowali prawie nic, co wymagałoby materiału o ogromnej wytrzymałości. Czyżby planowali jakieś przedsięwzięcie kosmiczne na dużą skalę, na przykład budowę orbitującej bazy mieszkalnej? A może chodziło o coś innego - o flotę niezniszczalnych statków?

Przestał się nad tym zastanawiać. Rooshrike okazali się bardzo dokładnym źródłem informacji, a zawsze wyrażali się o Pomach jak o pokojowej rasie.

- Dobrze więc - zwrócił się do obydwu Obcych - wykonamy naszą część projektu do czasu, kiedy wy wykonacie waszą. Jak rozumiem, Beaeki nul Dies na, twój pierwszy ładunek metalu dotrze mniej więcej w tym samym czasie, co zbiorniki?

- Tak - powiedział Rooshrike. - Sto dziesięć ton metrycznych metalu za pręt długości pięćdziesięciu kilometrów. Ufam, że możecie wyprodukować tak długi pręt?

- Jestem pewien, że możemy - Meredith starał się mówić przekonującym tonem.

Korporacja Prząśnica już działa, - pomyślał. - Zależy mi jak diabli, żeby nie wysiadł teraz żaden sprzęt.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 23

Zbiorniki hydroponiczne Rooshrike dostarczono z jednodniowym opóźnieniem, ale ponieważ astriańscy mikrobiolodzy i tak potrzebowali więcej czasu do wyhodowania kultur genetycznych modyfikowanych glonów, Carmen nie poruszyła tej sprawy. Kapitan rooshrikańskiego statku, widocznie przyzwyczajony do surowszej kontroli przestrzegania warunków kontraktu, wydawał się bardzo zadowolony z jej pobłażliwości. Taktownie wysłuchiwała jego podziękowań, lecz zapamiętała sobie, że powinna jak najszybciej dowiedzieć się więcej o międzygwiazdnych zwyczajach handlowych. Nie przeszkadzałyby jej reputacja osoby wielkodusznej, ale nie chciała, żeby Obcy pomyśleli, że morderstwo też im ujdzie na sucho.

Z dostawą metalu było zupełnie inaczej. Najwyraźniej zajął się tym ktoś, kto znał się na rzeczy. Przystosowane do tego wahadłowce pojawiały się na niebie i precyzyjnie jak w zegarku ześlizgiwały na skrzydłach o zmiennym skosie na nowe miejsce lądowania, na północ od Mt Olympus. Zostawiały tam kawałki metalu i wznosiły się na repulserach, zwalniając miejsce następnym wahadłowcom. W miarę jak rosła sterta skrzynek złomu, Carmen martwiła się na przemian, co się stanie, jeśli zasysacz uruchomi się za wcześnie, albo co zrobią, jeśli nie uruchomi się wcale.

Na szczęście nie było potrzeby wyjaśniania ani jednego, ani drugiego. Ostatni wahadłowiec wzniósł się już w przestworza, a robotnicy rozkładali skrzynki na większej powierzchni dla lepszego kontaktu z ziemią. Nagle zasysacz zadziałał cichą magią. Carmen stała obok rooshrikańskiego nadzorca projektu, kiedy metal zaczął się zapadać pod ziemię.

Mimo że translator nie przetłumaczył okrzyku zdumienia Obcego, Carmen kiwnęła głową, że wszystko jest w porządku.

Niektóre rzeczy były uniwersalne.

W wieży kontrolnej Prząśnicy panował znacznie mniej filozoficzny nastrój.

Atmosfera złości przeplatała się z podnieceniem.

- Zaczyna się - zameldował major Barner, ze słuchawkami przy uszach. - Zasysacz działa.

Hafner przytaknął i powiódł wzrokiem po jaskrawych światelkach kontrolnych, żeby uchwycić zmianę w ich układzie. Nie było to konieczne, bo starannie ustawione kamery rejestrowały każdy centymetr kwadratowy pulpitu sterowniczego i jednocześnie przesyłały dane do setek monitorów na powierzchni i pod ziemią. Hafner czuł się tam zbędny, więc uznał, że lepiej sprawdzać światelka wskaźników, niż nie robić nic.

Przy uchu zatrzeszczał mu komunikator krótkiego zasięgu.

- Mam coś na poziomie dziesiątym - zameldował jeden z obserwatorów. - Zapalił się nagle cały rząd wskaźników. Czy stało się coś, z czym można to powiązać?

- Chwileczkę, sprawdzę.

Hafner przekazał wiadomość do Barnera i czekał zdenerwowany, kiedy ten sprawdzał własną sieć komunikacyjną. Najgorsze było to - z czego Hafner zdawał sobie sprawę że to on pierwotnie zgodził się z prośbą Mereditha o używanie w każdym punkcie obserwacyjnym tylko jednego radia dalekiego zasięgu. Nadal miało to sens pod względem bezpieczeństwa, ale Hafner nie uwzględnił zdenerwowania, jakie wywołał tak niewygodny układ.

Najpierw Matki Podziemia, teraz skomplikowana sztafeta telefoniczna, narzekał w duchu i patrzył na czujne Gorgonie Głowy przy drzwiach. Dlaczego tak bardzo obawiamy się rozpowszechnienia wiadomości o przełącznikach sterowniczych? W jaki sposób ktoś mógłby się tu dostać, żeby coś

zrobić - przekupiłby jedną z Gorgonich Główn?

- Uruchamia się ta duża cewka - ogłosił Barner. Hafner otrząsnął się z zamyślenia.

- Chodzi o ten solenoid, który strąca pionoloty na ziemię?

- Właśnie ten. - Barner słuchał jeszcze przez chwilę. - Mam nadzieję, że wszystko w porządku.

Wydaje buczenie, które słyszeć nawet przez ścianę, a wysokość tonu zmieniła się już dwa razy.

Hafner zmarszczył brwi i podniósł nadajnik do ust.

- Stimmons? Coś się zmieniło na tablicy kontrolnej?

- Tak.. Zgasły dwa światła. I wiem już, co mi przypomina ich ułożenie. Wygląda jak układ

okresowy pierwiastków bez prawej górnej części...

- Bez niemetali? - przerwał Hafner.

- Tak. Ale widzę jeszcze trzy rzędy światła na dole, w miejscu, gdzie zwykle są aktynowce.

Barner przysunął się bliżej, żeby słyszeć obydwu rozmówców.

- Myślałem, że jest tylko sto siedem pierwiastków.

- Może Prząśnicy odkryli kilka nowych - rozważał Hafner. - Pręt wykonano z czegoś, czego nie

znamy.

- Więc do czego służy cewka, do sortowania wchodzących metali według pierwiastków?

- Tak sądzę - powiedział Hafner, lekko zaskoczony szybkim rozumowaniem Barnera.

- Mogli używać solenoidu jako ogromnego akceleratora liniowego, w którym częstotliwość napędzających pól elektrycznych zależała od masy i ładunku przyspieszanych jonów. Może zaprogramowano to tak, żeby przepuszczać po kolei wszystkie pierwiastki albo materiał, który tam wchodzi określa, co będzie wykorzystane najpierw.

- Aha. Wie pan, cała ta aparatura zużywa okropnie dużo energii. Odkrył pan już, skąd może pochodzić?

- Prawdopodobnie gdzieś na końcu tunelu umieszczono generator. Pewnie tam, gdzie... - Urwał, bo wyraz twarzy Barnera zmienił się gwałtownie. - Co się stało?

- Doktorze - powiedział wolno major - chodzi o tę cewkę na dole. Jeżeli może zepsuć repulsory pionolotu na wysokości tysiąca metrów... to co stanie się z ludźmi w tunelu?

- Dlaczego...? - Hafner poczuł jak zasycha mu w ustach. Przecież zespół medyczny zatwierdził wszystkie pozycje obserwacyjne... prawda? - Ale nie rozmawiał pan właśnie z nimi?

- Nie. To był ktoś w zewnętrznym korytarzu. - Barner nacisnął przycisk wywołujący. - Edmonds, ma pan kontakt z ludźmi w środku?... Nie, po tym, jak zaczęło się buczenie?... Cholera. Otworzyć drzwi i...

- Chwileczkę - przerwał Hafner. - Niech najpierw sprawdzą natężenie pola elektrycznego w korytarzu, gdzie są. Jeśli nic nie znajdą, ściana może działać jak osłona i lepiej, żeby tak zostało.

- To nie ma znaczenia - powiedział cicho Barner. - Drzwi i tak się nie otworzą.

Wygląda na to, że zamknęły się automatycznie.

Hafner spojrzał na niego, westchnął cicho i odwrócił się.

Solenoid działał jeszcze przez dwie godziny, zanim wreszcie się wyłączył i odblokował zamki bezpieczeństwa. Dwóch ludzi, którzy byli w środku, znaleziono martwych, opartych o drzwi.

O zmierzchu Prząśnica z mechaniczną obojętnością wystrzeliła pręt w stronę równie niewrażliwych gwiazd.

Jeszcze dwóch ludzi, pomyślał ze znużeniem Meredith, kiedy czytał raport lekko szklстыми oczami. Jeszcze dwóch ludzi.

Westchnął, odchylił się w fotelu i spojrzął przez otwarte okno w ciemność na dworze.

Było już późno i pułkownik wiedział, że niewyspanie odbije się na nim następnego dnia, ale miał zbyt zajęty umysł, aby zasnąć. Całe przedsięwzięcie udało się bez zarzutu: pomyślnie wyprodukowali zamówiony pręt, zdobyli całe dyski danych na temat działania Prząśnicy i dowiedzieli się wstępnie, które panele kontrolne w wieży mogły kierować określoną operacją. Ale śmierć dwóch ludzi obróciła to wszystko wniwecz.

Meredith usłyszał pukanie. W otwartych drzwiach zobaczył Carmen.

- Pracuje pani dziś do późna? - zapytał, skinieniem dłoni wskazał jej krzesło i przełączył terminal w stan oczekiwania.

- Zobaczyłam światło i postanowiłam wpaść tutaj w drodze do domu - powiedziała, kiedy usiadła i wręczyła mu dysk. - Może pana zainteresować, że nasze oficjalne saldo w handlu z Rooshrike przekroczyło jeden i osiem dziesiątych miliarda dolarów.

- Czyli jesteśmy albo dość dużą korporacją, albo małym państwem - mruknął, kiedy przeglądał zapisane na dysku dane finansowe. - Czy to znaczy dwa miliardy minus zbiorniki hydroponiczne?

Przytaknęła.

- Ale zamówiliśmy też inny sprzęt wart kilkaset milionów, więc to nie potrwa długo.

No, przynajmniej na razie jesteśmy bogaci.

- Mhmm.

Oddał dysk Carmen.

- Mam nadzieję, że Rooshrike są zadowoleni z nowej zabawki?

- Zachwyceni. Kiedy ostatnio sprawdzałam, zahaczyli za jeden koniec i brali długi, spokojny zakręt, żeby ustawić się w prawidłowej pozycji do przeskoku.

- Mam nadzieję, że pręt przeskoczy razem z nimi.

- Powinien. Sileacs tal Mors kith twierdzi, że przeprowadzili kilka testów ze zwykłym prętem holowanym przez statek kosmiczny. Przecież Prząśnicy też wywozili ten materiał poza system. - Urwała i spojrzała na niego z uwagą. - Jak rozumiem, straciliśmy dziś dwóch ludzi.

Meredith przytaknął ponuro.

- Usmażone mózgi, czy coś takiego... żaden z naszych lekarzy nie znał dokładnie przyczyny.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że pola elektryczne mogą zabijać.

- Ja też nie. Ani najwyraźniej nikt inny. - Westchnął. - Wygląda na to, że Perez znowu miał rację.

Nie poradzimy sobie ze wszystkim sami. Wielkość populacji kolonii ustalono dla badań geologicznych i rolnictwa. Doktor Hafner i inni wysunęli cholernie trafne przypuszczenia, lecz tak naprawdę nie wiemy, z czym mamy do czynienia. To cud, że nie zginęło więcej ludzi.

- Co mamy zrobić? - zapytała po chwili Carmen. - Sprowadzić więcej ekspertów z Ziemi?

- Możemy to zrobić albo wtajemniczyć Obcych. Pytanie tylko, czy Saleh nie będzie na tyle uparty, żeby wrzucić ludzi do jednego worka ze wszystkim, co podlega embargu.

- Sporządzi pan listę osób, które chciałby pan zaprosić?

Uniósł brew.

- Rozmawiała pani z Perezem, tak? Aha - zaświtało mu po chwili w głowie - to pani odtajniła dla niego zastrzeżony Folder Naukowy, żeby mógł go przekazać Ctencri, prawda?

Zaczerwieniła się mocno, ale prawie natychmiast rumieniec ustąpił miejsca zaskoczeniu.

- Co zrobił?! Ależ... powiedział, że chce tylko ułożyć własną listę naukowców do przegłosowania.

- Widocznie zdecydował się ominąć szczegóły proceduralne powiedział sucho Meredith. - Przekazał Ctencri stos zaproszeń do doręczenia. Zastanawiam się, w jaki sposób chce nakłonić ONZ do zapewnienia transportu.

Carmen nadal wyglądała na zakłopotaną.

- Ale skąd pan wie... to znaczy...

- Sprawdziliśmy, co robił przy komputerze przed wręczeniem Ctencri pakunku na zebraniu w sprawie obronności. Nie zadał sobie trudu skasowania pliku, w którym umieściła pani dane z Foldera Naukowego. - Uśmiechnął się przelotnie, kiedy zauważył jej zmieszanie.

- Bez obaw. Nie jestem wściekły na panią z tego powodu. I tak by to jakoś zrobił. Pewnie nie stało się nic złego, chociaż i tak zmyję mu głowę za zlekceważenie mnie.

- Chyba że ja go wcześniej dorwę - uniosła się Carmen. - To jego ugrzecznione gadanie...

- Spokojnie - poradził Meredith. - Proszę zauważyć, że jest teraz winien pani ogromną przysługę i upewnić się, czy o tym wie. To pozwoli go kontrolować.

- Wątpię. - Carmen potrząsnęła głową. - Ja po prostu nie mogę go rozgryźć, pułkowniku. Raz jest po naszej stronie, a drugi raz robi coś tak podstępnego.

Meredith wzruszył ramionami.

- On nigdy nie był po naszej stronie. To my czasem byliśmy po jego. On ma pewną wizję Astry i od początku stara się ją urzeczywistnić.

Carmen drgnęła warga.

- Tak. Jego raj dla ubogich z Ziemi. Pewnie chciałby umieścić na orbicie kopię Statuy Wolności.

- Te jego bezładne masy to jedyni koloniści, jakich możemy dostać. Zezwolenia na opuszczenie Ziemi leżą w gestii poszczególnych narodów i ostatecznie ONZ, a Saleh nie da nam zwabić najmądrzejszych i najlepszych.

- A to oznacza - powiedziała wolno Carmen - że jeśli Ctencri osobiście nie przywiozą tu naukowców Crisa, to oni nie przylecą.

- Prawdopodobnie. - Meredith zerknął na zegarek. - No, pozwolę już pani iść do domu. Jutro będziemy mieli dużo pracy po tym, jak poszła dzisiejsza operacja.

- Tak. Carmen westchnęła i wstała. - Odbędzie się stosowny pogrzeb, czy ukryje pan śmierć tych ludzi przed Obcymi i zorganizuje im gdzieś prywatny pochówek?

- Będzie pogrzeb. Nie musimy przecież ogłaszać, w jaki sposób zmarli.

Przysunął fotel bliżej biurka i ponownie uruchomił terminal. Carmen wyszła z pokoju.

Przez chwilę Meredith patrzył na terminal i zastanawiał się po raz tysięczny, dlaczego spada na niego tak duży ciężar. Nigdy o to nie prosiłem, wyrzucił wszechświat.

Chciałem, żeby Astra stała się moim skromnym sukcesem. Wziąłbym gwiazdkę brygadiera i wrócił do domu. Dlaczego, u diabła, Prząśnicy nie wyłączyli tej swojej cholernej maszyny, kiedy stąd wyjechali?

Terminal nie dał mu odpowiedzi. Meredith potrząsnął głową, uwolnił się od dręczących go pytań i znowu zajął się pracą. Przynajmniej, powiedział sobie, wkrótce będzie mógł podzielić się tym ciężarem z ekspertami.

Zakładając oczywiście, że Ctencri wykonają swoją część zadania powierzonego im przez Pereza.

Loretta Williams stawiała właśnie warzywa na kuchence, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

- Kirk, możesz otworzyć? - zawołała i sięgnęła po rękawice do trzymania gorących naczyń. - Ja muszę wyjąć pieczeń.

- Jasne, mam - lakonicznie odpowiedział głos nastolatka z małego pokoju gościnnego.

Zajęta pieczeniem Loretta nie usłyszała otwieranych drzwi, potem w drzwiach kuchni stanął Kirk.

- Jakichś dwóch facetów do ciebie - oznajmił. - Mówią, że pracują dla rządu.

Najpierw pomyślała, że chodzi o jej ostatnią prośbę w sprawie przyznania dotacji. Kiedy jednak uświadomiła sobie, że Narodowa Fundacja Naukowa pracuje dokładnie od dziewiątej do czwartej, odwróciła się, spojrzała na stojących za synem mężczyzn... i natychmiast porzuciła wszelkie myśli o nauce. Ubrani w zwykłe służbowe garnitury, mogli być z każdego miejsca w Waszyngtonie... dopóki nie spojrzano się na ich twarze.

- Doktor Williams? - zapytał wyższy.

- Tak - potwierdziła i podała rękawice Kirkowi. - IRS? zastanawiała się. A może nawet FBI?

Drugi mężczyzna wyglądał trochę na Irańczyka. Czyżby chodziło o ten kawałek glinianego garnka, który przywiozła z Daszti Kawiru?

Wysoki mężczyzna pokazał legitymację.

- Jestem Stryker z CIA. To jest pan Taraki z ONZ. Chcielibyśmy z panią chwilę porozmawiać.

- W porządku - powiedziała Loretta z zaschniętymi ustami. CIA?!

- Kirk, dokończ przygotowywać obiad. Ty i Lissa możecie zacząć jeść beze mnie.

Zamknęła za sobą drzwi kuchni i zaprowadziła mężczyzn do najdalszego kąta salonu.

Jeszcze zanim usiedli, zauważyła, że tak manewrowali, żeby jej przypadło miejsce w rogu, z którego trudno przedostać się do wyjścia.

Rozluźniła mięśnie i czekała na cios.

- Doktor Williams, mam dla pani list - powiedział Taraki poprawną angielszczyzną, ale z silnym obcym akcentem.

Farsi albo jeden z jego dialektów, zidentyfikowała wstępnie. Taraki wyciągnął z kieszeni kopertę i wręczył jej.

Pieczęć już była złamana, zauważyła, kiedy wyciągała kartkę ze środka. List był krótki, ale po przeczytaniu go poczuła się tak, jakby zbyt długo przebywała na pustynnym słońcu. Przeczytała dwa razy w nadziei, że to pomoże. Ale nie pomogło.

Wreszcie popatrzyła na nich znad listu.

- Naprawdę nie wiem, co powiedzieć - mruknęła. Milczeli, a ona mówiła dalej. - Jak rozumiem, Astra jest teraz punktem zapalnym, ale nadal zaprasza się tam ludzi do pracy nad przetłumaczeniem języka Prząśników?

- Chciałaby pani pojechać? - zapytał Stryker.

Zawahała się. Żałowała, że nie śledziła na bieżąco tego całego zamieszania w kosmosie.

- Chciałabym, tak. Ale myślałam, że ONZ wstrzymała na razie wszystkie podróże na Astrę.

- Owszem - powiedział Taraki. - Pani list został przywieziony na pokładzie ctencriańskiego statku. Może pani wymknąć się w ten sam sposób.

To o to chodziło z tym skontaktowaniem się z Ctencri, pomyślała i przeniosła wzrok na tę część listu.

- Ach. To brzmi... raczej nielegalnie.

- To zależy - wzruszył ramionami Stryker. - Za jak dobrą Amerykankę się pani uważa?

- Dlaczego... ja... dość dobrą. Tak myślę. - wydusiła z siebie, zaskoczona pytaniem.

- A co pani sądzi o ONZ? - ciągnął mężczyzna z CIA.

Loretta zerknęła na obojętną twarz Tarakiego.

- Czasem złoścą mnie ich tyrady przeciw Ameryce, ale dużo zrobili dla biedniejszych krajów. Raczej ich popieram.

Mężczyźni wymienili spojrzenia, a Loretta zauważyła, że Taraki wzruszył ramionami i nieznacznie kiwnął głową.

- W takim razie - powiedział Stryker, znów odwracając się do Loretty - chcielibyśmy, żeby przyjęła pani zaproszenie... pod jednym warunkiem. - Zrobił efektowną pauzę. - Że zgodzi się pani przekazać wszystkie znaleziska bezpośrednio do ONZ.

Przez dłuższy czas patrzyła to na jednego, to na drugiego.

- Mam być szpiegiem? - zapytała wreszcie, usilnie starając się powiedzieć to bez obrzydzenia.

Taraki najwyraźniej i tak je usłyszał.

- Chyba nie myśli pani, że praca przeciwko zdrajcom ludzkości to coś złego - powiedział. - Koloniści chcą zatrzymać Prząśnicę dla siebie wbrew poleceniom Sekretarza Generalnego Saleha i waszego prezydenta Allertona. Czy gdyby grupa terrorystów chciała zaminować Cieśniną Ormuz albo odtworzyć wirusa ospy, to pani sumienie działałoby tak samo irracjonalnie?

- Ja... no, pewnie nie. Ale astriańscy koloniści nie są terrorystami... to zwykli obywatele amerykańscy, większość z nich...

- Już nie - przerwał spokojnie Stryker. - Ogłosili całkowitą niezależność od Ziemi. Przez chwilę siedziała nieruchomo w milczeniu i próbowała to przemyśleć. Tak sensacyjna wiadomość z pewnością dotarłaby do niej, nawet mimo jej zwykłego braku zainteresowania tymi sprawami. A to oznaczało, że rząd trzymał to w tajemnicy. Czyli że... co?

- Bardzo mi przykro, panowie - powiedziała. - Ale naprawdę nie wydaje mi się, abym mogła zrobić to, o co mnie proście.

Stryker przygryzł wargi.

- Właściwie, doktor Williams, obawiam się, że nie ma pani wyboru. Jest pani jedynym lingwistą na astriańskiej liście posiadającym umiejętności i... no, inne atuty, których szukamy.

Jeśli nie pojedzie pani dobrowolnie, prezydent przygotował specjalny rozkaz, na mocy którego zostanie pani wcielona do armii.

Loretta oblizwała spierzchnięte wargi. W głowie tłukły się jej dwie myśli: „to bardzo totalitarne posunięcie” i „sytuacja na Astrze musi ich naprawdę niepokoić”. Ale było to tylko ćwiczenie umysłowe. Takiego rozkazu musiała słuchać. Już za późno, żeby nauczyła się przeciwstawić władzy.

- Potrzebuję kilku dni na załatwienie wszystkich spraw na uniwersytecie - powiedziała. - Muszę też znaleźć kogoś do opieki nad dziećmi...

- Już wszystko załatwione - powiedział Stryker i obaj wstali. Jutro o dziewiątej rano przyjedzie samochód po panią i dzieci.

- Chwileczkę - powiedziała, kiedy odwrócili się w stronę drzwi. - Dlaczego Kirk i Lissa też muszą lecieć?

- W przyszłym tygodniu ogłosimy bunt Astry - powiedział Stryker. - W pewnym momencie może wyjść na jaw pani rzekoma kolaboracja, a my nie będziemy mogli tak szybko ujawnić pani prawdziwej roli. Może dojdzie do aktów przemocy i lepiej, żeby pani dzieci były w bezpiecznym miejscu.

- Aha. - Loretta poczuła ściskanie w gardle. Ten aspekt sprawy nawet nie przyszedł jej wcześniej do głowy. - A... co ze szkołą i...

- Wszystkim się zajmujemy, pani doktor. Proszę nam zaufać powiedział łagodnie mężczyzna z CIA.

- Nic im nie będzie. A po powrocie do domu spadnie na nie część chwały, na którą sobie zasłużycie. A teraz proszę się niczym nie martwić i przygotować się do wyjazdu jutro o dziewiątej. Dziękujemy.

Odprowadziła ich do drzwi i powoli poszła z powrotem do kuchni. Kirk i Lissa już prawie skończyli jedzenie. Ich zwykłe sprzeczki tłumiła świadomość, że działo się coś niezwykłego. Przekazała im nowinę najlepiej, jak umiała. Na szczęście przyjęli ją bez kłótni i narzekań. To coś, co trzeba zrobić, - pomyślała Loretta, nakładając sobie jedzenie, - i teraz ja muszę się tym zająć. Kto wie, może uznam rolę królowej szpiegów za niezłą zabawę?

Ale pomimo ożywionej rozmowy, pieczeń smakowała jej jak gorąca tektura... i długo nie mogła zasnąć tej nocy.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 24

Carmen na Ziemi często nurkowała z aparatem tlenowym, a podczas długiej podróży na Astrę kilka razy doświadczyła stanu nieważkości. Do połączenia tych dwu rzeczy nie można się było jednak szybko przyzwyczać.

Kiedy pływała wewnątrz statku Pomów i przeciwstawiała się łagodnym prądom wody od dzioba, próbowała nie zwracać uwagi na buntujący się żołądek i skoncentrować się na ogromnych oknach w kadłubie. Przez jedno z nich widoczne było astriańskie słońce, którego światło wypełniało pomieszczenie i zmieniało wodę w błyszczącą zieloną mgłę.

- Robi wrażenie - powiedziała ostrożnie, ograniczając ruchy twarzy do minimum.

Jej maska nie powinna przeciekać przy poprawnym użytkowaniu, ale Carmen miała na to tylko słowo porucznika Andrews'a, a nie chciała, nie mogła dopuścić, żeby otaczająca ją maź dostała się do środka.

- Dziękuję - usłyszała głęboki głos w uchu.

Pom podryfował w kierunku okna i z potężnym machnięciem ogona zawrócił w stronę Carmen. Zobaczyła przelotnie małe czarne pudełko w jego macce, zanim wsunął je z powrotem do kieszeni w swoim stroju.

- Nasilenie światła wydaje się być w obrębie kilku procent optimum - mówił dalej głos z translatora. - Nadal jest za wcześnie na otrzymanie dobrej krzywej wzrostu glonów, ale powinno to potrwać jeszcze tylko kilka godzin.

- Dobrze.

Z cienia wypłynął inny Pom, a fala wywołana tym ruchem popchnęła Carmen. Zatoczyła się trochę, zanim zdołała się zatrzymać. Zupełnie jak przy zbiorniku z morświnami w oceanarium, przyszło jej nagle do głowy. W czasie karmienia, dodała, kiedy trzeci Pom przemknął jej między nogami, żeby dołączyć do pozostałych. Przez chwilę trzech Obcych dryfowało razem jak szprychy koła i prawie dotykało się nosami podczas rozmowy.

W końcu zmienili formację, a telefon w uchu Carmen znowu ożył.

- Prędkość przepływu jest już odpowiednio ustawiona - poinformował ją przywódca Pomów. - Glony będą miały właściwą długość dnia i nocy potrzebną do maksymalnego wzrostu.

- Dobrze. Czy wasze ekstraktory poradzą sobie z wynikiem produkcji?

- Na pewno. Nasze uprawy w statkach tej klasy rosną dwa razy szybciej, niż urosną teraz wasze.

- Ciekawe. Niewykluczone, że będziemy chcieli kupić próbkę do badań. Jeśli okaże się, że pasują do naszej chemii, może zajmiemy się ich produkcją.

- Szczerze mówiąc, zrobilibyście lepiej wynajmując drugi statek. Koszty i trudności z czyszczeniem statku tej wielkości są zbyt duże.

- Ale przecież wy zrobiliście to już co najmniej raz.

- W tym statku? Nieprawda. Był nowy, wypełniony wodą, ale jeszcze nie używany do upraw. Szczęście, że mieliśmy go pod ręką we właściwym momencie.

- Rzeczywiście - przytaknęła Carmen.

Pożywienie z mielonych glonów nie rozwiązywało wszystkich problemów zaopatrzeniowych Astry, ale zapasy kolonii wystarczały teraz aż do następnego sezonu wegetacji. Jak tylko ustabilizuje się system produkcji i dostaw - postanowiła - zamienimy rooshrikańskie zbiorniki naziemne na zwykłą hodowlę upraw. Zastanawiam się, czy nie możemy pozwolić sobie już teraz na jakiś żywy

inwentarz... ale skąd go zdobędziemy?

- Jeśli skończyła już pani inspekcję - powiedział Pom - Waywisher chciałby z panią porozmawiać na osobności w sterowni.

- W porządku.

Pewnie chce przedyskutować wysokość opłaty za wynajem statku, pomyślała i podpłynęła do burty, gdzie prąd ułatwiał ruch w stronę dzioba. Dwóch Pomów płynęło za nią, a trzeci zniknął gdzieś przy rufie. Z przodu sześć otworów prowadziło do środkowego pomieszczenia. Carmen wybrała jeden na chybił trafił, przepłynęła przez niego i włączyła lampę, kiedy zniknęło słoneczne światło. „Ciemnia”, jak nazywała prywatnie to pomieszczenie, miała prawie takie same rozmiary, jak sala, którą właśnie opuścili, i też było w niej pełno glonów. Na szczęście luk wyjściowy otaczały pomarańczowoczerwone światełka i Carmen znalazła go bez pomocy.

Po wyjściu z ciepłego pomieszczenia z glonami odnosiło się wrażenie, że woda na zewnątrz pochodzi z pomocnego Atlantyku. Carmen była szczęśliwa, kiedy wreszcie otworzyły się wewnętrzne drzwi i znowu mogła ruszać rękami i nogami.

O ile zbiornik z glonami przypominał jej akwarium, o tyle przednia część statku nie była niczym innym, jak tylko zatopionym w wodzie trójwymiarowym mysim labiryntem, wyłożonym bożonarodzeniowymi lampkami. Nagłe załamania i zakręty korytarzy na pewno miały jakiś sens, ale w trakcie jednorazowej wizyty nie można było tego dokładnie określić.

Musi tu być ciekawy układ pokoi, pomyślała, kiedy zakręcili dwa razy o dziewięćdziesiąt stopni na długości czterech metrów. Nie chciałabym być w grupie zwiadowczej, której przydzielono by ten statek. Ta myśl przypominała jej o pytaniu, które miała zadać na prośbę Meredith. Poświęciła więc resztę czasu na próby uprzejmego sformułowania tego pytania.

Opuścili labirynt i wpłynęli do sterowni. Wrażenie robiły nie oświetlenie i urządzenia, lecz wyraźnie wyczuwalna fachowość pełniących tu służbę Pomów. Z boku, w pobliżu luku pływał Obcy, w którym Carmen rozpoznała Waywishera. Kiedy zwróciła się w jego stronę, zamachał ogonem i tak dopasował prędkość, żeby spotkać się z nią dokładnie w połowie drogi.

- Dzień dobry, pani Olivero - usłyszała głos z translatora, gdy Waywisher opływał ją dookoła według określonego schematu, co Carmen wzięła za taniec powitalny Pomów.

A może jest to też oznaka odpowiedzialności, - pomyślała. Zauważyła, że po zakończeniu tańca eskorta wycofała się na drugą stronę pomieszczenia.

- Ufam, że statek został przygotowany zgodnie z pani oczekiwaniami?

- Na razie wygląda to dobrze - powiedziała. - Zobaczymy za kilka dni lub tygodni, kiedy cały system osiągnie stan równowagi. Chciał pan ze mną porozmawiać na osobności?

- Tak.

Rozległo się krótkie buczenie w obwodach, a ton głosu translatora lekko się zmienił.

- Właśnie odciałem łączność z innymi przedstawicielami mojego gatunku. Chciałbym zaproponować pewną wymianę: informacja za zniżkę na pręt Prząśnicy.

- Ach tak? - zapytała Carmen, starając się rozluźnić skurcz żołądka. - A jaką macie informację?

- Sformułowaliśmy spójną hipotezę na temat materiału pręta i kleju, który go pokrywa. Sprzedamy tę informację za zniżkę w wysokości biliona dolarów.

- To dużo pieniędzy - zauważyła Carmen. - Dlaczego sądzicie, że ta informacja jest tak cenna?

- Nie wydaje mi się, żebyście w najbliższej przyszłości zdobyli ją na bazie waszej nauki. Ale kiedy naprowadzimy was na właściwy trop, tempo waszych prac nad zrozumieniem działania

Prząśnicy i uzyskaniem nad nią kontroli ulegnie znacznemu przyspieszeniu.

- A dlaczego pan sądzi, że już teraz nie rozumiemy jej działania i nie mamy nad nią kontroli?

- Dwóch waszych pracowników zmarło podczas lub tuż po pierwszej rooshrikańskiej operacji z prętem. Wniosek jest oczywisty.

Carmen zacisnęła usta.

- W porządku. Więc skoro już o tym mówimy, niektórzy z nas chcieliby wiedzieć, do czego potrzebujecie tak dużo pręta. Skoro żyjecie pod wodą, zastosowanie tak mocnego materiału jest dość ograniczone.

Jeżeli nawet pytanie zdenerwowało Waywishera, nie można było tego poznać ani po jego zachowaniu, ani po słowach.

- To właśnie z powodu środowiska, w jakim żyjemy, tak bardzo potrzebujemy pręta. Proszę powiedzieć, jak pani zdaniem wysyłamy w kosmos nasze statki?

- Dlaczego...? - Zaskoczyła ją nagła zmiana tematu. - Przypuszczam, że wcale tego nie robicie. Budujecie statki na orbicie z materiałów dowożonych wahadłowcami.

- Nie. Bardziej się nam opłaca budować je na powierzchni planety. - Pod wodą, sprostowała Carmen w myślach. - Potem wysyłamy je w kosmos prawie puste. Zalana jest tylko sterownia, a większość załogi przebywa w małych pojemnikach w stanie hibernacji.

Niezbędny personel prowadzi statek do najbliższej planety gazowej z pierścieniami albo do pasa planetoid, jeśli taki jest w systemie. Pozostają tam przez rok, aż zbiorą odpowiednią ilość lodu, żeby wypełnić statek. Dopiero wtedy można obudzić załogę.

- Skomplikowane - mruknęła Carmen.

- I bardzo kosztowne - dodał Pom. - Poza tym jedna na dwadzieścia osiem osób poddanych hibernacji nie przeżywa procesu budzenia.

- Musicie bardzo chcieć podróżować w kosmosie.

- Nasz świat oblewa bezgraniczny ocean. Zawsze swobodnie pływaliliśmy tam, gdzie chcieliśmy. Mielibyśmy być teraz więźniami tylko jednej planety?

Płetwy Obcego naprężyły się niespokojnie, a Carmen poczuła nagle, że poznała część najgłębszych obszarów psychiki Pomów. To dziwne, pomyślała, jak bardzo translatory potrafią zatrzeć różnice między nami. Ciekawe, czy to zaleta, czy wada tej całej techniki?

Interesujące zagadnienie; jednak zanim zdołała głębiej się nad tym zastanowić, Waywisher uspokoił się.

- To właśnie dlatego potrzebujemy waszego pręta - powiedział. - Zbudujemy urządzenie, które pozwoli nam wystrzeliwać statki gotowe do podróży kosmicznych.

I nagle Carmen zrozumiała.

- Chcecie zbudować kosmiczny dźwig, tak? Przeciągnąć pręt Prząśnicy z orbity na powierzchnię i użyć go jako podnośnika?

Macki Poma naprężyły się.

- Zna się pani na takich urządzeniach? Zdumiewające!

- Znam tylko teorię - przyznała Carmen i gorączkowo szukała w pamięci szczegółów, które mogła kiedyś zapamiętać. - Zastanawialiśmy się nad tym... no, co najmniej pięćdziesiąt lat temu, jak sądzę. Nie wiem, czy nigdy nie znaleźliśmy nic wystarczająco mocnego, czy odkryliśmy słabe punkty teorii.

- Teoria nie ma słabych punktów, ale nie mieliśmy odpowiedniego materiału. Aż do tej pory.

- Tak, pręt byłby idealny, prawda? - Czy to do tego używali go Prząśnicy? - Bilion dolarów to

jednak bardzo dużo. Będziemy za to chcieli dobrych, solidnych informacji. Ale najpierw musicie nam dać jakąś wskazówkę na temat tych danych, żebyśmy wiedzieli, za co płacimy.

- To dość rozsądne - powiedział po chwili Waywisher. - Dobrze. Pierwsze wnioski wyciągnęliśmy z rooshrikańskich testów nad ich pierwszym prętem. Jak pani wie, we względnie niskich temperaturach wykazuje on nadprzewodnictwo. Może pani jednak nie wiedzieć, że w wyższych temperaturach pojawia się widmo promieniowania prawie jak u ciała o głębokiej czerni. Tylko w niektórych miejscach występują przerwy podobne do linii absorpcyjnych różnych metali. W jeszcze wyższych temperaturach linie te jednak znikają.

- Tak, Rooshrike wspomnieli o tym wszystkim w swoim raporcie. Były też linie prostych związków... chyba tlenku tytanu i paru innych. Nie wiedziałam, że przekazali dane jeszcze komuś oprócz nas.

- Nie przekazali. Przeprowadzali testy w kosmosie, a my mieliśmy w pobliżu sondę.

- Aha.

Carmen coraz trudniej było zachować pierwotne wyobrażenie o Pomach jako łagodnych, prostodusznych istotach.

- Rooshrike uważają chyba, że to wskazuje na obecność nieprzetworzonych metali na powierzchni pręta.

- Nieprawda. Wytrzymałość metalu wskazuje na prawie jednorodny materiał.

- Jak to? Jest wiele stopów mocniejszych niż wchodzące w ich skład metale.

- Zgadza się. Ale stopów nie można wewnątrznie scalać siłami jądrowymi.

Carmen przeszły ciarki. Podobno mistrzostwo Pomów w używaniu sił jądrowych umożliwiło im kiedyś rozwinięcie podwodnej technologii, a teraz było tajemnicą, której zazdrośnie strzegli przed innymi rasami. Jeśli oferowali właśnie to...

- Scalaliście je sami? - zapytała najswobodniej, jak mogła.

- Tak. - Płetwy i macki Waywishera zadrgały nerwowo; niemy znak, że to wyznanie drogo go kosztowało. - Teoria jest dosyć prosta, ale jej zastosowanie może być trudne. Można nią jednak częściowo wytłumaczyć efekt „kleju” jako stopniowo narastające zjawisko krawędziowe. Linie widmowe podobne do absorpcyjnych byłyby wtedy spowodowane reakcją powłoki elektronowej na słabe sprężenie elektromagnetyczne fluktuacji jądrowych.

Czy wszystko jest poprawnie tłumaczone?

- Chyba tak - powiedziała Carmen z nutką ironii w głosie. Więc te rozmowy na Astrze o ochronie tajemnic Prząśnicy... a Pomowie korzystali z tych samych tajemnic od stuleci.

- Nie jestem naukowcem, ale wszystkie słowa brzmią znajomo. Tylko dlaczego chcecie kupić nasz pręt, skoro możecie wyprodukować własny?

Waywisher wydobył z siebie dźwięk podobny do krzyku foki, którego nie przetłumaczył translator.

- Opanowaliśmy tę technikę tylko dla najlżejszych metali. Trudności, podobnie jak i końcowa wytrzymałość materiału, zwiększają się wraz ze wzrostem masy atomowej.

Jeżeli nasza teoria jest poprawna, to pręt Prząśnicy jest wykonany z całkowicie nowego pierwiastka

o masie do trzystu siedemdziesięciu razy większej niż masa wodoru... a jego właściwa wytrzymałość na rozciąganie wynosi około biliona funtów na cal kwadratowy.

Czyli - Carmen zadrżała, kiedy zdała sobie z tego sprawę - tysiąc razy więcej niż minimum, które

ustalili Rooshrike.

- Nie wierzę - wymamrotała.

- Wyliczono to z dokładnością do dziesięciu procent.

- Nie, nie o to chodzi... Mówiłam do siebie. - Minęło trochę czasu, zanim ochłonęła. - Spisaliście

dla nas to wszystko: teorię, obliczenia, hipotezy?

- Mam to przy sobie. Wszystko umieszczone na dysku kompatybilnym z czytnikiem, który dostarczyliśmy pułkownikowi Meredithowi cztery dni temu.

- A więc dobrze - zgodziła się Carmen. - Pręt wartości biliona dolarów za dysk.

Obawiam się jednak, że nadal musicie dostarczać metal potrzebny do produkcji.

- To do przyjęcia.

Waywisher wsunął lewą mackę do kieszeni i wydobył płaski pakunek.

- Nie muszę chyba przypominać, że ta informacja jest ścisłą tajemnicą ludu Pomów i nie może zostać ujawniona żadnej innej rasie.

- Oczywiście - przytaknęła Carmen i ostrożnie wzięła pakunek. - O samym fakcie posiadania przez nas tego dysku będzie wiedziała tylko grupka wybranych ludzi.

My, no, jesteśmy zaszczytzeni waszym zaufaniem.

- Nie mieliśmy wyboru.

Płetwy Waywishera falowały lekko, a Carmen zdała sobie nagle sprawę, że oboje zaczęli dryfować w kierunku wyjściowej śluzy i czekającego na nią wahadłowca.

- Macie coś, czego potrzebujemy. To nie oznaka zaufania proponować coś o takiej samej wartości. Poza tym wasza wojskowa bezsilność powstrzyma was przed ewentualną zdradą, jakiej mogłoby się dopuścić wasze imperium. W przeciwnym razie, natychmiast was unicestwimy.

- My też cenimy sobie waszą przyjaźń - mruknęła.

Machnięciem ogona Waywisher pomógł im przepłynąć ostatnie metry w stronę śluzy, przytrzymał Carmen jedną z macek, a drugą otworzył zamek.

- Do widzenia, pani Olivero. Cieszymy się na długie i harmonijne stosunki między naszymi rasami.

- My także. - Odepchnęła się do tyłu i wpłynęła do śluzy. - Do widzenia, Waywisher.

A zwłaszcza - dodała w myśli, kiedy śluza zamknęła się za nią - zwłaszcza długie.

Kiedy Carmen opuściła wreszcie suszarnię powietrzną śluzy i pojawiła się w komorze pasażerskiej wahadłowca, porucznik Andrews wyglądał na dość zaniepokojonego.

- Wszystko w porządku? - spytał, pomagając jej umieścić lekkie, lecz masywne butle tlenowe na prowizorycznych zatraskach.

- Jasne - powiedziała, zdejmując maskę i zamieniając płetwy na parę miękkich butów.

- Dlaczego pytasz? Tylko dlatego, że tracisz łączność na kilka...

- Wiedziałaś o tym? - Popatrzył jej w oczy, a potem spuścił wzrok na pakunek, który dał jej Waywisher. - A więc nie była to awaria sprzętu, jak sądzę. Waywisher rzeczywiście chciał porozmawiać na osobności?

- Coś w tym rodzaju. Nie wolno mi o tym rozmawiać z nikim oprócz pułkownika Mereditha. Przykro mi.

Andrews wzruszył ramionami.

- Nic nie szkodzi. Tajemnice, których nie mogę nikomu zdradzić, tylko komplikują mi życie. Możesz jednak równie dobrze wrócić i przebrać się - dodał, kiedy poszła w stronę jednego z foteli z

płóciennym obiciem. - Zostajemy tu jeszcze na jedno okrążenie.

Zmarszczyła brwi.

- Dlaczego?

Uśmiechnął się.

- Bo pewien ctencriański wahadłowiec podchodzi właśnie do lądowania i major Brown chce mieć dużo miejsca. Jak przystało na przyjazd ważnych osobistości.

- Ważnych osobistości? To znaczy...?

- Właśnie. Perezowi opłaciło się ryzykować. Przybyła kawaleria naukowa.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 25

Loretta Williams nigdy nie pomyślałaby o sobie jako o części kawalerii, biorąc pod uwagę liczebność i lojalność grupy, która siedziała za stołem konferencyjnym.

Wyglądali raczej na pięcioosobowy oddział partyzancki, drużynę szykującą się do obalenia rządów zdeprawowanego dyktatora i jego bandy zdrajców. Była to szlachetna i - musiała przyznać - dość romantyczna wizja, którą podczas treningu i podróży na Astrę podkreślano tak silnie, że prawie w nią uwierzyła.

Tylko że pułkownik Meredith nie wyglądał na zdeprawowanego dyktatora.

Nie chodziło zresztą tylko o wygląd. Loretta zjeżdżała kawał świata, kiedy prowadziła badania terenowe, i rozwinęła umiejętność oceny ludzi po ich sposobie mówienia i zachowania. Gdy Meredith stał przy końcu stołu i opisywał Prząśnicką Grotę i dość spartańskie warunki życia na Astrze, wydawał się raczej kierownikiem poważnego, chociaż może źle zarządzanego przedsiębiorstwa, niż żądnym władzy lub bogactw despota.

Możliwe jednak, że był znakomitym aktorem. Miała nadzieję, że tak było. I dopóki nie okaże się, że jest inaczej, należało przyjąć właśnie to jedyne bezpieczne założenie.

Zebranie trwało około godziny, a kiedy się skończyło, zabrano ich pionolotem do czegoś, co wyglądało jak obóz wojskowy nad jeziorem, które Meredith nazywał Morzem Martwym. Stało tam zaledwie kilka budynków, ale każdemu z pięciu naukowców przydzielono po jednym. Z zewnątrz nie wyglądały zachęcająco, lecz przytulne wewnątrz, do którego weszła Loretta, było przyjemnym zaskoczeniem. Jej bagaż ułożono starannie koło łóżka - pewnie go przeszukano w czasie zebrania, pomyślała - i po obejrzeniu czterech pokoi Loretta zaczęła się rozpakowywać.

Wyjmowała właśnie rzeczy z drugiej walizki, gdy przerwało jej ciche pukanie do drzwi. Otworzyła je i zobaczyła sympatycznego młodego mężczyznę w cywilnym ubraniu.

- Tak? - zapytała.

- Doktor Williams? Nazywam się Al Nichols, będę z panią pracował. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam w niczym ważnym, na przykład w spaniu?

- Ależ nie - zapewniła. - Proszę wejść, doktorze Nichols,

- Proszę mi mówić Al - zaproponował, wszedł i rozejrzał się po pokoju. - Nieźle, nie wiedziałem, że urządzili to tak ładnie. Wpadłem tylko, żeby się z panią zobaczyć i powitać w imieniu astriańskiej społeczności naukowców. Mam nadzieję, że miała pani przyjemną podróż?

- W porządku, chociaż była trochę nudna. O, mogę zaproponować panu coś do picia? Tylko, że nie wiem jeszcze dokładnie, co tu mam.

Uśmiechnął się.

- Nie, dzięki. Obawiam się, że nie będzie pani miała zbyt dużego wyboru. Na razie jesteśmy bogaci, bo nie ma tu nic ciekawego, na co by można wydać pieniądze. To tak jak być milionerem w Idaho.

Uśmiechnęła się. Zaraził ją swoją wesołością.

- Może więc usiądziemy i opowie mi pan wszystko o Prząśnicy.

- Ogólnie rzecz biorąc, jest to wielka maszyna Obcych, która generuje niezniszczalne pręty i zszarpane nerwy - powiedział i usiadł na kanapie, podczas gdy Loretta zajęła miejsce w fotelu naprzeciwko. - W Folderze Naukowym przeczytałem, że jest pani tu jednym z najlepszych paleografów, ale myślę, że będzie to dla pani największe wyzwanie w życiu.

Wskazał kciukiem na panoramiczne okno. Na zewnątrz, za szeregiem namiotów widać było wejście do tunelu, o którym wspomniał Meredith.

- Cieszy mnie to - powiedziała. - Pan też jest lingwistą?

Roześmiał się.

- Nie bardzo. Z wykształcenia jestem geologiem, ale skoro i tak zajmuję się Prząśnicą, mogłem albo zmienić specjalność, albo zwariować z nudów. Na szczęście nie musiałem zaczynać od początku. Mamy bardzo dobry komputerowy system tłumaczeń, który Rooshrike kupili dla nas od Ctencri. Wpisałem do komputera tekst prząśnickich etykiet przełączników i wskaźników, ale jak dotąd mamy tylko niejasne wskazówki co do ich znaczenia.

- Rozumiem - przytaknęła. Zastanawiała się, dlaczego jemu powierzono to zadanie.

Czyżby nie było nikogo z większym doświadczeniem? - Zajmowałam się kiedyś rozszyfrowywaniem nieznanymi języków. Razem powinniśmy sobie z tym jakoś poradzić.

- Mam nadzieję. - Nichols spojrział na zegarek. - Ups, obowiązek wzywa. Muszę eskortować następną zmianę do wieży. Wstał. - Może zadzwoni pani do mnie, kiedy już się pani tu urządzi. Pokażę pani, nad czym pracuję - zaproponował, gdy Loretta odprowadzała go do drzwi. - Mój numer znajdzie pani w dokumentach. A jeśli będę w grocie, ktoś na pewno odbierze wiadomość.

- Tak zrobię - obiecała. - Dziękuję, że pan przyszedł.

- Jasne. Do zobaczenia.

Zamknęła za nim drzwi i wróciła do salonu. Patrzyła przez chwilę przez okno, jak pobiegł do tunelu. Westchnęła, poszła do sypialni i znowu zajęła się bagażami.

Przez chwilę wszystko wyglądało jak dawniej. Była tylko zwykłym naukowcem, który rozmawiał z kolegą po fachu na temat wspólnej pracy. Ale to ciepłe, przyjemne uczucie szybko zniknęło. To wszystko byłoby o wiele łatwiejsze, pomyślała ponuro, gdyby ludzie nie zachowywali się tak sztucznie. Może ta fasada zniknie, kiedy spędzimy tu trochę czasu. Mam taką nadzieję.

Chociaż wcale nie uważała, że tak się rzeczywiście stanie.

- Powinno wystarczyć jeszcze tylko jedno wstrzyknięcie - powiedział młody chemik głosem tłumionym przez maskę ochronną i ciasną przestrzeń w tunelu.

Perez kiwnął w milczeniu głową. Żałował, że zgłosił się do tego zadania i jednocześnie cieszył się, że to nie on musiał sączyć kwas fluorowodorowy na kamień blokujący bieżnik prząśnickiej koparki. Z szurania nogami za sobą wywnioskował, że nie tylko on myślał w ten sposób.

To był śmiertelnie nudny dzień. Meredith polecił przyjrzeć się koparkom. Wysłał więc czteroosobową grupę na rekonesans do sieci zewnętrznych tuneli Prząśnicy.

Spędzili tam sześć godzin i znaleźli osiem maszyn... i tylko ta jedna - którą znalazł Meredith, kiedy weszli tu po raz pierwszy - miała szansę zostać reaktywowana bez kompletnej instrukcji obsługi.

Zadanie Pereza polegało głównie na pilnowaniu Gorgonich Głównych pojawiających się coraz częściej w miarę przybierania na sile prac w grocie. Nikt nie wiedział, czy maszyny te broniły też dostępu do koparek, ale lepiej było tego nie sprawdzać. Z ich jedyne jak dotąd doświadczenia z Gorgonimi Głównymi wynikało, że zaprogramowano je tylko do zatrzymywania potencjalnych intruzów na przesłuchanie. Nadal trzeba im było jednak tłumaczyć, jak czule są ludzkie karki.

- Rusza się! - zawołał chemik i pośpiesznie cofnął się o kilka kroków. - No dalej... teraz!

Blokujący kamień odskoczył z głośnym trzaskiem. Niskie buczenie prawie natychmiast zagłuszył donośny odgłos kruszonej skały. Maszyna uderzyła w ścianę tunelu i zaczęła się w nią wwiercać.

- Zupełnie jakby nigdy nie stanęła - przekrzykiwał hałas chemik. - Myślałem, że trzeba będzie znaleźć przełącznik restartujący.

- Prawdopodobnie sama się monitorowała i czekała, aż ktoś zabierze kamień - odkrzyknął Perez. Koparka wwierciła się już w skałę na dobre kilka centymetrów. Perez nie wiedział, co działo się z okruchami skały, ale było jasne, że maszyna nie rozsypywała ich dookoła siebie.

- Wracajmy do groty.

Wrócili do samochodu przed tunelem i ruszyli w stronę głównego korytarza wejściowego. Prawie wcale nie rozmawiali - wszyscy wydawali się tak samo zmęczeni. Perez siedział i rozmyślał. Naukowcy, których zaprosił na Astrę, mogli przybyć lada chwila i musiał się zastanowić, co powie Meredithowi, kiedy nagle się pojawią.

Centrum operacyjne założono wewnątrz Prząśnickiej Groty tuż przy wejściu. Był to rodzaj biura na otwartym powietrzu, silnie kontrastującego z otaczającą je scenerią. Perez odstawił samochód. Powiedziano mu, że Meredith wzywa go do wieży. Westchnął, znowu wsiadł do samochodu, podjechał do najbliższej szczeliny w Wielkim Murze, jak go teraz nazywano, i pieszo przeszedł przez otwarty teren wokół wieży. Dwudziestominutowy spacer był ogromną stratą czasu, ale żadna ze szczelin w murze nie była dostatecznie duża, żeby przejechać przez nią samochodem. Carmen zamówiła u Ctencri kilka pojazdów podobnych do wózków golfowych, lecz najpierw trzeba było je zmodyfikować. Na razie należało się więc pogodzić z przymusowym treningiem.

Meredith zgodnie z oczekiwaniami czekał w głównej sterowni wieży, gdzie pracował major Brown. Perez nie spodziewał się jednak gości... i nawet nie przeczuwał, kim oni są.

- A, Perez - kiwnął głową Meredith - chciałbym, żebyś kogoś poznał. Doktor Bhartkumar Udani, doktor Wiktor Ermakow, a to jest radny Cristobal Perez. Bez wątpienia rozpoznają w nim panowie dżentelmena, który zaprosił was tu listownie.

Do tej pory spokoju Pereza nigdy nie poddano takiej próbie. Przez następnych kilka minut Latynos starał się tylko, żeby nikt nie zauważył nic dziwnego w jego zachowaniu.

Kiedy już umysł zaczął mu normalnie pracować, spostrzegł, że Meredith polecił Barnerowi zająć się naukowcami i we trzech wyszli z pokoju.

- I co? - zapytał Meredith, kiedy zostali sami. - Nie powiesz nawet „rany, pułkowniku, co za niespodzianka”?

Perez odchrząknął; to mu chyba pomogło.

- Spodziewałem się, że wezwie mnie pan, kiedy będą jeszcze na orbicie - powiedział.

- Żeby dowiedzieć się, co tu robią? - Meredith wzruszył ramionami. - Wiemy to już od dawna. Obserwowano cię, gdy dawałeś Ctencri ten pakunek.

Perez przełknął ślinę.

- Ach. Ja, no, nie spodziewałem się, że przyjmie pan to tak spokojnie.

Wyraz twarzy Mereditha nie zmienił się... ale jego spojrzenie przyprawiło Pereza o dreszcze.

- Nie myl opanowania ze spokojem, Perez - powiedział chłodno pułkownik. Nie podobał ci się sposób, w jaki zarządzałem Astrą, więc zmusiłeś mnie do przyjęcia nowych reguł... a teraz pokazałeś, że sam nie potrafisz ich przestrzegać. Według wszelkich przepisów powinieneś mieć areszt domowy, a już na pewno być pierwszym byłym radnym na Astrze.

- To dlaczego nie jestem? Bo się udało?

- Myślisz, że się udało, co? Do ilu naukowców wysłałeś listy?

- Do około stu pięćdziesięciu. Nie byłem pewien, czy wszyscy będą mogli...

- Przyjechało tylko pięciu. Perez spojrzął na niego.

- Pięciu?! Tylko tyłu?

- Pięciu. Francisco Arias z Brazylii, Slobodan Kurčić z Jugosławii, Loretta Williams ze Stanów Zjednoczonych i tych dwóch, których właśnie poznałeś. Mam nadzieję” że nie zaferowałaś Ctencri za to jakiegoś czeku in blanco?

Perez potrząsnął głową.

- Umówiliśmy się na nieokreśloną ilość pręta. Carmen może wziąć pod uwagę słaby rezultat przy negocjacji szczegółów. - Uniósł brew. - Więc jeszcze raz. Dlaczego mnie pan nie ukarał?

- Bo wolę, żebyś spłacał długi potem, a nie krwią - powiedział Meredith. - Mamy wprawdzie statek pełen glonów, ale i tak czeka nas trudny okres. Będziesz osobiście odpowiedzialny za zachowanie Latynosów w kolonii. Słyszałem narzekania na temat dzielenia lub nie dzielenia się zyskami. Twoim zadaniem będzie wyjaśnić wszystkim, że „zyski” z handlu prętem idą prosto do ich kieszeni.

- Nie trzeba mi tego dwa razy powtarzać, pułkowniku - powiedział Perez. - Tak długo, jak każdego się dobrze traktuje, nie będzie problemów. Proszę mi wierzyć, ja i inni Latynosi jesteśmy na tyle rozsądni.

- Dobra. Powiedz mi, jak poszły poszukiwania koparek. Czy któraś z nich nadal działa?

- Tylko ta z kamieniem w bieżniku - odparł Perez z ulgą, że zmienili temat. - Uwolniliśmy ją, a kiedy ją widzieliśmy po raz ostatni, wesoło wwiercała się w skałę.

Powiedziałem w centrum operacyjnym, żeby przez cały czas ją obserwowali.

- Dobrze. Zobaczmy, dokąd pojedzie, jak się przepełni. Zmarszczył brwi. - Wiesz, ile może mieć koni mechanicznych?

- Nie bardzo. Chyba od pięćdziesięciu do stu. Dlaczego?

- Skoro koparka nie działała przez sto tysięcy lat i nadal dysponuje taką mocą, to albo jest zasilana piekielnie wydajnymi bateriami, albo korzysta z jakiegoś przekaźnika zasilania. Tak czy owak, to jeszcze jedna perełka, która może tu zwabić potencjalnych najeźdźców.

Perez potrząsnął głową.

- Moim zdaniem za bardzo się pan tym przejmuje, pułkowniku. Po klęsce M'zarchów nikt nie odważy się zaplanować inwazji. Zwłaszcza że Obcy nie wiedzą dokładnie, jaką broń tu mamy.

- Może - westchnął Meredith. - A może nie. Im dłużej się wahają, tym lepiej możemy się przygotować do obrony. I jestem pewien, że oni o tym wiedzą.

- Niech sobie wiedzą powiedział Perez i podszedł do windy. Moim skromnym i nic nie znaczącym zdaniem już jest za późno na udaną inwazję. Dobra. Jeżeli to wszystko, to skończyłem na dzisiaj pracą i idę do domu. Pan też idzie?

- Jeszcze nie - powiedział Meredith i odwrócił wzrok, żeby spojrzeć przez okno na wioskę Prząśników. - Zostanę tu i zobaczę, co się stanie, jak koparka pojedzie wysypać ładunek.

Sekretarz Generalny Saleh - przywódca ONZ, główny reprezentant ludzkości w handlu z obcymi rasami i być może najpotężniejszy człowiek na Ziemi - odłożył ostami arkusz papieru z gorzkim uczuciem bezsilności.

- Właściwie prosi pan mnie o carte blanche do działania na Astrze - powiedział ze znużeniem. - Wie pan, że nie mogę jej panu dać.

- Dlaczego nie? - zapytał Ashur Msuya. - Ludzie chcą, żebyśmy coś zrobili. Nie oglądał pan ostatnio wiadomości?

Saleh roześmiał się.

- Chyba nie spodziewa się pan, że wezmą na poważnie te wszystkie starannie wyreżyserowane demonstracje?

- Świat tego oczekuje. A co do mojej propozycji, to będzie pan oczywiście miał we wszystkim ostatnie słowo.

- Ach, naturalnie. Tylko że ono nic nie znaczy, skoro podróż w obie strony trwa osiem dni.

- Tylko jeśli chce pan mieć prawdziwe prawo weta - powiedział cicho Msuya. - I ponosić prawdziwą odpowiedzialność.

Przez chwilę Saleh patrzył w nieruchome oczy Msuyi i wiedział doskonale, że nic nie mogło powstrzymać tego człowieka. Wybrał go wcześniej na dowódcę misji astriańskiej, ponieważ tak żarliwie występował w obronie Trzeciego Świata. Saleh miał nadzieję, że dzięki temu Zachód nie otrzyma, tak jak zwykle, więcej, niż mu się należy. Ale plan odniósł wręcz odwrotny skutek. Wszelkie szlachetne pobudki, jakie kiedykolwiek miał Msuya, całkowicie przytłumiła nienawiść do pułkownika Mereditha. Znajdzie sposób, żeby go zniszczyć, czy to za zgodą Saleha, czy też bez niej... a jeśli Saleh stanie mu na drodze, Msuya może nawet wywołać walkę o władzę wewnątrz Sekretariatu, walkę, która pozbawiłaby Saleha pozycji i jednocześnie zniszczyła wszelkie szanse świata na pokój i jedność między narodami.

Ale gdyby Saleh oficjalnie poparł jego propozycję, pozycja Sekretarza Generalnego byłaby bezpieczna. W przypadku pomyślnego odzyskania Astry cała chwała spadłaby na niego, a winę za niepowodzenie poniosłoby tylko Msuya. Naturalne opóźnienie komunikacyjne właściwie dawało Msuyi autonomię. Jeżeli zdecydowałby się wykorzystać jakąś informację od nowych astriańskich szpiegów, Saleh nie mógłby w żaden sposób skorzystać ze swojego rzekomego prawa weta.

I Msuya wiedział o tym. Był gotów poświęcić swoją polityczną przyszłość w zamian za szansę zemsty.

Saleh spuścił wzrok na dokumenty przed sobą i westchnął.

- Dobrze - powiedział i chwycił długopis. - Weźmie pan „Trygve Lie” i poleci na Astrę. Kiedy pan już tam dotrze, odeśle pan „Hammarskjolda” do domu. Będzie się pan ściśle trzymał planu. Proszę tylko obserwować i zbierać informacje. Nie podejmie pan żadnych działań bez mojej pisemnej zgody.

- Rozumiem - przytaknął Msuya.

Nawet na pewno rozumiesz. Nic nie znaczące słowa wciąż drżały Salehowi na końcu języka, kiedy podpisywał dokument i podawał Msuyi plik kartek przez biurko.

- Proszę powiedzieć mojej sekretarce, żeby dała panu kopię rzucił. - Załatwię regularne dostarczanie panu żywności „Hammarskjoldem” i przywożenie nim wszelkich informacji, jakie pan zbierze. W wyjątkowej sytuacji Ctencri prawdopodobnie też mogą przekazać mi wiadomość.

Msuya uśmiechnął się sztywno i wstał.

- Bez obaw. Nie będzie żadnych wyjątkowych sytuacji.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Moja nowa granica, - pomyślał ponuro Saleh, - patrząc na zamknięte drzwi. - Moja złudna nadzieja dla niespokojnych i zrozpaczonych; świat, który osobiście pomagałem tworzyć... a teraz muszę siedzieć i przyglądać się, czy przetrwa, czy zginie.

Po raz pierwszy w życiu zaczynał rozumieć ciągły smutek na twarzy swojej babki, który tak go niepokoił i przerażał w dzieciństwie.

Jego babka była położną w małej wiosce w południowym Jemenie... wiosce z pięćdziesięcioprocentowym wskaźnikiem śmiertelności wśród noworodków.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 26

Wydawało się, że jesień nadeszła tak nagle. Oczywiście nie taka jak w Pensylwanii, pomyślał Hafner, wspinając się na małe wzniesienie w pobliżu Morza Martwego.

Nawet nie taka jak w południowej Kalifornii. Tutaj nie było klonów ani dębów, które rozsypywałyby wokół kolorowe liście, jak gdyby Bóg za darmo rozdawał swoje własne pieniądze bogatym i biednym po równo. Na Astrze jedyną oznaką jesieni było ochłodzenie powietrza i stopniowe skracanie się dnia. Hafner odwrócił się i popatrzył przez zmrużone oczy na stożek Mt Olympus w oddali. To dziwne, pomyślał, nie mogą się już nawet zmusić do patrzenia na niego jak na coś naturalnego. Zastanawiam się, jak to możliwe, że kiedyś tak uważałem.

Dobiegający z dołu głos Carmen przerwał mu błogie rozmyślenia.

- Nie powinieneś przypadkiem zatknąć na szczycie jakieś flagi, kiedy już tam dojdiesz?

Odwrócił się i uśmiechnął się do niej szeroko.

- Jak wymyślisz dobrą austriańską flagę, chętnie ją zatknę - zawołał. - Większość projektów, które dotąd widziałem, nadaje się raczej na pogrzeb.

- Ależ z ciebie esteta! - Roześmiała się. - Chodź na dół, lunch już gotowy.

Zbiegł po łagodnym zboczu i usiadł koło niej na rozłożonym kocu.

- Przynajmniej nie będzie problemów z mrówkami - zauważyła Carmen i podała mu kanapkę. - Smacznego. To pierwsza porcja przetworzonych glonów z Latającej Ciepłarni.

Hafner ostrożnie ugryzł kawałek. Jedzenie smakowało mu, mimo że nie odpowiadało kalifornijskim standardom. Konsystencją przypominało prawdziwą szynkę.

- Niezłe - powiedział, z uznaniem kiwając głową. - Zwłaszcza, że to dopiero, ile, tydzień pracy?

- Już prawie dwa. Ostatnio spędzasz za dużo czasu pod ziemią. Oczywiście przetwarzanie pójdzie teraz znacznie szybciej, skoro usunęliśmy wszystkie błędy z systemu.

- Tak. - Hafner ugryzł jeszcze kawałek. - A skoro już o tym mówimy, nie powiedziałaś mi jeszcze, co sądzisz o Prząśniczej Grocie.

Potrząsnęła głową.

- Żałuję, ale nie potrafię opisać tego słowami. To najbardziej fantastyczne miejsce, jakie kiedykolwiek widziałam. Czy to sztuczne słońce rzeczywiście przesuwają się po niebie?

- Jasne - przytaknął. - Daje nam dwadzieścia godzin dnia i dziesięć godzin nocy.

Taki sam cykl panuje przypuszczalnie na rodzimej planecie Prząśników. Słońce nie jest hologramem, a przynajmniej tak uważają naukowcy. Natężenie światła jest na to zbyt duże i za bardzo odpowiada widmu gwiazdy G3. Nikt nie wie, co to jest i w jaki sposób się porusza.

To samo dotyczy chmur i gwiazd.

Znowu potrząsnęła głową.

- Teraz rozumiem, dlaczego ty, Cris i pułkownik byliście tak zdecydowani nie dopuścić, żeby o tym miejscu dowiedział się ktoś niepowołany. Myślałam, że... no, nieważne.

- Myślałaś, że zachowujemy się jak megalomani? - zapytał.

- No... może trochę. Ale teraz chyba was rozumiem.

- Dobrze. Może pomoże ci to w negocjacjach handlowych. A propos, jak one idą?

- Ach, interes kwitnie. Zawarliśmy sześć nowych kontraktów i czekamy tylko na dostawę surowców. Według moich obliczeń za kilka lat przekroczymy dochód narodowy brutto Stanów Zjednoczonych.

- A będziemy tu mieli tylko niewielki ułamek ich populacji. Dawni magnaci ropy naftowej przewrócą się w grobie. - Zamilkła na chwilę. - Może powinniśmy się zastanowić, w jaki sposób rozdzielimy te dobra.

Popatrzył na nią, zdziwiony. Gdzieś to już słyszał.

- Rozmawiałaś z Perezem, tak? - zapytał. - Chodzi pewnie o ten cały „New Mayflower”.

- Nowy co?

- O, jeszcze ci o tym nie powiedział? Chce, żebyśmy kupili „Aurorę” albo „Pathfindera” i użyli go do sprowadzenia tu imigrantów z Ziemi.

Westchnęła.

- To do niego podobne. Jest wspaniałomyślny w stosunku do ludzi, ale nie ma głowy do ekonomii. Wynajęcie m'zarchiańskiego statku do przewożenia żołnierzy kosztowałoby nas zapewne dużo taniej niż kupno własnego.

Hafner skrzywił się.

- No, myślę, że któryś z was, ekspertów, zastanowił się, gdzie umieścimy tę masę cu...

tę masę ludzi - poprawił się nerwowo.

- Rozumiemy zagrożenia - powiedziała Carmen i spojrzała na niego dziwnie. - Nie zajmujemy się niczym niedopracowanym. Jak chciałeś nazwać tę masę?

Hafner zaklął pod nosem.

- Masą cudzoziemców - przyznał niechętnie. - Perez chce tu zaprosić ludzi głównie z biedniejszych krajów Trzeciego Świata.

- I co? - Carmen z udaną obojętnością zachęcała go do kontynuowania wypowiedzi.

- No, zauważ, że my, prawowici Astrianie, skończymy wtedy jako mniejszość. Ci z nas, którzy przybyli tu, bo tego chcieli, wtopią się w tłum ludzi szukających tu możliwości szybkiego zarobku.

- Tak. Może.

Przez chwilę Carmen patrzyła na wody Morza Martwego i w zamyśleniu marszczyła czoło.

- Nie wiem, co powiedzieć - westchnęła wreszcie. - To zmieni Astrę, bez wątpienia.

Żyjemy w czterech małych wioskach, które zamienią się w ogromne miasta. A ci z nas, którzy w pocie czoła budowali tę kolonię, zginą teraz w tłumie. Ale nie możemy tu tak żyć samotnie jak... no, jak ci magnaci ropy naftowej, o których mówiłeś. W końcu zyski, jakie osiągamy, nie pochodzą przecież z czegoś, co sami stworzyliśmy.

- Ale dlaczego musimy ich tu wszystkich sprowadzać? - zrzędził Hafner. - Dlaczego po prostu nie prześlemy im pieniędzy tam, gdzie są? Hej, to jest to.

- To jest co? - zapytała Carmen i spojrzała na niego podejrzliwie.

- Odpowiedź na nasz dylemat. - Przez głowę przepływał mu teraz potok myśli i Hafner zagubił się nieco, kiedy próbował się z nimi uporać. - To będzie jak zagraniczna pomoc... lepiej nawet, jak nowy Plan Marshalla. Możemy przekazać część naszych zysków biedniejszym krajom, najlepiej za pośrednictwem Ctencri. Powinniśmy rozdzielić pieniądze według wysokości produktu narodowego brutto na głowę, tak żeby pomoc dotarła do najbardziej potrzebujących krajów...

- A jaką masz gwarancję, że dotrze do najbardziej potrzebujących ludzi?

-... z klauzulą zabraniającą... hę? Ech. - Jego wspaniały plan zmienił się najwyraźniej w jednej chwili. - No właśnie. No... moglibyśmy dopisać coś do umowy, jak sądzę.

Carmen uśmiechnęła się smutno.

- Połowa krajów potrzebujących tego rodzaju pomocy, już teraz odrzuca wszystkie umowy z

jakimiś klauzulami. Poza tym nie napisano jeszcze umowy, w której nie znaleziono by luk prawnych.

Hafner mocno zacisnął usta. Rzeczywiście rozmawiała z Perezem, pomyślał.

Rozmawiała i słuchała go.

- To i tak lepsze niż sprowadzanie tych głodujących milionów tutaj - nie wytrzymał. - Większość z nich nie zna się na niczym oprócz rolnictwa. A na pewno nie będą chcieli tu wykonywać takiej pracy.

- Wiem - westchnęła Carmen. - Ale nie mam pojęcia, jak sobie z tym poradzimy.

Możemy tylko dalej szukać rozwiązania.

- Tak. - Hafner spojrzał na trzymaną w dłoni kanapkę. - To tyle, jeżeli chodzi o nasz miły, cichy lunch - powiedział i potrząsnął głową. - Najlepiej zacznijmy wszystko od początku, dobrze? Po prostu rozkoszujmy się smakiem glonów i wspaniałą szarobrazową scenerią. Zapomnijmy na chwilę o polityce.

- Jasne. Przepraszam, że poruszyłam ten temat. - Carmen uśmiechnęła się lekko i ugryzła kawałek swojej kanapki. - Czy... słyszałeś ostatnio jakieś nowe plotki?

Przez następną godzinę rozmawiali o ludziach, tempie rozwoju nauki na Ziemi i innych nieistotnych sprawach. Kiedy Hafner odprowadził Carmen do obozu Prząśnicy i czekającego tam na nią samochodu, stwierdziła, że podobał się jej ten odpoczynek od stresów pracy.

Udał, że jej wierzy... ale kiedy odjechał w stronę Unie, wesoły wyraz jego twarzy zamienił się w grymas niezadowolenia. Za bardzo przejmuję się pracą, pomyślał i potrząsnął głową. Powoli skierował się w stronę mieszkania, gdzie miał czekać na swoją wczesnowieczorną zmianę. Pewnie nie potrafi się odprężyć, dopóki nie rozwiąże się problemu z imigrantami. Był pewien, że Perez tego dopilnuje. Myśl, że Latynos zaraził ją własną nadmiernie liberalną filozofią bardzo go rozżłościła, ale niewiele mógł zrobić w tej sprawie.

Może tylko z wyjątkiem zaproponowania alternatywy dla wspaniałego planu imigracyjnego Pereza. Do tej pory Hafner nie słyszał, żeby w czasie dyskusji podczas posiłku ktoś poddał myśl podobną do jego idei Planu Marshalla. A jeśli rzeczywiście nikt na to nie wpadł, Hafner powinien przedstawić swój pomysł pułkownikowi Meredithowi. Pomimo sceptycyzmu Carmen, geolog czuł, że jego plan jest coś wart.

Po drodze zmienił kierunek marszu i skierował się w stronę wejścia do tunelu.

Wiedział, że Meredith był teraz w wieży... i podejrzewał, że chętnie z kimś porozmawia.

Ten sam motyw trzech zakrętasów w głównej sterowni powtarzał się aż osiemdziesiąt razy... a powiązany z nim schemat lampek i przełączników był dość jednoznaczny.

No dobra, pomyślała Loretta i wpisała coś do przenośnego ctencriańskiego terminalu translatorskiego wielkości pięści. Sam translator buczał cicho gdzieś z boku. Niech to będzie „włączony”, „aktywny” albo „działający”. Połączmy to teraz z... Nacisnęła odpowiedni przycisk i spojrzała na ekran translatora. Pojawiła się na nim lista ośmiu możliwych znaczeń trzyliterowego wzoru. „Włączyć”, „stan oczekiwania”... „wyłączony”? Aha, więc falka oznacza odwrócenie znaczenia. Zobaczmy, gdzie jeszcze pojawia się falka... Wprowadziła polecenie i po chwili otrzymała rzut z góry półkolistego panelu kontrolnego. Etykiety z falką migotały na czerwono. Chodziła wolno po sali i raz po raz zerknęła na schemat. Szczególną uwagę poświęcała zaznaczonym przełącznikom i wskaźnikom. Następnym krokiem będzie wybranie kilku z nich i porównanie ich z danymi z ostatniego procesu produkcji pręta, żeby znaleźć cokolwiek, co mogłoby choć trochę przybliżyć ich funkcję. Loretta jak dotąd nie odniosła znacznych sukcesów tą metodą. Już dawno

skatalogowano wszystkie oczywiste powiązania, a ona nie miała inżynierskiego talentu łączenia w spójną całość pozornie niezwiązanych ze sobą dźwięków i działań.

Spod panelu kontrolnego dobiegł niewyraźny głos bełkoczący coś po rosyjsku. Po chwili wyczołgał się stamtąd Wiktor Ermakow.

- To zupełnie bez sensu - powiedział zrzędliwie i machnął multimetrem dla lepszego zaakcentowania wypowiedzi. - Połowa obwodów jest nieaktywna, bez przepływu prądu i ma nieskończenie wielki opór... a w pozostałej połowie płynie wyłącznie prąd stały, bez żadnej dostrzegalnej modulacji. Jak można sterować czymś o niezmiennym przepływie prądu? - Odwrócił się do Mereditha, który siedział spokojnie obok jednej z Gorgonich Główn. - Pułkowniku, ta koparka nadal działa?

- Tak było jeszcze pięć minut temu - powiedział Meredith. Wtedy zrzuciła swój ostatni ładunek do zsypni. - Wskazał niebieską sekcję panelu sterowniczego, pod którą pracował wcześniej Ermakow. - Wzór się zmienił.

Rosjanin spojrział na pulpit i skrzywił się.

- Zaczynam przyznawać Ariasowi rację, gdy mówi, że Prząśnicy nie stosowali tu konwencjonalnej elektroniki.

Loretta wzruszyła ramionami. Francisco Arias próbował wyjaśnić jej swoją teorię, ale mimo mistrzostwa w bardziej tajemniczych działach fizyki, nie potrafił wytłumaczyć obowiązujących prawideł językiem laika. Wszystko, co wyniosła z tej sesji, to ból głowy i wiedzę o zbyt wielu urządzeniach Prząśnicy wykazujących nadprzewodnictwo, żeby można było mówić o normalnych zjawiskach elektrycznych. Potem opowiadał jeszcze coś o siłach subatomowych i falowodach polowych, ale wtedy pogubiła się już zupełnie.

- Był bardzo pewny tego, co mówi - zauważyła.

- Jak zwykle. - Ermakow potrząsnął głową i znowu odwrócił się do Mereditha. - Pułkowniku, powoli staję się dla mnie jasne, że będę musiał wynaleźć narzędzia, których potrzebuję do zbadania tego sprzętu. Ma pan jakieś dane na temat elementarnej budowy atomowej materiału pręta albo o siłach ogólnej teorii jądrowej, z jakimi możemy tu mieć do czynienia?

Meredith zmarszczył czoło w zamyśleniu.

- Możliwe - powiedział wolno. - Ale nie jestem pewien, w jakim zakresie mogę panu udostępnić te dane.

Loretta musiała przyznać, że jak na naukowca, Ermakow był niezwykle dobrym szpiegiem. Wyraźnie nadstawił uszu na wzmiankę o tajnych danych, chociaż jego następna wypowiedź była jak najbardziej swobodna i naiwna.

- Cóż, to oczywiście pańska decyzja. - Wzruszył ramionami. Ale im większy dostanę wgląd w naukę Prząśników, tym szybciej zrozumie ich inżynierię.

- Jestem tego świadomy.

Z góry dobiegło buczenie silnika windy. Loretta spojrzała na zegarek. Do przyjscia następnego nadzorca, który miał zmienić Mereditha, została jeszcze godzina.

Znowu spojrzała na pułkownika. Wstał i podszedł do miejsca, gdzie na cylindrze windy miały pojawić się drzwi. Nieświadomie napiął mięśnie... ale był to tylko geolog-nadzorca, doktor Hafner.

- Pułkowniku - przywitał Mereditha, skinieniem pozdrawiając Lorette i Ermakowa.

- Czy mogę z panem przez chwilę porozmawiać? Chodzi o alternatywę dla masowej imigracji.

- Jasne. - Meredith wzruszył ramionami.

Hafner wyłożył pułkownikowi zasady tego, co nazywał nowym Planem Marshalla. Loretta przestała go słuchać i odwróciła się znowu do pulpitu sterowniczego. Dobra: falka oznacza przeczenie. Na płycie koparki to może znaczyć „opróżnij zsypanię”, więc... zobaczmy, czy ta sekwencja jeszcze się gdzieś pojawia...?

- Mam nadzieję, że idzie ci lepiej niż mnie - mruknął Ermakow. Trzymał multimetr na brzegu panelu sterowniczego i pracowicie przełączał przewody próbne. - A tak przy okazji, zastanawiałem się, czy mogę pożyczyć dziś od ciebie twój magnetofon i kilka kaset.

Loretta poczuła ucisk w gardle. Musiała świadomie rozluźnić mięśnie.. Magnetofon był jej tajnym łączem radiowym z oenzetowskim statkiem na orbicie. Całą elektronikę potrzebną do przekazywania zakodowanych danych ukryto wewnątrz plastikowej obudowy dwóch kaset.

- Chyba tak. - Starła się mówić tak samo swobodnie jak on. Zastanawiała się, co się stało z jego magnetofonem.

- Dziękuję. Rozmawiałem ostatnio o muzyce z majorem Dunlopem. Wyraził chęć posłuchania Czajkowskiego i Rachmaninowa. Przyjdę po sprzęt do twojego mieszkania, kiedy już tu skończymy.

- Dobrze - wycodziła przez zeszywniałe usta.

Dunlop. Oficer, o którym oenzetowcy mówili, że strzelał nabojami ogłuszającymi do grupy robotników w Ceres i dostał za to od Mereditha surową reprimendę.

Opisywano go jako człowieka próżnego i upartego, przedkładającego strzelanie nad inne formy dyplomacji.

A Ermakow chciał pożyczyć mu jej magnetofon.

Rosjanin skończył ustawienia i znowu zniknął pod panelem sterowniczym. Loretta cofnęła się nieco. Patrzyła na krzykliwe kolory Prząśników, prawie ich nie widząc. Nie wiedziała nawet, że Ermakow i Dunlop rozmawiali, nie mówiąc już o planowaniu... czego?

Co ci dwaj mogli wymyślić, o czym Dunlop chciałby rozmawiać ze statkiem ONZ? Misja naukowców miała polegać wyłącznie na pasywnym zbieraniu danych o Prząśnicy... chyba że Ermakow otrzymał specjalne instrukcje, o których nic nie wiedziała.

Wstrząsnął nią nagły strach. Spojrzała za siebie. Nie zdziwiłaby się., gdyby Meredith połączył ze sobą tak oczywiste fakty i wezwał żołnierzy, żeby aresztować ją za szpiegostwo.

Ale pułkownik nadal rozmawiał z Hafnerem, najwyraźniej nieświadom planu Ermakowa i jej własnej współwiny. Na chwiejnych nogach odwróciła się i znowu zaczęła drżącymi palcami wstukiwać polecenia do komputera.

Ermakow nie poruszył więcej tej sprawy. Kiedy cztery godziny później wychodzili z groty, miała nadzieję, że zapomniał o prośbie lub zmienił plany. Minęła strażników i wyszła w zapadającą wcześniej ciemność. Wtedy dogonił ją cicho, a po kilku minutach opuścił jej mieszkanie z magnetofonem pod pachą.

Loretta patrzyła przez chwilę, jak odchodzi, zanim zamknęła drzwi. Przez chwilę myślała o kolacji, ale minął jej apetyt. Położyła się na kanapie, żeby poczytać książkę, ale nie mogła się skupić. W końcu zrezygnowała i poszła do łóżka. Udało jej się zasnąć dopiero po trzech godzinach.

A kiedy minęło kolejnych pięć godzin, grupa żołnierzy pod dowództwem majora Dunlopa obezwładniła strażę przy wejściu do tunelu i przejęła kontrolę nad Prząśnicką Grotą.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 27

-... wzywam wszystkich lojalnych obywateli Stanów Zjednoczonych Ameryki do złączenia sił i wspólnego oporu wobec tego jawnego i haniebnego aktu zdrady, którego dopuścił się pułkownik Meredith. - Głos Dunlopa dobiegł z głośnika telefonu, a głuchy warkot pojazdów w tle lekko tłumił jego władczy ton. - Ci, którzy nie posłuchają, będą współwinni tego czynu i poniosą karę...

- Dostyc - warknął Meredith. - Zapiął kurtkę i usiadł, żeby zawiązać sznurowadła. Porucznik Andrews wyłączył nagranie i kazanie Dunlopa ucichło w pół słowa. - Więc mówi pan, że przesłał to przez cały system ogólnego dostępu? - krzyknął Meredith.

- Poszło też przez cywilną sieć telefoniczną powiedział Andrews. - Pewnie zebrał wszystkich żołnierzy, którzy byli po jego stronie.

- Mam nadzieję. Lubię, jak moi wrogowie są w jednym miejscu. Wie pan, ilu ich może być?

- Wszystkich strażników ogłuszono, ale widziałem, że wjechała tam co najmniej jedna ciężarówka po tym, jak przebrzmiał alarm. Jest więc co najmniej czterdziestu ludzi i sporo sprzętu. Są jednak tylko dziesięć minut drogi przed nami, a mój oddział będzie gotowy do pościgu, kiedy tylko grupa rozbiórkowa zabierze z drogi inną ciężarówkę.

- Niech zachowają ostrożność - rzucił Meredith. - Tego tunelu nie ruszy pewnie nawet bomba atomowa, ale jeśli Dunlop podłożył tam mniejszy ładunek, to w przypadku eksplozji i tak zginą wszyscy w okolicy.

- Wiem, sir. - W głosie Andrews'a wyczuwało się wściekłość. Ewakuujemy ludzi najszybciej, jak możemy, ale... no, jest wśród nich wielu cywili.

A oni są powolni, zadają niepotrzebne pytania i marnują czas na tysiąc innych sposobów, - pomyślał z goryczą Meredith.

- No to... niech się pan tym nie martwi. Dunlop może się tam najwyżej przygotować na oblężenie. Nie ma teraz nikogo w centrum operacyjnym ani w wieży, prawda?

- Chyba nie, sir, ale nie jesteśmy tego pewni. Strażnicy są przecież nieprzytomni i mogli kogoś przepuścić...

Przerwał mu wysoki pisk sygnalizujący połączenie o najwyższym priorytecie.

- Pułkowniku, mówi major Barner. Doktora Hafnera nie ma w kwaterze. Nie znaleźliśmy śladów walki, ale został tu jego telefon.

Meredith poczuł przebiegający po plecach zimny dreszcz.

- Niech pan natychmiast sprawdzi, co z Perezem i Nicholsem - polecił Barnerowi.

Jeżeli Dunlop zabarykadował się w środku z trzema nadzorcami...

Ale nie było aż tak źle.

- Już się zgłosili - powiedział Barner. - Słyszeli przekaz Dunlopa i zadzwonili, żeby spytać, co się dzieje. Rozkazałem im nie ruszać się z miejsca, póki nie przydzielę im ochrony.

- Dobrze.

Nie tak źle, jak się tego obawiał, ale nadal niedobrze. Skoro Dunlop wziął Hafnera na zakładnika, nie musiał się już ukrywać gdzieś blisko wejścia do tunelu. Cała grotta, łącznie z wieżą, stała teraz przed nim otworem.

- Majorze, chciałbym, żeby zajął się pan dowodzeniem ewakuacją terenu wokół wejścia, a potem sam się gdzieś schronił. Andrews, proszę sprawdzić obecność wszystkich mieszkańców kolonii. Chcę wiedzieć, kogo Dunlop zabrał ze sobą. Prześlij listę do Carmen Olivero w budynku

administracji. Uprzedzę ją o tym. Niech grupa rozbiórkowa zwolni tempo pracy. Dunlop i tak zdąży rozstawić swoich ludzi na stanowiskach, zanim go złapiemy. A nie chcę, żeby ktoś próbował iść na skróty i wyleciał w powietrze.

- Tak jest, sir.

- Proszę mnie informować na bieżąco. Zaraz będę na miejscu. Meredith przerwał połączenie, złapał broń i pośpiesznie wyszedł na zewnątrz. Na wschodzie niebo już się lekko różowiło. Pułkownik zatrzymał się na chwilę, wybrał na swoim telefonie numer do Carmen i pobiegł do biura.

Odebrała po pierwszym sygnale.

- Słyszałam komunikat - powiedziała, kiedy Meredith się przedstawił. - Pomyślałam, że lepiej poczekać, aż pan zadzwoni, zamiast zwracać panu głowę pytaniami.

- Dobrze pani zrobiła. Jak szybko może być pani w biurze?

- Za pół minuty, właśnie przesłam przez drzwi frontowe. Mam powiadomić Wissstów i Orsfamów?

Meredith pobłogosławił w duchu jej trzeźwość umysłu.

- Tak, lecz proszę im tylko powiedzieć, żeby statek ONZ nie wysyłał żadnych wahadłowców ani sam się nie zbliżał. Nie mam jeszcze dowodów, ale to mi wygląda na spisek i nie chcę, żeby ludzie Msuyi wsparli zabawę Dunlopa. Potem proszę przejrzeć dane personelu wojskowego i sprawdzić, czy ktoś ma doświadczenie w zwalczaniu terroryzmu albo uwalnianiu zakładników.

- Uwalnianiu zakładników?

Skrzywił się.

- Tak. Sądzimy, że jest z nimi doktor Hafner.

Nie usłyszał jęku zaskoczenia ani okrzyku strachu... ale kiedy Carmen znowu się odezwała, w jej głosie wyraźnie czuło się chłód.

- Rozumiem, pułkowniku. Ile pan chce oddziałów komandosów?

- Dwa, może trzy. Będę już na miejscu, zanim upora się pani z ich wyszukiwaniem.

- Zawahał się. - Proszę się nie martwić. Hafner ma dla nich jakąś wartość tylko żywy. Nawet Dunlop nie jest aż tak głupi, żeby go skrzywdzić.

- Wiem, sir - odpowiedziała tak samo chłodno, jak przedtem. Spodziewam się pana szybko.

Meredith przerwał połączenie, przyspieszył kroku i wymamrotał przekleństwo.

Jeśli to twoja sprawa, Msuya, - pomyślał i spojrzał w górę, - ty i cała ONZ słono mi za to zapłacicie.

Bądźcie tego pewni.

To, czego Hafner nie wiedział o ctencriańskiej broni ogłuszającej, zajęłoby kilka tomów... lecz kiedy tak leżał bezwładnie z zamkniętymi oczami, doszedł do wniosku, że jego porywacze wiedzieli na ten temat niewiele więcej. Czy źle obliczyli dawkę, czy tylko lekko go drasnęli? Ale skoro nie był skrupowany, prawdopodobnie myśleli, że nadal jest nieprzytomny. Słyszał odgłosy kroków, przyciszone komendy i brzęk metalu o metal, jakby coś budowali. Bez trudu domyślił się, gdzie jest. Tylko w Prząśnickiej Grocie czuło się tę specyficzną mieszankę zapachów i zmienny wiatr. Prawdopodobnie jesteście koło centrum operacyjnego, wywnioskował niepewnie, kiedy dobiegły go odgłosy z tunelu wejściowego.

Najbardziej ciekawiły go jednak wydarzenia, które miały miejsce zaledwie kilka kroków od niego.

Zaczęło się od dyskusji na temat zwiększenia napięcia w niektórych urządzeniach, żeby

zmniejszyć efekt całego materiału pręta w okolicy. Już po kilku minutach rozwiązano ten problem... i Hafner z rosnącym zdziwieniem słuchał krótkiej rozmowy. - Jednego głosu nie mógł rozpoznać, ale drugi brzmiał aż nadto znajomo.

- Przejęliśmy kontrolę nad Prząśnicą Grotą - powiedział nieznany głos po uzyskaniu połączenia. - Zaminowaliśmy wejście do tunelu i grotę. Teraz budujemy stanowiska strzelnicze. Będziemy z nich mogli otworzyć ogień do każdego, kto się zbliży.

- Znakomicie - powiedział Msuya przyciszonym, nieco zniekształconym głosem. - „Hammar skjold” przyleciał dwanaście godzin temu. Razem mamy pięćdziesięciu oenzetowskich żołnierzy, których możemy wam przysłać...

- Nie - przerwał drugi głos. - Pańscy żołnierze zostaną na orbicie.

- Ależ, majorze, nie możecie tam wiecznie tkwić sami.

- Wiem. Dlatego „Hammar skjold” musi wrócić na Ziemię i sprowadzić tu kontyngent amerykańskich żołnierzy. Przekażę grotę tylko oficerowi Amerykańskich Sił Zbrojnych o odpowiednich uprawnieniach. Nikomu innemu.

Przez chwilę było cicho.

- A więc zrywa pan naszą umowę, tak? - zapytał Msuya. - Według Hafnera nie wydawał się zaskoczony. - A jeśli odmówię odesłania „Hammar skjolda” na Ziemię? Co wtedy?

- Ależ nie odmówi pan - powiedział major z przekonaniem. Tak się składa, że nie ma pan teraz żadnego wpływu na wydarzenia na Astrze. A jeśli planetę będą kontrolować Stany Zjednoczone, pan ma przynajmniej szansę dostać to, czego pan chce, przez wywieranie nacisku na amerykańskie władze na Ziemi.

- Nie ufam Amerykanom - powiedział Msuya. - Allerton jest chytry jak każdy inny zachodni polityk, a ja nie mam zamiaru powierzać mu interesów ONZ. Nie, majorze.

To jest najlepsza okazja do przywrócenia Narodom Zjednoczonym kontroli nad Prząśnicą i zamierzam z niej skorzystać. Może pan współpracować albo nie.

- A jeśli nie? - zapytał major. - Poczekaj pan spokojnie i pozwól Meredithowi odzyskać władzę, kiedy skończą się nam zapasy? Niech pan nie będzie śmieszny.

Zrobi pan, co mówię, i zadowolę się tym, co zostawią panu Stany Zjednoczone.

- Widzę, że nie doceniłem pańskich ambicji - powiedział chłodno Msuya. - Myślałem, że wystarczą panu serdeczne podziękowania narodów świata. Ale panu najwyraźniej się wydaje, że następne pokolenie Amerykanów będzie się o panu uczyć w szkole jako o bohaterze z Astry.

- Może pan sobie oszczędzić tego sarkazmu, panie Msuya. Pomylił się pan tylko co do patriotyzmu Amerykanów. Założył pan, że można mnie kupić jak pierwszego lepszego dyktatora z Trzeciego Świata, rzucając parę gołosłownych obietnic. Mam nadzieję, że czegoś się pan teraz nauczył.

- Nauczyłem się, że nie można wam ufać, ale to nie nowina. Co mnie teraz powstrzyma przed udzieleniem pomocy Meredithowi w odzyskaniu grotę?

- A po co? W nadziei, że nasz szlachetny pułkownik będzie panu wdzięczny za zrezygnowanie z własnego zamachu stanu? - Major parsknął śmiechem.

- To byłoby pańskie słowo przeciwko mojemu - powiedział Msuya. - Mogę stąd zniszczyć wszelkie ślady przekaźnika, którego pan używa. Nigdy nie udowodniłby pan, że się ze mną kontaktował. A co do wdzięczności Mereditha, to chyba uzgodnilibyśmy coś bardziej konkretnego, gdybym przysłał mu żołnierzy.

- Wątpię. Widzi pan, zabrałem ze sobą małe zabezpieczenie: doktora Hafnera, jednego z pięciu ludzi, którzy mają dostęp do głównej maszynarii Prząsnicy. Nadal chce pan tu wtargnąć wśród gradu kul z półautomatów? - Urwał, ale Msuya nie odezwał się. - A jeżeli chce pan zdobyć również Hafnera, powinno panu bardziej niż kiedykolwiek zależeć na pokojowym przejęciu kontroli. Może pan to zrobić tylko wtedy, kiedy przyśle mi pan amerykańskie wojsko. Więc może przestaniemy tracić czas i wyśle pan „Hammarskjolda” z powrotem na Ziemię?

- Nie zostawił mi pan wyboru - rzucił Msuya. - Dobrze, dostanie pan amerykańskie wojsko, lecz sprawa nie jest jeszcze zakończona.

- Może nie. Ale ani pan, ani ja nie będziemy się nią zajmować. Prezydent Allerton otrzyma jeszcze w tym tygodniu większą władzę niż Saleh. Do widzenia, panie Msuya.

Proszę mnie powiadomić, kiedy przybędzie moje wsparcie.

Rozległo się pstryknięcie i trzeszczenie krzesła. Major wstał i poszedł w kierunku, skąd słychać było jakby odgłos uderzeń młota. Szedł rażno, a Hafner odniósł wrażenie, że cieszy się z wyniku rozmowy.

Idiota, - pomyślał Hafner, - Msuya sprowadzi oenzetowskich żołnierzy w amerykańskich mundurach albo wymyśli podobną sztuczkę.

Ale to nie wydarzy się w ciągu najbliższego tygodnia. Meredith powinien w tym czasie odzyskać grootę... a miałby o wiele większe szansę, gdyby cennemu zakładnikowi majora udało się uciec.

Hafner starał się oddychać powoli, miarowo. Wsłuchiwał się w dźwięki otoczenia i obmyślał plan.

- Wygląda na to, że zabrał ze sobą pięćdziesięciu dwóch ludzi powiedziała Carmen, wskazując listę na ekranie komputera ustawionego w tymczasowym centrum dowodzenia, pół kilometra od wejścia do tunelu. - Trzydziestu pięciu należy do jego kontyngentu z Ceres.

Żaden nie ma za sobą przeszkolenia antyterrorystycznego ani oblężniczego, więc nie musimy się martwić, że przewidzą nasze posunięcia. Znalazłam panu ośmiu ludzi z doświadczeniem w uwalnianiu zakładników. Według ostatnich obliczeń dwustu innych zgłosiło się do oddziałów szturmowych.

Meredith przytaknął z ponurym zadowoleniem. W ciągu dwóch godzin od ogłoszenia przekazu Dunlopa ani jeden Astrianin nie poparł publicznie zamachu stanu. Nawet ci, którzy planowali wyjechać następnym amerykańskim statkiem, zdecydowanie wyrażali oburzenie.

Meredith nie wiedział, czy robili to z szacunku dla niego, czy z pogardy dla Dunlopa. W każdym razie był im wdzięczny za to wsparcie. Przymus podzielenia uwagi między przygotowanie ataku komandosów a kontrolę cywilów bardzo ograniczyłby jego możliwości zajęcia się którąkolwiek z tych czynności.

- Dobrze. Co powiedzieli Wissstowie?

- Jeden z dwu oenzetowskich statków, które jeszcze dziś rano stacjonowały na orbicie, odleciał około pół godziny temu w kierunku Ziemi. Drugi nie ruszał się z miejsca. Nie było też żadnych przekazów na tych wysokich częstotliwościach, od czasu, kiedy Orsfami odebrali na nich ostatnie transmisje.

- Mhm.

Więc Dunlop i Msuya najwyraźniej powiedzieli sobie to, co mieli powiedzieć i na tym się skończyło. Meredith zerknął przez klapę namiotu na dwuszereg żołnierzy u wejścia do tunelu i znowu spojrzał na małą grupkę ludzi siedzących przy stole.

- Dobrze. Jakieś propozycje? Majorze?

Major Barner wzruszył ramionami.

- Nie mamy wyjścia: pozostał nam tylko bezpośredni atak. Nic widzę możliwości wpompowania tam wystarczającej ilości gazu usypiającego, nawet gdybyśmy mogli go zdobyć. A broń ogłuszająca nie ma odpowiedniego zasięgu. Możemy dostać się do groty z boku, o ile komora z solenoidem i zewnętrzne tunele są właściwie połączone z głównym przejściem, ale kiedy to już zrobimy i tak będziemy musieli zaatakować.

- A jeśli zaminowali wejście do groty? - zapytał Perez. - Pierwszy szereg żołnierzy będzie bez szans.

- Wiem - skrzywił się Barner. - Ale nie widzę innego wyjścia.

- Mamy wystarczająco dużo strojów ochronnych dla pięcioosobowej grupy - zabrał głos Andrews. - Możemy więc najpierw posłać dwóch albo trzech ludzi, żeby zlikwidowali pułapki, i mieć nadzieję, że Dunlop nie przesadzał z materiałami wybuchowymi.

- Niebezpieczne i chyba niepotrzebne. - Perez odwrócił się do Mereditha. - Pułkowniku, chciałbym tam pójść i porozmawiać z Dunlopem.

- I co mu powiesz? - roześmiał się Barner. - Zaapelujesz o lepszą ocenę sytuacji?

- Raczej nie - odparł chłodno Perez. - Zapomina pan o moim wcześniejszym doświadczeniu z jego, wydawałoby się, lepszą oceną sytuacji. Nie, wytłumaczę mu, że żadne oenzetowskie zaopatrzenie albo wsparcie nie przedrze się do niego. Wyjaśnię też ujemną stronę śmierci z głodu albo od kuli.

- On nie zmieni zdania. - Barner potrząsnął głową.

- Nie oczekuję tego od niego. Ale będą się temu przysłuchiwać też inni żołnierze i niektórzy z nich mogą jeszcze raz przemyśleć swoje położenie. - Wzruszył ramionami. - Musicie przyznać, że dość dobrze umiem wzbudzać niezadowolenie.

- Pomysł jest dobry, ale ryzykowny - powiedział Meredith. Jeżeli nie zostaniesz poza jego zasięgiem i nie będziesz rozmawiał przez megafon, możesz go sprowokować do podwojenia liczby zakładników. Ale może nie musimy atakować od frontu. Mamy szansę wśliznąć się przez tylne drzwi.

- Tylne drzwi? - zapytał Barner. - Chodzi panu o stożek wulkanu?

- Właśnie. - Meredith wskazał coś na planie groty przed sobą. Nie zbadaliśmy dokładnie dwóch tuneli po tej stronie Wielkiego Muru, gdzie znajduje się wieża.

Jeden z nich musi się kończyć pod wulkanem.

- Ale Peter już próbował znaleźć wejście przez wulkan - zaproponowała Carmen.

- Robił to, zanim został oficjalnym prąśnickim nadzorcą - zaznaczył Meredith. - Myślę, że warto się tam znowu rozejrzeć. - Skinął na Barnera. - Majorze, pan i Andrews zajmiecie się organizacją oddziałów szturmowych. Jeżeli znajdzie wejście, chcę, żebyśmy jak najszybciej dostali się do środka. Carmen, proszę mieć na oku statek ONZ. Musi też pani jakoś poradzić sobie z pytaniami, które mogą zadać Obcy. Perez, zostaniesz tutaj i pomożesz Carmen.

- A co z moim pomysłem porozmawiania z nimi? - zapytał Perez. - Jeżeli będę daleko albo przydzielili mi pan uzbrojoną eskortę...

- Jeśli znajdziemy inne wejście, nie trzeba będzie siać niezgody - powiedział szorstko Barner. - Idziemy, poruczniku.

- Wiem. Ale moglibyśmy osłabić ich siły.

Barner i Andrews zatrzymali się w połowie drogi do wyjścia z namiotu i spojrzeli na Pereza.

Meredith nie podzielał ich zaskoczenia. Wiedział, dokąd prowadzi rozumowanie Latynosa. Z wyrazu twarzy Carmen odgadł, że ona też mogła mu to zaproponować... lecz nie podobał mu się ten pomysł.

Ale przynajmniej tę decyzję można było odłożyć.

- Porozmawiamy o tym, kiedy znajdziemy wejście - powiedział Perezowi. - Idę na stożek. Proszę mnie natychmiast powiadomić, jeżeli sytuacja się zmieni.

Pionolot, którym Meredith i Carmen przylecieli wcześniej z Unie, czekał w odległości kilkuset metrów poza linią ognia z tunelu. Na pokładzie Meredith zastał Nicholasa i czterech pomocników, o których prosił. Udzielił pilotowi instrukcji co do lądowania i wdał się w rozmowę z Nicholsem o metodach, jakie on i Hafner stosowali podczas wcześniejszych poszukiwań wejścia. Rozmowa nie trwała długo, a pułkownik zdobył niewiele informacji.

Stożek był dosyć stromy przy szczycie, ale poprzedni poszukiwacze przypięli do niego drabinę sznurową, więc po kilku minutach sześciu mężczyzn stało na brzegu dna krateru.

Meredith zauważył kamery telewizyjne na brzegu stożka.

- Czy podczas ostatniej operacji z prętem udało wam się na tyle wyostrzyć zdjęcia, żeby odnaleźć miejsce, gdzie otwiera się podłoże? - zapytał Nicholasa.

- Nie. - Geolog potrząsnął głową. - Żadna z technik mająca na celu poprawienie obrazu nie okazała się skuteczna. Naszym zdaniem, cokolwiek powoduje stan nieważkości, uszkadza też kamery albo taśmę. A może jedno i drugie.

- Dobrze, w takim razie będzie nam trudniej. - Wskazał na lewo. - Chcę, żeby pan i jeszcze dwóch ludzi zajęło się tą częścią dna. Proszę dotykać rękami ściany, sprawdzić wszystkie szczeliny i w każdy możliwy sposób próbować wywołać jakąś reakcję. Ja poszukam po drugiej stronie. Obserwatorzy mają patrzeć, czy Nichols i ja czegoś nie przegapiliśmy. Wszystko jasne? Dobra. Powoli i dokładnie.

Praca rzeczywiście była powolna i frustrująca. W ciągu pierwszych dwudziestu minut Meredith sześć razy przyłapał się na rozmyślaniach, czy w podeszłym wieku nie ogranicza się czasem tylko do pobożnych życzeń. Nic w Prząśnickiej Grocie nie wskazywało na to, żeby ich status „nadzorcy” wykraczał poza komputerową sieć Gorgonich Główn. System bezpieczeństwa ukrywający wejście, które miał nadzieję znaleźć Meredith, mógł być niezależny od pokrytych węzami maszyn. Ale gdyby pułkownik zrezygnował z poszukiwań, musiałby zgodzić się na frontalny atak, a jeszcze nie był gotowy do takiego posunięcia.

I wtedy, po sprawdzeniu prawie dwóch trzecich ściany, Nichols natrafił na ślad.

- Jeżeli przytrzyma się w tym miejscu rękę przez dwie sekundy, słyszy się ciche skrobanie zza ściany - powiedział Meredithowi geolog, wskazując na fragment ściany pokryty drobnymi szczelinami. Nigdy nie uważaliśmy tych pęknięć za coś ważnego, ale teraz zastanawiam się, czy nie jest to jakiś wlot powietrza.

- A po drugiej stronie byłaby Gorgonia Głowa?

Meredith ostrożnie przyłożył dłoń do skały. Drapanie było ledwo słyszalne.

Czyżby tarcie węży Gorgoniej Głowy o ścianę?

- Czy otwór wentylacyjny nie powinien być bardziej regularny? - zapytał jeden z pomocników.

- Szkoda, że nie poznał pan zamięłowania Prząśników do zakrętasów - odpowiedział Meredith, po sprawdzeniu powierzchni wokół otworu. - Wygląda na to, że ściana jest dość solidna. Sprawdźmy czy drzwi nie są gdzieś z boku.

Poszukiwania w odległości pięciu metrów w obie strony okazały się bezowocne.

- Jeżeli nawet są tu jakieś drzwi, to trzeba je będzie otworzyć inaczej - zdecydował wreszcie Nichols. - Mam trochę kwasu fluorowodorowego. Moglibyśmy spróbować wstrzyknąć go do otworu wentylacyjnego.

- Proszę bardzo, ale wątpię, czy to nam pomoże - powiedział Meredith po uważnym przyjrzeniu się ścianie. - Jak dotąd nie spotkaliśmy Gorgoniej Głowy, która nie mogłaby wyjść ze swojego kąta, gdyby tego chciała. Podejrzewam, że drzwi nie są zablokowane, tylko zamknięte i musimy się dowiedzieć, jak je otworzyć.

- Nie widzę tu niczego, co by przypominało przyciski zamka elektronicznego - powiedział wolno Nichols. - Może trzeba włożyć kartę identyfikacyjną do jednej ze szczelin?

- Raczej wystarczy komenda słowna. Projektanci na pewno nie chcieli, żeby jakiś pracownik został uwięziony w stożku bez możliwości wyjścia. - Gdzieś na dnie umysłu zaczął mu kiełkować niezwykle głupi pomysł. - Chociaż z drugiej strony mogli też nie chcieć, żeby przeciętny Prząśnik, który nie miał tu nic do roboty, mógł swobodnie chodzić tam i z powrotem, tak jak w przypadku wejścia nad Morzem Martwym.

- No to, co zrobimy? Daleko nam jeszcze do rozszyfrowania ich pisanego języka, a co dopiero mówionego.

- Spróbujmy użyć kwasu, a potem może wystrzelimy w to kilka pocisków, na wypadek gdyby drzwi były zablokowane. A później... cóż, zastanowimy się.

Ani kwas, ani eksplozje najwyraźniej nie podziałały na drzwi albo ukrytą Gorgonią Głowę... i w końcu Meredith był zmuszony wyjść z krateru, nawiązać kontakt z Carmen w centrum operacyjnym i przedstawić swój plan.

Nie spodobał się jej. Nie odpowiadał też Nicholsowi, Perezowi, Barnerowi i Andrewsowi.

- Niedorzeczne - brzmiała natychmiastowa odpowiedź Carmen. - Niedorzeczne i samobójcze. Nie robi pan tego.

- Nawet nie ma mowy - poparł ją Barner. - Nie wolno panu ryzykować życiem.

- Będę bezpieczny - zapewnił Meredith.

- Jak to bezpieczny? - zapytał Barner. - Wie pan przecież, że w tym zmechanizowanym mrowisku nie działa połowa zabezpieczeń. Proszę sobie przypomnieć, co się stało z ludźmi w tunelu z solenoidem.

- Nie było tam wtedy Gorgonich Głów, a ci dwaj nie byli nadzorcami - zaznaczył Meredith. - Nic mi przecież nie grozi przy samej ścianie, a już na pewno mniej niż pierwszym żołnierzom, którzy przeszliby przez główne wejście.

- Skoro to takie bezpieczne - odezwał się nagle Perez - ja to zrobię zamiast pana.

- Nie, to mój pomysł. Ja to zrobię i kropka. Carmen, proszę natychmiast poczynić odpowiednie przygotowania.

- Tak jest, sir - odpowiedziała Carmen ponurym głosem.

Zrozumiała, że pułkownik wydał jej rozkaz.

Albo może zrozumiała, że nie mieli innego wyjścia.

Spędzili w środku prawie cały dzień, kiedy Hafner został gwałtownie wyrwany z głębokiego snu.

- Co się dzieje? - zapytał major Dunlop.

Hafner zmrużył oczy. Raziło go wpadające przez otwartą klapę namiotu światło.

Starł się pozbyć ogarniającego go uczucia senności.

- Dzieje... o czym pan mówi...?

- To dudnienie... nie słyszy pan? Co zamierza zrobić Meredith?

Hafner zmarszczył brwi i nasłuchiwał przez chwilę. Dźwięk okazał się łatwo rozpoznawalny.

- Niczego nie zamierza. To tylko Prząśnica rozpoczyna cykl produkcyjny.

Jego oczy już na tyle przyzwyczyły się do ciemności, że spostrzegł podejrzliwy wyraz twarzy Dunlopa.

- Jak to cykl produkcyjny? Meredith robi pręt? Teraz?

- Czemu nie? Pewnie chce pokazać Obcym, że to nadal możliwe... że nie kontroluje pan niczego oprócz kilku kilometrów kwadratowych podziemnej nieruchomości.

Ostatnia uwaga była chyba zbędna, bo twarz Dunlopa zachmurzyła się, a palce mocniej zacisnęły się na rękojeści pistoletu.

- Powinniśmy udowodnić, że jest inaczej - wycedził przez zęby. - Może pójdziemy do wieży i zaczniemy naciskać wszystkie przyciski po kolei, dopóki Prząśnica się nie wyłączy?

Hafner poczuł, że zaschło mu w gardle.

- Jeśli namiesza pan przy tym w ustawieniach albo skasuje jakiś program, Meredith zbije fortunę na sprzedaży biletów wstępu na widowisko wypruwania pańskich flaków - powiedział najswobodniej jak umiał. - A wszyscy od Rooshrike po M'zarchów mieliby z pewnością propozycje co do techniki.

Dunlop przez chwilę patrzył na niego spode łba, potem odwrócił się na pięcie i wyszedł z namiotu.

Hafner westchnął z ulgą, spojrzął na zegarek i znowu się położył, żeby przespać się z godzinę. Ciekaw jestem - pomyślał - co tak naprawdę zamierza pułkownik.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 28

Ostatni promień światła słonecznego zniknął za wewnętrzną ścianą krateru wulkanicznego, kiedy grawimetr na brzegu hełmu Mereditha wskazał zmianę siły ciężkości.

- Zaczęło się - powiedział cicho do mikrofonu. - Zmniejszyła się o dwa procent i spada coraz szybciej.

- A pańskie zabezpieczenia? - Głos Barnera ledwo było słychać przez zakłócenia, które zaczynały wypełniać pasma radiowe.

- W porządku.

Meredith starał się powiedzieć to przekonująco, choć sam do końca nie wiedział, czy to jest prawda. Liny i pręty usztywniające, które przytrzymały go przy wewnętrznej ścianie stożka koło otworu wentylacyjnego, nie dały się umocować tak dobrze, jak tego chciał. W odróżnieniu od przywierającego do wszystkiego pręta Prząśnicy, płaskie płyty na stożku wulkanu i różnych konstrukcjach w grocie wykonano z obojętnej chemicznie substancji. Przy odpowiednim nachyleniu pola zerowej grawitacji Meredith mógł zostać wystrzelony w kosmos razem z ostatnim kawałkiem pręta.

Wysiłkiem woli oddalił od siebie tę myśl, wyciągnął rękę i znowu przyłożył ją do otworu wentylacyjnego. Lekki wietrzyk, który się wcześniej zerwał, zagłuszył drapanie, ale pułkownik był pewien, że Gorgonia Głowa za ścianą wykryła jego obecność i zidentyfikowała go. Nadal jednak nie wiedział, co z tym zrobi.

Siła ciężkości zmniejszyła się teraz szybko, zaczynało też spadać ciśnienie atmosferyczne. Chłodne powietrze z sykiem wypełniało skafander ciśnieniowy, który zakrywał Meredithowi wszystko oprócz dłoni. Lekarze jednomyślnie orzekli, że ograniczone wystawienie na działanie próżni przez pewien czas jest dość bezpieczne. Jednak nikt na Astrze nie wiedział, jakie właściwie miałyby być te ograniczenia. Meredith czekał z zaciśniętymi zębami, patrząc to na otwór wentylacyjny, to znów na grawimetr.

Wychowany na pełnych napięcia amerykańskich dramatach, spodziewał się, że Gorgonia Głowa zaczeka do ostatniej sekundy, zanim podejmie jakieś działania... i dlatego był prawie rozczarowany, kiedy fragment ściany przechylił się do tyłu już przy czterech dziesiątych ziemskiej grawitacji i odsłonił szyb z krótkim tunelem i windą, podobny do tego w wieży kontrolnej w grocie. Meredith jedną ręką odpiął przytrzymujące go zabezpieczenia, a drugą złapał za krawędź otworu. Niepotrzebnie się trudził. Z niszy tuż przy tunelu wysunęła się macka i owinęła się wokół niego. Zdążył tylko chwycić rękami za metalowego węża, a już został wciągnięty do środka i uwolniony. Kiedy masował sobie szyję, zauważył, że drzwi zasunęły się za nim. Podziękował w duchu programistom Gorgonich Głównych i zabrał się do szukania układu sterowania.

Pół godziny później zakłócenia ustały i mógł zapewnić zaniepokojonych słuchaczy, że plan się powiódł. Po kolejnych dwudziestu minutach dołączył do niego Andrews z dziesięcioosobowym oddziałem komandosów. Weszli do windy i ruszyli w dół.

Podróż była długa. Meredith aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak głęboko pod ziemią zbudowano Prząśniczą Grotę - doskonale to maskowało niewielkie nachylenie tunelu wejściowego.

Pułkownik zaczynał się już niepokoić, gdy winda wreszcie się zatrzymała.

Mężczyźni wyszli z niej cicho, z bronią gotową do strzału. Znajdowali się, tak jak przewidział wcześniej Meredith, w niezbadanym dotąd obszarze groty. Pomieszczenie okazało się tak duże jak

magazyny przylegające do głównego tunelu wejściowego. Brakowało tylko krzywoliniowych wzorów na podłodze, a sufit był umieszczony znacznie wyżej. Po obu stronach pomieszczenia były ogromne drzwi, między którymi biegły...

- Tory kolejowe - mruknął Andrews, kiedy ostrożnie stuknął w nie końcem lufy swojego stonera kaliber 5,56. - Wyglądają na wytrzymałe.

Meredith wodził wzrokiem od drzwi do drzwi. Jedne prowadziły prosto pod stożek wulkanu, ocenił. Z obu stron drugich drzwi zauważył znajomo wyglądające wybrzuszenie.

- Sprawdźmy, dokąd prowadzą - powiedział i ruszył w tamtym kierunku.

Gorgonie Głowy wyłoniły się ze swoich nisz, zanim mężczyźni zbliżyli się na piętnaście metrów, i ustawiły się na pajęczych nogach przed urządzeniem otwierającym.

- Wszystko w porządku - uspokoił je Meredith.

- Zorientował się, że przemawiał jak do pary dobermanów. Podszedł bliżej, pogłaskał je po głowach, i dotknął urządzenia otwierającego.

Drzwi rozchyliły się... a to, co Meredith miał przed sobą, mogło być tylko statkiem kosmicznym.

Statek był duży. Oczywiście nie tak jak „Aurora” albo „Pathfinder”, ale na pewno o wielkości porównywalnej z rozmiarami oenzetowskich statków kurierskich ctencriańskiej produkcji. Spoczywał na taśmie transportowej, ułożonej prostopadle do torów na podłodze.

Meredith miał przeczucie, że podobnie jak sama Prząsnica, taśma i statek nadal doskonale działały.

- Przynajmniej wiemy teraz - mruknął obok Andrews - dlaczego krater wulkaniczny musiał być tak duży. Może zajrzemy do środka, pułkowniku?

Meredith rozejrzał się po pokoju. Wzdłuż ścian leżało dużo sprzętu naprawczego.

- Jeszcze nie teraz - powiedział. - Wątpię, czy jest tu coś, co mogłoby nas wspomóc przeciw Dunlopowi. A gdyby nawet tak było, znalezienie tego zajęłoby nam zbyt dużo czasu.

Oznaczmy drzwi i sprowadzimy tu później ekspertów. - Wrócił do pierwszego pomieszczenia i rozejrzał się za jeszcze jednym wyjściem. - Wracamy do windy - zdecydował. - Musieliśmy zjechać o jeden poziom za nisko.

Okazało się, że miał rację. Po chwili szli po cichu wzdłuż korytarza. Pułkownik miał nadzieję, że wybrali odpowiedni kierunek, aby dotrzeć do grotty. Za kilka godzin powinni znaleźli się już w zasięgu rebeliantów Dunlopa.

Od blisko pół godziny przy barykadzie toczono długą i juk wydawało się Hafnerowi - zażartą dyskusję. Geolog włożył łyżkę do samonagrzewającej się puszki z polową racją gulaszu i starał się wychwycić z rozmowy jak najwięcej szczegółów. Nietrudno było odgadnąć jej temat. Wiadomość, którą Perez niedawno przekazał z tunelu przez megafon, skutecznie podważyła morale wojska. Jeżeli Latynos powiedział prawdę o zgodnym popieraniu Mereditha przez Astrian, to intryga Dunlopa musiała się wkrótce zakończyć klęską, a może nawet śmiercią. Spór koncentrował się wokół tego, czy rebelianci powinni zostać na pozycji, którą coraz częściej określano jako niemożliwą do obrony, czy też wycofać się do wieży kontrolnej. Hafner nie potrafił powiedzieć, jakie stanowisko zajmował sam Dunlop... ale kiedy major podszedł do niego po kilku minutach, miał mocno zaciśnięte ze złości usta.

- Doktorze... jeśli pan pozwoli - dodał, żeby zachować pozory uprzejmości - schodzimy głębiej.

- Tak? - Hafner niespiesznie zjadł ostatnią łyżkę gulaszu i spokojnie wstał. - Rozsądniej byłoby wybrać odwrotny kierunek.

Dunlop miał teraz za dużo na głowie, żeby złośliwość Hafnera wywarła na nim jakiegokolwiek wrażenie.

- Jedziemy do wieży - poinformował. - Będziemy tam mieli wspaniałą pozycję do strzelania, jeśli ktoś spróbuje się zbliżyć. Poza tym, jak słusznie pan zauważył, Meredith nie odważy się tam otworzyć do nas ognia. Niech pan wsiada do samochodu, odjeżdżamy za kilka minut.

Hafner wykonał polecenie. W myślach miał mnóstwo pytań, na które nie było odpowiedzi. Czyżby Meredith nakłonił Dunlopa do tego posunięcia w nadziei, że jemu, Hafnerowi, uda się uciec podczas podróży? Czy powinien spróbować wykorzystać tę szansę?

A może pułkownik przypuszczał, że geolog nadal jest pod kluczem, kiedy przeprowadzał kontruderzenie? Szkoda, że nie ułożyliśmy żadnego planu na taką ewentualność, pomyślał i patrzył na zwijających obóz żołnierzy. Moglibyśmy ustalić zasady postępowania, tajny szyfr...

cokolwiek. Nie potrafię wymyślić niczego na poczekaniu.

Ale cokolwiek zaplanował Meredith, dotąd tego nie zrobił, a samochody jechały już przez wioskę Prząśników. Hafner wyjrzał przez okno i zauważył, że czterdziestu żołnierzy - jedna czwarta oddziałów Dunlopa - została przy barykadzie u wylotu tunelu jako tylna straż.

Rozdzielił swoich ludzi, - pomyślał Hafner - wkrótce nastąpi atak.

Nie nastąpił podczas przejazdu krętymi uliczkami, nie wyskoczył też na nich żaden oddział, gdy wysiadali z samochodów przy Wielkim Murze. Hafner zupełnie bez sensu skupił uwagę przy prześlizgiwaniu się przez wąski otwór pierwszych czterech mężczyzn.

Bez sensu, bo przecież nikt nie mógł przedrzeć się przez strażę przy tunelu, żeby zastawić tu jakąś pułapkę. I rzeczywiście, chwilę później zawołali, że droga wolna, a kiedy Hafner wraz z pilnującymi go żołnierzami przecisnął się na drugą stronę, zobaczył pusty jak zawsze teren.

Nie poruszało się po nim nic oprócz zwykłej liczby Gorgonich Główn...

Poruszające się Gorgonie Głowy?! Hafner poczuł, jak zaciskają mu się zęby, gdy zrozumiał tę anomalie. Od czasu jego pierwszego pobytu tutaj Gorgonie Głowy niezmiennie grupowały się u podstawy wieży. Teraz prawie połowa z nich ociężale sunęła w stronę wieży od tylnej części grotu... zupełnie jakby maszyny poszły do tunelów wyjściowych sprawdzić intruzów...

Hafner słyszał w uszach łomotanie własnego serca, kiedy domyślił się reszty szczegółów. Meredith znalazł drugie wejście do kompleksu. On i Barner wprowadzili przez nie oddział, wyprzedzili powolne Gorgonie Głowy i zaczęli się z bronią ogłuszającą zaraz za drzwiami wieży. Za pięć minut będzie po wszystkim...

Ale sto metrów przed wieżą Dunlop nagle dał znak, żeby się zatrzymać.

- Smith, Corcoran; idźcie sprawdzić wejście - rozkazał dwóm żołnierzom.

- Nie wejdą tam beze mnie - odezwał się Hafner, odrobinę za szybko. - Zatrzymają ich Gorgonie Głowy.

Dunlop patrzył na niego przez chwilę.

- No, dobra - powiedział. - Trzymajcie się z dala od maszyn i wrzucie przez otwór kilka granatów. To nie powinno niczego uszkodzić, prawda?

Hafner bez słowa potrząsnął głową. Patrzył, jak żołnierze pod chodzą do wieży.

Byli już zaledwie pięć metrów od otworu, gdy nagle bez ostrzeżenia w przejściu stanęło trzech mężczyzn w uniformach koloru khaki i wymierzyło w rebeliantów karabiny ogłuszające.

Rzucając się na ziemię, poczuł mrowienie na skórze... a ledwo dotknął podłoża, podniósł się grzmot wystrzałów z broni automatycznej.

Nadal dzwoniło mu w uszach od huku, kiedy czyjaś dłoń chwyciła go za kołnierz i gwałtownym szarpnięciem zmusiła do podniesienia się na kolana. Hafner kątem oka zobaczył żołnierzy Dunlopa leżących na ziemi z karabinami wycelowanymi w wieżę... ale teraz skupiał uwagę głównie na pistolecie, który Dunlop przystawił mu do skroni. Pistolecie ścisłanym przez napiętą z gniewu rękę.

- Meredith! - wrzasnął major w kierunku wieży i prosto do ucha Hafnerowi. - Mam tu Hafnera... słyszysz mnie? Poddaj się albo go zabiję. Nie żartuję!

Urwał dla nabrania oddechu albo otrzymania odpowiedzi... a Hafner usłyszał w tej ciszy przytłumiony pomruk dalekich wystrzałów. Ręka Dunlopa zadrżała. Ale zanim zdołał coś powiedzieć albo zrobić, z wieży dobiegł przyciszony głos Mereditha.

- Poddaj się, Dunlop. Nie masz szans.

- Mam Hafnera! - odkrzyknął major. - Chcesz zobaczyć, jak umiera?

- Nie bądź głupi - zawołał Meredith. - Nie możesz wejść do wieży, a my schwytaliśmy twoją tylną straż. Nie masz posiłków ani dokąd uciec. Co ci, do cholery, da zakładnik? Tobie albo twoim ludziom?

- Zniknij się! - wrzasnął Dunlop.

- Majorze - niepewnie powiedział jeden z sierżantów - może powinniśmy się poddać?

- Kto mówi o poddaniu się, będzie uznany za dezertera - uciszył go surowo Dunlop. - Meredith! Proponuję ci układ. Skontaktujesz się ze statkiem ONZ i każesz im przysłać po nas wahadłowiec. Potem odwołasz swoich ludzi i pozwolisz nam odlecieć.

- A co z doktorem Hafnerem?

- Poproszę Msuyę, żeby go odesłał, kiedy będziemy na pokładzie.

- Nic z tego - zawołał Meredith. - Złożę ci jednak kontrpropozycję. Jeżeli uwolnisz teraz Hafnera, gwarantuję, że wszyscy bezpiecznie odleciecie.

- Myślisz, że jestem na tyle głupi, żeby ci zaufać? Wracamy, Meredith. Lepiej odwołaj swoich ludzi.

Dunlop ostrożnie wstał i podciągnął Hafnera na nogi.

- Dobra. Wszyscy wstawać i wracać do samochodów. Żołnierze usłuchali powoli, niechętnie. Hafner poznał po ich twarzach, że byli zszokowani.

- O, do diaska! - ktoś mruknął.

Przejęty wystrzałami i krzykami podczas negocjacji, Hafner zupełnie zapomniał o Gorgonich Głowach. Ale maszyny najwyraźniej nie zapomniały o nich... i kiedy geolog spojrział na sześć Gorgonich Głów stojących bez ruchu między nimi a Wielkim Murem, miał niezwykle uczucie, jak gdyby właśnie uruchamiał się kolejny poziom oprogramowania. Ich macki wygięły się jak rozjuszony grzechotniki, a same maszyny wyglądały na nienaturalnie czujne, zupełnie jakby wyczuwały napięcie i niebezpieczeństwo i przygotowywały się, żeby coś z tym zrobić. Nawet Hafner, który przywykł już do tych urządzeń, czuł niepokój. Efekt, jaki ta scena wywarła na żołnierzach Dunlopa, był o wiele większy. Okrzykiem przerażenia zawtórowały pstryknięcia karabinów przestawianych na pełny tryb automatyczny.

- Spokojnie - krzyknął Dunlop i popchnął Hafnera bliżej ściany. - Dopóki mamy tu tego doktora, nic nam nie zrobią.

- Może tak, a może nie - wtrącił Hafner, myśląc gorączkowo. Są uzbrojone i raczej im się nie podobało, że ich nadzorca jest więźniem.

Gdyby tylko mógł oddalić się na kilka kroków od żołnierzy, pod pretekstem uspokojenia maszyn,

a potem schować się za jedną z nich...

- Nie są uzbrojone i nie rozumieją, co to jest więzień, nawet jak im się namaluje portret - odparł Dunlop. - Ruszać się, chłopcy.

- Do diabła z tym - wymamrotał ktoś z tyłu. - Meredith! Przyjmuję twoje warunki!

Dunlop odwrócił się, puścił Hafnera i wyciągnął pistolet.

- Degraduję cię na szeregowca! - warknął major... a w tym czasie Hafner skoczył ku Gorgonim Głowom.

Nie pokonał jeszcze nawet połowy drogi, kiedy coś, co wyglądało na małą bombę, wybuchło mu przy udzie i rzuciło go na ziemię. Okrzyk bólu wezbrał mu w krtani... a gdy Hafner zacisnął zęby, żeby nie wrzasnąć, ogłuszył go kolejny huk. Przygotował się na kolejną falę bólu, ale ta nie nadeszła. Zapach ozonu uświadomił mu, że stało się coś zupełnie innego.

Z trudem uniósł głowę i obejrzał się przez ramię.

W miejscu, gdzie był wcześniej Dunlop, leżała teraz zwęglona postać. Rebelianci stali wokół jak wryci, z opuszczoną bronią. Od strony wieży biegła nowa grupa żołnierzy.

- No i co na to powiecie? - Hafner usłyszał swój własny jakby z oddali. - Chyba jednak są uzbrojone.

I wtedy osunął się w ciemność.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 29

Zajęty porządkowaniem spraw w Prząśnickiej Grocie, Meredith mógł pojechać do szpitala w Unie dopiero blisko pół godziny po tym, jak przewieziono tam Hafnera.

Kiedy wreszcie przyjechał, w malutkiej poczekalni zastał Andrewsa i Carmen.

- Coś już wiadomo? - zapytał, siadając w fotelu naprzeciwko nich.

- Nie wygląda na to, żeby miał umrzeć - powiedział Andrews. - Lekarze nie są jednak pewni, czy uda im się ocalić mu nogę... kość udowa jest poważnie uszkodzona.

- Tak. Carmen... przykro mi - powiedział zmęczony Meredith.

- To nie pańska wina, pułkowniku - mówiła opanowanym głosem, pomimo niepokoju na twarzy. - Dunlopa należało powstrzymać.

- Powstrzymać do kwadratu. - Meredith spojrzał na Andrewsa.

- Powiedziałaś jej?

Porucznik przytaknął.

- Wiadomo, co to była za błyskawica?

- Prawdopodobnie zwykłe, konwencjonalne wyładowanie wysokiego napięcia. Pewnie uziemione przez podstawę z metalu pręta albo siatkę pod ziemią w grocie.

- Więc teraz nadzorcy zostali podniesieni do rangi półbogów - mruknęła Carmen. - Mogą rzucać piorunami w swoich wrogów. - Westchnęła. - Nie podoba mi się, że Gorgonie Głowy dysponują bronią zaczepną.

Andrews wzruszył ramionami.

- To na pewno powstrzyma potencjalnych rebeliantów.

- No, teraz to w porządku, ale co będzie za jakieś dwadzieścia lat?

- Do tego czasu rozpracujemy cały system - zapewnił ją Meredith. - Już oznaczyłem prace nad nadzorczym systemem bezpieczeństwa jako projekt o najwyższym priorytecie.

Będziemy mogli mieć nowych nadzorców na długo przed tym, zanim będą nam potrzebni.

- Nie o to mi chodziło. - Carmen potrząsnęła głową. - To po prostu jeszcze jeden sposób, w jaki tutejsze zasoby można zastosować do celów wojennych. Czy tego właśnie chcieli Prząśnicy, kiedy tworzyli to miejsce, czy może to tylko nasza ludzka nienawiść zamienia w broń wszystko w zasięgu wzroku?

- Niewiele jest rzeczy we wszechświecie, które mogą służyć zarówno dobru, jak i złu - powiedział Andrews. - Gdyby Prząśnicy byli na tyle moralnie czysti, żeby nie widzieć negatywnych zastosowań swojej maszynerii, zostaliby zniszczeni przez pierwszą rasę, która by je dostrzegła.

- Albo zniewoleni. - Gdzieś na dnie umysłu Mereditha zaczęła się tłuc pewna myśl. - Może Prząśnicę zbudowali niewolnicy zesłani na roboty przymusowe.

Carmen wzdrygnęła się.

- To okropna myśl. Życ na planecie niewolników...

- Mówisz tak, jakby chodziło o Oświęcim - powiedział Andrews. - Pamiętaj, że cokolwiek się tu działo, zakończyło się już przed setkami tysięcy lat.

- Poza tym - powiedział Meredith - wątpię, żeby tutejsi nadzorcy niewolników potrzebowali aż tak dużej łodzi ratunkowej jak ta, którą znaleźliśmy.

Carmen zamrugnęła oczami.

- Co takiego? Gdzie ona jest?

- Jest ukryta w pomieszczeniu tuż pod stożkiem wulkanu - powiedział Meredith. - Na razie są to tajne informacje... i właśnie dlatego Andrews tak dziwnie teraz na mnie patrzy.

Andrews zaczerwienił się lekko.

- Proszę wybaczyć, pułkowniku, ale myślałem, że nie chciał pan nikomu więcej mówić o tym statku.

- Tak było. Pomyślałem jednak, że moglibyśmy spróbować go uruchomić... a do tego potrzebny nam pilot.

Carmen aż otworzyła usta.

- Pan chyba nie... ma pan na myśli mnie?

- Zgadza się. Chciałbym, żeby jutro z samego rana zajęła się pani analizą pulpitu sterowniczego. Będzie pani potrzebna lista wstępnych tłumaczeń, którą ułożyła ta lingwistka, doktor Williams. Dopilnuję, żeby zrobiła dla pani kopię.

- Ale dlaczego ja? - zaprotestowała Carmen. - Ma pan przecież pilotów o wiele ode mnie lepszych.

- To prawda - powiedział otwarcie Meredith. - Ale po incydencie z Dunlopem, niewielu jest ludzi na Astrze, którym mogę całkowicie zaufać. Oprócz mnie jest pani jedyną osobą z jakimkolwiek doświadczeniem lotniczym. Tak więc maszyna należy do pani.

Carmen z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Poruczniku, czy zechciałby pan łaskawie wyjaśnić pułkownikowi Meredithowi, że szansę rozpracowania przeze mnie od samego początku zasady działania obcego statku są mniej więcej takie same, jak na pływanie w Morzu Martwym pod wodą?

- Właściwie nie będzie to takie trudne, jak pani myśli - powiedział Andrews. - Jeśli to jest łódź ratunkowa, zaprojektowano w niej jak najprostsze sterowanie. Na pewno większość czynności wykonywana jest automatycznie. Jednak - dodał i spojrzał na Mereditha - nie wiem, do czego mielibyśmy jej potrzebować.

- Zastanowimy się nad tym, jak się czegoś o niej dowiemy powiedział Meredith ogólnikowo. - A tak przy okazji, czy Wissstom udało się przechwycić pręt?

- Tak - przytaknęła Carmen. - Ale nie miałam jeszcze możliwości powiedzieć panu, że pręt na całej długości nie przywierał do innych przedmiotów.

Serce Mereditha zamarło na chwilę.

- Nie przywierał? O, o.

- Ach, nie ma w tym nic dziwnego - dodała pośpiesznie. - Chodzi o to, że pręt pokrywała milimetrowa warstwa gumowatego materiału, który najwyraźniej redukuje lub zmienia przyciąganie powierzchniowe. Obcy spróbowali to spiłować z jednej strony. Schodzi dosyć łatwo, a pod spodem pręt jest taki sam jak inne.

Meredith poczuł, jak mięśnie rozluźniają mu się od uczucia ulgi.

- A już zaczynałem się martwić. Jak to przyjęli Wissstowie?

- Ech, zna pan przecież ich sposób patrzenia na życie. Dla nich cała ta sprawa to kapitalny żart. Myśli pan, że ludzie Dunlopa zmienili jakieś ustawienia w wieży?

- Mówią, że nikt nawet nie wszedł na górę. - Meredith potrząsnął głową. - Możemy później zapytać o to jeszcze doktora Hafnera. Sądzę jednak, że jest to skutek ponownego uruchomienia tej koparki.

- A, tak... zapomniałam o tym. Carmen ze zmęczeniem potrząsnęła głową.

- Mój umysł chyba właśnie wyłączył się na noc.

- Więc powinna pani teraz pójść do domu i pozwolić ciału na odpoczynek - powiedział Meredith.

- Chciałabym poczekać tutaj, aż będzie wiadomo, co z nogą Petera.

Zawahała się, jak gdyby szukając mniej bolesnego tematu do rozmowy.

Andrews oszczędził jej kłopotu.

- Pułkowniku, co zrobimy w sprawie Msuyi? Nawet jeśli nie potrafimy tego udowodnić, ONZ i tak z pewnością wspierała zamach stanu Dunlopa. Możemy nakłonić Rooshrike, żeby go przepędzili z systemu?

- Pewnie tak, ale nie wiem, czy warto. Cokolwiek postanowimy w sprawie imigracji i bezpośredniej pomocy dla najuboższych krajów, będziemy potrzebować chociaż na wpuł pokojowych stosunków z ONZ, żeby się nam to udało. Poza tym Saleh i tak wystarczająco podejrzliwie patrzy na to, co tu robimy.

- A jeśli narobią nam więcej kłopotów? - zapytała Carmen.

- Jak? Nie ma już Dunlopa, więc nie został nikt, kto mógłby pomóc Msuyi.

- A tych pięciu naukowców, których sprowadził Cris? Do tej pory na pewno zauważono już ich zniknięcie. Saleh mógł zagrozić, że coś się stanie ich rodzinom, jeśli nie będą współpracować.

- Zaczynamy od początku? Nawet groźbę trzeba jakoś doręczyć, a nasi przyjaciele na górze nie mają jak się z nimi skontaktować.

- Dotarli do Dunlopa - przypomniał mu Andrews. - Pamięta pan te wysokopasmowe przekazy? Msuya jakoś przekazał Dunlopowi radio.

- Zapomniałem o tym - przyznał Meredith. - Musimy się dowiedzieć, jak to się stało, i odciąć tę drogę. - Przyszło mu do głowy oczywiste wyjaśnienie, ale postanowił nie wspominać o tym. Możemy poprosić Orsfamów o monitorowanie tego pasma i sprawdzenie, czy pojawi się na nim coś jeszcze.

Uwagę Mereditha przykuł jakiś ruch przy rozsuwanych drzwiach. Do pokoju wszedł cicho główny chirurg Astry. Bładozielony fartuch miał poplamiony zakrzepłą krwią.

- I jak? - zapytał pułkownik w napięciu.

- Mamy osiemdziesiąt procent szans na uratowanie mu nogi - w zmęczonym głosie lekarza brzmiało zadowolenie. - Doszło do poważnego zatoru żylnego, ale myślę, że udało nam się na czas przywrócić przepływ krwi. Jeśli te podejrzenia są słuszne, sama kość nie powinna stanowić problemu. Możemy wszczepić porowatą ceramiczną protezę, do której przyrosną pozostałe części. - Spojrzał na Carmen. - Będziemy mu podawać środki znieczulające przez co najmniej dziesięć godzin albo dłużej, jeśli okaże się, że jego stan jest na tyle stabilny, żeby wszczepić mu protezę. Więc może już pani iść do domu.

- Dziękuję, doktorze. Dobra robota - powiedział Meredith. - Andrews, odprowadź Carmen do domu, a potem sam się prześpij. Dobranoc wszystkim.

Pięć minut później był już w swoim biurze. Z kąta wabiło go zapasowe łóżko.

Pozbył się tych myśli, usiadł przy biurku i wystukał numer do oficera służbowego w bazie „Martello”.

- Chciałbym porozmawiać z oficerem dowodzącym Orsfamów powiedział swojemu rozmówcy. - Proszę mnie z nim połączyć na kodowanym kanale radiowym. Potem proszę spróbować zlokalizować statek Rooshrike. Mam dla nich pilne zlecenie na dostawę sprzętu.

- Tak jest, pułkowniku.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 30

Meredith odchylił się do tyłu w fotelu i spojrzał na zegarek. Nawiązanie pierwszego kontaktu wymagało kilku minut. Trzy razy tyle zajmie nakłonienie orsfamskich władz do zrobienia tego, co chciał. A skoro i tak już czekał...

- Proszę mnie też połączyć ze statkiem ONZ - polecił oficerowi.

Miał do powiedzenia Msuyi kilka nieprzyjemnych rzeczy.

Minęły trzy tygodnie, zanim stan nogi Hafnera polepszył się na tyle, że geolog mógł pokonywać krótkie odległości bez wózka... a jednocześnie były to te same trzy tygodnie, po upływie których praca Carmen zakończyła się wreszcie niepowodzeniem.

- Po prostu nie daję sobie z tym rady - powiedziała Meredithowi i z irytacją rzuciła notatnik na biurko. - Tłumaczenie Loretty jest dosyć sensowne, kiedy je czytam, ale nie potrafię zastosować tego wszystkiego do tych zawijasów na pulpicie kontrolnym.

- To chyba nie jest jakiś inny język? - zapytał.

Bezradnie wzruszyła ramionami.

- Nie potrafię powiedzieć nawet tego. Użyto tych samych czterdziestu sześciu symboli, ale to wszystko, co wiem. Jeśli chce pan odkryć, jak działa ten statek, musi pan pozwolić Lorecie pracować razem ze mną.

Meredith odwrócił wzrok i popatrzył na drugą stronę groty. Carmen wstrzymała oddech. Jeśli jej odmówi, pewnie będzie musiała spędzić resztę życia na tej głupiej łodzi ratunkowej.

- Małe przekupstwo - zaproponowała. - Mogę pozwolić majorowi Brownowi wrócić do jego normalnych obowiązków. Peter powiedział mi, że znowu chciałby dźwigać swoją część ciężaru, a skoro nie może przez cały dzień chodzić tam i z powrotem po schodach w wieży, na pewno mógłby przeprowadzić Loretę i mnie przez oddziały Gorgonich Główn, a potem poczekać na statku, aż skończymy pracę.

Meredith odwrócił się do niej z lekko drwiącym uśmiechem na ustach.

- Chyba już za długo pracuje pani jako nasz reprezentant handlowy. Staje się pani zbyt dobra w negocjowaniu. - Przygryzł wargi. - W porządku - powiedział wolno. - Skoro tak... to dobrze, tak zrobimy. Zabierzemy ich tam jutro rano. Do tego czasu ani słowa żadnemu z nich, jasne?

- Tak, sir... i dziękuję. Wiem, że chciał pan utrzymać wszystko w tajemnicy, ale to naprawdę jedyne rozwiązanie.

Przez chwilę miał dziwny wyraz twarzy... lecz zaraz znowu uśmiechnął się lekko.

- Tak. Chyba ma pani rację.

Carmen skinęła głową, odwróciła się i wyszła. Dziwnie to ujął, pomyślała, idąc w stronę wyjścia z groty. Szybko jednak przestała się nad tym zastanawiać. Jak dotąd Meredith z pewnością udowodnił, że mniej więcej wie, co robi.

- Prząśnicki statek kosmiczny.

Msuya nie krył zadowolenia, kiedy powtarzał na głos słowa Ermakowa. Nareszcie po tak długim czasie miał coś, co przyniesie mu polityczną władzę, której tak pragnął. Jak tylko skaże Mereditha na ostateczne upokorzenie i klęskę.

- Działa?

- Williams nie wiedziała, ale to oczywiste, że Meredith tak myśli - głos Rosjanina dobiegł z głośników na panelu kontrolnym. Po raz pierwszy pokazano jej statek dopiero dwa dni temu.

- I będzie pracowała razem z innymi, dopóki nie rozpracuje wszystkich systemów?

- Nie powiedziała. - Ermakow zawahał się. - Myślę, że byłoby dobrze zaopatrzyć ją w nowy nadajnik, jeśli to możliwe. Odnosi się do mnie chłodno od czasu klęski Dunlopa.

- Wyjaśniłeś, że jej magnetofon uległ samozniszczeniu i nie ma możliwości, żeby Meredith powiązał ją z rebelią?

- Właściwie - powiedział sucho Ermakow - wydaje mi się, że to sama rebelia tak ją rozzłościła. Może mała rozmowa przypomniaby jej o odpowiedzialności przed ONZ.

Msuya uśmiechnął się do siebie. Ermakow pewnie uważał, że jego zadanie na Astrze polega na poszerzeniu wpływów Matki Rosji pod wygodną przykrywką sojuszu z ONZ.

Ciężko jest wykorzenić stare zwyczaje, pomyślał, ale Rosjanie w końcu się nauczą, żeby z nami nie zadzierać.

- Możesz poinformować doktor Williams o wbudowaniu dodatkowego nadajnika w jej suszarkę do włosów - powiedział Ermakowowi. - Montaż i użycie są takie same, jakie poznała podczas treningu. Oczekuję wznowienia normalnych kontaktów.

Po drugiej stronie nastąpiła chwila ciszy. Msuya pomyślał, że Ermakow zastanawia się, czy jemu też podłożono drugi nadajnik... i co jeszcze mogło znajdować się w jego posiadaniu. Msuya uśmiechnął się szeroko. Podobne operacje zawsze szły lepiej, gdy zaspokojonej chciwości towarzyszyło ukłucie strachu.

- Powiem jej - zgodził się w końcu Rosjanin.

- Dobrze. Możesz teraz złożyć własny raport.

Słuchał półuchem, jak Ermakow zaczął coś wyjaśniać tajemniczym językiem elektroniki. Wiedział, że rozmowa jest nagrywana, a eksperci „Trygve Lie” zbadają później wszystkie szczegóły. Rosjanin przekazał niewiele nowości. Tyle potrafiło stwierdzić nawet laickie ucho Msuyi. Jednak zawsze mógł nastąpić jakiś przełom, więc kiedy Ermakow skończył, Msuya powstrzymał się od krytyki za brak postępów. Podziękował tylko swojemu rozmówcy i przerwał połączenie.

Przez chwilę patrzył przez luk na przesuwające się wolno Astrę i gwiazdy i delektował się nowiną. Nareszcie - samowystarczalna, ruchoma część technologii Obcych.

Trudno byłoby znaleźć lepszą szansę przełamania monopolu Meredith... a Msuya nie zamierzał przepuścić takiej okazji. Kiedy tylko Williams zrozumie działanie łodzi, on znajdzie sposób, żeby ją wykraść.

Spojrzał na duży zegar, zadzwonił do bufetu okrętowego i zamówił kolejną filiżankę herbaty.

Za dziesięć minut miał zgłosić się indyjski informatyk Udani.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 31

Meredith przeczytał raport dwa razy i poczuł znajomy ucisk w żołądku. Sensacja, zgodnie z oczekiwaniami, właśnie nadeszła... i to w najgorszym momencie, jaki tylko można sobie było wyobrazić. Zwinął stronę na ekranie z powrotem do swojego tajnego pliku.

Wymamrotał przekleństwo, odchylił się w fotelu i popatrzył na śnieg za oknem. Wszystko wydarzyło się teraz, oczywiście z jego winy i chyba właśnie to napełniało go największą goryczą. Carmen pierwotnie proponowała ustalenie kadencji Rady na jeden rok. To on chciał skrócenia jej do sześciu miesięcy. Wtedy wydawało się to nieszkodliwe... ale wtedy nie było Prząśnicy ani zysków, które można by z niej czerpać, ani zażartej dyskusji, co z nimi zrobić.

Kłopot w tym, że obydwie frakcje miały dobrą pozycję. Tym trudniejsze było więc zadanie Meredith jako ostatecznego decydenta. Perez jak zwykle naciskał na natychmiastową - jeśli nawet nieco selektywną - imigrację. Motywował to stwierdzeniem, że ubodzy ludzie na Ziemi, dopóki pozostawali więźniami niesprawiedliwych systemów socjopolitycznych, nie mieli szans na rozwój, niezależnie od tego, jaką otrzymaliby pomoc. Z drugiej strony grupa popierająca opcję in loco, którą zaproponował Hafner, zwracała uwagę na zagrożenia przechwycenia i ewentualnego sabotażu Prząśnicy. Frakcja ta utrzymywała, że znalazła sposób na ominięcie niesprawiedliwych rządów krajów Trzeciego Świata w udzielaniu pomocy ich obywatelom. Członkowie tego ugrupowania uważali chodzącego teraz o kulach Hafnera za swój symbol i najbardziej wiarygodnego rzecznika. Skutecznie kultywowali ksenofobię, co nie było trudne od czasu sierpniowej próby przejęcia władzy przez ONZ. Do wyborów zostały jeszcze tylko trzy tygodnie. Kampania zaczynała robić się gwałtowna... a stosunki między pięcioma nadzorcami były coraz bardziej napięte.

A teraz to.

Meredith uniósł nadgarstek i wystukał na naręcznym telefonie numer do Carmen.

Nikt nie odpowiadał. Pułkownik rozłączył się i zadzwonił do oficera służbowego w Prząśnickiej Grocie, gdzie zostawił wiadomość. Wyprostował się w fotelu, wywołał w komputerze spis zapasowego sprzętu i zaczął układać listę przyrządów, których miał nadzieję nigdy nie potrzebować.

Uporał się już z tym zadaniem i wpisywał właśnie tymczasowe szczegółowe instrukcje, kiedy zjawiała się Carmen.

- Chciał się pan ze mną widzieć? - zapytała i zamknęła za sobą drzwi.

- Tak. - Meredith wskazał jej miejsce w fotelu. - Chcę, żeby łódź ratunkowa była gotowa do lotu jutro rano. Czy to możliwe?

Carmen stanęła jak wryta w połowie drogi do fotela i otworzyła szeroko oczy.

- Jutro rano?!

- Tak. Wie już pani, jak ją obsługiwać?

Powoli podeszła do fotela i ciężko odetchnęła.

- Nie wiem, co powiedzieć. Tak, przetłumaczyliśmy etykiety wszystkich urządzeń sterowniczych. A z podręcznika operacyjnego, który znalazłyśmy w komputerze, wynika, że statek pilotuje się niesłychanie łatwo. Ale nie możemy sprawdzić silników ani innego sprzętu, dopóki nie zrozumiemy, jak działają, a do tego nam jeszcze bardzo daleko.

- Będziemy musieli podjąć to ryzyko - powiedział Meredith. Wydaje się jednak, że jest niewielkie, biorąc pod uwagę osiągi samej Prząśnicy. Dobra. Chcę, żeby pani z doktorem Hafnerem i doktor Williams natychmiast poszła do statku, sprawdziła wszystko, co można, i postarała się

odgadnąć sekwencję startową. Powiedziała pani kiedyś, że system nawigacyjny zaprojektowano jak dla dzieci. Podtrzymuje pani tę opinię?

Przytaknęła.

- Komputer wyświetla mapę i wystarczy wskazać, dokąd się chce lecieć. Wybrać można tylko kilka gwiazd, lecz wszystkie są według podanych informacji odległe zaledwie o pięć do piętnastu dni drogi stąd.

- Może są tam tylko miejsca, gdzie dostępne było otrzymanie pomocy w sytuacjach kryzysowych.
- Meredith chrząknął. - W porządku. Przyjdę tam dziś wieczorem z drugim pasażerem i ze sprzętem, który będzie nam potrzebny.

- Dobrze, sir. - Oblizła wargi. - Aha... mogę wiedzieć, co się dzieje?

Meredith westchnął.

- Chodzi o szczególny splot trzech ważnych wydarzeń: zbliżających się wyborów, odkrycia prząśnickiej łodzi ratunkowej - zawahał się - i złamania systemu bezpieczeństwa Gorgonich Głów dziś rano.

Carmen zaniemówiła na chwilę.

- Ma pan na myśli oprogramowanie nadzorcze? Nie wiedziałam, że Udani i Ermakow zaszli już tak daleko.

- Jak widać, zaszli - stwierdził Meredith. Zataił szczegóły. Wolał żeby Carmen na razie nie wiedziała o pewnych sprawach. Chyba dostrzega pani możliwe konsekwencje. Nasza piątka nie ma już wyłącznego dostępu do wieży kontrolnej. Jeśli będziemy chcieli, możemy umożliwić wejście do chronionych obiektów komukolwiek na Astrze.

- Albo komukolwiek z ONZ - dodała cicho. - Czy obawia się pan właśnie tego, że ktoś mógłby wykraść tę informację dla Msuyi i sprowadzić na nas atak?

- Tego i tych paskudnych rozgrywek politycznych, które mogą temu towarzyszyć.

Kampania Dunlopa nie powiodła się głównie dlatego, że dostęp do wieży gwarantował mu tylko niegodny zaufania zakładnik. Co by się stało, gdyby Perez, powiedzmy, zaprowadził tam kilkunastu jego sojuszników i zrobił z nich nadzorców?

- Cris nie zrobiłby czegoś takiego. - Carmen broniła Latynosa, ale czuła się przy tym niezręcznie.

- Więc zaciągnęłoby go tam tych kilkunastu fanatyków i zrobiliby wszystko sami - Meredith wzruszył ramionami. - Końcowy efekt byłby ten sam.

Carmen przytaknęła niechętnie.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli jakoś utajnić szczegóły.

Raczej nie, - pomyślał.

- Nie pozostałyby utajnione na długo - powiedział głośno. Właściwie, kiedy tylko ujawnimy, że mamy ten kod, zaczną się walki polityczne o kontrolę nad nim.

- Więc jak może nam pomóc wycieczka prząśnickim statkiem?

- Zyskamy trochę czasu, jeśli doprowadzimy do tego, że walka będzie się toczyć o to, co zrobimy z naszymi pieniędzmi. Wolałbym na razie więcej nie mówić.

Carmen powoli wstała z fotela.

- Mam nadzieję, że pan wie, co robi - powiedziała. - Powiem Peterowi i Loretcie, żeby natychmiast zabrali się z powrotem do pracy. Zakładam, że mogę im powiedzieć, co planujemy, kiedy już będziemy na pokładzie?

- Chyba będzie pani musiała. - Meredith zawahał się przez chwilę, otworzył środkową szufladę

biurka i wyciągnął mały pistolet ogłuszający. - Żadne z nich nie może już wrócić do groty, kiedy się dowiedzą - dodał cicho i wręczył jej broń.

Przyjęła ją ze skupionym wyrazem twarzy. Przez chwilę trzymała pistolet w ręce, a potem włożyła go do bocznej kieszeni płaszcza i wyszła bez słowa.

Meredith zaczekał, aż zamknie za sobą drzwi, i głośno odetchnął ze zdenerwowania i ulgi. Wiedział, że Carmen wykona powierzone jej zadanie... ale bardzo żałował, że musiał zrzucić taki ciężar na jej barki. Na Astrze było tak niewielu ludzi, którym mógł zaufać.

Przez następną godzinę dzwonił do nich, wydając im polecenia i informując o tworzonych przez niego specjalnych danych. W końcu wyciągnął się na łóżku w biurze i uciał sobie drzemkę przed czekającym go długim wieczorem.

Było już zupełnie ciemno, kiedy dojechał do ogrodzenia, otaczającego teraz wejście do tunelu i budynki wokół niego. Wartownicy przepuścili jego samochód i wkrótce jechał już długim korytarzem. Zdjął płaszcz, ponieważ zimowy mróz stopniowo ustąpił miejsca stałej późnowiosennej temperaturze, jaką utrzymywały w grocie urządzenia klimatyzacyjne.

Major Barner czekał na niego w centrum operacyjnym. Razem podjechali pod Wielki Mur. Sprzęt, który Meredith przywiózł z Unie, przenieśli do dwóch wózków golfowych z otwieranym dachem i pojechali do wieży. Zaparkowali obok dwóch innych wózków i wjechali windą na górę.

- Witam, pułkowniku, majorze - pozdrowił ich Perez, kiedy weszli do głównej sterowni. - Myślałem, że jestem tu dzisiaj na ostatniej zmianie.

- Wydarzyło się coś szczególnego - powiedział Meredith.

Zerknął na trzech naukowców, którzy pracowali przy pulpicie sterowniczym. Tylko Ermakow potrafił dobrze udawać brak zainteresowania rozmową. Udani i brazylijski fizyk Arias byli odrobinę zbyt czujni.

- Musisz nam pomóc w kilku sprawach na dole - powiedział Perezowi. - Major Barner przejmie twoje obowiązki do końca zmiany.

Perez wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy. Możemy iść.

- Carmen i Hafner wykonują pewne zadanie w jednym z odległych pomieszczeń - wyjaśnił Meredith, kiedy zjechali windą na dół. - Zawieziemy im kilka wózków specjalnego sprzętu.

- Widziałem kiedyś, jak szli w tamtym kierunku - wskazał Perez głową. - Żadne z nich nie chce powiedzieć, nad czym pracują, a doktor przez swoje separatystyczne poglądy polityczne i tak niewiele ze mną rozmawia.

- Wkrótce wszystkiego się dowiesz - obiecał Meredith.

Pomieszczenie z łodzią ratunkową łączyła winda odległa od brzegu groty o nie więcej niż dziesięć minut jazdy. Załadowali skrzynie do windy i pojechali w dół.

- Witamy w porcie kosmicznym „Martello Wschód” - powiedział Meredith, kiedy minęli Gorgonie Głowy i uruchomili urządzenie otwierające drzwi.

Perez z wrażenia wyszeptał jakieś hiszpańskie przekleństwo.

- Statek Prząśników? - wymamrotał. - Niesamowite.

- Właśnie tak, zgadza się. Chodźcie, musimy wnieść te skrzynie do środka.

Jedyne wejście, o którym wiedział Meredith, znajdowało się w połowie wysokości zakrzywionej burty. Można się było do niego dostać po wąskiej drabince. Meredith i Perez wnieśli sprzęt na pokład i ustawili go zaraz za wjazdem. Pułkownik przytrzymał w myślach kciuki na szczęście i

wprowadził Perezę dalej.

Carmen, Loretta i Hafner czekali w kokpicie z wyrazem skupienia na twarzach.

- Słyszeliśmy, jak pan wchodził - powiedziała cicho Carmen. O ile wiem, wszystko gotowe.

- Gotowe na co? - zapytał podejrzliwie Perez i rozejrzał się po kokpicie.

- Lecimy na małą wycieczkę - wyjaśnił Meredith i wskazał szereg foteli umieszczonych dość daleko od pulpitu sterowniczego. Gdybyście tak zechcieli zapiąć pasy...

- Na wycieczkę, dokąd? - przerwał Perez.

- Na rodzimą planetę Prząśników.

Nawet Carmen otworzyła szeroko oczy.

- To jakiś żart - krzyknął Perez. - Ja, przykładowo, jestem zbyt zajęty, żeby lecieć na jakąś wycieczkę... a już na pewno nie polecę nie przetestowanym statkiem Obcych.

- Jestem pewien, że major Barner i doktor Nichols poradzą sobie ze wszystkim do naszego powrotu - powiedział Meredith i wyciągnął z kieszeni pistolet ogłuszający. - Starajmy się stwarzać potrzeby użycia siły, dobrze? Chciałbym, żebyśmy wszyscy byli w dobrych stosunkach podczas podróży.

Perez spojrzał na Carmen oskarżające.

- A co z wyborami? - zapytał i odwrócił się z powrotem do Meredith. - A może to tylko zakamuflowany sposób na pozbawienie mnie wpływów na Astrze?

- Doktor Hafner też leci z nami - podkreślił Meredith. - Jeżeli nie sądzisz, że to wyrównuje szansę, wspomnę jeszcze, że major Barner otrzymał polecenie przesunięcia wyborów do naszego powrotu.

- Więc co pan chce udowodnić? Że nadal pan ma całkowitą władzę na Astrze?

- Nie mam więcej władzy niż ktokolwiek w tym pomieszczeniu - powiedział stanowczo Meredith. Rzucił pistolet Perezowi. - Mam tylko ciekawość i piekielnie dużo pytań bez odpowiedzi. Jest teraz szansa zobaczyć, co Prząśnicy robili z prętem, który zabierali z Astry. Może nawet się dowiemy, co się z nimi ostatecznie stało. Każdy, kogo naprawdę interesuje przyszłość Astry, powinien chcieć się dowiedzieć, czy pręt przyczynił się jakoś do ich upadku. Nie zgadzacie się ze mną?

Perez przyglądał mu się przez dłuższy czas. Wreszcie bez słowa podszedł do fotela, który wskazał mu wcześniej Meredith, usiadł i niemal z pogardą rzucił pistolet na siedzenie obok. Meredith minął go, podniósł broń, odłożył ją i dołączył do Carmen koło głównego okna przy pulpicie sterowniczym.

- Lećmy - powiedział.

Odwróciła się do pulpitu i nacisnęła kilka przycisków. Pokład pod nimi zadrgał i ruszyli wzdłuż torów w kierunku podwójnych drzwi. Carmen spojrzała na ekran pokryty prząśnickim pismem i ustawiony obok wyświetlacz translatora, po czym przestawiła kilka innych przełączników.

- Wygląda na to, że jest sterowany automatycznie, dopóki nie opuścimy planety - powiedziała Meredithowi zdenerwowanym głosem. - Potem będę musiała wskazać cel podróży na mapie, o której panu mówiłam.

- Jasne.

Byli już w innym pomieszczeniu i zbliżali się do drugich podwójnych drzwi.

Meredith wśliznął się na siedzenie koło Carmen i przez chwilę przyglądał się pasom bezpieczeństwa.

Kiedy znowu podniósł wzrok, lecieli coraz wolniej przez wypełnioną maszyną salę, która zdawała się nie mieć sufitu.

- Pod stożkiem wulkanu - mruknął i powiódł wzrokiem po dżungli urządzeń o dziwnym kształcie i po otaczających je przewodach. - Mhm... tam przed nami, przy ścianie: czy to nie duplikat taśmy transportowej, na której się właśnie poruszamy?

- Na to wygląda - zgodziła się Carmen. - Może w pustym pomieszczeniu, które minęliśmy, była kiedyś druga łódź ratunkowa.

- To by wyjaśniało, dlaczego tej nigdy nie użyto - wtrącił z tyłu Hafner. - Kiedy odjeżdżali, było ich zbyt mało do wykorzystania dwóch statków.

Meredith spojrzął na geologa. Siedział obok Loretty, ze zranioną nogą niewygodnie ułożoną na dziwnie ukształtowanym siedzeniu Prząśników. Wyglądał na kogoś, kto stara się nie wydawać przedwczesnych sądów. Meredithowi przyszło do głowy, że niezależnie od tego, czy udało mu się utrzymać Astrę, miał duże szansę stracić szacunek i zaufanie tych ludzi. Ale było już o wiele za późno na żałowanie swojej decyzji.

- Myśli pan, że mogła wybuchnąć zaraza? - zapytał Hafnera.

- Albo pracował tu już tylko niezbędny personel. To jedna z rzeczy, których chcemy się dowiedzieć, prawda?

Meredith przytaknął i odwrócił się. Łódź zatrzymała się, a uwagę pułkownika przykuł nieznaczny ruch cieńszych przewodów na zewnątrz.

- Powietrze ucieka - mruknął. - Pewnie wyrzuci nas przy użyciu anulatora grawitacji.

Ledwo wypowiedział te słowa, pomieszczenie jak gdyby zapadło się na wprost niego, a szyby poczerniały. Co...?

- Pewnie lecimy w górę szybu. Okna stają się nieprzezroczyste, gdy statek ustawia się dziobem do góry, prawdopodobnie dla ochrony.

- Dziobem do góry? - Wydawało się, że podłoga pozostała pozioma. -...Ach, więc Prząśnicy potrafili nie tylko eliminować, ale i tworzyć siłę ciężenia.

- Na statku tej wielkości? - zaskoczony Perez natychmiast przestał milczeć. - Niewiarygodne.

- Właśnie.

Jeszcze jedna pozycja, którą można dodać do listy wojskowego sprzętu Astry, pomyślał Meredith.

Miał piekielnie wielką nadzieję, że Prząśnicy, zanim odeszli, pozostawili po sobie kilka odpowiedzi.

- To szczęście, że ich namierzaliśmy - powiedział Msuyi kapitan „Trygve Lie”, a sądząc po jego tonie, nadal nie wiedział, czy powinien budzić przełożonego. - Zgodnie z instrukcją mamy teleskop skierowany na Mt Olympus...

- Tak, tak - przerwał Msuya i usiłował włożyć szlafrok, podczas gdy stopami szukał kapci na podłodze. - Czy już przeskoczyli?

- Nie, sir - powiedział kapitan. - Wygląda na to, że lecą dokądś w zewnętrznym systemie Astry.

- Albo chcą odejść na tyle daleko, żebyśmy nie mogli określić wektora kierunku, kiedy przeskoczą - rzucił Msuya.

To był środek ostrożności, który, jak się spodziewał, mógł przedsięwziąć Meredith.

- Za nimi, kapitanie. Chcę być tuż przy nich podczas przeskoku.

- Tak jest, sir. Za pięć minut zejdziemy z orbity.

Nieźle, pułkowniku, pomyślał Msuya z ponurym uśmiechem zadowolenia, gdy alarm ostrzegł przed startem. Ale nie uda ci się zabrać mi tego statku. Będzie należał do mnie... albo do nikogo.

Zatoczył się lekko, kiedy spadła prędkość rotacji „Trygye Lie”, i poszedł na mostek.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 32

- To dlaczego nie przeskoczyliśmy? - zapytał stanowczo Perez.

- Uważaj, bo procesor ci się przegrzeje - zripostował Meredith przez ramię i starał się opanować własny niepokój. - No i co? - dodał, kiedy Carmen wyłączyła monitor i odchyliła się do tyłu w fotelu.

Bezradnie rozłożyła ręce.

- Wszystkie programy diagnostyczne, które znalazłam, twierdzą, że nic się nie stało - powiedziała. - Nasz kurs wygląda na zamierzony, a nie losowy, więc łódź chyba wie, co robi. Albo myśli, że wie.

- Wprost wspaniale. - Meredith zamyślił się. - Mówiła pani, że według komputera do Prząśnicy dotrzemy za cztery dni?

- Prząśnicie dni, tak. W sumie około stu dwudziestu godzin.

- Czy czujniki wykazują coś na naszej trasie w tej odległości? Powiedzmy, większy, zaprogramowany wcześniej statek, który ma potrzebny napęd gwiazdny?

Carmen potrząsnęła głową.

- Trudno to stwierdzić z tej odległości.

- To niedorzeczne - parsknął śmiechem Perez. - Coś musiało źle pójść. Dajmy sobie z tym spokój i wracajmy na Astrę.

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł - powiedział Meredith. - Od sterburty zbliża się do nas rozbłysk repulserowy i jest chyba na kursie przechwytyjącym.

- Co? - Perez przysunął się do bocznego luku. - Kto to jest?

- Czy to ważne? Ktokolwiek to jest, z pewnością zaryzykuje nawet embargo na dostawy pręta Prząśnicy, żeby tylko dostać ten statek.

- Ale jak nas wykryli? Carmen, mówiłaś, że używamy jakiegoś napędu grawitacyjnego, a więc nie wytwarzamy własnego rozbłysku...

- Msuya obserwował nas z oenzetowskiego statku - przerwała mu cicho Loretta. - Wiedział o łodzi.

Carmen odwróciła się.

- Co takiego? Ale skąd mógł to wiedzieć?

- Bo mu o tym powiedziała - oznajmił spokojnie Meredith - Niech się pani tak nie dziwi. Od czasu próby zamachu stanu Dunlopa jest jasne, że doktor Williams i jej przyjaciele to podrzuceni nam szpiedzy.

- Ale Ctencri... - Perez zamarł, kiedy zimny gniew zastąpił wyraz zaskoczenia na jego twarzy. - Niech ich szlag! Pewnie poszli z moimi listami prosto do Saleha. - Odwrócił się do Loretty. A więc najęli panią, żeby nauczyła się pani dla nich języka Prząśników?

- Nakłonili mnie do tego - poprawiła ze znużeniem. - A teraz mają dwójkę moich dzieci. W ten sposób Msuya motywuje mnie ostatnio do pracy.

Perez roześmiał się i spojrzał znowu na Mereditha.

- Wydaje się pan nadzwyczaj spokojny. Skoro wiedział pan, że jest szpiegiem, to dlaczego wpuścił ją pan na pokład?

- A jaki miałem wybór? - zapytał Meredith. - Były też inne powody, ale skoro oenzetowcy mogli teraz przejąć ich statek, najlepiej zrobi, nie odkrywając wszystkich kart. - Potrzebowaliśmy jej do

zszyfrowania etykiet układu sterowniczego, a na Prząśnicji będziemy jej pewnie potrzebować jeszcze bardziej.

- Jeśli to coś pomoże, wcale nie chcę, żeby Msuya zwyciężył powiedziała Loretta. Spojrzała na Hafnera. - Szczególnie po tym... po tym, co chciał zrobić z pomocą Dunlopa. Gdybym wiedziała, że użyje siły...

- Cóż, jeszcze nie zwyciężył - powiedział Meredith. - Może przyjdzie pani tutaj i sprawdzi tłumaczenia Carmen, żeby upewnić się, czy nie przeoczyliśmy jakiegoś światełka ostrzegawczego lub czegoś podobnego.

Loretta kiwnęła głową i podeszła do pulpitu sterowniczego. Meredith ostatni raz zerknął na odległy rozbłysk repulserowy i podszedł do Hafnera.

- Nic pan nie mówi, doktorze - powiedział, siadając koło niego. - Nadal jest pan na mnie wściekły, że pana porwałem?

Hafner uśmiechnął się.

- Wystarczyłoby, gdyby mnie pan zapytał. Wie pan przecież, że za nic na świecie nie przepuściłbym szansy zobaczenia Prząśnicji. Zastanawiałem się właśnie, jaki rodzaj napędu gwiazdowego mógłby nas zabrać w każde odległe od kilkunastu do kilkuset lat świetlnych miejsce w ciągu tych samych paru dni.

Meredith zmarszczył brwi.

- Czy taki obszar pokazuje mapa nawigacyjna Carmen?

- Nie widzę innej możliwości. Wydaje mi się, że mamy tu klasyczny rekwizyt z filmów science fiction, czyli napęd skokowy natychmiastowy.

- Mhmm. - Meredith przygryzł dolną wargę. - Czyli te pięć, sześć dni to tylko zewnętrzny czas między wyruszeniem z portu a dotarciem... gdzie?

- Może na bezpieczną odległość od obiektów o dużej masie albo od chmury pyłowej o niskiej gęstości - podsunął myśl Hafner. - Trudno powiedzieć, co wymyślili.

Powstaje tylko pytanie, czy kiedy już będziemy na miejscu, Msuya znajdzie tam coś, czego nie powinien znaleźć.

- Na razie ważniejsze jest, czy zamierza nas przechwycić - powiedział sucho Meredith.

- A nie skończy mu się przedtem paliwo? Kilka dni ciągłego przyspieszenia...

- Nic z tego. Parę miesięcy temu dostałem od Rooshrike dane techniczne ctencriańskich statków kurierskich. Okazuje się, że zaprojektowano je nie tylko do podróży międzygwiazdnych, ale też do pokonywania dużych odległości wewnątrz jednego systemu.

- Ach. - Hafner zacisnął usta. - Chyba nie jesteśmy uzbrojeni, prawda?

- Nie wydaje mi się. Może Carmen mogłaby tak przeprogramować statek, żeby zwiększył prędkość.

Wstał i znieruchomiał, kiedy Hafner złapał go za rękę.

- Wiedział pan, że Msuya może za nami polecieć? - zapytał cicho naukowiec. - Innymi słowy, ma pan jakiś plan?

- Obawiam się, że nie - potrząsnął głową Meredith. - Przewidziałem, że może zobaczyć, jak opuszczamy Mt Olympus. Spodziewałem się tego jednak już po przeskoczeniu do hiperprzestrzeni, zanim mógłby cokolwiek zrobić. A teraz możemy mieć tylko nadzieję, że nie wymyśli, jak dokonać w kosmosie aktu piractwa przed osiągnięciem przez nas punktu skoku.

- A jak wymyśli, to co? Wyciągniemy krótkie miecze? Meredith uśmiechnął się pocieszająco i

odszedł.

- Tylko pogarszacie swoją sytuację - warknął Msuya, a jego zniekształcony przez prążeńcki komunikator głos nadal zdradzał wściekłość oenzetowca. - Najwyraźniej nie potraficie na tyle dobrze sterować statkiem, żeby uciec. Jest też jasne, że macie zepsuty napęd gwiazdny. Możecie być pewni, że z chęcią was unieszkodliwię, jeśli będę musiał.

- Jeśli rzeczywiście chciał nas pan zestrzelić, mógł pan to już zrobić wiele razy w ciągu ostatnich ośmiu godzin - przypomniał mu Meredith.

Prawie od tak samo długiego czasu raz po raz rozpoczynali rozmowę i pułkownika osobiście zaczynała już drażnić ciągła dyskusja na ten sam temat. Ale dopóki Msuya nie chciał uszkodzić swojej zdobyczy - i dopóki dziwne efekty grawitacyjne przy napędzie łodzi mogły w przypadku abordażu zagrozić obu statkom - pat wydawał się nie do przełamania.

- Jak już mówiłem, jeśli nie da nam pan odpowiednich gwarancji bezpieczeństwa, wolimy zginąć wraz ze statkiem.

- Bardzo swobodnie mówicie o utracie życia - powiedział Msuya.

On najwyraźniej też już zaczynał się niecierpliwić. - Zdradzę wam pewien sekret: poświęcając życie, nie uratujecie tajemnic Prząśnicy. My... ja wiem wszystko o działaniu waszej cennej maszyny.

- Tak, doktor Williams mówiła nam o pańskiej małej siatce szpiegowskiej.

Nieszczególnie mądry dobór pracowników. Jestem pewien, że CIA albo KGB wybrałyby dla pana coś lepszego.

Przez chwilę było cicho, a Carmen dwukrotnie strzeliła w tym czasie palcami.

Meredith spojrzał na nią. Wskazała na jego pasy bezpieczeństwa, a zaraz potem na ekran. Na siatce nawigacyjnej pojawiły się dwa punkty, które co chwila zmieniały barwę z czerwonej na pomarańczową i odwrotnie. Dokładnie pomiędzy nimi znajdował się wskaźnik kursu w kształcie krzyża lotaryńskiego. Meredith pytająco uniósł brwi, a w odpowiedzi otrzymał niespokojne wzruszenie ramion. Zaczął zapinać pasy.

- A więc wie pan już o tym, tak? - zapytał w końcu Msuya. - Cóż, to wam nie pomoże. Może pan ich aresztować, nawet stracić, jeśli poczuje się pan po tym lepiej, ale ja i tak mam już wszystko, czego potrzebuję, żeby kontrolować Prząśnicę.

Na wprost Mereditha szyby luku zmatowiały.

- To musi być to - mruknęła z przejęciem Carmen.

- Do widzenia, panie Msuya - powiedział Meredith. - Znajdziemy pana po powrocie.

- Meredith...!

Gdzieś z tyłu rozległ się zduszony pisk. Chwilę później głos Msuyi urwał się.

Krótkotrwała fala zawrotów głowy groziła Meredithowi skreśleniem żołądka. Mdłości ustąpiły... a kiedy szyby znów zrobiły się przezroczyste, przed nimi pojawiło się ciemnoczerwone słońce.

- No to - powiedział Meredith, wypuszczając oddech, który wcześniej bezwiednie wstrzymywał - chyba jesteśmy na miejscu.

- Gdziekolwiek jest to miejsce - powiedział Perez.

Z trudem podniósł się z fotela i podszedł bliżej, żeby spojrzeć Carmen przez ramię. - Co to był za krzyk, na krótko przed tym, jak skoczyła grawitacja? Brzmiało to tak, jakbyśmy stracili całą tylną sekcję.

- Nie wiem. - Carmen wskazała na ekran. - Ale właśnie wtedy oszalał wskaźnik siły ciężenia.

- Jak bardzo oszalał? - zapytał Hafner. - Jakbyśmy otarli się o brzeg małej czarnej dziury?

- Czy to właśnie oznaczały te dwa punkty na ekranie? - zapytała Carmen.

- Dwa? - zdziwił się Hafner.

- Chwileczkę - krzyknął Perez. - Czy to znaczy, że przelecieliśmy przez czarną dziurę?

- Znacznik kursu przebiegał pomiędzy tymi dwoma punktami wyjaśnił mu Meredith. - Więc pewnie nie zderzyliśmy się z żadnym z nich. Nie wiem jednak, dlaczego mielibyśmy przelatywać nawet tak blisko.

- Pewnie mechanizm, który uruchamia ich napęd gwiazdny, wymaga wysokiej grawitacji - podpowiedział zamyślony Hafner. Teraz rozumiem, dlaczego na mapie w łodzi jest tak mało punktów skoku.

- Tak? - Carmen zmarszczyła brwi. -... Ach. Niewiele systemów ma nawet jedną czarną dziurę w pobliżu, nie mówiąc już o dwóch. Więc Astrę wybrano pod budowę Prząśnicy tylko dlatego, że można było do niej łatwo dotrzeć?

- Może niewielką zaletą była też bliskość pasa planetoid. Mogli nawet ściągnąć kilka większych planetoid na powierzchnię. - Hafner wyciągnął szyję, żeby wyrzec przez okno.

- Wiecie może, gdzie tam jest Prząśnicja?

- Nie widać jej jeszcze na wyświetlaczach. Ale łódź najwyraźniej wie, dokąd leci.

- Więc chyba się myli - powiedział Perez. - To nie jest system Prząśników.

- Co? - Meredith obrócił się, żeby na niego spojrzeć. Perez wskazał ręką na okno.

- Słońce w grocie jest żółte.

Na dłuższy czas w pomieszczeniu zapanowała śmiertelna cisza.

- Może to system podwójnej gwiazdy - poddała w końcu myśl Loretta. - Z żółtą gwiazdą z tyłu, gdzie nie możemy jej zobaczyć.

- W takim wypadku musielibyśmy skrócić, żeby ominąć czerwoną - zauważył Perez.

- Może tak zrobimy, kiedy tylko nabierzemy prędkości - zauważyła Carmen.

- Może - powiedział ponuro Perez. - A może nie.

Zapadła cisza, którą przerwał dopiero Meredith.

- Nie ma sensu martwić się tym teraz. Jesteśmy śmiertelnie zmęczeni. Chodźmy do tyłu i poszukajmy miejsca, gdzie można się przespać. Za kilka godzin będziemy więcej wiedzieli o tym, co zamierza łódź

Główna sekcja pasażerska składała się z trzech kabin, podobnych do samolotowych.

W każdej stało dwadzieścia wysokich, wąskich foteli, które po rozłożeniu stawały się łózkami. Zgodnie z milczącym porozumieniem zostali razem i rozłożyli się na pięciu łózkach najbliższej przednich drzwi. Zasnęli, nie rozmawiając dużo.

Sześć godzin później pierwszy obudził się Meredith. Kiedy po cichutku poszedł do kokpitu, okazało się, że przecucie Carmen było słuszne. Czerwona gwiazda, teraz znacznie większa, nie znajdowała się już wprost przed nimi. Kurs zaznaczony na ekranie biegł niebezpiecznie blisko jej tarczy, ale wyraźnie ją omijał. Wziął jedną ze skrzyń z zapasami, ustawił prowizoryczny stół i zaczął przygotowywać pięć połowych racji śniadaniowych.

Wtedy przyszli pozostali.

- A więc mimo wszystko doktor Williams miała rację - powiedział niechętnie Perez, kiedy zorientował się w sytuacji. - Wiadomo coś o drugim słońcu?

- Nie, chyba nie - powiedział Meredith i wskazał Lorecie miejsce obok siebie.

Nie winił pozostałych za chłodne traktowanie jej, ale nadeszła pora skończyć z tym nonsensem. Otworzył usta, żeby to powiedzieć, gdy nagle Perez krzyknął.

- Hej! Co to było?

- Co? - zapytała Carmen i podeszła do niego.

- Widziałem żółty błysk koło środka tarczy - powiedział, wskazując na słońce. - Tylko przez chwilę.

- Rozbłysk słoneczny? - nieśmiało spytał Meredith.

- Nie wygląda mi na to - mruknął Hafner i z trudem dźwignął się z fotela.

Loretta podeszła mu pomóc.

- Rozbłyski to gorętsze miejsca, zgadza się, ale żółta eksplozja na czerwonej gwiazdzie to już przesada. Gdzie to było?

- Trochę poniżej środka... tam! Tam jest jeszcze jedna!

Tym razem błysk trwał kilka sekund, zanim zniknął tak nagle, jak się pojawił.

- To rzeczywiście cholernie dziwne - zgodził się niespokojnie Meredith. - Carmen, można jakoś zbadać widmo albo jasność tych błysków?

Carmen spojrzała na ekran translatora.

- Nie wiem. Nie pamiętam, żebym widziała coś takiego w podręczniku. Ale też, oczywiście, nigdy nic takiego nie szukałam.

- Doktor Williams, proszę jej pomóc - polecił Meredith. - A reszta niech ma na oku słońce.

Naliczyli jeszcze dwanaście krótkich błysków, zanim Carmen i Loretta znalazły program spektrometryczny sensorów łodzi. Okazał się dla nich, niestety, bezużyteczny, bo nie było w nim opcji precyzyjnego ustawiania kierunku.

- Czy to możliwe, żeby był tam jakiś pas planetoid tuż przy powierzchni? - podsunął myśl Perez. - Może rozbłyski powstają, kiedy jedna z nich spada?

- Są na to zbyt mało wytrzymałe. - Hafner potrząsnął głową. Poza tym gwiazdy nie mają prawdziwej powierzchni, tylko stale kurczącą się atmosferę.

- A właśnie, że jest tam powierzchnia - zripostował Perez. - Widzę ją.

- Co takiego?

- Jasne. Patrzcie na krawędź. Gwiazdy znikają zaraz za nią.

Meredith zamknął oko i podniósł dłoń, osłaniając twarz przed słonecznym blaskiem.

Rzeczywiście, gwiazdy znikały za krawędzią tarczy bez wcześniejszego zblednięcia, które mógłby wykryć. Spojrzał na Maniera.

- Myśli pan to samo, co ja? - zapytał ostrożnie geolog.

Meredithowi zaschło w ustach.

- Niemożliwe - powiedział. - Sama wielkość... nie, nie może być.

- Co nie może być? - zapytała stanowczo Carmen. Hafner machnął w kierunku okna.

- To nie jest gwiazda - powiedział cicho. - To gigantyczny sztuczny twór. Kula z prąśnickim słońcem w środku... i pewnie też z Prąśnicją.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 33

- To się nazywa kula Dysona - wyjaśnił Hafner.

Tępe pulsowanie w głowie i nodze tworzyło dziwny podkład dla przyprawiającego o zawroty głowy poczucia nierealności, jakie ogarnęło umysł naukowca. Po odkryciu Prząśnicy, sądził, że zniesie już wszystko. Ale to...

- Teoretycznie jest to sposób na wyłapanie całej energii gwiazdnej, którą później mogłaby wykorzystać jakaś cywilizacja. Wszystko wskazuje na to, że zbudowano to z płyt zrobionych z materiału pręta, wspieranych przez rusztowanie z samych prętów.

- A niech mnie! - mruknął Meredith. - To by wyjaśniało, po co potrzebowali aż tak dużo pręta, prawda?

- Możliwe - powiedziała wolno Carmen. - Ale to nie wyjaśnia, dlaczego pozostawili Prząśnicę włączoną.

- Znowu trzeba przyjąć, że przed wyjazdem planowali szybko wrócić - zgodził się Hafner. Jakieś przecucie na dnie umysłu nie dawało mu jednak spokoju. Coś było nie w porządku w tym całym ogromnym artefakcie, lecz Hafner nie wiedział, co.

- Prawdopodobnie łądź zmierza do jakiegoś otworu w kuli. Pułkownik, wspomniał pan wczoraj, że ma pan ze sobą teleskop?

- Tak, mały. - Meredith odwrócił się do okna. - Perez, pomóż mi go tutaj ustawić.

Obaj mężczyźni wyszli, a Carmen i Loretta znowu zabrały się, do czytania podręcznika łodzi. Hafner usiadł na fotelu obok Carmen, wyciągnął nogę i zastanawiał się, co go tak niepokoiło.

Nie udało mu się nic wymyślić do czasu, kiedy Perez i Meredith ustawili teleskop między dwoma siedzeniami przy pulpicie sterowniczym.. ale godzinę później, gdy Carmen zwróciła uwagę na dziwne splaszczanie krawędzi tarczy, przyszło mu coś do głowy.

- Wydaje mi się, że przerwano budowę kuli, a my zbliżamy się do nieukończonej części - powiedział Meredith. Hafner pokuśtykał od okna do grupy przy teleskopie.

- To trochę głupie rozpocząć projekt tej wielkości, a potem go nie skończyć - zauważyła Carmen.

- Ich Kongres pewnie obciął fundusze - powiedział sucho Meredith, czym wywołał uśmiech Pereza.

- Albo może odkryli, że to nie działa - zauważył Hafner. - Nadprzewodnik, taki jak materiał pręta, świetnie nadaje się do zbierania światła i energii cząstek, ale nie mam pojęcia, jak później można by to ciepło zamienić w coś pożytecznego.

- A ogniwa termoelektryczne? - zapytał Perez.

- Żeby działały, potrzebna byłaby różnica temperatur - powiedział Meredith. - Właściwie wydaje mi się, że prawie wszystkie układy pozyskiwania energii wymagają zróżnicowania energetycznego.

- Może znali metodę, która tego nie wymagała - zasugerowała Loretta. - Zbudowali w końcu co najmniej połowę kuli, zanim przerwali prace.

- Pomówię twierdzą, że w widmie radiacyjnym pręta brakuje kilku linii - powiedziała niepewnie Carmen. - Czy to nie mogłoby działać, jak jakaś różnica temperatur w cyklu pozyskiwania energii?

Meredith wzruszył ramionami.

- To domysł równie dobry jak każdy inny. Może dowiemy się czegoś, kiedy przyjrzymy się wewnętrznej powierzchni.

- Jest coś jeszcze - wymamrotał Hafner. - Coś jeszcze jest nie w porządku...

- No to, jak się pan nad tym zastanowi, proszę dać nam znać powiedział Meredith i popatrzył przez teleskop. - Carmen, może powinniśmy wysłać jakiś sygnał alarmowy?

- Łódź już go wysyła - powiedziała Loretta i wskazała na jeden ze wskaźników. - I to chyba od czasu, kiedy tu przylecieliśmy.

- I żadnej odpowiedzi. Nie wygląda to zbyt obiecująco.

Nikt nie zauważył, jak Hafner wrócił na fotel koło bocznego luku i znowu zagłębił się w rozważaniach... a kiedy spojrział na jasną, czerwoną kulę, dręczące go myśli powoli zaczęły przybierać konkretny kształt. Ale teza była tak nieprawdopodobna, że przez następne dwie godziny gorączkowo szukał w pamięci czegoś - czegokolwiek - czym dałoby się ją obalić.

Jednak zamiast tego, wszystko, co wiedział o Prząśnikach i ich pręcie, tylko wspierało te przypuszczenia. Nadal nie wiem tylu rzeczy - powiedział do siebie, gdy wreszcie zrezygnował z poszukiwań. - Lepiej nic nikomu nie mówić. Na razie...

Przez resztę dnia starał się ukryć swoje odczucia. Na szczęście wszyscy byli tak zajęci obserwacją kuli i dyskusją na ten temat, że nie zauważali jego milczenia. Kiedy Carmen zwróciła na to uwagę podczas obiadu, zrzucił winę na przejściowe złe samopoczucie z powodu bólu w nodze. Więcej już nie pytała, tylko gdy wieczorem wszyscy wrócili do kabiny pasażerskiej, niby przypadkowo zajęła łóżko obok tego, które wybrał geolog.

Meredith zgasił

światło, a kilka minut później Hafner poczuł, że Carmen przechyla się w jego stronę.

- Wszystko w porządku, Peter? - szepnęła. - Nigdy jeszcze nie widziałam cię tak milczącego.

- Nic nie możesz na to poradzić - odszepnął. - Jeżeli mam rację... będziemy wiedzieli za jakieś dwa dni.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie. Dopiero jak będę wszystkiego pewny.

Nie powiedziała nic więcej, tylko chwilę później wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. Chwycił ją mocno... i w końcu zasnął.

Rano kula wypełniała już prawie połowę nieba i oświetlała na czerwono wszystko w zasięgu wzroku. W łodzi słyszało się niskie buczenie, które Carmen zidentyfikowała w końcu jako pracę systemu chłodzenia. Światło okazało się zbyt intensywne, żeby bezpiecznie patrzeć przez teleskop. Dopiero Perez odkrył, że karton z małym otworem wystarczająco przyciemnia blask, pozwalając obserwować dziury, przez które prześwitywało wcześniej prawdziwe słońce. Znalazł w sumie dwadzieścia osiem szczelin różnej wielkości. Nie były rozmieszczone według żadnego schematu, jaki ktokolwiek z nich mógłby wykryć.

Przez chwilę żywo dyskutowali na temat przeznaczenia otworów, lecz rozmowa szybko się zakończyła z powodu braku danych. Hafner nie brał udziału w rozmowie. Dla niego dziury tylko komplikowały całą sprawę.

Dwie godziny po lunchu łódź okrążyła postrzępioną krawędź i weszła do kuli.

- Wiecie - powiedziała Carmen i wolno potrząsnęła głową chyba tak naprawdę nie wierzyłam, że Peter ma rację... aż do tej chwili.

Rozległy się aprobujące pomruki. Olśniewający widok na chwilę podniósł na duchu nawet Hafnera. Ta strona też błyszczała, ale światło było znacznie ciemniejsze, jak gdyby Prząśnicy pokryli czymś nadprzewodzący materiał, żeby wysłać światło na zewnątrz. W regularnych odstępach do kuli poprzyczepiane były grupki skał. Na najbliższej z nich teleskop wychwycił cienkie jak pajęczyna

linie, przypominające siatkę geograficzną na globusie.

- Asteroidy - zidentyfikował skały Meredith i przysłonił oczy, przyglądając się ogromnej zakrzywionej powierzchni. - Trzymają się na rusztowaniu z pręta Prząśnicy. Więc dlatego potrzebowali czegoś tak mocnego. Musieli ochronić tony skał przed skutkami obracania się kuli.

- Pręty idealnie się do tego nadają - mruknął Perez. - Są na tyle elastyczne, że nie trzeba wygładzać asteroid, żeby się lepiej trzymały.

- Do czego one służą? - zapytała Loretta. - Te asteroidy?

- Może to punkty odprawy - zastanawiał się Perez. - Po zakończeniu budowy kuli przez te dziury miały pewnie przelatywać statki.

- Raczej umieszczono tam stabilizatory grawitacyjne - zabrał głos Hafner. - Nawet przy stałym obrocie pozycja kuli może się zmieniać. Trzeba jakoś dokonywać okresowych poprawek. Zawahał się. - Prawdopodobnie umieszczono tam również ogrzewacze.

Odwrócili się, żeby na niego spojrzeć.

- Co tam umieszczono? - zapytał Perez. Hafner wziął głęboki oddech.

- Myliliśmy się co do przeznaczenia kuli. Nawet gdyby zbierała i emitowała całe światło wewnętrznego słońca, nie mogłaby się ogrzać bardziej niż do trzystu stopni powyżej zera absolutnego, czyli do temperatury pokojowej. W rzeczywistości jest co najmniej dziesięć razy gorętsza. Nie jest to możliwe bez dostarczenia dużej ilości energii.

- To niedorzeczne. - Perez parsknął śmiechem. - Musiał się pan pomylić w jednostkach.

Hafner potrząsnął głową.

- Prawie żałuję, że tak się nie stało. Ale to zupełnie proste równanie Stefana-Boltzmana.

- Dobrze, przypuśćmy, że ma pan rację - powiedział Meredith. - Może pan powiedzieć, dlaczego mieliby sobie zadać tyle trudu?

- Nie zbudowali tego tylko dla ogrzania swojej planety - powiedział Harher. - Dziwne, zauważył w myślach, że nawet teraz unikał powiedzenia wszystkiego wprost. - Wystarczyłyby ekrany refleksyjne na orbicie. A gdyby chcieli mieć czerwone niebo, zbudowali by mniejszą kulę. Nie zaprojektowano jej też do zamieszkania, bo wtedy nie trzeba by było aż tak bardzo jej ogrzewać. Poza tym podejrzewam, że główna powłoka jest na to za cienka. - Zrobił efektowną pauzę. - Pułkowniku Meredith... co by pan zrobił, gdyby wrogowie szukali pańskiej pozycji, a pan nie mógłby ich pokonać?

Meredith bez mrugnięcia patrzył mu w oczy. Zrozumiał, pomyślał Harher. Więc miałem rację: to ma sens. Niech Bóg ma ich w opiece... i nas także.

- Wycofałbym się - powiedział cicho pułkownik. - Albo spróbował się ukryć. O to chodzi?

- Nie - szepnęła Carmen. - Chyba nie sądzicie, że... zbudowali kulę, żeby wszystko tu wyglądało jak układ gwiazdny czerwonego olbrzyma?

Hafner przytaknął.

- Pasuje, prawda? Nadprzewodząca powłoka, żeby równomiernie rozprowadzić ciepło; widmo z brakującymi liniami niewątpliwie odpowiada widmu prawdziwego czerwonego olbrzyma; ostrych konturów nie można zobaczyć z żadnej realnej odległości, nawet gdyby ktoś ich szukał.

Perez drgnął.

- A to zakończenie... - nie dokończył zdania. - Więc te dziury to nie otwory wejściowe, prawda?

- Uszkodzenia w wyniku eksplozji - mruknął Meredith. - Ktokolwiek im zagrażał, znalazł ich za wcześnie.

Przez dłuższą chwilę było cicho. Krawędź kuli oddalała się powoli, a kiedy Hafner spojrzął przed siebie, wydawało mu się, że kilka stopni od słońca widzi mały punkcik odbitego światła. To na pewno Prząśnicja. Naukowiec zastanawiał się, jak wiele zniszczeń tej dawno minionej wojny można będzie zobaczyć z orbity. Nie cieszyła go myśl, że wkrótce się dowie.

- Ale dlaczego? - Loretta w końcu głośno zadała pytanie, które, o czym Hafner wiedział, wszyscy stawiali sobie w myślach. - Dlaczego tak po prostu siedzieli tutaj i pozwolili się pozabijać? Na pewno wiedzieli o zbliżaniu się wrogów. Budowali kulę przez całe wieki. Dlaczego nie wykorzystali tego czasu, żeby się uzbroić albo przynajmniej spakować się i odlecieć?

- Może nie mieli dokąd - powiedziała Carmen. - Przecież ich napęd gwiazdny daje tylko ograniczony wybór.

- A co z Astrą? - dopytywała się Loretta. - Na pewno nadawała się do zamieszkania, zanim wyciągnęli z niej cały metal.

- Myślę, że Carmen ma trochę racji - powiedział Hafner. Tylko, że to mogła nie być kwestia świadomego wyboru. Mogli być tak związani ze swoim światem, że nie potrafiliby żyć gdzie indziej.

- To niedorzeczne - parsknęła śmiechem Loretta.

- Proszę nie zapominać o Prząśnickiej Grocie - powiedział Meredith i wolno potrząsnął głową.

- Ma pani rację, doktor Williams. Rzeczywiście mogli mieszkać na powierzchni podczas budowy i korzystania z Prząśnicy. Ale zamiast tego postanowili zużyć ogromną ilość czasu i dołożyć wszelkich starań do stworzenia kopii środowiska ich rodzimej planety. I to z największą dokładnością, od światła słonecznego po właściwie dobrane zapachy.

Skoro woleli zbudować coś takiego, niż chronić własną rasę, łatwo można uwierzyć, że bez swojego świata nie potrafili żyć. Kręci pani głową, ale bardzo proszą pamiętać, że nie mówimy o istotach ludzkich, tylko o Obcych. Wcale nie musieli myśleć i działać tak jak my.

- I na odwrót? - Perez uśmiechnął się gorzko. - Przecenia pan nasz gatunek, pułkowniku. Jak się panu wydaje, ile stoczono wojen tylko dlatego, że dwie grupy ludzi uznawały za swój jakiś skrawek ziemi? Ilu ludzi zginęło w bitwach albo pomarło w obozach dla uchodźców, bo nie chciało przenieść się do nowego miejsca, które często nie było gorsze od kraju ich przodków? Myślę, że patrzy pan na Ziemię na sposób amerykański, jak na coś, co przynosi zysk i co można zmienić. Ale mentalność reszty świata bardzo różni się od sposobu myślenia Prząśników raczej skalą, niż samą istotą.

- To prawda - przyznał Meredith. - Ty z kolei przeceniasz Amerykanów. Może i nie chciałbym oddać życia dla kilku akrów ziemi, ale oddałbym je dla całego kraju. A jak mi kiedyś ukradziono samochód, miałem ochotę wziąć karabin i rozwalić gościa, który to zrobił.

Spojrzał przez okno na kulę.

- Oczywiście rozumie pan, co to oznacza. - Hafnerowi słowa ledwo przechodziły przez gardło., Nie możemy dopuścić, żeby ludzkość utknęła w jednym miejscu, tak jak Prząśnicy. - Spojrzał na Carmen. - Pamiętasz, jak kiedyś powiedziałem, że mogli użyć pręta do budowy klatki dla czegoś bardzo dużego. Miałem rację. To była klatka dla ich całej rasy. - Potrząsnął głową. - A jedyny sposób, żeby nam się to nie przydarzyło, to pozwolenie na imigrację na Astrę.

Spojrzeli na niego.

- Naprawdę pan tak uważa? - zapytał Perez i zmarszczył brwi. - Przechodzi pan na drugą stronę?

- Nie pochlebiaj sobie - nie wytrzymał Hafner. - Nadal uważam, że sprowadzenie ludzi do wykonywania jakiejś bezużytecznej w zasadzie pracy jest głupie. Ale trochę lepiej postawić wszystko na dwie karty, niż na jedną. Więc dobrze: sprowadźmy tu tych szpiegów i pasożytów. Nic

mnie to już nie obchodzi.

- Ale mnie obchodzi - odpowiedział natychmiast Perez i spojrzał na Loretę. - Jak pamiętacie, to ja na początku martwiłem się, że szpiegzy wykradną nasze tajemnice. I nie chcę sprowadzić tu ludzi tylko po to, żeby leżeli do góry brzuchem. Jeżeli nie uda nam się znaleźć im jakiegoś pożytecznego zajęcia...

- Uspokójcie się, obydwaj - przerwał Meredith. - Jeszcze chwila i zamienicie się poglądami politycznymi. Sprowadziłem was tutaj, żeby zakończyć tę bitwę, a nie zacząć ją na nowo w odwrotną stronę.

Perez uniósł brew i spojrzał podejrzliwie.

- Myślałem, że przyjechaliśmy tu, żeby dowiedzieć się czegoś o Prząśnikach i pręcie.

- To prawda. Ale wszystko, co nas interesowało, zrównano pewnie z ziemią razem z resztą planety. Muszę więc spróbować czegoś innego. Zajmijmy się teraz pracą i wracajmy tam, skąd przybyliśmy.

Meredith zwięźle wytłumaczył, dlaczego złamanie kodu bezpieczeństwa Gorgonich Główn umożliwiło potencjalny atak terrorystyczny. Hafnerowi aż ciarki przeszły po plecach.

Nie zdawał sobie wcześniej sprawy, że było tak blisko do zdobycia kodu, a już na pewno nie zastanawiał się nad konsekwencjami tego.

- Dopóki nie nauczymy się bronić przed sabotażem ustawień sterowania, jesteśmy narażeni na atak podobny do tego, jaki przeprowadził Dunlop - podsumował Meredith. - A im większe napięcie polityczne panuje na Astrze, tym bardziej prawdopodobna staje się taka operacja. Musimy więc pozbyć się nieporozumień, przynajmniej do końca wyborów, a może i na cały rok po nich. A to oznacza likwidację rozwijających się partii politycznych.

- A jak zamierza pan to zrobić? - zapytał Perez. - Zakazać ich królewskim dekretem?

- Nie, po prostu zlikwiduję podstawę, na której się opierają. Skoro te grupy zajmują się obecnie tylko jednym problemem, wystarczy publiczne porozumienie w tej sprawie obydwu liderów. To ukróci wszelką demagogię, przynajmniej do utworzenia nowej Rady.

Perez parsknął śmiechem.

- Więc ściągnął pan nas tutaj, żeby porozmawiać o kompromisie? Mogliśmy to zrobić w pańskim biurze.

- Nie - powiedział cicho Meredith. - Sprowadziłem was tutaj, żebyście zaakceptowali kompromis. Albo mój, albo jakikolwiek inny, który dziś wymyślimy. W każdym razie nie opuścimy tego statku, dopóki nie dojdziemy do porozumienia.

- A w przeciwnym razie? - zapytał Perez.

- A w przeciwnym razie ty, Perez, zostaniesz aresztowany za zdradę. To twoje działania doprowadziły do sprowadzenia tu doktor Williams i jej kolegów szpiegów, a ostatecznie do próby zamachu stanu Dunlopa... Mogę to wszystko udowodnić w sądzie. I nawet twoi najbardziej gorliwi stronnicy niewiele ci pomogą.

- To szantaż - powiedział Perez. - Ma pan podobny haczyk na Hafnera, czy jestem szczególnym przypadkiem?

- Doktor Hafner nie ma twojego talentu do manipulowania tłumami - powiedział pułkownik. - Ponadto spodziewam się, że postąpi w tej sprawie rozsądnie.

- Wie pan, po jakimś czasie to bardzo męczy, gdy stale jest się źle rozumianym - powiedział Perez i westchnął. - Nigdy nie przyszło panu do głowy, że mogłoby mnie ucieszyć jakieś pośrednie

rozwiązanie, że mógłbym zrezygnować z połowy moich planów, żeby tylko nie przysparzać sobie wrogów na długi czas?

- Owszem, przyszło mi to do głowy - zgodził się Meredith. Ale nie chciałem opierać się na domysłach. Bardzo dobrze ci idzie załatwianie spraw po swojemu. Tym razem jednak cholernie dobrze się postaram, żebyśmy zrobili wszystko po mojemu. Więc chcesz być mężem stanu? Masz dużą szansę zdobyć trochę praktyki.

I zaczął wyjaśniać swój plan.

Dyskusja trwała przez większą część tego dnia i cały następny. W końcu Perez rzeczywiście okazał się zdolny do kompromisu. Kiedy Łódź weszła na orbitę wokół Prząśniczki i przełączyła się na ręczne sterowanie, wszelkie szczegóły były już opracowane.

Wszyscy na pokładzie mogli więc zająć się badaniem zrujnowanego świata pod nimi.

Był to najbardziej przygnębiający widok, jaki kiedykolwiek oglądał Meredith.

Nawet po tysiącach lat ogromne czapy lodowe” które najwyraźniej powstały po zmasowanym ataku bombowym, wciąż pokrywały prawie jedną czwartą planety, Gdzie indziej przez chmury prześwitywało kilka łąt zieleni i żółci, ale większą część lądu pokrywały pustynne odcienie brązu, szarości i czerwieni. Na żadnej częstotliwości komunikatory nie wykrywały nic oprócz szumów radiowych prząśnickiego słońca. Nigdzie nie zauważyli żadnych światła. Po piątym okrążeniu Meredith stwierdził, że na tym koniec.

- Kimkolwiek byli, odznaczali się pracowitością - powiedział ponuro. - Gdyby jacyś Prząśnicy przeżyli atak, do tej pory odtworzyliby już część swojej technologii.

- To samo może się kiedyś i nam przytrafić. - Carmen wzdrygnęła się.

- Może mamy szansę teraz tego uniknąć - powiedział Perez. Przynajmniej całkowitej zagłady... - Spojrzał na Mereditha. - Czy nie zobaczyliśmy już wystarczająco dużo? Wydaje mi się, że powinniśmy wracać.

Meredith dokonał szybkich obliczeń i przytaknął. Cztery prząśnickie dni w każdą stronę i jeden na orbicie Prząśniczki - razem jedenaście dni ziemskich. Msuya miał więc dużo czasu, żeby dogadać się z Salehem i wrócić na Astrę.

- Tak - kiwnął głową. - Lećmy do domu.

W drodze powrotnej nie wydarzyło się nic szczególnego, ale wśród załogi panował nastrój przygnębienia. Meredith przeważnie zajmował się podręcznikiem obsługi łodzi. Wykorzystał chwilę wolną od pracy, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o statku i języku Prząśników. Pozostali trzymali się na uboczu, jak gdyby chcieli samodzielnie przemyśleć odkrycia ostatnich kilku dni.

Od czasu do czasu Meredith przyłapywał się na patrzeniu przez okno na obraz wielkiej przegranej Prząśników. Zastanawiał się, czy jego własne plany też się rozsypią, i żałował, że nie może ich z nikim omówić. Ale oparł się pokusie. Za późno, żeby cokolwiek zmienić, więc nie było sensu przyprawiać o bezsenność jeszcze kogoś innego.

W końcu na ekranie pojawiły się dwie bliźniacze czarne dziury. A kiedy minęły mdłości wywołane skokiem i szyby znów stały się przezroczyste, spostrzegli, że rzeczywiście są już w domu. Astra bliższa teraz punktu skoku, niż kiedy odlatywali - była jasnym punktem o prawie rozpoznawalnej tarczy. Otaczały ją mniejsze plamki świetlne. Obejrzeliby je przez teleskop. Okazało się, że to statki kosmiczne.

Mnóstwo statków kosmicznych.

- Ciekawe, co się dzieje - powiedziała z niepokojem Carmen, kiedy Perez patrzył uważnie przez teleskop i po raz trzeci liczył statki.

Meredith siedział obok niej w fotelu. Nastawił radio, miał nadzieję, że na odpowiednią częstotliwość.

- Jeśli dobrze zrozumiałem Msuyę - powiedział - to oglądamy właśnie zbrojny atak ONZ.

- Co?! - wykrzyknęła Carmen. - Ale...

- Kod bezpieczeństwa - powiedział nagle Hafner - Inni szpieczy... Msuya może tworzyć nowych nadzorców, prawda?

Strzelił palcami.

- To dlatego chciał pan pojechać na tę wyprawę, tak? Żeby łódź nie wpadła mu w ręce.

- Czyli umyślnie wystawił pan Astrę... - zaczął Perez.

Meredith podniósł rękę na znak ciszy i pstryknął przełącznik wysyłania komunikatów.

- Mówi pułkownik Meredith - powiedział do mikrofonu. - Proszę mnie połączyć z majorem Barnerem.

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 34

Sekretarz Generalny Saleh siedział przy odległym krańcu stołu w sali konferencyjnej, kiedy Meredith i Carmen weszli do środka. Pułkownik zrezygnował ze swojego zwykłego miejsca u szczytu stołu i usiadł na wprost ich gościa. Podczas nieoficjalnego spotkania można było zignorować niepisane konwencje zajmowania miejsc zgodnie ze stosunkami sił politycznych.

- Witam, panie Saleh. - Kiwnął głową, gdy obok niego usiadła Carmen. - Pozwoli pan, że przedstawię: pani Carmen Olivero, przewodnicząca Rady Astriańskiej.

Saleh z zaciśniętymi ustami skinął głową w geście uprzejmego pozdrowienia i znowu spojrzał na Meredith.

- Zanim przejdziemy do dalszej części spotkania, chciałbym wyrazić oficjalne żądanie zwrócenia nam ciał zabitych komandosów ONZ.

- Pańskie położenie nie upoważnia zbyt do stawiania żądań, ale oczywiście chcemy odesłać ciała. Czy jednak Rooshrike pozwoli wam opuścić system, to już zupełnie inna sprawa.

- To prawda. Ich rzecznik poinformował mnie, że to zależy od pana.

- Rozumiem - przytaknął Meredith. Słyszał już o tym od Beakiego nul Dies na, ale chciał się upewnić, czy Saleh też o tym wie. - Cóż, nie można ich winić za to, że są przewrażliwieni. Jako nasi partnerzy zaopatrzeniowi i swego rodzaju pośrednicy handlowi, są osobiście zainteresowani, żeby Prząśnica pozostała astriańską własnością. Was natomiast widzą jako sojuszników Ctencri, do których nie żywią specjalnie ciepłych uczuć.

- Nie musi mi pan przedstawić wszystkich szczegółów - powiedział chłodno Saleh.

- Jestem świadomy, że napaść Msuyi wywołała powszechną niechęć wobec Ziemi.

Napaść Msuyi, - pomyślał Meredith. - To subtelne zdanie brzmiało tak, jakby Saleh publicznie umywał od tej sprawy ręce. A już na pewno oznaczało polityczną śmierć Msuyi. Cel pierwszy - osiągnięty.

- Dobrze. Rasy zaopatrujące was we wspaniałe urządzenia, na których opiera się pańska władza, są teraz na was wściekłe. Jakby się panu podobało, gdybym na dobre pozbawił was wpływów na Ziemi?

Twarz Saleha pozostała obojętna.

- W jaki sposób?

- Przez rozwinięcie bezpośredniego handlu z poszczególnymi narodami. Po waszej klęsce Ctencri nie ruszyliby palcem w obronie swojego monopolu na transakcje z Ziemią.

Ponadto, biorąc pod uwagę nasze wpływy z Prząśnicy, zawsze możemy ustalić ceny niższe od tych, jakie proponujecie wy albo oni. Wkrótce znowu stalibyście się tą przerośniętą biurokratyczną organizacją, którą byliście jeszcze kilka lat temu. Przypuszczam, że nie uznałby pan tego za zbyt przyjemne położenie?

- Oczywiście, pan też nie - powiedział Saleh. - Zapewne po trafi pan wywnioskować z historii, że Ziemia ma największe szanse na międzynarodowy pokój pod rządami takiego ekonomicznego imperium, jakim jest teraz ONZ. - Machnął ręką. - Nie zaprosił mnie pan tutaj tylko po to, żeby napawać się naszym nadchodzącym upadkiem, pułkowniku. To do pana niepodobne. Wnioskuje zatem, że chce mi pan zaproponować jakiś układ. Możemy się teraz tym zająć?

- Dobrze. Przede wszystkim chcemy niezwłocznie otworzyć Astrę dla imigrantów.

- Rozumiem. A przyszli osadnicy będą pochodzić w większości z Ameryki Północnej, jak sądzę.

- Źle pan sądzi. Chcemy głównie ubogich i wysiedleńców z krajów Trzeciego Świata.

Przez krótką chwilę przez obojętną twarz Saleha przemknął wyraz zaskoczenia, ale zaraz znowu pojawił się na niej spokój.

- Ludzie, o których pan mówi, to przeważnie rolnicy - podkreślił. - Co oni tu będą robić?

- Przede wszystkim harować jak woły. Proszę mnie dobrze zrozumieć: nie chcę, żeby z Bangladeszu albo skądkolwiek podrzucano nam włóczęgów i przestępców. Chcemy tu ludzi, którzy nie mają wprawdzie wielkich perspektyw tam, gdzie żyją, ale nadal mają ambicję i nadzieję na chwycenie nowej szansy, jeśli taką dostaną. - Wycelował palec w Saleha. - To będzie pańskie zadanie: dopilnować, żeby oferta dotarła do tych ludzi i przekazać nam informacje dla celów badawczych. Pani Olivero przekazuje panu wszystkie szczegóły.

Carmen wyciągnęła z torebki kasetę i podała ją Salehowi. Sekretarz, zanim ją wziął, zawahał się przez ułamek sekundy. Zmarszczył brwi i przez chwilę obracał kasetę w palcach, jakby spodziewał się, że wybuchnie.

- Ja... doceniam to, co chyba próbuje pan zrobić - powiedział w końcu. - Ale czy naprawdę pan myśli, że może tu zagwarantować tak wielu ludziom lepsze życie?

- Nie, ale większość z nich nie zostanie tu długo. Kiedy tylko zakończy się ich edukacja i trening, zostaną wysłani do sąsiednich imperiów, gdzie zajmą się kontrolą montażu i zastosowania prętów Przaśnicy.

Saleh zmarszczył brwi.

- Czym się zajmą?

- Niech się pan tak nie dziwi. Najbardziej niepokoiła nas łatwość, z jaką pręty można zastosować do celów wojennych. Nie chcę, żeby w taki sposób wykorzystano ten materiał. Przeciwnie są temu wszystkie rasy, z którymi rozmawiałem. A przynajmniej tak mówią. Więc dobrze: od tej chwili każdemu prętowi towarzyszyć będzie grupa kontrolerów, którzy pojedą na miejsca montażu i zaświadczą, że materiał wykorzystuje się zgodnie z przeznaczeniem. Inne zespoły będą rutynowo sprawdzać stare instalacje, żeby nie dopuścić do przeniesienia pręta. Zajmą się też długoterminowymi badaniami nad utratą wytrzymałości prętów. Na razie nie będzie zbyt dużo pracy, ale szkolenie kontrolerów i tak trochę potrwa. Planujemy sprzedać mnóstwo prętów.

- To może się udać, przynajmniej z ograniczoną liczbą osób - Saleh powoli kiwnął głową. - W porządku. Jeżeli chodzi o ten projekt, może pan liczyć na całkowitą współpracę z mojej strony, zawahał się. - Właściwie nie musiał się pan uciekać do gróźb, żeby zyskać moją pomoc. Okazuje się, że pańska wizja Astry mimo wszystko nie różni się aż tak bardzo od mojej.

Cel drugi - osiągnięty.

- W takim razie zostaje jeszcze jedna sprawa. - Spojrzenie Mereditha stwardniało. - Wie pan, jak zginęli wasi komandosi?

Saleh skrzywił się lekko.

- Jak rozumiem, zostali porażeni prądem przez wasze Gorgonie Głowy w wieży kontrolnej Przaśnickiej Groty. Nie wiem, jak major Barner tego dokonał.

- Major Barner niczego nie zrobił. Jeden z komandosów wprowadził kod, który jego zdaniem był sekwencją autoryzacji nowych nadzorców. W rzeczywistości wpisał coś, co można przetłumaczyć mniej więcej jako „nadzorca w niebezpieczeństwie”. Reszta odbyła się automatycznie. Urwał, ale Saleh milczał. - Na pewno rozumie pan, co to oznacza, lecz i tak powiem. Pomimo najlepszego sprzętu ndawczego i najbardziej wymyślnych urządzeń kodujących, w jakie tylko Ctencri mogli

wyposażyc waszych szpiegów, nadal potrafilismy nie tylko monitorowac ich rozmowy z Msuya, ale tez wlaczac wlasne informacje do przekazywanych mu danych. Po pierwsze, oznacza to, ze nie moze pan wierzyc niczemu, co powiedzieli panu Ermakow i jego koledzy. A po drugie, jezeli znowu spróbujecie takich sztuczek, to bedzie to i tak tylko strata czasu. Jasne?

- Jasne - odrzekl spokojnie Saleha. - Czy naukowcy zostana straceni?

- Chociaz mam na to wielka ochote, nie zrobię tego. Gotow jestem wymienic ich na dwójke dzieci doktor Loretty Williams, ktorymi sie gdzieś opiekujecie. Doktor Williams zostaje z nami i byloby dobrze, gdyby mogla tu tez zamieszkać jej rodzina.

Tuziny pytan cisnely sie na usta Saleha, lecz tylko pokiwal glowa.

- Przyleca tu tak szybko, jak to mozliwe.

- Dobrze. Na razie to juz wszystko. - Meredith wstal i wyciagnal reke. - Proszę uwaznie przeczytac propozycje pani Olivero i kierowac do nas wszelkie pytania i sugestie.

Saleh siegnal przez stol, zeby ucisnac reke Mereditha.

- Tak zrobię... i czy mi pan wierz, czy nie, pulkowniku, ciesze sie na mysl o wspolpracy z panem w tej sprawie.

Z powaznym wyrazem twarzy pozegnal Carmen, odwrócił sie i otworzył drzwi, przez które powialo lodowatym powietrzem. Saleh wyszedl.

- Cel trzeci - i zwyciestwo - mruknal Meredith.

Poczul, jak opuszcza go zdenerwowanie.

Jezeli Saleh byl chociaz w polowie tak szczery, jak sie wydawal, cala sprawa mogla sie udac. Pulkownik wzial glęboki oddech i spojrzal na Carmen.

- Dobrze. Nie wiem jak pani, ale ja mam wciaz fure spraw do zalatwienia w Unie. Idziemy?

Carmen rozesmiala sie. Podeszli do drzwi prowadzacych do pozostalej czesci bazy „Martello”.

- Mowi pan tak, jakbym ja nic nie miala do roboty.

- Teraz na pewno bedzie latwiej, niz przedtem, skoro debaty przedwyborcze przestaly byc juz tak zajadle. - Spojrzal na nia i otworzył drzwi. - Nadal cos pania martwi, prawda?

Przytaknela.

- Loretta Williams. Skad pan wie, ze jest teraz po naszej stronie? Oczywiscie, jezeli to nie tajemnica?

- To nie tajemnica. Jakoś nie bylo okazji powiedziec wam o tym podczas naszej malej wycieczki. Wie pani, w jaki sposob podsłuchiwalismy szpiegowska siec komunikacyjna?

- Major Barner mowil, ze zainstalowaliście w nadajnikach orsfamski sprzet, który umozliwil wam sluchanie wiadomosci zanim przeszly przez urzadzenia kodujace.

- Zgadza sie. A skoro Orsfami udostepnili kopie tych samych rozmow po zakodowaniu, udalo nam sie zlamac ich kod. Dlatego mogliśmy wprowadzic nasza wlasna sekwencje komputerowa, kiedy Udani probowal przeslac dane nadzorców.

- Skoro pan wiedzial, ze to szpiedzy, dlaczego od razu ich pan nie aresztowal?

- Bo nadal byli nam potrzebni do rozszyfrowania jezyka Przasników. - Meredith usmiechnal sie. - Bylo nam tez na reke, zeby Msuya myslal, ze wie o Przasnicy wiecej od nas.

Ermakow i jego gang nie umieszczali w swoich raportach niektórych istotnych informacji, które przekazywali Msuyi. Za pomoca podlozonych pluskiew i tak wszystko trafialo do nas, a Msuya sadzil, ze nie powinniśmy nawet szukac kodu „nadzorca w niebezpieczenstwie”, nic mowiac juz o jego znalezieniu. Dlatego nigdy nie przyszlo mu do glowy, zeby przygotowac sie na taka

ewentualność.

Wydawało się, że Carmen musi to wszystko przemyśleć.

- Jak rozumiem, raporty Loretty dla nas były kompletne?

- Naturalnie. Po zamachu Dunlopa zaczęła zmieniać dane, które szły w drugą stronę. Na przykład Msuya nigdy nie poznał pełnych informacji o rozmiarach łodzi, a Loretta zawiadomiła go, że statek znajduje się w zupełnie innym systemie tuneli.

- Dziwne, że o tym nie wspomniała.

- Niezupełnie. O ile wiedziała, to nie byłby dobry pomysł.

Doszli do drzwi wychodzących na port bazy „Martello”. Kiedy zdejmowali ubrania z wieszaka, Meredith spostrzegł przez niewielkie okna, że znowu zanosiło się na śnieżycę. Miał nadzieję, że centrum nawałnicy, którą wykryły satelity, zgodnie z przewidywaniami ominie ten teren. Wczesnym rankiem Rooshrike mieli przecież zacząć zwozić dwieście ton żelaza i glinu. Pchnął drzwi, zmrużył oczy przed wiatrem i poprowadził Carmen do najbliższego poduszkowca.

Nie wypłynęli jeszcze z portu, kiedy Carmen znowu się odezwała.

- To się nie uda. Policzyłam wszystko i wyszło mi, że przy tym programie kontroli prętów nie zatrudnimy wystarczającej liczby osób, żebyśmy mogli zrobić coś naprawdę pożytecznego dla Ziemi. Razem z nauczycielami i pracownikami potrzebnych nam obiektów powszechnego użytku, będziemy w stanie zapewnić sensowną pracę najwyżej kilkuset tysiącom ludzi. Nawet ambasady, które założymy wszędzie, gdzie tylko można, nie poprawią zbytnio tego stanu rzeczy. - Ze znużeniem potrząsnęła głową. - W samej tylko Kalkucie jest ponad sto tysięcy bezrobotnych żebraków.

- To prawda - przytaknął Meredith. - Ale z drugiej strony nie jesteśmy już ograniczeni tylko do Ziemi i Astry.

Zmarszczyła brwi... a po chwili na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia.

- Ma pan na myśli... Prząśnicję?

- Czemu nie? Wrogów Prząśników na pewno już dawno nie ma, a gleba nie straciła chyba swojej żyzności. Oczywiście najpierw będziemy musieli dokładnie sprawdzić to miejsce i dowiedzieć się więcej o czarnodziurowym napędzie, żeby móc budować większe statki. To jest właśnie jeden z powodów, dla którego chcę, żebyśmy skoncentrowali się na szkoleniu imigrantów. Zanim będziemy gotowi do kolonizacji Prząśnicji, potrzebujemy kadry zdolnych ludzi, którzy staną na czele tego przedsięwzięcia.

- A jeśli Prząśnicja nie nadaje się do zamieszkania? - nie poddawała się Carmen.

- Co wtedy zrobimy? Zaczniemy sprawdzać inne systemy na mapie w łodzi, aż coś znajdziemy?

- Możemy - przytaknął. - Moglibyśmy też zbadać region wokół Prząśnicji przy użyciu własnych napędów gwiazdnych. Skoro mamy oba, możemy przeszukać tę całą cholerną galaktykę. - Wzruszył ramionami. - A w tym czasie rozlokujemy ludzkość na jak największym obszarze. Astra stanie się załazkiem najprawdziwszego tygla narodowościowego, jaki ktokolwiek widział od tysiąc siedemset siedemdziesiątego szóstego roku. Uważam, że rasa ludzka jest teraz w o wiele lepszej formie, niż kiedykolwiek w poprzednim stuleciu.

Z tyłu usłyszeli ryk ich repulserów. Meredith wyjrzał przez okno poduszkowca.

Oenzetowski wahadłowiec zataczał łuk w powietrzu. Wracał na Ziemię...

Pułkownik zachichotał.

- Z czego się pan śmieje? - zapytała Carmen.

Potrząsnął głową.

- Już prawie zapomniałem... Zająłem się tym całym astriańskim projektem głównie dlatego, że miałem nadzieję zasłużyć sobie na gwiazdę generalską. A zamiast tego będę się chyba musiał zająć kilkoma prawdziwymi gwiazdami.

Spis Treści

Zaginiona Rasa

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34